

Nowa bestsellerowa powieść autorki
PS Kocham Cię i Love, Rosie

CECELIA
AHERN

Skaznia



CECELIA
AHERN
Skazna

PRZEŁOŻYŁA
JOANNA DZIUBIŃSKA



Tytuł oryginału: *Flawed*

Projekt okładki: *Paweł Panczakiewicz/PANCZAKIEWICZ
ART.DESIGN*

Redakcja: *Iwona Krynicka*

Redakcja techniczna: *Karolina Bendykowska*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Katarzyna Szajowska, Daria Bednarek*

Zdjęcia na okładce

© Hayden Verry/Arcangel Images

© Sergey Nivens/Shutterstock

Copyright © Cecelia Ahern 2015

All rights reserved.

© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2016

© for the Polish translation by Joanna Dziubińska

ISBN 978-83-287-0291-2

Wydawnictwo Akurat

Wydanie I

Warszawa 2016

Dla Ciebie, Tato

„Czasem krok, którego boisz się najbardziej,
jest tym, który cię wyzwoli”.

Robert Tew

SKAZA; wada jakiegoś przedmiotu w postaci rysy, plamy itp.; słaba strona czegoś; szczególna skłonność organizmu do nieprawidłowych reakcji na określone bodźce; wada charakteru lub niechlubny postępek.

Spis treści

1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14
15
16
17
18
19
20
21
22
23
24
25
26
27
28
29
30
31
32

Podziękowania



1

**Jestem logicznie myślącą dziewczyną, polegam na definicjach,
podziale na czerń i biel.**

Pamiętaj o tym.



Nigdy nie ufaj człowiekowi, który w cudzym domu siada u szczytu stołu.

To nie moje słowa. Wypowiedział je mój dziadek Cornelius, który ostatecznie wylądował tak daleko od naszego stołu, jak tylko się dało, i nieprędko będzie przy nim mile widziany. To, co powiedział, niekoniecznie stanowiło problem. Chodziło raczej o to, do kogo te słowa się odnosiły: sędziego Crevana, jednego z najpotężniejszych ludzi w kraju, który ponownie, mimo zeszłorocznej uwagi dziadka, siedzi w naszej jadalni na miejscu gospodarza podczas corocznego obiadu z okazji Dnia Ziemi.

Kiedy tata wrócił z kuchni z butelką czerwonego wina, zastał swoje zwyczajowe miejsce zajęte. Widziałam, że mu się to nie spodobało, ale... chodziło o sędziego Crevana. Tata zatrzymał się, zadźwignął korkociągiem, zastanawiając się, co zrobić, po czym obszedł stół i usiadł koło mamy, gdzie powinien był usiąść sędzia Crevan. Widzę po mamie, że jest zdenerwowana. Wiem, bo jest bardziej idealna niż zwykle. Każdy włos znajduje się na swoim miejscu. Upięła blond loki w misterny kok, który tylko ona potrafi wykonać, boleśnie wyciągając przy tym ręce, żeby sięgnąć tak daleko za głowę. Jej cera jest porcelanowa. Mama promienieje, jakby była najczystsza formą wszystkiego. Nienaganny makijaż, podkreślająca niebieskie oczy chabrowa sukienka z koronki, idealnie wyrzeźbione ramiona.

Szczerze mówiąc, moja mama – jako wzięta modelka – prezentuje się tak na co dzień. Mimo że urodziła troje dzieci, jej ciało jest idealne, choć podejrzewam, a nawet jestem tego pewna, że jak większość ludzi pomogła swojej urodzie. To, że miała ciężki dzień albo tydzień, można stwierdzić jedynie po tym, że wraca do domu z pełniejszymi policzkami, wydatniejszymi ustami, gładszym czołem lub oczami wyglądającymi na

mniej zmęczone. Poprawianie urody to jej sposób na chandrę. Jest pedantyczna w kwestii wyglądu. Ocenia po nim ludzi, podsumowuje ich jednym spojrzeniem. Czuje się nieswojo, jeśli wszystko wokół niej nie jest idealne: krzywy ząb, podwójny podbródek, zbyt duży nos – wady budzą w niej podejrzliwość i sprawiają, że w pewien sposób przestaje ufać ludziom. Nie jest w tym odosobniona. Większość czuje tak samo. Ona przyrównuje to do sprzedawania nieumytego samochodu – przecież powinien lśnić. To samo tyczy się ludzi. Lenistwo w dbaniu o swoją zewnętrzną odzwierciedla to, jacy są w środku. Też jestem perfekcjonistką, ale nie w kwestii tego, jak wyglądam, a jedynie języka i zachowania, co doprowadza do szału moją siostrę Juniper – najbardziej enigmatyczną i nieścislą osobę, jaką znam. Choć muszę jej to oddać – jest precyzyjnie niesprecyzowana.

Obserwuję nerwowe zachowanie mojej rodziny z poczuciem wyższości, bo sama ani odrobinę się nie stresuję. Szczerze mówiąc, uważam całą tę sytuację za zabawną. Znam sędziego Crevana jako Bosco, tatę mojego chłopaka, Arta. Jestem u niego w domu codziennie, spędziliśmy razem wakacje, bywałam w jego domu na prywatnych uroczystościach i znam go lepiej niż większość, lepiej nawet niż rodzice. Widziałam Bosco z samego rana, ze zmierzwionymi włosami i śladami pasty do zębów. Widziałam go w środku nocy, jak zaspanym krokiem idzie w bokserkach i skarpetkach – zawsze śpi w skarpetkach – do łazienki albo kuchni po szklankę wody. Widziałam go, jak pijany, z otwartymi ustami i dłonią w spodniach przysypia na kanapie. Wsypywałam mu popcorn za koszulkę i wkładałam mu palce do ciepłej wody, żeby się posikał. Widziałam, jak tańczy po pijaku i fałszuje na karaoke. Słyszałam, jak wymiotuje po późnym powrocie z przyjęcia. Słyszałam, jak chrapie. Czułam smród jego bąków i słyszałam, jak płacze. Nie mogę się bać kogoś, kogo znam od najbardziej ludzkiej strony.

Mimo to moja rodzina i reszta kraju postrzegają go jako osobę, której należy się bać. Dla mnie jest jak jeden z jurorów z telewizyjnego talent show, jak przerysowana postać z kreskówki, którą ekscytuje to, że ktoś na nią buczy. Czasem go parodiuję, co bardzo bawi Arta. Zwija się ze śmiechu, podczas gdy ja udaję sędziego Bosco: maszeruję w tę

i z powrotem, zamachuję się zrobioną naprędce peleryną zawiązaną na szyi, robię grymaśne, chmurne miny i grożę palcem. Bosco uwielbia wystawiać palec przed włączoną kamerą. Jestem przekonana, że postać budzącego postrach sędziego, choć przydaje mu się w pracy, to tylko maska, a nie jego prawdziwe oblicze. Poza tym, kiedy się skacze do basenu, nie można być suchym.

Bosco, znany wszystkim, oprócz mnie i Arta, jedynie jako sędzia Crevan, jest przewodniczącym komisji sędziowskiej zwanej Trybunałem. Trybunał początkowo został powołany przez rząd, do publicznego osądzania popełnianych przez ludzi złych uczynków i nadużyć, jedynie tymczasowo. Obecnie jest to pełnoprawna instytucja, która przeprowadza dochodzenia względem osób oskarżonych o posiadanie skazy na charakterze. Naznaczeni przez Trybunał to zwykli obywatele, którzy podjęli moralnie niesłuszne decyzje.

Nigdy nie byłam na żadnej z rozpraw, choć sąd jest otwarty dla ogółu i można oglądać posiedzenia w telewizji. Procesy są sprawiedliwe, bo poza świadkami zdarzenia, na temat charakteru oskarżonego zeznają też rodzina i przyjaciele. W Dzień Ogłoszeń sędziowie decydują, czy oskarżony ma skazę na charakterze. Jeśli tak, zostaje to oznajmione publicznie, a na skórze wypala mu się literę [Ⓢ] w jednym z pięciu miejsc. Miejsce zależy od rodzaju błędu, jaki popełnił skazany.

Za złe decyzje naznacza się skroń.

Za kłamstwo – język.

Za kradzież społecznego mienia – prawą dłoń.

Za nielojalność wobec Trybunału – pierś, nad sercem.

Za złamanie zasad społecznych – podeszwę prawej stopy.

Naznaczeni muszą też cały czas nosić na rękawie opaskę z czerwoną literą [Ⓢ], żeby się wyróżniali wśród innych i stanowili przestrożę. Nie osadza się ich w więzieniu; nie zrobili niczego niezgodnego z prawem, dopuścili się jednak czynu, który uznaje się za szkodliwy społecznie. Nadal żyją pośród nas, ale są wykluczeni i podlegają odrębnym regułom.

Nasz kraj zapadł w stan chaosu gospodarczego przez, jak uznano, złe decyzje przywódców, dlatego pierwotnym celem Trybunału było usuwanie ludzi ze skazą z wysokich stanowisk przywódczych. Teraz

Trybunał jest w stanie wyłuskać takich ludzi, zanim dojdą do władzy i wyrządzą szkody. W bliskiej przyszłości, jak chwali się Trybunał, będziemy mieć społeczeństwo bez moralnej skazy. Wielu uważa sędziego Bosco Crevana za bohatera.

Art przypomina ojca – ma jego jasne, wiecznie zmierzwione loki, których nie da się okiełznać, i niebieskie oczy, w których pojawiają się psotne iskierki, sprawiające, że zawsze wygląda, jakby miał wykręcić jakiś numer, co zresztą zwykle jest prawdą.

Art siedzi naprzeciw mnie w jadalni i muszę się powstrzymać, żeby się bez przerwy na niego nie gapić, taka jestem szczęśliwa, że jest mój. Nie jest tak spięty jak jego ojciec. Umie się dobrze bawić i zawsze wtrąci jakiś śmieszny komentarz, gdy rozmowa robi się zbyt poważna. Ma wycucie czasu, umie trafić z żartem. Nawet Bosco się śmieje. Art jest moim światłem, które rozprasza najstraszniejszy mrok.

Co roku w kwietniu świętujemy Dzień Ziemi z naszymi sąsiadami: Crevanami i Tinderami. Juniper i ja od dziecka uwielbiamy to święto. Odliczamy dni w kalendarzu, planujemy, w co się ubierzemy, dekorujemy dom i nakrywamy stół. W tym roku jestem podekscytowana jeszcze bardziej niż zwykle, bo Art i ja po raz pierwszy obchodzimy to święto jako para. Nie żebym planowała obmacywać go pod stołem czy coś, ale to, że mam przy sobie swojego chłopaka, czyni tę okazję jeszcze bardziej wyjątkową.

Tata jest szefem całodobowej stacji telewizyjnej Info24, a nasz sąsiad i dzisiejszy gość, Bob Tinder, jest redaktorem gazety „Wieści”, należącej do Crevan Media, więc cała ta trójka łączy interesy z przyjemnością. Tinderowie zawsze się spóźniają. Nie wiem, jak Bob daje radę dotrzymać terminów wydania, skoro nie potrafi nawet punktualnie przyjść na obiad. Co roku jest tak samo: przez godzinę pijemy drinki w saloniku i mamy nadzieję, że przejście do jadalni w jakiś magiczny sposób sprawi, że Tinderowie się pospieszą. Siedzimy właśnie przy trzech pustych krzesłach, bo moja koleżanka z klasy, Colleen Tinder, ma przyjść z rodzicami.

– Powinniśmy zacząć – mówi nagle Bosco znad swojego telefonu, kończąc swobodne rozmowy i prostując się na krześle.

– Obiad się nie przypali – mówi mama, biorąc od taty kieliszek

z dolewką wina. – Uwzględniłam małe opóźnienie. – Uśmiecha się.

– Powinniśmy zacząć – powtarza Bosco.

– Spieszysz się gdzieś? – odzywa się Art, zerkając pytająco na Bosco, który nagle się robi niespokojny. – Problem z punktualnością jest taki, że na nikim nie robi wrażenia – mówi Art i wszyscy się śmieją.

– Dobrze o tym wiem, bo moja dziewczyna nie każe mi tyle na siebie czekać bez powodu. – Delikatnie przydeptuje pod stołem moją stopę.

– Nie – włączam się do rozmowy. – Punktualność oznacza pojawianie się dokładnie o umówionej porze. Jeśli niepotrzebnie przychodzisz przed czasem, to wcale nie jesteś punktualny.

– Ktoś tu nie jest rannym ptaszkiem – żartuje Art.

– Wolę być szczęśliwym i wyspanym susłem – odpowiadam, na co on pokazuje mi język.

Mój młodszy brat Ewan chichocze. Juniper przewraca oczami.

Bosco, chyba poirytowany naszą rozmową, przerywa nam i powtarza:

– Summer, Cutterze, powinniśmy natychmiast rozpocząć posiłek.

Sposób, w jaki wymawia te słowa, sprawia, że wszyscy przestajemy się śmiać i odwracamy w jego stronę. To był rozkaz.

– Tato – mówi Art z niezręcznym uśmiechem – jesteś z trybunału obiadowego czy co?

Bosco nie przestaje się wpatrywać w mamę, atmosfera staje się napięta jak przed burzą. Ciężką, wilgotną, przyprawiającą o ból głowy.

– Nie sądzisz, że powinniśmy poczekać na Boba i Angelinę? – pyta tata.

– I Colleen – dodaję, na co Juniper znowu przewraca oczami. Nie znosi tego, że czepiam się szczegółów, lecz nie umiem się powstrzymać.

– Nie, nie sądzę – odpowiada zwyczajnie, stanowczym tonem, nie dodając nic więcej.

– Okej – odpowiada mama. Wstaje i udaje się do kuchni, spokojna i opanowana, jakby nic się nie stało, co tak naprawdę oznacza, że w środku aż ją skręca z nerwów.

Zdezorientowana spoglądam na Artę i wiem, że on też odbiera to napięcie. Na końcu języka ma kolejny dowcip – jak zawsze, kiedy czuje się niezręcznie, niekomfortowo albo kiedy się boi. Widzę, jak jego usta

zaczynają się unosić na myśl o nowej zabawnej puencie, ale nie jest mi dane usłyszeć, co ma do powiedzenia, bo dobiegają nas syreny.

Słyszymy przeciągły, niski, ostrzegawczy sygnał. Na ten dźwięk aż podskakuję na krześle, serce zaczyna mi bić jak oszalałe, a każdy skrawek mojego ciała chłonie zagrożenie. Znam ten dźwięk od zawsze: nikt nie chce, żeby został skierowany w jego stronę. Trwającą od trzech do pięciu minut nieprzerwaną syrenę, która rozbrzmiewa z furgonetek Trybunału, nazywa się „sygnałem ostrzegawczym”. Choć nigdy nie żyłam w stanie wojny, słysząc ten dźwięk, rozumiem, jak musieli się bać ludzie czekający na bombardowanie. W każdej chwili syrena może się wkraść w twoje dobre myśli. Rozbrzmiewa złowieszczo blisko domu. Wszyscy na moment zamieramy, po czym Juniper, która zwykle jest dość niezdarna i odzywa się, zanim pomyśli, zachowuje się, jak na nią przystało. Pierwsza zrywa się z miejsca, zahacza o stół, na co wszystkie kieliszki kołyszą się niebezpiecznie. Czerwone wino, rozchlapane na białym obrusie, wygląda jak krew. Juniper nawet nie przeprosza ani nie próbuje posprzątać, tylko wybiega z jadalni, a tata tuż za nią.

Mama, spłoszona, zastygła w czasie i biała jak ściana, spogląda na Bosco. Wydaje mi się, że zaraz zemdleje. Nie próbuje nawet powstrzymać Ewana przed wybiegnięciem z jadalni.

Syreny robią się głośniejsze, zbliżają się. Art wstaje, ja z nim. Wychodzimy przed dom, gdzie pozostali stoją w zwartej grupie na trawniku. To samo dzieje się przed każdą posesją. Na trawniku po prawej stoją starzy państwo Millerowie. Obejmują się, przerażeni; czekają, przed którym domem zatrzyma się furgonetka. Dokładnie po drugiej stronie ulicy Bob Tinder otwiera drzwi i wychodzi na zewnątrz. Zauważa tatę i obaj patrzą na siebie. Coś się między nimi dzieje, nie do końca rozumiem co. Na początku myślę, że tata jest zły na Boba, lecz ten patrzy na tatę z tą samą miną. Nie potrafię ich odczytać. Nie wiem, o co chodzi. Nieznośne oczekiwanie. Kto tym razem...?

Art delikatnie chwyta mnie za rękę i ściska ją, żeby dodać mi otuchy. Próbuje mi sprzedać jeden ze swoich popisowych uśmiechów, ale jest on niepewny i zbyt krótki, co przynosi całkiem odwrotny efekt. Dźwięk syren prawie nas miażdży, wdziera się w nasze uszy i wypełnia głowy. Furgonetki wjeżdżają na naszą ulicę. Dwa czarne samochody

z jaskrawoczerwonym © po każdej stronie, które oznajmia wszystkim, kim są. Demaskatorzy to armia Trybunału, która ma chronić społeczeństwo przed Naznaczonymi. Nie stanowią oficjalnej policji, ich zadaniem jest aresztowanie tych, których cechuje moralna lub etyczna skaza. Zwykli przestępcy idą do więzienia. Kary dla nich nie mają nic wspólnego z systemem sądenia skazonych.

Czerwona lampa koguta na dachu furgonetki świeci tak jasno, że niemal rozprasza zapadający zmierzch, wysyłając wszystkim ostrzeżenie. Rodziny obchodzące Dzień Ziemi trzymają się blisko siebie w nadziei, że to nie o nie chodzi, że to nie jeden z ich członków zostanie wyrwany z ich objęć. Nie ich rodzina, nie ich dom, nie dziś wieczór.

Dwie furgonetki zatrzymują się na środku drogi, bezpośrednio przed naszym domem, i czuję, jak zaczynam się trząść. Syreny milkną.

– O nie – szepczę.

– Nie zabiorą nas – szepcze do mnie Art i na jego twarzy maluje się taka pewność, takie przekonanie, że mu wierzę. Oczywiście, że nas nie zabiorą: w naszym domu siedzi sędzia Crevan i czeka na obiad. Jesteśmy właściwie nietykalni. To jakoś łagodzi mój lęk, lecz wtedy zaczynam się martwić o nieszczęśnika, który jest ich celem. To mnie zaskakuje, bo zawsze uważałam, że Naznaczeni zasługują na potępienie, a demaskatorzy są po mojej stronie i mnie chronią. Tymczasem, gdy wszystko się dzieje na mojej ulicy, przed moimi drzwiami, coś się zmienia. Czuję się tak, jakbyśmy byli przeciwko demaskatorom. Te irracjonalne, niebezpieczne myśli sprawiają, że aż się wzdrygam.

Drzwi furgonetki się rozsuwają i słyszymy dźwięk gwizdków. Czterech umundurowanych demaskatorów wyskakuje na zewnątrz; noszą charakterystyczne czerwone kamizelki. Idąc, nieustannie dmuchają w gwizdki, których świst otępia i uniemożliwia uformowanie choćby jednej myśli. W mojej głowie jest tylko panika. Może taki jest ich cel...?

Demaskatorzy nie kierują się w naszą stronę, jak przewidywał Art; biegną przez ulicę, do domu Tinderów.

– Nie, nie, nie – mówi tata i słyszę nagły gniew w jego głosie.

– O Boże – szepcze Juniper.

W osłupieniu spoglądam na Artę, czekając na jego reakcję, ale on

wbija wzrok przed siebie, zaciskając szczękę. I wtedy zauważam, że mama i Bosco nadal nie wyszli na zewnątrz.

Puszczam dłoń Arta i ruszam do drzwi.

– Mamo, Bosco, szybko! To Tinderowie!

Kiedy mama biegnie do mnie korytarzem, z koka wymyka się jej kilka kosmyków, które opadają na twarz. Tata zauważa mamę i posyła jej spojrzenie, którego nie potrafię rozszyfrować. Ręce ma opuszczone i co chwilę zaciska pięści.

– Nie rozumiem – mówię, przyglądając się, jak demaskatorzy podchodzą do Boba Tindera. – O co chodzi?

– Cicho. Patrz – ucisza mnie Juniper.

Colleen stoi teraz przed domem razem z ojcem oraz dwoma młodszymi braćmi, Timothy i Jacobem. Bob Tinder zasłania dzieci swoim ciałem. Nie jego rodzina, nie jego dom, nie dziś.

– Przecież nie mogą zabrać dzieci – mówi mama. Jej głos brzmi spokojnie i odlegle, przez co poznaję, że jest tuż obok i panikuje.

– Nie zabiorą – mówi tata. – Chodzi o niego. Na pewno o niego.

Ale funkcjonariusze omijają Boba, ignorując jego i przerażone maluchy, które zaczęły płakać. Machają mu tylko przed oczami kartką, na którą ten spogląda niechętnie. Wchodzą do domu. Nagle Bob zdaje sobie sprawę, co się dzieje, upuszcza kartkę i biegnie za demaskatorami. Krzyczy do Colleen, żeby zajęła się braćmi, co nie jest łatwe, bo zaczynają wpadać w histerię.

– Pomogę jej – mówi Juniper i rusza przed siebie, lecz tata mocno chwyta ją za rękę. – Au! – jęczy moja siostra.

– Stój – mówi tata głosem, którego nigdy wcześniej u niego nie słyszałam.

Nagle z wnętrza domu rozlegają się wrzaski. To Angelina Tinder. Mama zasłania usta dłońmi. Pęknięcie w jej masce.

– Nie! Nie! – bez ustanku wyje Angelina, po chwili widzimy ją w drzwiach trzymaną z obu stron przez demaskatorów. Jest prawie gotowa na nasz wspólny obiad, ubrana w sukienkę z czarnej satyny, z perłami na szyi. Na głowie wciąż ma wałki. Na stopach sandałki z kryształkami.

Zostaje wywleczona ze swojego domu. Chłopcy zaczynają

krzyczeć na widok aresztowanej matki. Biegną do niej i próbują ją objąć, jednak demaskatorzy ich unieruchamiają.

– Łapy precz od moich synów! – krzyczy Bob, próbując ich powstrzymać. Zostaje popchnięty na ziemię i obezwładniony, podczas gdy Angelina wrzeszczy rozpaczliwie, żeby nie rozdzielać jej z dziećmi.

Nigdy wcześniej nie słyszałam, żeby ktoś tak płakał, nie znałam dotąd takiego dźwięku. Angelina się potyka, demaskator ją podtrzymuje. Dalej idzie, utykając, bo złamała obcas.

Bob krzyczy do nich z ziemi:

– Do jasnej cholery! Pozwólcie jej zachować trochę godności!

Demaskatorzy wprowadzają Angelinę do furgonetki. Drzwi zostają zasunięte. Odgłosy gwizdków milkną.

Nigdy nie słyszałam, żeby jakiś mężczyzna łkał tak jak Bob. Przytrzymujący go mężczyźni przemawiają do niego niskim, uspokajającym głosem. W końcu Bob przestaje zawodzić, ale nadal płacze. Funkcjonariusze puszczają go i znikają w drugiej furgonetce, po czym odjeżdżają.

Serce wali mi jak młot, ledwie jestem w stanie oddychać. Nie mogę uwierzyć w to, co widziałam.

Spodziewam się, że sąsiedzi okażą pomoc. Jesteśmy zżytą wspólnotą. Wiele dni pracowaliśmy razem na rzecz naszej małej społeczności. Wspieramy się. Rozglądam się i czekam. Ludzie patrzą, jak Bob siada na trawie, przytula do siebie dzieci i płacze. Nikt ani drgnie. Chcę zapytać, dlaczego nikt nic nie robi, ale wydaje mi się to głupie, bo sama też się nie ruszam. Nie mogę się na to zdobyć. Choć skaza na charakterze to nie przestępstwo, pomaganie Naznaczonym grozi karą więzienia. Bob nie jest Naznaczony, a jego żona została o to jedynie posądzona, jednak nikt się nie chce mieszać. Nasi sąsiedzi, Millerowie, powoli wracają do swojego domu, inni robią to samo.

Otwieram usta ze zdziwienia.

– Nie daruję! – krzyczy Bob z przeciwnej strony ulicy. Na początku cicho, przez co myślę, że mówi do siebie. Potem głośniejsze, więc zakładam, że do furgonetek, które odjechały. Gdy jego wrzask rozlega się na całą ulicę, gdy zalewa nas jego gniew, wiem, że to do nas. Co zrobiliśmy...?

– Zostańcie w domu – mówi do nas tata, po czym rzuca mamie przeciągłe spojrzenie. – Wracajcie do środka. Bez emocji, dobrze?

Mama kiwa głową. Jej twarz jest spokojna, jakby nic się nie stało. Maską powróciła, pasma włosów zostały poprawione, choć nie zauważyłam, kiedy to zrobiła.

Odwracam się w stronę domu i widzę Bosco. Stoi w oknie ze skrzyżowanymi ramionami i obserwuje rozwój zdarzeń. Wtedy zdaję sobie sprawę, że to do niego krzyczy Bob. Bosco, głowa Trybunału, przewodzi organizacji, która zabrała Angelinę.

Może pomóc, jestem o tym przekonana. Jest przewodniczącym Sądu Naznaczonych. Znajdzie jakiś sposób. Wszystko będzie dobrze. Powróci normalność. Świat znów wskoczy na właściwe tory. Wszystko będzie miało sens jak dawniej. Mój oddech się uspokaja.

Tata zbliża się do Boba, okrzyki cichną, jednak płacz nie ustaje. Ten dźwięk rozdziera mi serce.



3

Porozmawiajmy o tym, o czym i tak wszyscy myślą – mówi nagle Bosco, sięgając po czerwone wino i napełniając sobie kieliszek. Uparł się, żebyśmy wszyscy wrócili do stołu, choć po tym, czego byliśmy świadkami, nikt już nie czuje się głodny. Tata nadal jest z Bobem. Mama przygotowuje w kuchni danie główne.

– Nie rozumiem – mówię do Bosco. – Angelina Tinder jest podejrzana o posiadanie moralnej skazy?

– Mhm – odpowiada Bosco dobrotliwie, a jego oczy tańczą, kiedy na mnie patrzy, jak gdyby moja reakcja sprawiała mu przyjemność.

– Ale Angelina...

Mama upuszcza w kuchni talerz, który rozpada się na kawałki, co mnie powstrzymuje przed dokończeniem pytania. Czy to było ostrzeżenie z jej strony? Znak, żebym zamilkła?

– Nic mi nie jest! – woła szczebiotliwie.

– Co chciałaś powiedzieć o Angelinie, Celestine? – Bosco uważnie mierzy mnie wzrokiem.

Przełykam ślinę. Miałam zamiar powiedzieć, że jest miła, życzliwa, że jest świetną mamą, której małe dzieci potrzebują, że nigdy nie powiedziała ani nie zrobiła przy mnie niczego złego. Że to najbardziej utalentowana pianistka, jaką kiedykolwiek słyszałam, że chcę grać tak jak ona, kiedy będę starsza. Nie mówię nic, ponieważ Bosco dziwnie na mnie patrzy, a mama nigdy nie tłucze niczego w kuchni. Zamiast tego wyduszam z siebie:

– Angelina uczy mnie gry na pianinie.

Juniper, która siedzi obok, cmoka, zniesmaczona. Nie mogę nawet spojrzeć na Arta, taka jestem rozczarowana samą sobą.

Bosco się śmieje.

– Znajdziemy ci nową nauczycielkę, droga Celestine. Ale

poruszyłaś słuszną kwestię: może powinniśmy rozważyć zakazanie jej gry na pianinie. Instrumenty to luksus, na który Naznaczeni nie zasługują. – Wbija widelec w swoją przystawkę i wkłada do ust wielką porcję carpaccio. Jest jedyną osobą, która w ogóle wzięła do rąk sztucce. – Jeśli się nad tym zastanowić, to mam nadzieję, że uczyła cię tylko gry – dorzucą, a jego oczy już się nie uśmiechają.

– Tak, oczywiście – odpowiadam, marszcząc czoło, zmieszana tym, że mógł w ogóle mieć co do mnie wątpliwości. – Co zrobiła?

– Nauczyła cię grać – droczy się Art. – Każdy, kto cię słyszał, wie, że jesteś jej największą porażką.

Ewan chichocze. Uśmiecham się do Arta, wdzięczna, że przełamuje nerwowe napięcie panujące w jadalni.

– To nie jest zabawne – mówi Juniper cicho, lecz stanowczo.

Bosco od razu kieruje na nią swój wzrok.

– Masz rację, Juniper. To nie jest zabawne.

Moja siostra odwraca wzrok. Napięcie wraca.

– Domyślam się, że przez „zabawne” chciałaś powiedzieć „dziwne”, nie „śmieszne” – mówię, czując się tak, jakbym dostała policzek.

– Dziękuję, Encyklopedio – odpowiada Juniper pod nosem.

Zawsze mnie tak nazywa, kiedy zaczynam się zagłębiać w definicje.

Bosco ignoruje mnie i dalej wpatruje się w moją siostrę.

– Czy ciebie też uczyła Angelina?

Juniper patrzy mu prosto w oczy.

– Tak, uczyła. To najlepsza nauczycielka, jaką kiedykolwiek miałam.

Zapada cisza.

Mama wchodzi do jadalni. W samą porę.

– Muszę przyznać, że bardzo lubiłam Angelinę. Uważałam ją za przyjaciółkę. Jestem... wstrząśnięta tym... zdarzeniem.

– Ja również, Summer. I możesz mi wierzyć, nikt nie ubolewa nad tym bardziej niż ja, biorąc pod uwagę, że osobiście odczytam jej werdykt.

– Nie chodzi ci tylko o odczytanie, prawda? – mówi cicho Juniper.

– To będzie twój werdykt. Twoja decyzja.

Boję się jej tonu. To nie jest najlepszy moment na jedno z jej dramatycznych wystąpień. Nie chcę, żeby zirytowała Bosco. Kogoś takiego jak on należy traktować z szacunkiem. Słowa Juniper wydają się niebezpieczne. Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś mówił do Bosco w ten sposób.

– Po prostu nigdy nie wiadomo, jacy naprawdę są ludzie, którzy nas otaczają – stwierdza Bosco, patrząc na moją siostrę. – Co skrywają ci, których uważasz za równych sobie. Widzę to każdego dnia.

– Co zrobiła Angelina? – pytam raz jeszcze.

– Jak być może wiesz, kilka miesięcy temu Angelina wyjechała z matką za granicę, żeby dokonać eutanazji, która u nas jest nielegalna.

– Towarzyszyła matce, na jej życzenie, w podróży do kraju, w którym jest to legalne – odpowiada Juniper. – Nie zrobiła niczego niezgodnego z prawem.

– Trybunał nie prowadzi spraw karnych, a jedynie bada charakter podejrzanych i uważamy, że taki czyn, podróż do innego kraju we wspomnianym celu, dowodzi skazy na jej charakterze. Gdyby rząd wiedział o jej planach, miałby powody, żeby ją powstrzymać.

Przy stole zalega cisza, przyswajamy te słowa. Wiedziałam, że matka Angeliny od lat cierpiała na ciężką, wyniszczającą chorobę. Nie wiedziałam, jak zmarła, choć wszyscy byliśmy na pogrzebie.

– Oczywiście Trybunał nie bierze pod uwagę poglądów religijnych – ciągnie Bosco, bo być może wyczuwa nasze powątpiewanie.

– Oceniamy jedynie charakter człowieka. A w świetle przyjętych poglądów na to, jak cenne jest ludzkie życie, pozwolenie Angelinie Tinder na powrót do kraju po tym, co zrobiła, oznaczałoby aprobowanie przez Trybunał zabijania. Czy zdarzyło się to w innym kraju i czy było to legalne, czy nie, nie ma tu znaczenia. To jej charakterowi musimy się przyjrzeć.

Juniper tylko prychna w odpowiedzi.

O co jej chodzi? Nie znoszę tego w mojej siostrze. Wszyscy uważają, że jesteśmy identyczne. Choć jest ode mnie jedenaście miesięcy starsza, naprawdę mogłybyśmy uchodzić za bliźniaczki. Jednak ci, którzy nas znają, nigdy nie daliby się na to nabrać, bo Juniper zdradza się od razu, gdy tylko otworzy usta. Tak jak mój dziadek nie wie, kiedy

się zamknąć.

– Wiedziałaś, że Angelina Tinder zamierza wyjechać, żeby zabić matkę? – pyta Bosco, opierając łokcie na stole, żeby wygodnie się nachylić do Juniper.

– Oczywiście, że nie wiedziała – wtrąca mama szeptem, czym daje mi do zrozumienia, że tak naprawdę chce krzyczeć.

Juniper wpatruje się w swoją nietkniętą przystawkę, a ja błagam siostrę w duchu, żeby więcej się nie odzywała. To nie jest zabawa. Pomieszczenie jest pełne ludzi, których kocham, a serce mi łomocze, jakby działo się coś niebezpiecznego.

– Czy Angelina zostanie Naznaczona? – pytam, nadal zaszokowana faktem, że znam kogoś takiego, że ktoś taki mieszka na mojej ulicy.

– Jeśli uznam ją za winną w Dniu Ogłoszeń, to owszem, zostanie – mówi Bosco, po czym zwraca się do mamy: – Oczywiście zrobię, co w mojej mocy, żeby ta wiadomość nie przedostała się do prasy ze względu na Boba, co nie powinno być trudne, bo we wszystkich mediach trąbią teraz o sprawie Jimmy’ego Childa. Nikogo nie obchodzi Naznaczona nauczycielka gry na pianinie.

Jimmy Child to futbolowy idol, który został przyłapany na tym, że od dziesięciu lat zdradzał żonę z jej siostrą. Czekają na wyrok, który może się okazać katastrofalny w skutkach. Pośród wielu kar, jakich doświadczają Naznaczeni, jest konfiskata paszportu, co oznacza że zawodnik nie będzie mógł wyjeżdżać na zagraniczne mecze.

– Jestem pewna, że Bob będzie wdzięczny za twoją dyskrecję.
– Słowa mamy są gładkie i proste, dają mi do zrozumienia, że naprawdę czuje się skrepowana.

– Mam nadzieję. – Bosco kiwa głową. – Mam ogromną nadzieję.

– Gdzie zostanie napiętnowana? – pytam, nie potrafiąc wybić sobie tego z głowy. Jakoś nie mogę pojąć, dlaczego nikt o nic nie pyta. Poza Juniper oczywiście, choć jej pytania to zakamuflowane oskarżenia.

– Celestine – mama mówi oschle – nie sądzę, żebyśmy musieli rozmawiać o...

– Na prawej dłoni – mówi Bosco.

– Kradzież wobec społeczeństwa – stwierdzam.

– Zgadza się. Każdy człowiek, który uściska jej dłoń, będzie

wiedzieć, z jaką kobietą ma do czynienia.

– Jeśli Trybunał uzna, że ma skazę. Zasada domniemanej niewinności – upomina go Juniper.

Wszyscy jednak wiemy, że Angelina Tinder nie ma szans. Każdy, kto znajdzie się w Sądzie Naznaczonych, zostaje uznany za winnego; inaczej w ogóle nie zostałby aresztowany. W przeciwieństwie do Juniper rozumiem zasady. Istnieje pewna granica – granica moralna – i Angelina ją przekroczyła.

Nadal nie dociera do mnie, że znam kogoś Naznaczonego, że bywałam w jej domu i siedziałam obok niej przy pianinie, pianinie, którego dotykałam po niej swoimi palcami. Od razu chcę umyć ręce. Próbuję wrócić myślami do naszej ostatniej rozmowy i do poprzednich rozmów, żeby się przekonać, czy jakoś zdradzała ten uszczerbek na swoim charakterze. Myślę o jej córce Colleen. Czy mogę nadal rozmawiać z nią w szkole? Pewnie lepiej nie. Ale to też nie wydaje się w porządku. Jestem rozdarta.

– Gdzie jest Cutter? – pyta nagle Bosco, spoglądając ze złością na moją mamę.

– Jest z Bobem. Na pewno niedługo wróci – odpowiada ona cicho.

– To nie wygląda najlepiej – zauważa sędzia. – Powinien tu być.

– Na pewno zaraz...

– Mam nadzieję, że nadal będzie mogła grać na pianinie. – Juniper przerywa mamie ni stąd, ni zowąd. – Z blizną na ręce.

– Współczujesz jej? – pyta Bosco ze wzrastającą irytacją.

– Oczywiście, że nie – wtrąca się Art, z ustami pełnymi jedzenia, trzymając w swoich wielkich, silnych dłoniach skierowane do sufitu nóż i widelec, jakby był jakimś jaskiniowcem. Gada i macha rękami, rozrzucając jedzenie po stole. – Wszyscy jesteśmy po prostu wstrząśnięci, tato, nic więcej. Mogłeś nas uprzedzić, że oczekiwani goście zostaną zatrzymani. Kiedy zawyły syreny, biedna Celestine miała taką minę, jakby się bała, że ją zabiorą do wariatkowa, gdzie tak między nami jest jej miejsce.

Mówi to z taką łatwością, lekkością i wprawą, że Bosco nagle przypomina sobie, gdzie jest: wraz z synem w jadalni swoich sąsiadów, a nie na sali rozpraw.

– Racja. – Bosco przez chwilę wygląda na zmieszanego, po czym spogląda na Ewana, który dotąd siedział przy stole niezwykle cicho. Wyciąga dłoń i życzliwie mnie poklepuje. – Przepraszam cię, moja droga Celestine. Nie chciałem cię przestraszyć. Zacznijmy od początku, dobrze? – Podnosi do toastu kieliszek i uśmiecha się szeroko.
– Wesołego Dnia Ziemi.



Kiedy skończyły się szepty w sypialni rodziców, które po zdarzeniach tego wieczoru trwały zdecydowanie dłużej niż zwykle, i w domu zrobiło się cicho, wymykam się na szczyt, gdzie od kilkunastu tygodni spotykam się wieczorami z Artem.

Przez ostatnie miesiące więcej przebywałam z Crevanami niż z własną rodziną, często marząc, żebym mogła zostać z nimi na dobre. Czułam, że bardziej do nich pasuję, że przy nich wszystko jest logiczne i ma sens. Zawsze wierzyłam w działania Trybunału. Jestem jedną z największych zwolenniczek Bosco. Lubiłam słuchać, jak przy obiedzie zabawia ludzi historiami z sali rozpraw: jak zmusił do dymisji członka zarządu organizacji charytatywnej za wykupienie sobie luksusowego pakietu emerytalnego albo naznaczył celebrytkę, która zarobiła miliony na sprzedaży płyt DVD z ćwiczeniami fitness, a odkryto, że potajemnie przeszła operację plastyczną brzucha. Rozumiem, co robi. Chroni ludzi przed tym, żeby nie zostali oszukani. Wiem, jaka jest różnica między tym, co dobre i złe. Rozumiem zasady. Jednak dziś te zasady, które zawsze w pełni popierałam, zostały splamione przez kogoś z mojego własnego otoczenia.

Jest jedenasta w nocy. Ze szczytu roztacza się widok na uśpioną stolicę. Mieszkam w dolinie otoczonej górami. Nad miastem, na szczycie tych gór, w świetle mocnych czerwonych reflektorów stoi Zamek Highlandzki. Zbudowany w 1100 roku, był kiedyś siedzibą królów i służył jako forteca. Góruje nad nami wszystkimi i posiada najwyższą na świecie okrągłą wieżę, której oko spogląda na cały kraj. Zamek, niegdyś cel najazdów i miejsce rzezi, dziś gości państwowe konferencje, przyjmuje turystów podziwiających jego architekturę, mieści muzeum zabytków i oczywiście stanowi siedzibę Trybunału. Siedzimy na szczycie naprzeciw majestatycznej budowli; po naszej lewej

stronie światła kolejnych miast zlewają się z nocnym niebem i ciągną w nieskończoność. Po prawej rozciągają się tereny rolne i przemysłowe, gdzie mieszka mój dziadek. Humming to największe miasto Highlandu i zarazem jego stolica, która szczyci się bogatą historią i pięknem. Turyści z całego świata zjeżdżają tłumnie, żeby podziwiać nasze miasto, mosty, bajkowy zamek i pałac, brukowane kocimi łbami uliczki i pełen przepychu rynek. Większość budynków przetrwała przemoc i destrukcję dwudziestego wieku i jest mekką dla entuzjastów romańskiej, gotyckiej i renesansowej architektury. Most Humming to jedna z najbardziej znanych budowli tego typu na świecie. Pochodzący z czternastego wieku, szeroki na dziewięć i długi na pięćset pięćdziesiąt metrów, łączy dwa brzegi rzeki i prowadzi do Zamku Highlandzkiego. On także jest piękny nocą: wsparty na sześciu oświetlonych filarach, ma trzy wieże i trzy historyczne figury, które go chronią.

W wakacje lubię podróżować po świecie, jednak po ukończeniu szkoły zamierzam na stałe zamieszkać w Humming. Rozmawialiśmy o tym z Artem. Planujemy studia na miejscowej uczelni – ja matematykę, on fizykę. Wszystko już ustaliliśmy. Juniper zamierza wyjechać najszybciej, jak się da, i zimą pracować jako instruktorka jazdy na snowboardzie w Szwajcarii, a latem jako ratowniczką w Portugalii, czy coś takiego.

Art mówi, że lubi przychodzić na ten szczyt, bo tu łapie perspektywę. Miał ciężki rok, jego mama zmarła i wydaje mi się, że to miejsce pomaga mu się wznieść ponad codzienne zmartwienia, spojrzeć na nie z góry, jak gdyby dystansował się od problemów, oddalał od rozpacz, która z miesiąca na miesiąc cichnie. Ja z drugiej strony postrzegam ten szczyt jako miejsce, gdzie Art i ja stanowimy jedność. Podczas gdy milion ludzi śpi w mieście pod nami, my jesteśmy razem, co sprawia, że łącząca nas więź staje się jeszcze silniejsza. Dzięki niej jestem niepokonana, wiem, że żyję. Jak zamek, który nad nami czuwa, jestem nie do ruszenia.

Dopiero od pół roku czuję coś do Arta. Przyjaźnimy się od dwunastego roku życia, kiedy to pierwszego dnia gimnazjum nauczycielka posadziła nas obok siebie. Nawet gdy byliśmy w większej grupie (ja przychodziłam z dziewczynami, on z chłopakami), zawsze

trzymaliśmy się razem. Z drugiej strony nigdy nie spotykaliśmy się sam na sam, choć mieszkaliśmy po dwóch stronach ulicy. Dopiero rok temu, gdy zmarła jego mama, Art nagle zaczął szukać mojego towarzystwa, nie przejmując się tym, co inni o tym sądzą. Przychodziliśmy na szczyt i rozmawialiśmy. On przeżywał żałobę po śmierci mamy, której odchodzenie obserwował dzień po dniu. Umarła na raka, a Art dopiero przy mnie zaczynał się godzić z jej stratą. W końcu żal przycichł i przestał być głównym powodem naszych spotkań.

Wtedy właśnie coś się dla mnie zmieniło. Motyle w brzuchu na jego widok, głupawy uśmiech, który pojawiał się na mojej twarzy za każdym razem, gdy o nim myślałam, nerwowy bulgot w żołądku, prąd na skórze, gdy się o mnie otarł. Nagle zaczęłam się przejmować tym, w co jestem ubrana, co mówię, jak wyglądam. Nie przeszło to niezauważone, zwłaszcza przez Juniper, która obserwowała mnie, jak dzień w dzień godzinami tkwię przed lustrem, zanim wyjdę z domu. On też to zauważył. Wtedy na chwilę przestałam się przejmować sobą, za to zauważyłam, że i w nim zaszła zmiana. Jesteśmy razem od trzech miesięcy.

W końcu dochodzę na szczyt i widok sylwetki Arta oświetlonej przez księżyc sprawia, że jak zwykle miękną mi kolana. Zawsze przychodzi wcześniej, zawsze na mnie czeka. Siedzi na kocu, patrząc w idealnym skupieniu na rozciągające się pod nim śpiące miasto. Często używam słowa „idealny”, żeby opisać Arta albo spędzone z nim chwile.

– Cześć, ranny ptaszku – mówię.

Podnosi głowę, smutek zastępuje uśmiech. Czyżbym widziała ulgę?

– Cześć, suśle. Jeśli chcesz się przespać, to od razu mówię: koc jest mój.

– Sen i koc – mówię, siadając koło niego. – Brzmi idealnie.

Całujemy się.

– Ty jesteś idealna – mruczy, przyciągając mnie do siebie na kolejny, bardziej namiętny pocałunek.

Czuję, że dziś jest jakiś inny. Powoli się od niego odrywam i przyglądam jego twarzy, jego oczom.

– Umówmy się, że nie będziemy rozmawiać o tym, co się dziś

stało, dobrze?

– Dobry pomysł – wzdycham. – Już na samą myśl zaczyna mnie boleć głowa.

Art całuje mnie w czoło, zastyga z wargami na mojej skórze. Siedzimy w ciszy, pogrążeni we własnych myślach, zapewne odtwarzając w głowie sceny i odgłosy z aresztowania Angeliny Tinder. Nie potrafimy długo milczeć. Art odsuwa się ode mnie.

– To, co mój tata dzisiaj... – urywa i wpatruje się w czubki dachów i kominy przed nami, a ja zdaję sobie sprawę, jak bardzo się zadręczałam tym, co się dziś stało.

Odkąd zmarła jego mama, moją rolą było poprawianie mu nastroju, pozbywanie się jego smutku. I mimo moich sprzecznych uczuć dotyczących dzisiejszych wydarzeń, ze względu na niego muszę się wziąć w garść.

– Posłuchaj, Juniper nie powinna była mówić do niego w taki sposób, ale wiesz, jaka ona jest. Musi się nauczyć trzymać język za zębami. Jest taka sama jak mój dziadek.

– Juniper powiedziała tylko, co myśli – odpowiada Art ku mojemu całkowitemu zaskoczeniu.

– Nie powinna mu mówić tych rzeczy.

On uśmiecha się smutno.

– Dla ciebie wszystko jest czarne albo białe, Celestine. Jesteśmy sąsiadami; świętowaliśmy Dzień Ziemi i byliśmy w waszej jadalni, a nie w jego sali rozpraw. Poza tym on musiał wiedzieć, co się stanie z Angeliną i że to będzie tego właśnie dnia. Dlaczego nie uprzedził chociaż jej? Są przyjaciółmi. Przynajmniej byłaby na to przygotowana, a nie zostałaby wywleczona z własnego domu na oczach rodziny i dzieci...

Jestem zaskoczona, słysząc od niego te słowa. Art nigdy nie mówi tak swobodnie o swoim ojcu. Zawsze byli kumplami, zespołem, dwuosobową drużyną, a po śmierci jego mamy ta więź stała się jeszcze mocniejsza. Są ocalałymi, a przynajmniej tak się zachowują. Obaj wyszli z tej straty w jednym kawałku. Najwyraźniej Art jest tak samo zagubiony jak ja.

– Postępował zgodnie z zasadami – mówię, choć wiem, że to

niewystarczająca odpowiedź. I choć rzeczywiście to za mało, taka jest prawda. – To, co się przydarzyło Angelinie, jest straszne, ale nie sądzę, żebyś mógł obwiniać o to ojca.

– Nie? – pyta z goryczą w głosie.

– To jego praca. Ujmowanie skażonych i umieszczanie ich w areszcie to dla Trybunału chleb powszedni. Na twoim tacie spoczywa odpowiedzialność za utrzymanie stanu idealnego. Co by się stało, gdyby wobec jednych przymykano oko, a wobec innych nie? – pytam, wypowiadając na głos niektóre z moich własnych wątpliwości. – Co wtedy? Może oskarżony o posiadanie skazy zostanie sędzią Crevan, skoro sam przeoczył skażonego.

Art spogląda na mnie.

– Nigdy tak o tym nie myślałem.

– A powinieneś. Bo to twój tata. Jest bardzo wpływowy i niektórzy ludzie go uwielbiają, niemal czczą. Wiem, przez to czasem trudno jest mieć takiego tatę, ale taki ci się trafił. Najważniejsze, że on cię bardzo kocha. I jest jedną z osób, która cię stworzyła, co czyni z niego geniusza.

Art parska śmiechem, ujmuje moją twarz w dłonie, po czym robi minę wyrażającą obrzydzenie.

– Wolałbym nie rozmawiać o akcie tworzenia mnie.

– Fuj! – śmieję się.

– Biało-czarna.

– W stu procentach. – Uśmiecham się, jednak mój uśmiech jest nieco wymuszony, moje stanowisko nie tak pewne jak wcześniej.

Przekonywanie Arta jest łatwiejsze niż przekonywanie samej siebie.

On odchrząkuje.

– Miałem zamiar poczekać do twoich urodzin, ale po dzisiejszym wieczorze... Myślę, że dziś bardziej niż zwykle zasługujesz, żeby o tym wiedzieć. – Przekłada lewą nogę przeze mnie, tak że teraz siedzimy bardzo blisko, nos w nos, a ja jestem uwięziona między jego udami. Nagle moja niepewność znika i jestem dokładnie tam, gdzie chcę być.

– Kupiłem to na twoje osiemnaste urodziny, ale dam ci już dziś, bo chcę, żebyś wiedziała, że mimo tego, co się dzieje na świecie, ty sprawiasz, że wszystko ma sens. Jesteś piękna. – Gładzi mnie dłonią po policzku i nosie, obrysowuje moje wargi. – Jesteś bystra, jesteś lojalna.

– Opuszcza dłoń i podaje mi małe aksamitne pudełeczko.

Dłonie mi się trzęsą tak bardzo, że aż mi wstyd. Otwieram pudełeczko i wyciągam delikatny srebrny łańcuszek – tak cienki, że boję się go zerwać. Na jego końcu znajduje się symbol.

– Jesteś idealna – szepcze, na co przebiega mnie dreszcz i dostaję gęsiej skórki.

Przyglądam się symbolowi, nie wierząc w to, co widzę.

– Wykonał go dla mnie pewien gość na Zamku Highlandzkim.

Wiesz, co to?

Kiwam głową.

– Koła uważa się za figurę idealną – szepczę. – Wszystkie promienie mają dokładnie tę samą długość. Nie ma między nimi żadnych różnic, istnieją w harmonii. Geometrycznej harmonii.

– Ideal – powtarza cicho. – Wiesz, trudno jest czymś zaskoczyć matematyka – mówi przekornie. – Musiałem się nieźle naszukać. Mój mózg jest nadal obolały.

Śmieję się przez wzbierające mi w oczach łzy.

– Dziękuję. – Moje słowa są ciche jak szept. Próbuję zapiąć bransoletkę na nadgarstku, lecz Art mnie powstrzymuje.

– Nie. Tutaj. – Bierze łańcuszek z moich drżących rąk, po czym odsuwa się nieco ode mnie, przekłada między nas moją nogę i ciepłymi palcami powoli podwija mi nogawkę spodni. Zapina mi bransoletkę na kostce, po czym znów jest blisko, a ja oplatom go nogami.

Art unosi podbródek i stykamy się nosami w świetle księżyca. Potem całuje mnie delikatnie i słodko. Jego wargi są mięsiste, język soczysty jak owoc. Zagłębiam dłonie w jego włosach i daję się mu pochłonać, daję się pochłonać tej chwili.

Kiedy wspominam tamtą chwilę, moje serce od razu zaczyna się cieszyć. Wszystko było spotęgowane, magiczne, muzyczne i mistyczne, niemal za dobre, żeby mogło być prawdziwe. Mogłabym na zawsze pozostać w tamtej chwili: jego wargi przy moich, nasze ciała wtulone w siebie. Oboje mieliśmy apetyt na więcej, a nasza przyszłość rozciągała się przed nami jak tamten widok i była tak jasna jak księżyc.

Siedzieliśmy we dwoje na szczycie śpiącego świata, niepokonani,
nietykalni.

To była idealna chwila.

Ostatnia idealna chwila w moim życiu.



5

Budzę się i pierwsze, co robię, to wysuwam nogę spod kołdry i zerkam na swoją kostkę. Bransoletka nadal na niej jest. To nie był sen, wytwór mojej wybujałej wyobraźni, który rozplynie się zaraz po przebudzeniu.

Wtulam się w kołdrę, żeby jeszcze raz odtworzyć wszystko w głowie. Wtedy zdaję sobie sprawę, że im bardziej będę odwlekać rozpoczęcie tego dnia, tym później spotkam się z Artem. Będzie jak zawsze czekał na mnie na przystanku autobusowym, żebyśmy razem pojechali do szkoły.

Mimo całej tej radości nie spałam spokojnie; w końcu po wydarzeniach związanych z Angeliną Tinder tyle trzeba było przyswoić. Ubierając się, nie trzymam się pewnie na nogach. Coś we mnie drgnęło, coś się wzburzyło. Moje poczucie bezpieczeństwa, a być może i ufność – nie wobec Arta, jemu ufam bardziej niż kiedykolwiek – zostały wystawione na próbę. Co dziwne, mam wrażenie, że chodzi o zaufanie do siebie samej.

Nie muszę się zastanawiać nad ciuchami, nigdy tego nie robię, w przeciwieństwie do Juniper. Często słyszę, jak przeklina i wzdycha, wciągając z frustracją kolejny strój, wiecznie niezadowolona z tego, jak wygląda. Wstaje pół godziny wcześniej niż ja, żeby wybrać ubranie, a i tak co rano jest spóźniona.

Większość ludzi uważa, że Juniper i ja jesteśmy identyczne. Jednak moim zdaniem nie mogłybyśmy się bardziej różnić. Ktoś, kto nie zna naszych charakterów, miałby spory problem z ustaleniem, która jest która. Nasz tata jest czarny, mama biała, ale obie odziedziczyłyśmy kolor skóry po nim. Mamy też jego brązowe oczy, nos i kolor włosów. Po mamie dostałyśmy wydatne kości policzkowe i długie kończyny. Kiedyś próbowała nas wkręcić do agencji dziecięcych modelek, Juniper

i ja odbyłyśmy kilka wspólnych sesji, lecz żadna z nas nie złapała bakcyli. Ja ponieważ pozowanie przed obiektywem nie stymulowało mnie intelektualnie, a Juniper ponieważ pod ostrzałem spojrzeń robiła się jeszcze niezręczniejsza, wręcz nieporadna.

Wkładam kremową sukienkę z lnu i kaszmirowy kardigan w kolorze jasnego różu oraz złote sandały-gladiatorki, których paski opasują moje łydki. Na zewnątrz jest gorąco, a do szkoły zawsze wkładam pastelowe kolory. Mama lubi kupować pastele dla całej rodziny. Uważa, że bardziej do siebie pasujemy, gdy jesteśmy tak ubrani. Wiem, że są ludzie zatrudniający stylistów, którzy pomagają rodzinie nie tylko dopasować ubrania, ale także jej całościowy wizerunek. Nikt z nas nie chce odstawać. Tylko Juniper lubi się ubrać po swojemu w coś, co nie pasuje do palety kolorów rodziny. Pozwalamy na to – jej strata – choć mama się martwi, że przez to wyglądamy na rozbitych. Moim zdaniem jedyną osobą, która wygląda na rozbity, jest Juniper.

Jak zwykle schodzę do kuchni przed moją siostrą. Ewan siedzi przy stole i je śniadanie. Ma na sobie kremowe płócienne spodnie i jasnoróżową koszulkę. Cieszę się, że do siebie pasujemy. Dobry początek dnia.

Mama wpatruje się w telewizor i ani drgnie.

– Patrz, co wczoraj dostałam – śpiewam.

Nikt nie spogląda.

– Halo. – Unoszę stopę z gracją baletnicy. Wreszcie Ewan zerka na mnie i na moją kostkę, którą macham mu niemal przed nosem.

– Bransoletka – mówi znudzony.

– Nie do końca. Zwykłą bransoletkę nosi się na nadgarstku. To jest bransoletka na kostkę.

– Wszystko jedno, Encyklopedio. – Przewraca oczami i dalej ogląda telewizję.

– Dostałam ją od Arta – szczebioczę, omijając mamę lekkim krokiem, żeby wyciągnąć z lodówki mleko do płatków.

– To wspaniale, kochanie – odpowiada automatycznie, jak gdyby w ogóle mnie nie usłyszała.

Przystaję i wlepiam w nią wzrok. Jest zupełnie pochłonięta obrazem na ekranie. Ogląda Info24. Pia Wang zdaje relację z Zamku

Highlandzkiego. Pia jest korespondentką Trybunału. Każdą sprawę relacjonuje w najmniejszych szczegółach, przedstawiając profil posądzanego o moralną skazę podczas procesu i po jego zakończeniu. Nigdy nie stawia oskarżonych w dobrym świetle. Najlepiej idzie jej pogrążanie innych, choć usprawiedliwia ją to, że relacjonuje sprawy ludzi ze Skazą, którzy podjęli złe decyzje, więc nie ma co robić z nich bohaterów.

Wyglądam przez okno. Nie ma samochodu taty. Pewnie dostał wezwanie z pracy i musiał jechać do studia. To się często zdarza.

„Ta sprawa wywołała większe zainteresowanie niż inne – mówi Pia, umalowana brzoskwiniowym różem, dzięki któremu prezentuje się idealnie. Wszystkie jej ubrania są w tym kolorze, przez co wygląda tak, że można by ją zjeść. Jest jak doskonała porcelanowa laleczka. Czarne lśniąca włosy z grzywką stanowią naturalną oprawę jej drobnej buzi niewiniątka. Ideał w każdym calu. – Robi się o niej głośno nawet poza granicami. Zainteresowanie to widać po liczbie ludzi zebranych przed Trybunałem w Zamku Highlandzkim, przyszli tu, żeby wesprzeć swojego bohatera, Jimmy’ego Childa, najlepszego napastnika Humming, który przez tyle lat prowadził naszą drużynę do zwycięstwa. I dziś znów zwyciężył. Kilka minut temu opuścił salę rozpraw, uznany przez sędziego Crevana i współsędziów za pozbawionego skazy. Specjalnie dla państwa, którzy dopiero włączyliście odbiorniki, wiadomość z ostatniej chwili: Jimmy Child nie dołączy do grona Naznaczonych”.

Z ust wyrywa mi się jęk.

– Co? – mówię. – Czy coś takiego w ogóle się kiedyś zdarzyło?

Mama odrywa w końcu wzrok od telewizora.

– Nie wiem, nie sędzę... Może raz – odpowiada nieprecyzyjnie.

– Żadna to niespodzianka, skoro jeden z Crevanów ma udział w drużynie piłkarskiej – odzywa się nagle zza naszych pleców Juniper.

Odwracam się w jej stronę.

Mama robi zasmuconą minę.

– Juniper... – mówi tylko.

– Damon Crevan. Posiada pięćdziesiąt pięć procent udziałów w drużynie, ale oczywiście wszyscy mi powiedzą, że to tylko przypadek. Tak samo jak atak na żonę Childa i postawienie jej w stan oskarżenia.

– Słowa Juniper tną jak nóż. – A ten oszust i kłamca wywinął się od kary.

Nikt nie zaprzecza. Od kilku tygodni olśniewająca żona Jimmy’ego Childa widniała na pierwszych stronach wszystkich gazet. Bezlitośnie mieszano ją z błotem. Jej życie, jej problemy, każdy cal jej ciała stały się pożywką dla portali plotkarskich, a nawet dzienników informacyjnych.

- Idź do szkoły – nakazuje jej mama ostrzegawczym tonem.
- Więcej takich przemówień, a przyjdą i po ciebie, panienczko.
- Żartobliwie szczypie Juniper w nos.

Prawie miała rację.

Kiedy wychodzę na zewnątrz, widzę Colleen przy samochodzie. Drzwi wejściowe jej domu są otwarte i wygląda, jakby na kogoś czekała. Chyba nie wybiera się dziś do szkoły, pewnie jedzie do Trybunału na rozprawę mamy. Moje serce przyspiesza, gdy próbuję zdecydować, co zrobić. Jeśli powiem „cześć”, mogę sobie napytać biedy. Sąsiedzi mogliby zobaczyć z okien swoich domów, jak się do niej odzywam, tylko czy donieśliby na mnie? Zwykle „cześć” można uznać za brak lojalności wobec Trybunału, za okazanie wsparcia jej i jej mamie. Czy to się kwalifikuje jako pomoc i sprzyjanie Naznaczonemu? Nie chcę iść do więzienia. Z drugiej strony, jeśli ją zignoruję, zachowam się niegrzecznie. To mama Colleen jest Naznaczona, nie ona. Spogląda na mnie, lecz ja nie potrafię się zdobyć na pozdrowienie. Szybko odwracam wzrok.

– Powodzenia! – woła Juniper do Colleen zza moich pleców.

Denerwuje mnie, że z taką łatwością wymawia to słowo, po czym wkłada do uszu słuchawki i wszystkich ignoruje.

Art jak zwykle stoi już na przystanku i czeka na mnie. Jak co dzień wygląda uroczo. Od razu się na niego rzucam.

– Ranny ptaszek.

– Suseł.

Całuje mnie, ale szybko się od niego odsuwam, bo chcę z nim porozmawiać o ekscytujących wiadomościach.

– Słyszałeś o Jimmym Childzie? – Spodziewam się, że Art będzie

wniebowzięty. Jimmy Child jest jego idolem i niespełna rok temu ściany w jego sypialni były oblepione plakatami piłkarza. Jak u większości chłopców. W trakcie trwania procesu Art miał okazję go poznać, choć szybkie przywitanie w areszcie przed rozprawą nie było spotkaniem, o jakim marzył przez całe dzieciństwo, i nie chciał o nim opowiadać.

– Tak – potwierdza. – Tata wyszedł dziś z domu bladym świtem. Chciał ogłosić werdykt rano, przed pierwszym serwisem informacyjnym.

Myślę o tym, że powinnam była powiedzieć Colleen „cześć”; powinnam była się domyślić, że Bosco nie ma w domu i mnie nie zobaczy, przecież pojechał rano do sądu. Poza tym co było złego w zwykłym przywitaniu...? Jestem na siebie zła.

– Ej, zaraz ci eksploduje mózg. Wszystko okej? – Rozmasowuje palcem zmarszczkę między moimi ściągniętymi brwiami, na co ja się rozpogadzam.

– Tak. Zamyśliłam się, bo nie wiedziałam, że istnieją sekretne Dni Ogłoszeń. Myślałam, że wszystko musi się dziać przed kamerami. Tymczasem twój tata się kryje.

– Nie tak dobrze jak my. – Art wsuwa mi dłonie pod sweterek.

Zaczynam się śmiać i powstrzymuję jego wędrującą rękę. Nagle przychodzi mi do głowy pewna myśl. Spoglądam na Juniper, która słucha muzyki tak głośno, że słyszę każde słowo piosenki.

– Myślisz, że teraz odbędzie się proces żony Jimmy’ego Childa?
– pytam ściszone głosem.

– Sereny Child?

– Tak. Jakby się nad tym zastanowić... – Prawda jest taka, że się nad tym zastanawiam, odkąd Juniper o tym wspomniała. Myślałam o tym przez całą drogę na przystanek, choć powinnam się skupić raczej na tym, że moje nogi nie działają jak trzeba, jakbym je wypożyczyła od nieznanego osoby. – W telewizji nie opowiadali bez przerwy o Childzie i tym, co zrobił, tylko o niej. Skoro była tak denerwującą i fałszywą kobietą, to nie dało się jej nie zdradzić.

– Nie sądzę, żeby była taka, jak przedstawiała ją Pia – odpowiada Art z ciepłym uśmiechem. – Relacja na żywo – udaje głos dziennikarki.
– Czy Serena to nie koszmarna baba? Kto by jej nie zdradził!

Śmieję się, bo zdaję sobie sprawę, jak głupio to brzmi. Po chwili

poważnieję, chcę, żeby Art dobrze mnie zrozumiał.

– Wiesz, chodzi mi o to, jak się rozwodzili nad jej wyglądem. Operacjami. Ubraniem. Jej przeszłością... Jej cellulitem. Nad tym, że całowała się z dziewczyną – i co z tego? Nad tym, że jej opalenizna jest zbyt pomarańczowa. Nad jej zaburzeniami odżywiania, gdy miała piętnaście lat. Że chodziła do szkoły z kimś, kto potem obrabował bank. Że nigdy nie ugotowała mężowi posiłku. Że musiał chodzić do restauracji. Dowiedzieliśmy się o niej wszystkiego. Jakby to ona była Naznaczona, a nie on.

Art znowu się śmieje, bawią go moje pytania, a może to, że mówienie takich rzeczy jest do mnie zupełnie niepodobne.

– Dlaczego mieliby ją oskarżać?

– Żeby wyszło na to, że on nie ma skazy. Ludzie uwierzą, że Serena nie była dobrą żoną i usprawiedliwią jego zdradę. Gwiazda futbolu pozostanie gwiazdą.

Jego uśmiech natychmiast blednie i Art spogląda na mnie, jakby mnie nie znał.

– Uważaj, Celestine.

Wzruszam ramionami, jakbym miała to gdzieś, ale serce mi łomocze już przez sam fakt, że powiedziałam to głośno.

– Tak tylko mówię.

Słowa Juniper wkradły mi się do głowy. I tak miałam już pewne wątpliwości, a to, co powiedziała rano, wszystko pogorszyło i teraz się zastanawiam, czy ona nie ma racji. Myślę o tym, kiedy Art i ja milczymy. Wyobrażam sobie, jak Colleen jedzie do sądu, żeby się spotkać z mamą, mamą, która zostanie Naznaczona za to, że pojechała ze swoją matką do innego kraju, żeby jej pomóc wypełnić wolę. Czy to naprawdę skaza na charakterze? Nie jestem jeszcze gotowa odrzucić tej myśli. Artowi mówię o wszystkim. Z pewnością mogę powiedzieć i o tym. On na pewno pomoże mi się uporać z tym mętlikiem w głowie.

Art sięga po moją rękę i czuję się bezpieczna.

– Uważasz, że to, co zrobiła Angelina, jest złe? – pytam po cichu, a on mi się przygląda. – Bo się nad tym zastanawiam. Myślałam o tym całą noc. I nie sądzę, żeby to było coś złego. Nie, jeśli starsza pani tego chciała. Przecież ludzie robią gorsze rzeczy.

- Pewnie, że robią.
- Czyli wszyscy powinni być Naznaczeni w ten sam sposób.
- Angelina dostanie tylko jedno piętno. Na dłoni. Niektórzy dostają dwa.

Patrzy na to od złej strony. Wiem o tym. Znam go. Jego odpowiedzi są zbyt szybkie. Broni się, choć go nie atakuję. Tak się właśnie dzieje, gdy ludzie rozmawiają o Naznaczonych. Wszyscy mają tak zdecydowane zdanie, jakby to ich dotyczyło. Dla Arta to jeszcze bardziej osobiste, bo jego ojciec jest najważniejszym sędzią, a jego dziadek był jednym z założycieli Trybunału. Z tego powodu zawsze ich podziwiałam. Nadal ich podziwiam. Chyba.

Podjeżdża autobus. Siadamy na naszych zwykłych miejscach. Skupiam wzrok na Naznaczonej, która siedzi na miejscu przeznaczonym specjalnie dla takich jak ona. W autobusie są dwa miejsca dla Naznaczonych, bo przepisy głoszą, że trzech lub więcej Naznaczonych nie może przebywać obok siebie. To po to, żeby zapobiec zamieszkom, które wybuchły, kiedy wprowadzono piętnowanie. Zaczynam się jednak zastanawiać, dlaczego nie dodano dwóch kolejnych miejsc z tyłu autobusu albo po prostu w odpowiedniej odległości. Te miejsca mogłyby być używane przez Naznaczonych i zwykłych ludzi. Naznaczeni tak często stoją w pustym autobusie, nie mogą usiąść. Nie mam z tym problemu, chyba że muszę się koło nich przecisnąć do wyjścia. Przysięgam, niektórzy Naznaczeni specjalnie się nie przesuwają, zmuszając ludzi, żeby się o nich ocierali. Siedzenia Naznaczonych są wykonane z jaskrawoczerwonego materiału i znajdują się z przodu autobusu, skierowane przodem do innych pasażerów, żeby wszyscy widzieli, kto na nich siedzi. Kiedyś czułam się nieswojo, jeśli musiałam na nich patrzeć przez całą podróż, aż w końcu się do tego przyzwyczaiałam i przestałam ich zauważać.

Patrzę na Naznaczoną, siedzącą samotnie, z identyfikującą ją opaską na ramieniu, na której widnieje krwawoczerwony symbol.



Zauważam też symbol na jej skroni i zastanawiam się, jaką złą

decyzję podjęła. Jej blizna zdecydowanie nie jest świeża. Nie jest zaogniona ani pokryta strupem, jak widziałam u niektórych Naznaczonych. Skoro piętno wypalono jej jakiś czas temu, to czy Skaza z czasem stanie się jeszcze większa? A może samo naznaczenie, a potem noszenie piętna, sprawiają, że przestaje się ono rozrastać i zmieniać. Kobieta pisze SMS-a, a gdy odkłada telefon na kolana, zauważam na wyświetlaczu zdjęcie jej dzieci. Po raz pierwszy wyobrażam sobie, jak to jest być Naznaczonym, żyć w tym samym świecie co wszyscy ci, których się kocha, ale podlegać innym zasadom. Nigdy wcześniej nie przyszło mi to do głowy. Myślę o Angelinie i jej dzieciach. Angelina będzie się zmagać z ograniczeniami zawodowymi, godziną policyjną i zakazem podróżowania za granicę. Jak to jest kłaść się do łóżka wcześniej niż reszta rodziny? Jak wychować dzieci, skoro obowiązują je inne reguły? Co robi Naznaczona matka z niemowlakiem, gdy musi go nakarmić w nocy? Czy Tinderowie pojedą na wakacje za granicę bez Angeliny? A jeśli Colleen postanowi mieszkać w innym kraju? Matka nie będzie mogła jej odwiedzić. Nigdy. I czemu wcześniej ani razu nie myślałam o tych rzeczach?

Bo nigdy wcześniej mnie to nie obchodziło – oto dlaczego. Bo jeśli ktoś zrobił coś złego, ja zawsze uważałam, że zasługiwał na karę. Formalnie Naznaczeni nie są przestępcami, jednak praktycznie poza tym, że nie siedzą za kratkami, niewiele ich różni. Skoro Angelina, która moim zdaniem nie skrzywdziłaby muchy, może zasłużyć na Skazę, to może ta kobieta przede mną wcale nie jest od niej gorsza?

Nigdy nie rozmawiałam z nikim Naznaczonym. Nie chodzi o to, że nie wolno tego robić, tylko że ja po prostu nie wiedziałam, co powiedzieć. Zwykle próbuję ich omijać. Gdy są w pobliżu, unikam kontaktu wzrokowego. Zachowuję się tak, jakby nie istnieli. Zawsze stoją w swojej części sklepu, której staram się unikać, bo nie chcę patrzeć, jak kupują mąkę, płatki owsiane i inne proste rzeczy, które wchodzi w skład ich skromnej diety i skromnego życia. Brak luksusów jest częścią ich kary. Nigdy nie uważałam, że to aż takie złe, najważniejsze, że nie są w więzieniu. Jednak nigdy nie zastanawiałam się nad tym, jak się żyje życiem, którego zasady nie dotyczą twojego męża, żony, dzieci i reszty społeczeństwa. Naznaczonemu nie wolno też

spotykać się z innymi Naznaczonymi. Tylko z jedną osobą naraz. Na każdą parę Naznaczonych musi przypadać jedna normalna osoba, tylko dla statystyki. Myślę o ślubie Naznaczonych, urodzinach Naznaczonych i aż się wzdrygam. Ciekawe, o czym w ogóle ze sobą rozmawiają. Wymieniają się historiami o tym, jakie mają Skazy? Pokazują sobie piętna i uśmiechają z dumą czy może wstydzą się, tak jak powinni?

Czuję usta Arta na płatku mojego ucha.

– Jeśli nie przestaniesz myśleć, mózg ci eksploduje – szepcze.

Jego oddech jest gorący, przez co włosy na karku stają mi dęba. Chcę przestać myśleć, naprawdę, ale nie mogę. Jeden jedyny raz nie poświęcam mu pełnej uwagi. Próbuje przywołać mnie do porządku, lecz nie potrafię do niego wrócić. Jestem całkowicie pochłonięta swoimi rozważaniami.

Autobus się zatrzymuje i do środka wsiada kobieta o kulach. Kierowca pomaga jej i sadza na miejscu dla Naznaczonych, bo mają najwięcej przestrzeni na nogi. Siedzenia Naznaczonych są nieco odsunięte od pozostałych, żeby zwykli pasażerowie nie musieli dotykać ludzi z piętnem ani się o nich obijać, co jedynie podkreśla różnicę między nimi a nami. Kobieta o kulach siada obok Naznaczonej, która uśmiecha się do niej.

Ta jednak rzuca jej spojrzenie przepelnione obrzydzeniem. Czuję zażenowanie Naznaczonej, która robi skrzywdzoną minę i odwraca wzrok. Wyczuwa, że ją obserwuję, i nasze spojrzenia spotykają się na ułamek sekundy, zanim spuszczę oczy. Ten chwilowy kontakt wzrokowy sprawia, że serce mi bije jak szalone. Mam nadzieję, że nikt tego nie widział. Mam nadzieję, że nie wygląda to tak, jakbym była po jej stronie.

– Co się dzisiaj z tobą dzieje? – pyta Art, patrząc na mnie z wyrazem lekkiej konsternacji i rozbawienia.

– Nic takiego – mówię, próbując się uśmiechnąć. – Wszystko w porządku. Naprawdę.

Odwzajemnia uśmiech i gładzi wnętrze mojej dłoni kciukiem, na co ja się rozplýwam.

Juniper siedzi po drugiej stronie przejścia, mocno przytulając nos do szyby autobusu, jakby chciała być jak najdalej od nas i innych pasażerów.

Nie wiem, kiedy nasze stosunki aż tak się zmieniły. Zdjęcia i różne opowieści dowodzą, że jako dzieci byliśmy ze sobą bardzo blisko. Moja siostra jest ode mnie niewiele starsza i zawsze uwielbiała się o mnie troszczyć jak matka. Jednak w gimnazjum wszystko się zmieniło. Choć jesteśmy z tego samego rocznika, poszliśmy do różnych klas, znalazłyśmy własnych przyjaciół i zaczęłyśmy się od siebie oddalać. Ja świetnie się uczyłam – uwielbiam wiedzę i chcę ją bez przerwy poszerzać. Czytam książki, oglądam filmy dokumentalne, moim ulubionym przedmiotem jest matematyka, a po skończeniu szkoły średniej chcę iść na uczelnię. Moim celem jest otrzymać medal Fieldsa, przyznawany za wybitne osiągnięcia w dziedzinie matematyki. To najwyższe wyróżnienie, jakie może uzyskać matematyk, taki matematyczny Nobel. Trzeba mieć mniej niż czterdzieści lat, żeby go otrzymać. Ja mam siedemnaście. Mam czas. Moje dotychczasowe wyniki egzaminów pokazują, że jestem na dobrej drodze, żeby z łatwością dostać się na wybraną uczelnię. Juniper nie bywa zazdrosna, ale różnice w naszych ocenach były pierwszą rzeczą, która nas poróżniła.

Moje oceny zawsze były i są powodem do dumy, jej – nie. Nie chodzi o to, że ma złe stopnie, po prostu nie są idealne. Wszyscy wymagają od niej, żeby starała się bardziej, żeby była lepsza. To ogromna presja. Oferowałam jej pomoc, lecz ostatecznie stałam się osobą, którą Juniper zaczęła obwiniać za swoje niepowodzenia.

Uważa, że jestem przemądrzała, co powiedziała mi wiele razy, w jej towarzystwie staram się więc nad sobą panować. Mam zwyczaj poprawiać czyjeś błędy gramatyczne albo recytować słownikowe definicje, jednak się nie wymądrzam. Nie czuję się lepsza od innych. W taki sposób po prostu wyrażam siebie.

Nawet próbowałam udawać, że czegoś nie wiem, zadawać jej pytania o znaczenie różnych rzeczy, niestety ona uważa, że to protekcyjne. Ma rację, a ja nie wiem, co innego mogłabym zrobić. Moje dążenie do bycia ideałem oznacza też chęć posiadania doskonałej relacji z moją siostrą – jak w filmach, książkach i opowieściach, które wmawiają nam, że siostrzana miłość to jedyne prawdziwe uczucie, jakiego zaznasz w życiu.

Juniper ma dysleksję. Uznaje to za kolejną porażkę, kolejną

rozczarowującą cechę, tymczasem dzięki temu patrzy na świat w zupełnie inny sposób. Ja skupiam się na rozwiązywaniu problemów. Odczytuję znaki i dowody, które mam przed sobą, i wyciągam wnioski. Moja siostra jest mądrzejsza ode mnie. Odbiera świat w sposób alternatywny, potrafi czytać ludzi. Nie wiem, jak ona to robi, lecz obserwując i słuchając innych, dochodzi do wniosków, na które ja nigdy bym nie wpadła, w dodatku zwykle ma rację. Ja patrzę na wszystko wprost, jej perspektywa zdaje się zakrzywiać, więc, a nawet pękać, wywraca wszystko do góry nogami, żeby dotrzeć do prawdy. Nigdy jej nie powiedziałam, że tak o niej myślę. Powtarzam sobie, że to dlatego, żeby znów nie posądziła mnie o protekcjonalność, jednak tak naprawdę wiem, że ja też jestem o coś zazdrosna.

Myślę o tym, co mama powiedziała rano: że Jimmy Child być może nie jest jedyną osobą, u której stwierdzono brak skazy.

– Wiedziałaś, że być może są inni ludzie, którzy stali przed Trybunałem, ale uznano, że są bez skazy? – szepczę do Arta.

Czuję, jak jego uścisk na mojej dłoni się rozluźnia. Irytuje go to, że nie zmieniam tematu.

– Nie, nie wiedziałem.

– Sądzę, że muszą być jacyś inni ludzie, których uznano za niewinnych, o których nie wiemy. Twój tata naprawdę nigdy o tym nie wspominał?

– Rany, Celestine! Daj spokój, dobrze?

– Tylko pytam.

– A właściwie nie powinnaś.

– Naprawdę?

– Przynajmniej nie tutaj – mówi, rozglądając się nerwowo.

Milknę. Mogę jedynie patrzeć przed siebie, wprost na tę Naznaczoną, która się szykuje, żeby wysiąść na następnym przystanku. Znika, a do środka wchodzi dość otyła kobieta. Rozpoznaje kobietę z kulami, siada koło niej i zaczynają pogawędkę.

Na następnym przystanku do autobusu wsiada starszy mężczyzna. W ostatniej chwili powstrzymuję się, żeby do niego zawołać. Tak bardzo przypomina mojego dziadka, że jestem pewna, że to on, co właściwie nie ma sensu, bo mój dziadek mieszka daleko, na wiejskiej farmie. Po chwili

widzę na rękawie mężczyzny wielki symbol © i przeszywa mnie dreszcz. Złoszczę się na siebie, że w ogóle pomyślałam, że ktoś taki jak on mógłby być ze mną spokrewniony.

Uderzają mnie moje uprzedzenia. Byłam zniesmaczona reakcją kobiety z kulami wobec Naznaczonej, która się do niej uśmiechnęła, a przecież zachowuję się identycznie i nawet nie zdaję sobie z tego sprawy!

Mężczyzna ma siedemdziesiąt, może osiemdziesiąt lat. Nie jestem pewna. Jest stary i ma na sobie elegancki garnitur i wypastowane buty, jakby jechał do pracy. Z mojego miejsca nie widzę jego blizny na głowie, więc równie dobrze może być na jego piersi, języku lub stopie. Staruszek wygląda bardzo przyzwoicie, co sprawia, że uważniej mu się przyglądam. Zawsze uważałam, że Naznaczeni są od nas gorsi. Czy to możliwe, że przyznałam się do tego sama przed sobą...? Staruszek nie może usiąść, ponieważ oba miejsca dla Naznaczonych są zajęte przez dwie kobiety tak pochłonięte rozmową, że go nie zauważają. Stoi koło nich i trzyma się drążka.

Mam nadzieję, że szybko go zauważą. Nie wygląda na to, żeby długo wytrzymał na stojąco.

Mija kilka minut. Mężczyzna nadal stoi. Rozglądam się wokół. W autobusie jest przynajmniej kilkanaście wolnych miejsc, na których mógłby usiąść, ale mu nie wolno. Poddaję tę sytuację analizie logicznej i nie znajduję w niej ani krztyny logiki.

Spoglądam na Juniper, która ściągnęła słuchawki i siedzi wyprostowana jak struna, bacznie obserwując całą sytuację. Ona zawsze była wrażliwsza niż ja i widzę, że przesuwają się na skraj siedzenia, gotowa w każdej chwili się poderwać. Najwyraźniej się nie boi, że zrobi coś głupiego. Cieszę się z tego, że wreszcie ona i ja czujemy to samo.

Starszy mężczyzna zaczyna kaszleć. Nie może przestać.

Sapie i jego oddech na moment się uspokaja, lecz po chwili znów zanosi się kaszlem. Wyciąga z kieszeni chusteczkę, próbując stłumić zarazki i hałas. Jego twarz z białej robi się różowa, a potem fioletowa. Juniper przesuwają się na krawędź siedzenia. Zerka na dwie rozmawiające kobiety, po czym znów na staruszkę, który w końcu przestaje kaszleć.

Niestety, kilka chwil później znów kaszle, na co wszyscy

pasażerowie odwracają głowy. Gruba kobieta przestaje rozmawiać i spogląda na niego. Czuję ulgę, bo spodziewam się, że teraz odda staruszkowi miejsce, do którego ma on prawo. Tymczasem kobieta cmoka z dezaprobatą, jakby mężczyzna jej przeszkadzał, i kontynuuje rozmowę.

Teraz to ja prostuję się na krześle.

Kaszel jej przeszkadza. Przeszkadza wszystkim w autobusie. Jego głośnego sapania nie da się nie zauważyć, a mimo to jest ignorowany. Według przepisów, jeśli ktokolwiek pomoże Naznaczonemu, sam stanie przed Trybunałem, lecz chyba nie w tym przypadku? Czy mamy patrzeć, jak starzec męczy się na naszych oczach?

Kaszel ustaje.

Serce wyrywa mi się z piersi.

Puszczam dłoń Art. Wydaje się spocona.

– Co jest?

– Nie słyszysz tego?

– Czego?

– Kaszlu.

– Nikt nie kaszle – mówi Art, rozglądając się. Charkot staruszka znów się rozlega, a mojemu chłopakowi nawet powieka nie drgnie, gdy spogląda na mnie czule i mówi: – Nie mogę się doczekać, kiedy będziemy gdzieś sami. Może urwiemy się z pierwszej lekcji?

Jego słowa ledwie przebijają się przez kaszel i łomotanie mojego serca. Czy nikt nie słyszy staruszka? Czy nikt go nie widzi? Rozglądam się, speszona. Pasażerowie gapią się przez okna albo patrzą na Naznaczonego z obrzydzeniem, jakby wszystkich miał zarazić skazą.

Oczy Juniper są pełne łez. To, że moja siostra, krew z mojej krwi, się ze mną zgadza, jest dla mnie wystarczającym potwierdzeniem. Próbuję wstać, a wtedy Art gwałtownie ciągnie mnie za ramię.

– Nie rób tego – mówi stanowczo.

– Au! – Próbuję się ruszyć, ale jego uścisk pali mnie jak ogień.

– To boli.

– Sądzisz, że kiedy wypalą ci piętno, będzie bolało mniej?

– Mocniej zaciska dłoń.

Przestaje, a ja syczę:

- Uważasz, że to jest sprawiedliwe?
- On zrobił coś złego, Celestine.
- Czyli co? Coś, co jest legalne w innych krajach, tylko tutaj trafiasz pod sąd?

Art wygląda tak, jakbym go ukąsiła.

– Nie rób niczego głupiego, Celestine – mówi, przeczuwając, że przegrał tę kłótnię. – Nie pomagaj mu – dodaje szybko.

– Ani mi to w głowie.

Nie mam pojęcia, jak udaje mi się przejść spokojnie obok tego sapiącego, oddychającego z trudem starszego człowieka. Zauważam niewyraźną bliznę w kształcie litery © na jego skroni. Wygląda, że jest tam od dawna, jakby była częścią staruszka taką samą jak piegi i włosy. Podchodzę do dwóch kobiet na siedzeniach dla Naznaczonych. Gawędzą o robieniu dzemu, jakby wszystko było w najlepszym porządku.

– Przepraszam – mówię słodko, rzucając im najbardziej uprzejmy uśmiech, na jaki jestem w stanie się zdobyć. Momentalnie odpowiadają pogodnymi uśmiechami. Dwie uprzejme, sympatyczne kobiety z przedmieść, które chętnie pomogą mi w każdej sprawie. Prawie każdej sprawie.

– Tak, złociutka?

– Czy mogłyby mi panie pomóc?

– Oczywiście, złociutka.

– Czy któraś z pań mogłaby się przesiąść? Albo może siądą panie wspólnie na miejscach zajmowanych przeze mnie i mojego chłopaka, żeby mogły panie kontynuować rozmowę?

Kiedy spoglądam na Artę, na jego twarzy widzę przerażenie. Zabawne, bo ja już go nie czuję. Lubię rozwiązania. Napotkałam problem i rozwiązanie go zwyczajnie ma sens. Nie robię niczego złego, nie łamię prawa ani żadnych zasad. Zawsze chwalono moje wycucie czasu, idealność. Pochodzę z dobrego domu. Jestem miła. Bransoletka na kostce z symbolem geometrycznej harmonii jest tego dowodem.

– Mogę zapytać dlaczego? – pyta kobieta ze złamaną nogą.

– Ten człowiek – pokazuję na starca – nosi Skazę, a panie siedzą na miejscach dla niego przeznaczonych. On nie może usiąść gdzie indziej. Bardzo się męczy.

Zauważam, że na te słowa kilka głów odwraca się w naszą stronę. Spodziewam się zrozumienia. Spodziewam się, że dalsze tłumaczenia będą zbędne. Spodziewam się nawet, że kilka osób włączy się w rozmowę i przyzna mi rację. Nic takiego się nie dzieje. Pasażerowie wyglądają na skonsternowanych, niektórzy nawet na przestraszonych. Jeden mężczyzna ma rozbawioną minę. To nielogiczne. To terytorium Juniper, nie moje. Spoglądam na nią. Na jej twarzy maluje się to samo przerażenie co u Arta. Nie rusza się. Jeśli choć przez chwilę myślałam, że mnie poprze, to teraz wiem, że tego nie zrobi.

– Ale my rozmawiamy – mówi druga kobieta.

– A on się dusi – odpieram z tym samym uśmiechem na ustach, który teraz wygląda pewnie odrobinę psychotycznie, bo już nie jesteśmy dla siebie uprzejme.

– Próbujesz mu pomóc? – pyta kobieta o kulach.

– N-n-nie – wykrztuszam. – Absolutnie nie. Próbuję rozwiązać sytuację. – Uśmiecham się promiennie, a ona odsuwa się ode mnie.

– Nie chcę mieć z tym nic wspólnego – mówi głośno, zwracając na naszą trójkę jeszcze większą uwagę.

– Ale z czym? – Śmieję się nerwowo i zwracam do drugiej kobiety.

– Pani nodze nic nie dolega. Może gdyby przesiadła się pani na inne miejsce, a pani przyjaciółka została tu...

– Będę siedzieć tu, gdzie siedzę! – wrzeszczy.

Teraz obserwuje nas już cały autobus.

Starszy mężczyzna koło mnie ledwie się trzyma na nogach. Jest zgięty w pół i kaszle. Odwraca do nas posiniąłą twarz i próbuje coś powiedzieć, jednak nie może zaczerpnąć oddechu.

Nie wiem, co próbuje powiedzieć. Nie wiem, jak się zachować. Nie wiem, jak mu ulżyć. A nawet gdybym wiedziała, co się w takich sytuacjach robi, to pewnie nie umiałabym tego prawidłowo wykonać. Myśl, myśl, Celestine. Nie jestem w stanie pomóc staruszkowi, ale lekarz tak.

– Czy jest tu lekarz?! – wołam do pozostałych pasażerów i widzę, jak Art chowa twarz w dłonie.

Cały autobus wydaje z siebie zaskokowane westchnienie.

Rozglądam się po twarzach – krytycznych i zaskoczonych. Czuję


się zagubiona i kręci mi się w głowie. Ten mężczyzna zaraz będzie miał zapaść, może nawet umrzeć. Oczy zachodzą mi łzami.

– Będziemy tak po prostu się przyglądać?! – krzyczę.

– Przestań, złociutka – mówi do mnie jedna z kobiet ściszonego głosem. Ona też jest poruszona całą sytuacją, ale próbuje mnie ostrzec. Zagalopowałam się.

To jest kompletnie nielogiczne. Czy nie mamy żadnego współczucia dla tego człowieka, nieważne, czy jest Naznaczony czy nie? Nie pomożemy mu?

Głowy się odwracają, spojrzenia też.

– Spokojnie – zwracam się do staruszka, który teraz całkowicie panikuje. Wciąż kaszle, a ja widzę  na jego języku, co sprawia, że się cofam. Nawet nie umiem sobie wyobrazić, jaki to musiał być ból.

– Wszystko w porządku.

Starzec uderza się w pierś, po czym osuwa na podłogę. Podnoszę go za ramiona i doprowadzam do najbliższego siedzenia.

– Zatrzymać autobus! – krzyczę.

Autobus się zatrzymuje, a ja zapewniam staruszka, że wszystko będzie dobrze.

Spoglądam na Juniper i widzę, że płacze.

– Wszystko w porządku – mówię do niej i Arta. – Wszystko będzie w porządku. – Moje serce nadal łomocze. – Ta cała sytuacja to jakiś absurd. – Mój głos jest piskliwy i przenikliwy, nie brzmi jak mój własny. I wtedy słyszę syreny: głośne, bliskie, intensywne, groźne.

Wszyscy nieruchomieją w oczekiwaniu, a moje serce bije głośno, zakłócając ciszę. Do autobusu wsiadają dwaj demaskatorzy, dmą w gwizdki, więc większość ludzi zatyka uszy. Idą do mnie i staruszka.

– Widzi pan? Mówiłam, że wszystko będzie dobrze. – Mój głos przebija się ponad hałas. – Nadeszła pomoc.

Ledwo potakuje, nie otwierając oczu. Spodziewam się, że demaskatorzy podejną do staruszka, który zasłabł na siedzeniu: oddycha płytko, a jego skórę pokrywa cienka warstwa potu. Ale nie idą po niego. Idą po mnie.

Aresztują mnie.

Juniper krzyczy, żeby zostawili mnie w spokoju, Art, który ją

przytrzymuje, wygląda, jakby ziemia usuwała mu się spod stóp.
Demaskatorzy biorą mnie pod ramiona i odciągają. Juniper płacze:

– Moja siostra! Moja siostra!

Sprowadzają mnie po schodkach autobusu i wsadzają do furgonetki. W uszach słyszę tylko dźwięk ich gwizdków.



6

Jeszcze zanim się urodziłam, kraj dotknął wielki kryzys. Rząd się załamał, gospodarka została spustoszona, banki upadły, bezrobocie i emigracja sięgnęły zenitu. Ludzie byli zaskoczeni tym, co się stało, i obwinili za to przywódców. Przywódcy powinni byli czuwać, powinni byli przewidzieć. To ich zły osąd, złe decyzje doprowadziły do upadku kraju. Byli złymi ludźmi, zniszczyli rodziny i ich domy, a to oni powinni cierpieć. Mieli moralną skazę i doprowadzili do naszego upadku.

W rezultacie każdy, kto popełnił choć najmniejszy błąd, a przyczynił się do zaistniałej sytuacji, był natychmiast karany. Sprawców wyszydzano, wystawiano na widok publiczny jako przykład porażki, potem zmuszano do rezygnacji ze stanowiska. Upokorzenie było ogromne. Nie byli przestępcami, ale podjęli złe decyzje. Społeczeństwo nie potrzebowało przywódców, którzy będą się dopiero uczyć na własnych błędach, chciało takich, którzy nie będą popełniać błędów. Bez dawania drugiej szansy, bez współczucia, bez przyjmowania jakichkolwiek wyjaśnień. Jeśli ktoś w przeszłości się pomylił, nie mógł zajmować stanowiska przywódczego. Setki tysięcy osób ruszyły na rząd i wtedy postanowiono, że każdy, kto podjął choć jedną złą decyzję, zostanie całkowicie wykluczony ze społeczeństwa. Uczenie się na błędach miało stać się reliktem przeszłości. Wszyscy mieli zawsze próbować przewidywać, co się stanie, zanim będzie za późno. Nie mogliśmy sobie pozwalać na pomyłki.

Czy można stworzyć ideał? Próbowano to zrobić na wiele sposobów, aż w końcu rząd zdecydował się na Trybunał i wypalanie piętna u ludzi z moralną skazą. Bez względu na to, co zrobisz w dalszym życiu, ten stygmat nie może zostać usunięty. Masz go aż do śmierci. Do końca życia ponosisz konsekwencje swojej jednej pomyłki. Stajesz się dla innych przestrogą, żeby pomyśleli, zanim coś zrobią.

Zabierają mnie do celi w lochach Zamku Highlandzkiego i doprowadzają do biurka, na którym leży folder z wszelkimi informacjami na temat Trybunału. Mam się z nimi zaznajomić. Jest tam rozdział o regułach, które obowiązują Naznaczonych. Cały jest poświęcony wypalaniu piętna na skórze: samego procesu oraz opatrywania rany. Z impetem zamykam folder. Rozglądam się, zaciekawiona.

Cele wyglądają przyjemnie, są świeżo wyremontowane. W całym pomieszczeniu znajdują się cztery: dwie po każdej stronie korytarza, wygodzone kuloodpornym i dźwiękoszczelnym szkłem. Zgodnie z informacjami w folderze szkło symbolizuje przejrzystość systemu, lecz mam wrażenie, że tak naprawdę służy temu, żeby przygotować przyszłych Naznaczonych na brak godności i ingerencję w ich życie. Każda cela ma stół z czterema krzesłami, jednoosobowe łóżko, łazienkę z murowanymi ścianami i kilka porozstawianych w różnych miejscach krzeseł, gdyby nagle przyszła mi ochota na urządzenie imprezy w pace. Wnętrza pomalowano na kolory ziemi, żeby mieć poczucie, że to najbardziej naturalne miejsce na świecie.

Jestem jedynym lokatorem. Dwie cele naprzeciw mnie są puste, trzecia obok do niedawna była zajęta – poznaję to po porozrzucanych ubraniach i przedmiotach osobistych. Ta osoba pewnie znajduje się teraz w sali rozpraw i czeka na to, co przyniesie jej los. Łazienka ma na szczęście normalne ściany, jest jednak tak mała, że da się w niej spędzić zaledwie minutę, zanim zaczniesz się dusić. Zamknęłam się w niej, żeby popłakać w samotności, choć równie dobrze mogłam zostać, bo i tak zdradza mnie zapuchnięta twarz i zaczerwienione oczy. Poza tym i tak nie ma tu nikogo, kto mógłby mnie zobaczyć.

Nie miałam jeszcze okazji z nikim porozmawiać i rozłożyć na czynniki pierwsze tego, co się stało. W rejestracji przyjęła mnie miła kobieta ubrana w mundur demaskatora, która przedstawiła się jako Tina, po czym zaprowadzono mnie do lokalu pod Wieżą Zegarową, gdzie Trybunał ma kancelarie. Widziałam to w telewizji, podczas każdej relacji na żywo Pia biega po kocich łbach dziedzińca, od Wieży Zegarowej do sali sądu i z powrotem, podąża za oskarżonym, który jest obrzucany wyzwiskami przez gapiów popierających Trybunał.

Bez wątpienia jestem w szoku. Muszę być. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak to możliwe, że tu trafiłam. Ja, która nie zrobiłam nic złego, która lubi dogadzać innym, której każda cenzurka pełna jest celujących, której chłopak jest synem sędziego Trybunału.

Raz po raz odtwarzam w głowie wydarzenia z autobusu. Odtwarzam je tak często, że zaczynają zlewać się w jedno, jak zbyt często grana piosenka. Myślę o tym, co zrobiłam, co powinnam była zrobić, co mogłam zrobić lepiej. Jestem zdezorientowana. Co chwilę odtwarzam w głowie całą scenę, jakbym przyglądała się czyjejś twarzy, aż w końcu ta osoba zaczyna wyglądać inaczej. Siedzę na łóżku, oparta plecami o jedyną murowaną ścianę w mojej celi, podciągam kolana i obejmuję nogi. Nie wiem, ile już tak siedzę; może minuty, może godziny. Rozprawiam się sama ze sobą, a w moim sercu szybko rodzi się panika.

Nieemożliwe, żebym miała skazę. Nieemożliwe, żebym miała skazę. Jestem idealna.

Tak mówią moi rodzice, moi nauczyciele, mój chłopak, a nawet siostra, która mnie nie znosi. Myślę o Juniper krzyczącej w mojej obronie, gdy mnie zabierano, moje oczy wypełniają się łzami. Moja starsza siostra wrywała się znieruchomiałemu Artowi, żeby o mnie walczyć. Mam nadzieję, że nic jej nie jest. Mam nadzieję, że jej też nie zabrali. Zmuszą ją, żeby przyznała, że się nie zgadza z moim postępowaniem. Zamartwiam się. Nie chcę jej w to wciągać. Kto wie, co w gniewie może się jej wymyknąć? I co z Artem? Jak on się teraz czuje? Czy ma kłopoty? Czy jego ojciec mi pomoże, czy też nigdy więcej się do mnie nie odezwie? A co ważniejsze, czy Art już nigdy więcej się do mnie nie odezwie? Myśl, że choćby przez chwilę nie będziemy razem, sprawia, że robi mi się niedobrze.

I tak w kółko.

Nagle trzaskają drzwi i podnoszę głowę.

Tina i jakiś inny strażnik eskortują chłopaka mniej więcej w moim wieku, może nieco starszego. Mijają moją celę i wprowadzają go do tej obok. Najwyraźniej jest zaznajomiony z tym miejscem, co znaczy, że nie jest tu nowy – w przeciwieństwie do mnie. Kiedy mnie tu przyprowadzono, w panice rozglądałam się wokół, próbując poznać

nowe środowisko. Jego koszulkę i włosy pokrywa biały proszek. Ślady pyłu widać też na Tinie i strażniku, co mnie zastanawia. Chłopak jest wysoki i umięśniony. Ma zuchwałą, upartą twarz, spojrzenie pełne wyrzutów sumienia. Jest młody tak jak ja, lecz jego twarz wydaje się starsza.

Fakt, że jest młody, sprawia, że siadam prosto. Chcę, żeby mnie zobaczył. Chcę wymienić z nim spojrzenia, dać mu coś, co pocieszy jego i mnie. Strażnicy nie obchodzą się z nim tak miło i delikatnie jak ze mną, co, trochę samolubnie, daje mi nadzieję, że to wszystko było jednym wielkim nieporozumieniem i że wyjdę stąd jak normalny człowiek. Obserwuję go, jego podłą, nieprzejednaną, zuchwałą twarz. Siłą umysłu próbuję sprawić, żeby na mnie spojrzał. Zastanawiam się, co zrobił. To nie może być przestępstwo karne, bo byłby nie tu, a w więzieniu, pewnie to coś zbliżonego. O cokolwiek go oskarżono, nie mam wątpliwości, że to zrobił.

Wchodzi do celi i spogląda na mnie przez oddzielającą nas przezroczystą ścianę. Serce mi łomocze. Kontakt z drugim człowiekiem, pierwszy od kilku godzin. Jednak on natychmiast odwraca wzrok, długimi krokami przemierza celę i siada na podłodze, opierając się plecami o szklaną ścianę. Jedyne, co widzę, to mięśnie jego pleców, rysujące się pod materiałem brudnej koszulki.

Znieważona, przestraszona i nagle jeszcze bardziej samotna, czuję nową falę łez.

Strażnicy zamykają jego celę i wychodzą. Znikają za głównymi drzwiami i znów jestem sama, no, prawie sama, bo tym razem z chłopakiem, który nie chce na mnie spojrzeć.

Główne drzwi otwierają się ponownie i widzę zmartwioną, zrozpaczoną twarz mamy i surową minę taty, który zaciska szeroką szczękę, żeby się opanować. Kiedy tylko mama mnie zauważy, znów przywdziewa maskę spokoju, jakby była na spacerze w parku. Od razu poznaję, że nie jest dobrze. Tata nie jest taki silny, dostrzega mnie i od razu się załamuje. Nigdy nie należał do tych, którzy potrafią ukrywać emocje. Tina wpuszcza ich do mojej celi, a ja zrywam się, żeby ich oboje przytulić.

– Och, Celestine – mówi mama głosem przepelnionym żalem

i mocno przytula mnie do siebie. – Co cię opętało?

– Summer – szorstko mówi tata, na co ona reaguje tak, jakby ktoś wymierzył jej policzek.

Ja też czuję się dotknięta. Miałam nadzieję na obronę, wsparcie, nie na atak. Wiedziałam, że jestem w tarapatkach, jednak teraz naprawdę to do mnie dociera.

– Przepraszam – mówi łagodnie mama. – Nie chciałam, ale to do ciebie takie niepodobne. Juniper opowiedziała nam, co się stało.

– To nie miało sensu – stwierdzam. – Cała ta sytuacja przeczyła logice.

Tata uśmiecha się smutno.

– Ten mężczyzna kaszlał. Rzęził. Prawie mdlał. Mógł umrzeć, a ta gruba kobieta i druga ze złamaną nogą zwyczajnie go ignorowały! Siedziały na jego miejscu! – wyrzucam z siebie, pochylając się ku ich twarzom, próbując sprawić, żeby zrozumieli. Prawie błagam, żeby dostrzegli moją wersję zdarzeń, opowiadam, jaka obrzydliwa i niesprawiedliwa była cała ta sytuacja. Wstaję i zaczynam chodzić po celi. Opowiadam od początku, ze szczegółami, może nawet przesadzając. Gruba kobieta w mojej opowieści była grubsza, kaszel – jeszcze bardziej agonalny. Próbuję sprawić, żeby zobaczyli to, co ja widziałam, żeby powiedzieli, że rozumieją, że gdyby byli na moim miejscu, zrobiliby to samo. Żeby powiedzieli mi, że nie mam skazy.

Tata patrzy na mnie ze łzami w oczach. To dla niego męka. Mama zrywa się nagle i chwyta mnie za ramiona. Zaskoczona jej uściskiem, rozglądam się i zauważam, że chłopak w celi obok nie siedzi już plecami do szyby, a na łóżku, skąd może nas obserwować. Zastanawiam się, czy mógł zrozumieć, co mówiłam, czy czytał mi z ruchu warg. W tym momencie mama chwyta mnie mocniej i cała moja uwaga przenosi się na nią.

– Posłuchaj – mówi cichym, nagłym szeptem. – Nie mamy czasu. Za kilka minut sędzia Crevan przyjdzie się z tobą zobaczyć i musisz się do niego przymilać, jak tylko potrafisz. Zapomnij o wszystkim, czego cię uczyliśmy. W tej chwili musisz zapomnieć o tym, co dobre, a co złe. Chodzi o twoje życie, Celestine.

Nigdy nie widziałam mamy w takim stanie, nie słyszałam, żeby

była aż tak zdenerwowana i trochę mnie to przeraża.

– Mamo, to przecież Bosco, on zrozu...

– Musisz mu powiedzieć, że się pomyliłaś – mówi natarczywie.

– Musisz mu powiedzieć, że wiesz, że popełniłaś błąd. Rozumiesz?

Zaszokowana, spoglądam raz na nią, raz na tatę.

Tata zakrywa twarz dłońmi.

– Tato?

– Cutter, powiedz jej – szybko mówi mama.

Tata powoli opuszcza dłonie, wygląda na smutnego, załamane.

Co ja zrobiłam? Wtulam się w ramiona mamy, która prowadzi mnie do krzesła przy stole.

– Jeśli powiem Bosco, że się pomyliłam, będzie to oznaczać, że mam skazę.

Tata w końcu się odzywa.

– Jeśli się dowie, że uważasz, iż postąpiłaś słusznie, to cię napiętnuje.

– Nie kłam w kwestii tego, co się stało, tylko wytłumacz mu, że popełniłaś błąd. Zaufaj mi – szepcze mama. Boi się, że ktoś ją podsłucha.

– Ale... ten staruszek...

– Zapomnij o nim – mówi stanowczo tak chłodnym tonem, tak pozbawionym miłości, którą wiem, że w sobie ma, że jej nie poznaję, a przez to nie poznaję świata. Moi rodzice to moje korzenie, moja ostoja, a teraz siedzą przede mną, jakby wyrwani z naturalnego środowiska, i mówią rzeczy, których nigdy się po nich nie spodziewałam. – Nie pozwolisz Naznaczonemu zrujnować ci życia.

Siedzimy w ciszy, podczas gdy mama próbuje się opanować, przywdziać z powrotem swoją maskę. Tata kojąco i rytmicznie gładzi ją po plecach, a ja siedzę zdumiona. Moje myśli przeskakują chaotycznie od jednej do drugiej, próbuję przyswoić to, co mi właśnie powiedziała.

Chcę, żebym skłamała. Chcę, żebym powiedziała, że to, co zrobiłam, było pomyłką. A przecież już samo kłamstwo jest oznaką skazy. Żeby odzyskać wolność, muszę zrobić coś, co jest moralnie skazane. To nie ma sensu. To nielogiczne.

Drzwi się otwierają i obojgu rodzicom włosy stają dęba.

Zauważam, że chłopak z celi obok też siada prosto. Zanim go zobaczę, widzę błysk czerwieni. Sędzia Crevan w swojej krwistoczerwonej, zamaszystej pelerynie wygląda jakby miał skrzydła. Widzę jego niebieskie błyszczące oczy i jasne włosy, które przypominają mi Arta, i czuję się spokojniejsza. Bosco uśmiecha się do mnie przez szybę, skóra wokół jego oczu jak zwykle pokrywa się zmarszczkami, a ja zaczynam się rozluźniać. Czuję się bezpieczna.

– Celestine – mówi Bosco, kiedy tylko Tina wpuszcza go do mojej celi. Błyska idealnie białymi zębami i otwiera ramiona, jakby rozpościerał skrzydła przed odlotem.

Rzucam się mu w ramiona i po chwili spowija mnie czerwona peleryna. Bosco mnie chroni. Jestem w jego kokonie. Wszystko będzie dobrze. On się mną zajmie. Nie pozwoli, żeby to zabrnęło dalej.

Przytula mnie, a w mój policzek wbija się szorstkie godło wyhaftowane na jego piersi. W ten sposób mam bezpośredni kontakt z mottem Trybunału: „Strażnicy perfekcyjności”.

Tata Arta całuje mnie w czubek głowy i puszcza.

– Dobrze, usiądźmy. Mamy sporo do omówienia, Celestine.

– Rzuca mi jedno ze swoich osławionych surowych spojrzeń. Znów wydaje mi się komiczny, jak z kreskówki. To nie jest mężczyzna, którego zwykłam widywać w jego domu.

Tłumię nerwowy uśmiech, który ciśnie mi się na usta. Gdybym się zaczęła śmiać, nie wyszłoby mi to na dobre.

– Najbliższe dni będą dla ciebie bardzo trudne, ale pomożemy ci przez nie przejść, okej?

Spogląda na tatę, który nagle wygląda na zupełnie wyczerpanego. Po raz pierwszy przychodzi mi na myśl, że pewnie musiał powiedzieć o wszystkim swoim współpracownikom. Jak może kierować stacją informacyjną, skoro jego własna córka stanowi informację dnia?

Kiwam głową.

– Musisz mnie posłuchać i zrobić, co powiem.

Gorączkowo kiwam głową.

– Zrobi – mówi mama stanowczo, z pokerową miną.

Bosco wpatruje się we mnie, czekając na odpowiedź.

– Zrobię.

– Dobrze. Do rzeczy. – Wyciąga tablet i przerzuca w nim dokumenty. – Te poranne wygłupy w autobusie. – Wzdycha i kręci głową. – Art o wszystkim mi opowiedział.

Nie jestem zaskoczona. Art nie miał w tej kwestii wyboru i jeszcze raz jest mi przykro, że to, co zrobiłam, odbiło się na tych, których kocham. Zakładam, że Art powiedział mu prawdę. Nigdy nie skłamałby ojcu, lecz czy zrobiłby to, żeby mnie chronić? Nagle nie mam pewności, jaką historię mam opowiedzieć, zwłaszcza po tym, jak rodzice kazali mi skłamać.

– Niestety, już są ludzie, którzy wykorzystują twoją relację z Artem, żeby podkopać prace Trybunału. Oczywiście to mniejszość. Możesz zostać wykorzystana jako pionek w ich grze, Celestine.

– Spogląda na moich rodziców, potem znów na mnie. – To po prostu fatalny moment, jeśli weźmie się pod uwagę wyrok w sprawie Jimmy’ego Childa z dzisiejszego poranka. Niektórzy uznali go za zbyt pobłażliwy. Ale ty zawsze należałaś do moich największych zwolenników, Celestine. Nic ci się nie stanie.

Uśmiecham się z ulgą.

– Mam tu swoje notatki, jednak chcę, żebyś sama powiedziała mi, co się stało rano.

Zastanawiam się, co mu wyznał Art. Po chwili decyduję, że to musiała być prawda. Mam nadzieję, że nie wpakuję go w kłopoty. Koniec końców w autobusie było ze trzydzieści innych osób, które złożyły dokładnie takie same zeznania. Muszę jedynie powiedzieć, że wiem, że źle postąpiłam. To nie powinno być trudne.

– Dwie panie siedziały na miejscach dla Naznaczonych. Jedna miała złamaną nogę, a na miejscach dla Naznaczonych jest więcej miejsca. Drugą była jej koleżanka. Do autobusu wsiadł starszy mężczyzna ze Skazą. Nie miał gdzie usiąść. Zaczął kaszleć. Ledwie się trzymał na nogach. Było z nim coraz gorzej. Poprosiłam kobietę, która miała zdrowe nogi...

– Margaret – podsuwa mi Bosco. Wpatruje się we mnie intensywnie, przemyka powieki, po czym przenosi wzrok z moich oczu na usta, analizuje każde moje słowo, każdy grymas, każdy najmniejszy ruch.

Koncentruję się na mojej historii.

– Zgadza się. Margaret. Zapytałam ją, czy mogłaby się przesiąść, żeby on mógł zająć przysługujące mu miejsce.

– Dlaczego?

– Ponieważ...

– Ponieważ przeszkadzał innym pasażerom w autobusie, oto dlaczego – przerywa. – Ponieważ jego naznaczony, obrzydliwy, zaraźliwy kaszel zarażał dobrych, uczciwych ludzi, a ty troszczyłaś się o nich i o siebie.

Milknę, rozdziawiam usta i nie wiem, co powiedzieć. Patrzę na mamę i tatę. Mama z opanowaniem kiwa głową, a tata wpatruje się w stół przekrwionymi oczami, nie dając niczego po sobie poznać. Nie wiem, co powiedzieć. Nie tego się spodziewałam.

– Mów dalej – zachęca mnie Bosco.

– Nie chciała się przesiąść, więc w końcu zaczęłam wołać lekarza...

– Żeby powstrzymać tę paskudną chorobę przed rozprzestrzenianiem się – wtrąca sędzia. – Myślałaś o pasażerach w autobusie. Chciałaś ich chronić przed niebezpieczeństwem, jakim grozi obcowanie z Naznaczonymi.

Milknę.

– Mów dalej.

– Więc zawołałam do kierowcy, żeby zatrzymał autobus.

– Dlaczego?

– Żeby pomóc...

– Żeby wysadzić Naznaczonego z autobusu! – warczy. – Żeby się go pozbyć. Żeby twoi towarzysze podróży mogli być czyści, żeby się nie zarazili. Tak naprawdę jesteś bohaterką. W to teraz wierzą ludzie zebrani na zewnątrz. Taką historię od dwóch godzin opowiada Pia. Ludzie zbierają się na dziedzińcu, żeby cię zobaczyć: bohaterkę, która sprzeciwiła się Naznaczonym.

Szczęka mi opada i zerkam na tatę. Nagle rozumiem, dlaczego wygląda na tak zdruzgotanego. Czy cały ranek spędził na wciskaniu ludziom tej bajki?

– Jest jednak pewien problem – mówi Bosco. – Pomogłaś mu

usiąść. Na miejscu dla czystych. I w tej kwestii moi koledzy i ja nie możemy się zgodzić, a spędziłem na rozmowach z nimi ostatnią godzinę. Nie wspomnieliśmy o tym Pii, jednak nie możemy zapomnieć o kilkunastu osobach, które jechały tamtym autobusem i mogą to potwierdzić. Pewnie mają nawet nagranie.

Jeszcze raz spogląda na tatę, który potakuje. Już otrzymał nagrany smartfonem filmik, przysłany bezpośrednio do stacji. Pewnie cały ranek walczył o to, żeby nikt go nie wyemitował. Wie, co się stanie, jeśli do tego dojdzie.

– Możesz być spokojna, twój tata zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby to nagranie nie trafiło na antenę. – To brzmi jak groźba.

– Powiedziałem ci, robię, co tylko mogę. – Tata zwraca się bezpośrednio do Bosco, stanowczo patrzy mu w oczy.

Sędzia nie odwraca wzroku, patrzą na siebie chłodno.

Mama odchrząkuje, żeby wyrwać ich z tego stanu.

– A więc – ciągnie ojciec Arta – po wysłuchaniu twoich zeznań powiedziałbym, że to oskarżenie to ogromna niesprawiedliwość, bo ktoś, kto tak naprawdę pomagał Trybunałowi, nie może zostać skazany na życie ze Skazą. Jednak moi koledzy sędziowie się ze mną nie zgadzają. Ani ze mną, ani ze sobą. Na przykład sędzia Jackson, który zwykle jest rozsądnym człowiekiem, uznał twoje działanie za moralnie złe i opowiada się za wypaleniem piętna. Sędzia Sanchez widzi twój czyn jak pomoc Naznaczonemu, co oznacza karę więzienia.

Mama wydaje z siebie jęk, a ja nieruchomieję. Tata niczego nie robi. Pewnie już o tym wiedział.

– Jak zapewne wiecie, minimalna kara więzienia za pomoc Naznaczonemu wynosi osiemnaście miesięcy, a biorąc pod uwagę, że czynu dopuszczono się publicznie, w środku transportu, na oczach trzydziestu osób, kara jest większa. Bardzo długo o tym rozmawialiśmy. – Wzdycha i słyszę znużenie w jego głosie, prawdziwe niezadowolenie z tego, co się dzieje. – Stało, że możliwa kara to trzy lata pozbawienia wolności. Za dobre sprawowanie Celestine wyjdzie po dwóch latach i dwóch miesiącach.

– Co?! – Czuję się tak, jakby naprawdę mnie tam nie było, rozmawiają o mnie, jakbym była niewidzialna.

– To naprawdę niekorzystna dla Celestine pora na takie...
potknięcie. – Bosco znów zwraca się tylko do mamy i taty. – Sępy chcą
uczynić z niej przykład. Pia za chwilę zmieni front. Cutter, ty i twoja
ekipa oczywiście przykładacie się do pracy i relacjonujecie sprawę jak
zawsze, ale przecież macie wielu wrogów. Musimy też pamiętać, że tak
naprawdę opinia publiczna może się zwrócić przeciwko Trybunałowi.
Nie możemy do tego dopuścić. Nie możemy. – Prostuje się i wypina
piersi. – Cutter, twoja ekipa będzie się musiała bardziej przyłożyć. Candy
wspomniała mi, że ostatnio w stacji miała miejsce pewna... nieścisłość
poglądów. Uważam, że dla dobra waszej córki dziennikarze nie mogą
sobie pozwalać na żadne odstępstwa od strategii i stylu stacji. Musicie
mówić jednym głosem...

Czy to była groźba? Czyżbym słyszała, jak Bosco straszy mojego
ojca? Odwracam głowę, żeby spojrzeć na tatę. Odnoszę wrażenie, że
toczy ze sobą wewnętrzną walkę, jakby miał pod skórą drugą wersję
siebie, która próbuje się wydostać na zewnątrz, lecz jest
powstrzymywana siłą. Tymczasem Bosco kontynuuje swój wykład:

– Pesymiści, którzy tylko patrzą wstecz i odwołują się do jakiegoś
mitycznego złotego wieku dziennikarstwa, się mylą. Złotą erę mamy tu
i teraz, w dodatku będzie ona trwać nieprzerwanie. Candy bardzo
słusznie dała Bobowi Tinderowi trochę wolnego ze względu na sprawy
osobiste. Musi odpocząć i złapać dystans, żeby być w pełnej gotowości,
pracować na najwyższych obrotach i odpierać ataki plotkarzy
i oportunistów. Cynicy zakładają, że Celestine wszystko ujdzie na sucho,
bo Trybunał bywa stronniczy. Jest dziewczyną syna sędziego, czyli
będzie jej przysługiwać szczególne traktowanie. Właśnie tak chciałbym
postąpić, Celestine – tym razem mówi do mnie i to ze smutkiem,
prawdziwym smutkiem. – Sprawiasz, że Art jest naprawdę szczęśliwy
i jesteś jedyną osobą, której się to udaje, odkąd pożegnaliśmy jego
matkę. Wiem, że on nie widzi świata poza tobą. Niestety, moi koledzy,
nawet moi ludzie widzą w tobie przede wszystkim problem. Jesteś
doskonałym przykładem dla tych, którzy wątpią, że system jest uczciwy.
Nawet na pozór idealna dziewczyna syna głównego sędziego może mieć
skazę na charakterze. Walczę na dwóch frontach, Celestine.

Głośno przełykam ślinę.

– I zgadzam się, że nikt nie może stać ponad Trybunałem. Nikt nie może uniknąć jego sprawiedliwości.

Myślę o definicji Trybunału: jego rola to nie wymierzanie sprawiedliwości, pełni on wyłącznie funkcje dochodzeniowe. Chcę powiedzieć to głośno, lecz wiem, że nie powinnam. Nie pora teraz na logikę, choć czy czarno-biały system jest słuszny?

– Dziecko, czy ty zdajesz sobie sprawę, w jakie się wpakowałaś kłopoty? – pyta Bosco.

– Dziecko – mówię nagle. – Nie możecie mnie wsadzić do więzienia. Osiemnaście lat skończę dopiero za sześć miesięcy.

– Celestine – mówi Bosco – osoba powyżej szesnastu lat może zostać Naznaczona i skazana na karę więzienia. Wtedy moment rozpoczęcia kary odkładamy do dnia osiągnięcia pełnoletności.

Kiedyś Bosco zaproponował, żebym swoje osiemnaste urodziny urządziła na jego jachcie. Dziś sugeruje, że moją pierwszą dorosłą noc mam spędzić w więzieniu. Nie zasługuję na to. Czy mam rację? Czy ktokolwiek zasługuje na życie z piętnem? Angelina na pewno nie.

Spoglądam na chłopaka w celi obok, który siedzi na swoim łóżku ze spuszczoną głową. Ciekawe, od jak dawna tu jest. Zastanawiam się, co zrobił. Bosco podąża za moim wzrokiem. Jak gdyby wyczuł nasze spojrzenia, chłopak podnosi głowę i patrzy wprost na niego zimnym, nieprzejednanym spojrzeniem. Jego oczy są pełne nienawiści. Sędzia odwzajemnia ten wzrok, jednak w jego spojrzeniu są takie obrzydzenie i pogarda, że aż się wzdrygam i niemal chcę za to przeprosić.

– Nie powinnaś przebywać w pobliżu takiej szumowiny – rzuca, a ja się cieszę, że chłopak tego nie słyszy.

– Co takiego zrobił?

– On? Jest skazony do szpiku kości – wyjaśnia z obrzydzeniem – choć jeszcze o tym nie wie. Nie muszę nawet znać szczegółów sprawy, żeby rozpoznać ten typ. Widzę to w jego postawie. Nie tak jak w twoim przypadku, Celestine. Ty jesteś czysta. Nie powinna cię czekać przyszłość pisana takim jak on.

– Co mam zrobić? – pytam trzęsącym się głosem.

– Powtórzysz wersję zdarzeń, którą tu omówiliśmy, a kiedy zapytają cię o pomoc starcowi, powiesz, że mu nie pomogłaś, że sam

tam usiadł.

Usta same mi się otwierają ze zdziwienia.

– Ale ten staruszek zostanie za to ukarany.

– Jest stary i bardzo schorowany. I tak pewnie umrze przed Dniem Ogłoszeń.

Staruszek sam nie usiadł. Robił, co mógł, żeby się utrzymać na nogach. To ja mu pomogłam.

– Nie mogę...

– Czego nie możesz? – Bosco patrzy na mnie.

– Nie mogę skłamać.

– Oczywiście, że nie możesz – odpowiada, zmieszany, po czym patrzy na mnie, jakby mnie nie poznawał. – Kłamstwo byłoby dowodem, że masz skazę – mówi, jakbym go uraziła. – To jedyny sposób, żebyś wyszła wolna, bez piętna na całe życie, żebyś nie została wykluczona. Tak, to jedyny sposób. Przecież to *twoja* wersja, to właśnie się zdarzyło. Wystarczy, że powtórzysz wszystko w sądzie. Powiesz jasno i wyraźnie, żeby wszyscy dobrze usłyszeli, że nasze społeczeństwo musi wyłuskiwać i wykluczać naznaczone gnidy spośród dobrych ludzi. Taka jest rola Trybunału, a ty, która w pełni popierasz Trybunał i wartości, które reprezentuje, działałaś wedle jego zasad. Nie pomogłaś Naznaczonemu. Pomogłaś jedynie Trybunałowi, a przez to – społeczeństwu. To właśnie powiesz. Rozumiemy się?

Jestem twarzą z propagandowego plakatu. Opozycja chce udowodnić, że Trybunał jest stronniczy, więc jego sędziowie wykorzystają mnie, żeby pokazać, że tak nie jest. Jestem idealną osobą, żeby udowodnić jego siłę. Trybunał chce, żebym karmiła ludzi strachem.

– Tak – odpowiadam niepewnie.



Moje przesłuchanie ma się odbyć po południu. Chłopak w celi obok, któremu nadałam ksywkę Żołnierz, dalej mnie ignoruje. Jestem przekonana, że widział, jak Bosco mnie przytula na pożegnanie, co tylko go utwierdziło w ocenie mojej osoby. Pia Wang, za zgodą Crevana, kolportuje w świat informację, że próbowałam się pozbyć Naznaczonego z autobusu, a nie mu pomóc. Żołnierz na pewno widział te doniesienia, bo Telewizja Sądu Naznaczonych to jedyna stacja, jaką możemy oglądać w małych telewizorach w naszych celach. Pewnie dlatego nie patrzy mi w oczy. Domyślam się, że on popiera Naznaczonych, a moje działania uważa za podłe. Gdyby tylko znał prawdę, wiedziałby, że ma w celi sprzymierzeńca. Wiem, że ta nieprawda ocali mi życie, jednak boli mnie, że on tak mnie postrzega. Czuję przez ścianę jego obrzydzenie i wcale go nie winię. Zastanawiam się jedynie, czy on sam skorzystałby z szansy wywinięcia się od odpowiedzialności jak ja.

Tata wraca do pracy, mama zostaje ze mną. Przyniosła ze sobą walizkę ubrań na proces. Wygląda na to, że wstąpiła po drodze do sklepu i wykupiła cały asortyment. Chłopak obserwuje nas z wyrazem sarkazmu na twarzy, podczas gdy mama wyklada ubrania na łóżku i wiesza je w celi, gdzie się tylko da. Żołnierz kręci głową i znów zaczyna chodzić po swojej celi. Troska mojej rodziny to kolejny powód do zakłopotania, bo jego nikt dotąd nie odwiedził. Ostatecznie staram się zapomnieć o jego obecności i skupić na własnym życiu.

– Dużo różowego – mówię, obrzucając wzrokiem rzeczy, które wybrała mama.

– Mamy blady róż, pastelowy róż, brudny róż, wrzosowy, kwitnącą wiśnię, lawendowy, cukierkowy, fuksję... – mama wymienia odcienie, wskazując rozłożone ciuchy. Od razu eliminuje te, które jej się nie podobają, i wrzuca je z powrotem do walizki. Fuksja, cukierkowy

i kwitnąca wiśnia znikają. Topy o głębokich dekoltach, które pobudzają wyobraźnię, też odpadają. Ostatecznie wybieramy blady róż: wąskie spodnie, których nogawki kończą się nad kostką, falbaniastą bluzkę zapinaną na guziczki w tak delikatnym odcieniu, że wydaje się niemal biała, oraz parę balerinek. Przejście po wybrukowanym dziedzińcu w szpilkach to murowana katastrofa – łatwo się potknąć, obcas może ugrzęznąć między kamieniami. Pewnie nie spodobałoby się to kamerom telewizyjnym ani rozhisteryzowanemu tłumowi, które będą mi się przyglądać. Balerinki mają różowo-beżowy wzór w panterkę.

– Są słodkie, ale mówią też „nie zadzieraj ze mną” – mówi mama.
– Pamiętaj, w tym świecie wizerunek jest najważniejszy.

Tina pojawia się z jakimś męskim manekinem, po czym wychodzi.

– Skarbie, to jest pan Berry – mówi mama. Będzie cię reprezentował. Poleciał go sędzia Crevan, mówi, że jest najlepszy. Reprezentował Jimmy’ego Childa.

Manekin nagle się porusza. Posyła mi szeroki uśmiech – tak fałszywy jak gładka skóra na jego twarzy. Od szyi w dół wygląda na sześćdziesiąt lat, od szyi w górę – na trzydzieści. Ubrany jest w elegancki garnitur, jakby właśnie zszedł z wyretuszowanych stron magazynu o modzie: wypolerowane buty, poszetka równiutko zatknięta w kieszonce marynarki, złote spinki do mankietów pasują do złotego krawata. Twarz ma pokrytą pudrem, a policzki podkreślone różem. Jest idealny, a mimo to mu nie ufam. Zerkam na Żołnierza, który wpatruje się podejrzliwie w mojego świeżo wyznaczonego pełnomocnika. Znowu zgadzam się z jego wrażeniem. Nasze oczy się spotykają, na co on kręci głową, jakbym była nikim, po czym idzie w kąt swojej celi, tak daleko ode mnie jak to tylko możliwe w tych warunkach.

– Celestine – mówi mama. Skinieniem wskazuje prawnika i zdaje sobie sprawę, że jeszcze się nie przywitałam.

– Przepraszam – pośpiesznie ruszam ku niemu, jakby ktoś mnie popchnął.

– Nie ma sprawy – cedzi przez wielkie białe zęby, pozbawiony empatii i jakiegokolwiek sentymentu. – Zabierajmy się do pracy. – Siada i z hukiem kładzie na stole aktówkę. Złote zatrzaski otwierają się automatycznie. – Dziś pierwszy raz staniesz przed Trybunałem, ale to

zwykła procedura. Nie będziesz składać zeznań, masz tylko zaprzeczyć, że masz moralną skazę. Wtedy sędziowie wyznaczą godzinę twojej jutrzejszej rozprawy i odeślą cię do domu.

Wzdycham z ulgą.

– Celestine – mówi, zauważając, jak się denerwuję. – Trzymaj się mnie, rób, co mówię, a włos nam z głowy nie spadnie. Robiłem to miliony razy.

Nie uchodzi mojej uwadze, że mówi o włosach nas obojga.

– Oczywiście, twoja sytuacja jest wyjątkowa. Zwykle pod moimi drzwiami nie stoją dziennikarze ze wszystkich gazet i stacji, włączając w to MTV. To się nie zdarzyło nawet przy Jimmym Childzie. Bardziej interesowali się jego żoną i bratową niż nim.

– MTV...?

– Jesteś ładną siedemnastolatką z dobrej dzielnicy, bez żadnych problemów i chodzisz z synem sędziego Crevana. Czego nie kochać w tej sprawie? Poza tym szukają materiału na nowe reality show i wygląda na to, że jesteś ich najnowszym celem. Reprezentujesz pokolenie, które będzie się fascynować każdym szczegółem, każdym aspektem tej sprawy. Pokolenie, które jest uległe, plastyczne, a tak się akurat składa, że ma też większy budżet na zakupy niż jakakolwiek inna grupa demograficzna. Buty, jakie włożysz dzisiaj, oni będą chcieli nosić jutro. Kolczyki, które przymierzysz jutro, wyprzedadzą się do końca tygodnia. Na perfumy, którymi się spryskasz, powstanie lista oczekujących. To będzie efekt Celestine North. Przemysł odzieżowy i handlowy będą cię ubóstwiać.

Mówi tak szybko, że ledwie jestem w stanie za nim nadażyć, i cały czas się uśmiecha, przez co trudno jest czytać z ruchu jego pełnych warg, które ledwie się poruszają.

– Media wykorzystają cię z własnych powodów, zapamiętaj to sobie. Jesteś chodzącą reklamą Trybunału, jesteś chodzącą reklamą Antytrybunału, jesteś chodzącą reklamą ubrań i błyszczyku do ust. To nad twoimi wyborami będą się zastanawiać. Czy twoja dieta zawiera węglowodany i ile brzusków dziennie robisz? Kto układa ci włosy? Ilu miałaś do tej pory chłopaków? Czy powiększyłaś sobie piersi? Czy powinnaś? Chirurdzy plastyczni ustawią się w kolejce, żeby

porozmawiać o każdej części twojego ciała, Celestine North. A mnie bardzo zależy na tym wszystkim, bo to właśnie wpłynie na odpowiedź na najważniejsze pytanie: czy masz moralną skazę?

Nie wiem, czy czeka na odpowiedź, czy nie. Mierzy mnie swoimi gadzimi oczami od stóp do głów, zerka spod liftingowanych powiek, więc nie odpowiadam. Nie dam mu satysfakcji. I znów zaczynam się zastanawiać, skąd we mnie ten upór.

– Wszyscy są w pełni gotowi wykorzystać cię do własnych celów, pamiętaj o tym.

Wszyscy?

– To jak pan mnie wykorzysta? – pytam.

– Celestine – wzdycha mama. – Przepraszam, panie Berry, ale Celestine ma skłonność, żeby wszystko traktować bardzo dosłownie.

– Nie ma w tym nic złego – odpowiada prawnik z szerokim uśmiechem, lecz jego oczy i głos mówią coś zupełnie odwrotnego. – Tak jak mówiłem, dziś będą tylko procedury. Zaprzeczysz zarzutom, po czym pójdziesz do domu i poczekaasz grzecznie na jutrzejszy proces. Nazajutrz wieczorem będzie już po wszystkim. Zastanów się nad świadkami, którzy mogliby złożyć zeznania na temat twojego charakteru. Rodzice, rodzeństwo, przyjaciele, którzy skoczyliby za tobą w ogień, i tym podobni.

– Mój chłopak Art. To mój najlepszy przyjaciel. On zezna na moją korzyść.

– Cukiereczku – mówi pan Berry, przeglądając dokumenty. – Nie zezna.

– Dlaczego nie? – pytam zaskoczona.

– Lepiej jeśli to ja będę zadawać pytania – mówi. – A skoro już pytasz, sędzia Crevan postanowił, że to nie wchodzi w grę.

Widzę, że ta decyzja jest dla niego niewygodna, i rozumiem dlaczego. Bosco nie mógł poprosić swojego syna, żeby skłamał przed Trybunałem, że nie pomogłam staruszkowi usiąść. Choć wydaje mi się to logiczne, czuję głębokie rozczarowanie, że Arta nie będzie przy moim boku. Potrzebuję go. Zastanawiam się, jak ciężko walczył, żeby dla mnie zeznawać, jeśli w ogóle walczył.

– Tak czy inaczej, to nie ma znaczenia. Nikt nie musi usłyszeć od

niego, jaka jesteś idealna. Każdy chłopak by tak powiedział, a jeśli nie, toby skłamał. Nie zostanie też wezwany w charakterze świadka, bo jest trzydzieści innych osób, które aż się rwą, żeby to zrobić. Zwłaszcza Margaret i Fiona, dwie starsze panie.

Po cichu gotuje się we mnie krew, potem zaczynam intensywnie myśleć.

– Moja siostra Juniper.

– Nie – wtrąca się mama. – Juniper nie będzie zeznawać

– oznajmia Berry’emu.

Patrzą na siebie przez chwilę, porozumiewają się bezgłośnie językiem, którego nie rozumiem.

– Dlaczego nie? – pytam.

– Porozmawiamy o tym później – odpowiada mama, uśmiechając się, lecz jej oczy ostrzegają mnie, żebym dała temu spokój.

Więc na Juniper też nie mogę liczyć. Popadam w paranoję, która podpowiada mi, że ona się mnie wstydzi, że obróciła się przeciwko mnie. Nie będzie dla mnie kłamać albo rodzice jej na to nie pozwolą. Nie chcą, żebym pociągnęła ją za sobą na dno. Po co tracić dwie córki, rozsądniej poświęcić tylko jedną. Jestem zaskoczona własną goryczą. Wcześniej nie chciałam, żeby wpakowała się w kłopoty, a teraz, gdy się zapadam coraz głębiej, czuję gniew na tych, którzy się wycofują ze sprawy.

– Zakładam, że masz jeszcze innych przyjaciół, nie tylko siostrę i chłopaka. Wystarczy tylko jedna osoba.

Art stał się całym moim życiem. Odkąd zmarła jego mama, mnóstwo czasu spędzaliśmy razem, tylko we dwoje. Oddzieliliśmy się od grupy szkolnych przyjaciół, którzy nas rozumieli, lecz czuli się też zdradzeni i porzuceni. Nawet Marlina, moja najbliższa przyjaciółka z dzieciństwa, ostatnio mogła się czuć nieco pominięta, ale na nią zawsze mogłam liczyć, ona mnie wesprze.

– Dziś wieczorem już cię tu nie będzie – mówi pan Berry.

– Nie zatrzymają mnie?

– Nie, nie. Robią to tylko w szczególnych wypadkach, gdy jest uzasadnione podejrzenie ucieczki, jak u tego młodego człowieka obok ciebie.

Wszyscy patrzymy na Żołnierza, mama aż się wzdryga. Chłopak wygląda na tak wściekłego, a jednocześnie zagubionego, że nie ma żadnych szans na wyjście.

– Kto go reprezentuje?

– Jego? – prychnął pan Berry. – Zdecydował, że sam się będzie reprezentować, i nie najlepiej mu idzie. Można by niemal pomyśleć, że chce być Naznaczony.

– Kto mógłby chcieć czegoś takiego? – pyta mama, odwracając głowę.

Myślę o Naznaczonych, których spotykam codziennie, o ludziach, którym nie mogę spojrzeć w oczy, ludziach, których omijam szerokim łukiem, żeby nawet się o nich nie otrzeć. Myślę o ich bliźnach, opaskach, ograniczonych możliwościach. Żyją w społeczeństwie, jednak wszystko jest poza ich zasięgiem. Widuję ich na nadzorowanych przystankach autobusowych, jak próbują dotrzeć do domu przed godziną policyjną – dwudziestą drugą zimą i dwudziestą trzecią latem. Żyjemy na tym samym świecie, ale nie w tym samym świecie. Czy chcę być taka jak oni...?

– Jak on się nazywa? – pytam.

– Nie mam pojęcia – odpowiada prawnik znudzonym tonem, chce zmienić temat.

Patrzę na Żołnierza, jak siedzi całkiem sam. Tymczasem ja mam stertę ciuchów, mamę, pełnomocnika, gościłam nawet głównego sędziego. Mam wiele. Chłopak musi mnie nienawidzić, ale... cóż, potrzebuję tego wszystkiego, żeby się stąd wydostać. Widzę światelko w tunelu. Mogłabym być w znacznie gorszej sytuacji. Mogłabym być na jego miejscu. Jedyne, co mnie od niego odróżnia, to kłamstwo. Muszę stać się nieidealna, żeby udowodnić, że jestem ideałem. Zrobię wszystko, co powie Berry.

Przed rozprawą Tina przynosi mi tacę z jedzeniem, lecz jestem zbyt zdenerwowana, żeby cokolwiek przełknąć. W celi obok Żołnierza pożera wszystko wielkimi kęsami, jakby nie jadł od tygodni.

– Jak on się nazywa? – pytam ją.

– On? – Tina rzuca mu to samo pogardliwe spojrzenie co sędzia czy prawnik, choć odkąd tu trafiłam, ani razu nie potraktowała mnie w ten sposób. – Carrick.

– Carrick – powtarzam na głos. W końcu ma jakieś imię.

Tina spogląda na mnie, podejrzliwie mrużąc oczy.

– Lepiej się trzymaj od niego z daleka.

Obie patrzymy w jego stronę, a po chwili czuję, że Tina znów przenosi wzrok na mnie.

Odchrząkuję i próbuję udawać, że Carrick niewiele mnie obchodzi.

– Co takiego zrobił?

Znowu na niego spogląda.

– Nie musiał nic robić. Tacy jak on to po prostu zgniłe jaja. – Zerka na moją tacę. – Nie jesz?

Kręcę głową. Wolę zjeść po powrocie do domu.

– Nic ci nie będzie, Celestine – mówi łagodnie Tina. – Mam córkę dokładnie w tym samym wieku co ty. Jest do ciebie podobna. Nie powinnaś tu być. Powinnaś być w domu, wieczorem położyć się spać we własnym łóżku, gdzie twoje miejsce.

Uśmiecham się do niej w podziękowaniu.

– Mam wezwanie na górę – rzuca i przewraca oczami. – Wcześniej nic takiego się nie zdarzało. Ciekawe, co nabroiłam. – Krzywi się, a po chwili, widząc moją reakcję, zaczyna się śmiać. – Wrócę, nie martw się. Świetnie sobie radzisz, dziewczyno. Za pół godziny musisz być gotowa przejść przez dziedziniec, więc jedz.

Nie jestem w stanie tknąć posiłku. Zauważam, że Carrick zjada wszystko do ostatniej okruszynki. Pojawia się nowy strażnik, Funar, otwiera celę Carricka i coś do niego mówi. Cokolwiek to jest, Żołnierz ochoczo się zrywa z miejsca i rusza do drzwi. Funar podchodzi do mojej celi.

– Chcesz zaczerpnąć świeżego powietrza?

Też się zrywam. Jasne, że tak. Strażnik otwiera moje drzwi i idę za Carrickiem, zdając sobie sprawę, że po raz pierwszy widzę z bliska, a nie przez szybę, jaki jest wysportowany i duży. Mięśnie jego pleców są rozległe, jego biceps i triceps permanentnie napięte. Myślę o Arcie i czuję się winna, że w ogóle zwracam uwagę na kogoś innego. Funar

próbuję otworzyć boczne drzwi, które prowadzą na zewnątrz, ale są zamknięte.

– Cholera, muszę wrócić po klucz – mówi. – Usiądźcie tu i nie ruszajcie się. Za chwilę wrócę.

Wskazuje nam ławkę pod ścianą i oboje robimy, co każe.

Nie stykamy się, a mimo to czuję ciepło jego ciała. Carrick jest jak grzejnik. Czy powinnam się do niego odezwać? Nie wiem nawet, co powiedzieć. On nie należy do takich, z którymi łatwo nawiązać kontakt. Zapytać go o jego rozprawę? W naszej sytuacji trudno rozmawiać o głupotach. Siedzę jak sparaliżowana, próbuję wymyślić, co powiedzieć. Może przynajmniej na niego spojrzę, gdy nie będzie patrzył w moją stronę.

Nagle wyczuwam, że Carrick chce nawiązać kontakt, a wtedy na korytarzu pojawia się sześć osób. Kobiety płaczą, kurczowo wczepione w swoich mężczyzn, którzy również mają zaczerwienione oczy. Przechodzą koło nas, jakby byli procesją żałobną, i znikają w pomieszczeniu, obok którego siedzimy. Kiedy drzwi się otwierają, zerkam do środka i widzę mały pokój z dwoma rzędami krzeseł. Stoją przed taflą szkła sięgającą od podłogi po sufit, za nią znajduje się kolejne pomieszczenie. Na środku drugiego pokoju stoi coś, co wygląda jak olbrzymi fotel dentystyczny, a za nim ściana metalowych drzwiczek. Widzę strażnika imieniem Bark, który otwiera jedno z nich, w środku płonie ogień. Gapię się w osłupieniu, próbując zrozumieć, czego jestem świadkiem.

Korytarzem zostaje przeprowadzony mężczyzna w eskorcie dwóch strażników. Nie patrzy na nas. Wygląda na przestraszonego, a właściwie przerażonego. Chyba jest po trzydziestce, ubrany w rodzaj szpitalnej koszuli, ale w krwistoczerwonym kolorze – kolorze ludzi ze skazą charakteru. Strażnicy wprowadzają go przez inne drzwi do pomieszczenia za szybą. To Izba Napiętnowań.

Oboje z Żołnierzem zerkamy do środka. Drzwi zatrząskują się nam przed nosem i podskakują, złężniona. Carrick opiera się o ścianę, krzyżuje ramiona i wbija wzrok w dal. Nic nie mówi, ale ja nie mogę się przestać wiercić; zastanawiam się, co się dzieje w tamtej sali.

Po chwili ciszę przerywa przerażający, mrozący krew w żyłach ryk

mężczyzny, gdy jego skóra zostaje przypalona gorącym żelazem z symbolem Naznaczonych.

Funar idzie korytarzem z zadowoloną miną.

– Znalazłem – mówi śpiewnie, brzęcząc kluczami. – Cały czas miałem je w kieszeni. – Szczerzy się i otwiera drzwi, za którymi wąskie schody prowadzą na zewnątrz.

Carrick wstaje i szybko wychodzi. Kiedy jest już na zewnątrz, odwraca się do mnie, żebym do niego dołączyła.

Wszystko wokół mnie zaczyna wirować. Ściany się zbiegają, podłoga faluje. Przed oczyma widzę czarne plamy. Robi mi się niedobrze. Carrick patrzy na mnie z zatroskaną miną.

Mdleję.

W końcu nie porozmawialiśmy.



8

Pół godziny później stoję na chwiejnych nogach przed ogromnymi, ozdobionymi misternymi żłobieniami podwójnymi drzwiami, które prowadzą na osławiony brukowany dziedziniec. Jak wspominałam, znam go z wiadomości: wiele razy widziałam, jak oskarżeni idą po nim z aresztu do Wieży Zegarowej, prezentując się mediom i tłumowi, który lubi dać upust swoim odczuciom. Towarzyszą mi rodzice po jednej stronie – mama trzyma mnie pod rękę, po drugiej zaś mam pana Berry’ego. Eskortują nas Tina i Bark.

Prawnik poprawia krawat.

– Jest prosto? – pyta Tinę.

Tina kiwa głową, po czym rzuca Barkowi spojrzenie, które nietrudno rozszyfrować.

Kiedy drzwi się otwierają, robię głęboki wdech. Witają mnie westchnienia, prychnięcia i gwizdy, na które nigdy nie byłabym się w stanie przygotować. Pierwsze, co widzę, to kapusta, która leci wprost w moją stronę i trafia mnie w pierś. Głowę wypełniają mi buczenie i złowrogie syki. Pan Berry zaczyna iść, ja za nim. Przez chwilę czuję wahanie mamy, jednak jest profesjonalistką – po chwili sunie krokiem modelki, więc ją naśladowuję: unoszę podbródek i idę, próbując unikać mąki, jajek i plwocin, które lecą w moim kierunku.

Pan Berry uśmiecha się cały czas, a jednocześnie wydaje mi polecenia: „Uśmiechaj się! Nie uśmiechaj się! Broda do góry, wyglądasz na winną – źle! Spokojnie! Odwróć głowę! Unik! Uwaga, leci psia kupa!”. Dołeczki w policzkach nie znikają mu ani na chwilę.

Jeszcze mocniej trzymam się mamy, przysuwam się do jej boku i zerkam na nią raz po raz. Ona wzięła tatę za rękę i idzie z uniesioną głową, twarz ma zupełnie spokojną, włosy upięte w skomplikowany kok. Staram się naśladować jej opanowanie, niewinność, dystans, perfekcję.

Osaczają mnie dziennikarze, flesze oślepiają, słyszę niektóre pytania, choć nie wszystkie.

- Czy masz moralną skazę, Celestine?
- Kto zaprojektował twój dzisiejszy strój?
- Czy uważasz, że Trybunał zagwarantuje ci uczciwy proces?
- Czy liczysz na ten sam wyrok co Jimmy Child?
- Jakiej muzyki słuchasz najczęściej?
- Czy to prawda, że zoperowałaś sobie nos?
- Co sądzisz o obecnej relacji między rządem i Trybunałem?

Myślę o wielu ludziach, którzy przez dziesięciolecia pokonywali tę drogę. W jedną stronę szli idealni, a wracali ze Skazą. Przemierzali dziedziniec, tonąc w wyzwiskach, po kocich łbach uprzedzeń. Myślę o Carricku, który pojawił się dziś przed południem z mąką na koszulce. Teraz wiem, skąd się wziął biały proszek. Staję przed tymi ludźmi jako odzwierciedlenie ich najgorszych koszmarów. Jestem kozłem ofiarnym, który odpowie za całe zło w ich życiu.

Aparaty kłębią się przede mną. Mam wrażenie, że dziedziniec ciągnie się w nieskończoność. Mikrofony, szyderstwa, wyzwiska, gwizdy. Czuję, że mięśnie mojej twarzy drżą, zastanawiam się, czy to widać. Szybko rozglądam się po tłumie. Widzę twarze normalnych, najzwyczajniejszych ludzi, ale pełne odrazy. Niektórzy chcą jedynie zobaczyć widowisko, inni pragną być jego częścią. Jakaś kobieta pozdrawia mnie skinieniem głowy. Gest jest pełen szacunku i jestem jej za niego wdzięczna.

W końcu wchodzimy do środka.

- Widzę, że trzeba przekonać ludzi do naszej wersji zdarzeń
- mówi pan Berry i otrzepuje garnitur. Jest lekko wstrząśnięty.

Trzech sędziów ubranych w krwistoczerwone szaty siedzi na końcu sali, na podeście. Większą część pomieszczenia zajmują rzędy krzeseł. Nie jest to typowa sala rozpraw, ponieważ znajduje się w sali balowej zamku. Wszystkie siedzenia są zajęte. Z tyłu też ciasno stoją ludzie. Początkowo zakładam, że to prasa, przyglądam się im uważniej i widzę, że wszyscy mają opaski – to Naznaczeni. Stoją po dwoje, oddzieleni od siebie reporterami lub gapiami, zgodnie z zasadami gromadzenia się.

Siadam obok pana Berry'ego przy stole ustawionym przed rzędami

krzesel.

Mama i tata siedzą zaraz za mną w pierwszym rzędzie. Nie widzę Juniper. Rozpaczliwie rozglądam się za Artem, w nadziei na odrobinę energii, którą da mi sam jego widok. Nigdzie go nie ma, a mnie pęka serce. Widzę za to mojego dziadka i prawie zaczynam płakać. Lekko uchyla kapelusz na powitanie.

Bosco każe mi wstać.

– Celestine North – odzywa się. – Stajesz przede mną oskarżona o bycie skażonym obywatelem tego społeczeństwa, z powodu popełnienia czynu wynikającego z błędnego osądu. Grozi ci wykluczenie ze społeczeństwa. Czy przyznajesz się do zarzutów?

– Nie przyznaję – odpowiadam głosem, który w wielkiej sali wydaje się bardzo wąły. Cieszę się, że już po wszystkim i że to jedyna rzecz, którą muszę dziś powiedzieć, bo obawiam się, że moje nogi, które trzęsą się jak u przerażonej sarny, nie utrzymają mojego ciężaru.

– Rozumiem. Przyjmujemy twoje oświadczenie. W trakcie procesu wysłuchamy zeznań świadków zdarzenia oraz osób poświadczających twój charakter. Na tej podstawie podejmiemy decyzję. Możesz opuścić sąd i udać się do domu. Jutrzejsza rozprawa rozpocznie się o...

– Chwileczkę, sędzio przewodniczący – przerywa mu sędzia Sanchez. – Ja oraz sędzia Jackson wnioskujemy, żeby panna North pozostała w areszcie aż do zakończenia procesu. – Bosco jest tym wyraźnie zaskoczony. – Uważamy, że ze względu na powiązania panny North oraz powszechne zainteresowanie sprawą jej powrót do domu może dać jej lub innym możliwość wykorzystania sytuacji na swoją korzyść.

– Pierwsze słyszę! – Bosco jest wściekły. – Jestem przeciw. Zatrzymujemy oskarżonych w areszcie, jeśli istnieje wobec nich uzasadnione podejrzenie ucieczki. To nie dotyczy panny North. Przy takim zainteresowaniu mediów jej ucieczka graniczyłaby z cudem.

– To prawda, sędzio przewodniczący, lecz właśnie ze względu na to zainteresowanie chcemy uniknąć przekształcenia procesu w cyrk, w jakiś spektakl!

– A jeśli oskarżona zostanie w domu i nie będzie z nikim rozmawiać?

– Tak samo było z Jimmym Childem i wiemy, że nasze zalecenia zostały naruszone.

Bosco jeży się na te słowa, jakby to jego oskarżano.

– Panna North to nie pan Child.

– Owszem, ale czegoś nas ta sytuacja nauczyła. Uważamy, że w najlepszym interesie Trybunału i oskarżonej jest nie pozwolić sprawie wymknąć się poza mury Zamku Highlandzkiego.

– Musimy przedyskutować to w mojej kancelarii. Nie można tak po prostu...

– Składam wniosek już teraz – mówi chłodno sędzia Sanchez.

– A ja go popieram – odzywa się sędzia Jackson.

– A ja jestem przeciw – mówi zdumiony Bosco. – To przecież tylko dziecko.

– Za pół roku skończy osiemnaście lat i jest przetrzymywana z dala od innych aresztowanych. Oprócz niej w celach przebywa tylko jedna osoba, osiemnastolatek, czyli są niemal rówieśnikami.

Bosco nie może wydusić słowa.

– Wniosek zostaje przyjęty. Celestine North pozostanie w areszcie na czas trwania procesu. – Sędzia Sanchez z zadowoloną z siebie miną uderza młotkiem sędziowskim.

W sali wybucha wrzawa.

Pan Berry wpatruje się w Bosco w zupełnym osłupieniu, podczas gdy reszta sali jest w ciągłym ruchu, wiruje.

– Jak to możliwe? – dopytuje mama mojego prawnika, który stoi nieruchomo, jakby jej nie słyszał. Mama łapie go za rękaw garnituru w różowe cieniutkie paseczki. – Jak mógł pan na to pozwolić?

– Tu się dzieje coś dziwnego – mamrocze Berry pod nosem, ledwie go słyszę. Patrzy na mnie i w jego masce widzę pęknięcie. W jego oczach dostrzegam litość, która – okazana przez niego – przeraża.

– Bardzo mi przykro, panno North. Wychodzi na to, że wrogowie sędziego Crevana również postanowili wykorzystać panią jako pionek w swojej grze.

Wiem, że nie jestem tu bezpieczna.

Wracam do aresztu. Po drodze przez dziedziniec znów jestem obrzucana Bóg wie czym. Carrick momentalnie zrywa się na nogi. Jest zaskoczony moim widokiem tak samo jak ja moim powrotem. Tina prowadzi mnie do celi, a ja jestem jak skamieniała. Pożegnałam się wcześniej z rodzicami.

Carrick przemierza ze mną drogę od drzwi od łóżka, całą szerokość celi. Po raz pierwszy, odkąd się tam znalazłam, żąda mojej uwagi. Choć pragnęłam tego od chwili, gdy go zobaczyłam, teraz nie mogę na niego spojrzeć. On chce wyjaśnić. Wszyscy sądzili, że pojedę do domu. Wszyscy sądzili, że się wywinę. Carrick uważał, że zna zasady, jednak zasady się zmieniły. Najbardziej ze wszystkich on powinien wiedzieć, co się dzieje. Jeśli ja jestem zgubiona, to on też.

Nie mam ochoty niczego mu wyjaśniać. Nie mam żadnego wyjaśnienia. Jestem kompletnie otepiała. Siadam na łóżku i wpatruję się w przestrzeń, lecz nadal czuję na sobie jego spojrzenie. Carrick staje przy szybie, przyciskając do niej dłoń, niemal rozkazując mi, żebym na niego spojrzała.

Chcę Artę. Potrzebuję Artę. Tylko on mógłby teraz sprawić, że uwierzyłabym, że wszystko będzie okej. Kładę się na łóżku i odwracam plecami do Carricka. Nie ruszam się przez całą noc, bo nie chcę, żeby ktokolwiek zobaczył moje łzy.



Noc jest pełna koszmarów. Śnią mi się krzyki udręczonego mężczyzny w Izbie Naznaczeń, krwawiące języki i okaleczeni Naznaczeni, którzy wyciągają po mnie ręce i próbują złapać przez barierki, gdy idę przez dziedziniec. Budzę się zmęczona i przestraszona, nie wiem właściwie, gdzie jestem.

To dzień, w którym będę składać zeznania.

Dzień, w którym wypowiem kłamstwo stworzone przez Bosco.

Dzień Ogłoszeń.

Budzę się o piątej rano. Leżę nieruchomo do piątej trzydzieści, po czym wstaję i zaczynam chodzić po celi jak zamknięte w klatce zwierzę, które czeka, aż zacznie się polowanie. Carrick budzi się o szóstej. Leży w łóżku, zaspany, obserwuje mnie spod kołdry. Po chwili siada prosto, opiera się plecami o ścianę, podciąga kolana do piersi i kładzie na nich głowę z miną, jakby przechodził przez to co ja już wiele razy. To jeszcze bardziej mnie denerwuje. Nie mam gdzie się przed nim schować, ubikacja jest za mała i jestem w stanie spędzić w niej tylko tyle czasu, ile naprawdę konieczne, i ani chwili dłużej. Jestem pewna, że nie bez powodu ma rozmiar mysiej dziury.

O ósmej do naszych cel przychodzą Tina i Funar, zostajemy zaprowadzeni pod prysznic. Spodziewam się, że jak przez większość wczorajszego dnia Carrick będzie mnie ignorował. Tymczasem on wita mnie lekkim skinieniem głowy, w oczach ma coś delikatnego. Może zyskałam w jego ocenie po tym, jak nie zostałam wypuszczona do domu?

Czułam, że on i ja jesteśmy po tej samej stronie barykady, odkąd zobaczyłam, jak prowadzą go do celi. Jemu potrzeba było osiemnastu dodatkowych godzin, żeby do tego dojść. Gdy budziłam się nocą, przestraszona i zdezorientowana, patrzyłam na Carricka w drugiej celi,

dzięki czemu od razu sobie przypominałam, gdzie jestem, i uspokajałam się. To on tak na mnie działał, nikt ani nic innego. Bezpiecznie jest mieć po swojej stronie kogoś jego postury, chociaż w naszej sytuacji to przecież nie ma znaczenia. Nasza więź wydaje się intensywna – a przecież ledwie się poznaliśmy, w dodatku nam obojgu ziemia się usuwa spod stóp. Czy Carrick jest jedyną osobą, która naprawdę jest ze mną i potrafi mnie zrozumieć? To, że jesteśmy w tym samym wieku, potęguje to przekonanie.

Uśmiecham się na dzień dobry, a on wyciąga rękę i przepuszcza mnie przed sobą. Funar pogwizduje cicho dziecinne fiu, fiu, Tina każe mu przestać. Uśmiecham się i szybko odwracam, żeby pochwycić reakcję Carricka. Dostrzegam nie uśmiech, raczej światełko w jego oczach. Chyba są zielone. Wymieniamy spojrzenia, dzielimy się radością z tego, że Funar został uciszony, po czym szybko się odwracam i idę za Tiną. Czuję się skrępowana tym, że on idzie za mną. Po cichu mam też nadzieję, że nie zostajemy zabrani na kolejną lekcję. Najwyraźniej nie, skoro Tina tu jest.

Zastanawiam się, czy powinnam jej powiedzieć, co się stało wczoraj na spacerunku, czy może lepiej to przełknąć, jak Carrick. Może odwaga ma swoje zasady? Jeśli tak, wezmę z niego przykład.

Jego prowadzą na lewo, ja idę na prawo. Po prysznicu ubieram się w czyste ubranie i zostaję odstawiona do celi. Carrick już jest w środku, siedzi przy stole z przysadzistym mężczyzną w sfatygowanym garniturze. Wciąż mokre włosy Carricka błyszczą, policzki są świeżo ogolone. Włożył też świeżą koszulkę w kolorze zgniłej zieleni. Jestem przekonana, że moja mama wybrałaby coś innego, jakiś cieplejszy kolor, żeby wydobyć barwę jego oczu, nieważne jaka ona jest, ale mnie podoba się ten styl. Jakby był żołnierzem, który nie liczy na łaskę, tylko pragnie konfrontacji. Obserwuję go, kiedy nie patrzy, chcę wiedzieć, jaki ma kolor oczu. Nie wiem, dlaczego mnie to dręczy. Może dlatego, że oczy Arta są takie przejrzyste niebieskie. Widzi się je, zanim dostrzeże się jego. To jedna z cech, którą najbardziej w nim kocham. Oczy Carricka wydają się czarne, choć przecież nie mogą takie być. Może jego źrenice są bez przerwy rozszerzone gniewem.

Tęgi mężczyzna w celi Carricka ma czerwoną twarz i jest

zdeenerwowany, z trudem oddycha. Przegląda dokumenty. Rozmawiają nerwowo, lecz nie słyszę, co mówią. Mężczyzna coś wyjaśnia, jest rozemocjonowany, na twarzy Carricka od dawna gości złość.

Otwierają się drzwi mojej celi. To Tina.

– Kto to? – pytam.

– Jego doradca prawny.

Zauważam, że strażniczka nigdy nie wymawia imienia Carricka.

– Myślałam, że sam siebie reprezentuje.

– Tak, ale mimo to potrzebuje pomocy. Przy papierkowej robocie i tym podobnych. Paddy to jego doradca. Też by ci takiego przysłano, gdybyś nie miała pana Berry'ego.

Patrzę na Paddy'ego, który wygląda, jakby zaraz miał paść na zawał, i po raz kolejny jestem wdzięczna rodzicom za Berry'ego, choć w normalnych okolicznościach nigdy bym mu nie zaufała. Moje życie jest w jego rękach.

– Ktoś przyszedł się z tobą zobaczyć. Czeka w stołówce.

Moje serce zaczyna bić mocniej. Art. Potrzebuję go. Chcę być znów na szczycie i opleść go nogami, poczuć bicie jego serca. Wiem, że kiedy tylko go zobaczę, uspokoję się i znów poczuję jak człowiek, a nie zwierzę w klatce.

Mijamy celę Carricka, a moją uwagę przykuwa jakiś ruch. Niczego nie słyszę przez dźwiękoszczelną szybę, jednak kątem oka rejestruję, jak ląduje na niej taca z zastawą. Resztki jedzenia, kubki i talerzyki walają się na podłodze celi. Za szkłem stoi wściekły Carrick, który mierzył tacą w moją głowę, a jego twarz wykrzywiała złość i agresja.

Jestem zdumiona. Byłam celem ataku, ale nie wiem, co zrobiłam.

Ku mojemu zaskoczeniu Tina zaczyna się śmiać.

– Czyli się dowiedział.

– Dowiedział? O czym?

– Bark! Funar! – woła. – Zgniłe jajo!

Funar pojawia się w drzwiach pokoju strażników i burczy coś pod nosem.

Tina odwraca się do mnie i ruszamy dalej.

– Dowiedział się, że jego proces zostaje wstrzymany do zakończenia twojego – odpowiada. – To mu się zdarza już czwarty raz.

Najpierw doktor Blake, potem Jimmy Child i Angelina Tinder.

– Jak długo już tu jest?

– Kilka tygodni.

– Tygodni? – odpowiadam zszokowana. – A ile jeszcze tu będzie?

– Aż z tobą skończą. Istnieje zagrożenie, że ucieknie, w dodatku jest, jak widać, agresywny. Nie możemy ryzykować i go wypuścić. Odkąd tu trafił, stwarza problemy. Gdyby się nie zachowywał jak dzikie zwierzę, to pewnie jego sprawa już dawno by się zakończyła. Chodźmy, w stołówce zjesz też śniadanie. – Bierze mnie za łokieć i prowadzi ze sobą.

Oglądam się na Carricka. Gapi się na mnie zimnymi, nieprzejechanymi oczami z uniesioną głową. Z gniewu pierś faluje mu w górę i w dół. Tina nazwała go zwierzęciem, lecz ja go wcale nie winię. Kilka tygodni w tym miejscu, a sama zaczęłabym się tak zachować. Próbuję posłać mu przepaszające spojrzenie, jednak nie do końca wiem, jak to zrobić. Potrzebuję słów, a przecież nigdy nie rozmawialiśmy nawet o pogodzie. Na wpół idę, na wpół biegnę za ciągnącą mnie Tiną. Carrick stoi nieruchomo, z rękami na biodrach. Odprowadza mnie wzrokiem aż do drzwi, pewnie życząc sobie, żebym nigdy nie wróciła. Może jego oczy naprawdę są czarne?

Kiedy docieramy do stołówki, serce wali mi jak młotem. Atmosfera jest tu zadziwiająco różna od tej w areszcie, jakby tu była cywilizacja. Nie mogę uwierzyć, że jeszcze wczoraj rano mogłam robić wszystko bez ograniczeń. Ludzie spotykają się tu na śniadanie przed pracą, widzę ciemne garnitury i nachylone do siebie głowy, tablety na wszystkich stolikach. Wolni ludzie, którzy chodzą tam, gdzie chcą. I Art. Gdzieś na tej sali znajduje się Art. Czuję motyle w brzuchu.

– Jest tam – mówi Tina i odchodzi. – Wrócę za pół godziny, żebyś się zdążyła przygotować na swój wielki dzień.

Na tę myśl ciężko przełykam ślinę.

Idę w kierunku, który wskazała mi Tina, szukając Arta, jego blond czupryny i turkusowych oczu. Niestety nigdzie nie mogę go znaleźć. Czuję na sobie wiele par oczu, gdy przechodzę między stolikami.

Docieram do końca stołówki, odwracam się, zdezorientowana, po czym ruszam z powrotem.

Czuję dłoń, gwałtowny uścisk, na nadgarstku.

– Au! – Wyrywam się. Za ramię trzyma mnie stara ręka pokryta wystającymi żyłami. – Dziadek!

– Siadaj – mówi ostro, choć jego twarz nie jest zła.

Szybko go obejmuję, po czym siadam na krześle naprzeciw niego. Cieszę się, że go widzę, choć jednocześnie jestem rozczarowana, że Art nie przyszedł się ze mną zobaczyć. Zastanawiam się, czy mu nie wolno, czy może sam nie chce.

Odkąd rok temu, w Dzień Ziemi, dziadek i mama się pokłócili, nie widuję go regularnie. Jest mile widziany w naszym domu, jednak tylko z zaproszeniem – a nie jest zapraszany zbyt często. Teraz wszystko się odbywa na warunkach mamy. Babcia zmarła osiem lat temu i od tamtego czasu dziadek mieszka sam, zajmuje się swoją farmą, na której hoduje krowy.

Rozgląda się wokół ukradkiem i przynajmniej raz to nie jego paranoja. Gapi się na nas większość ludzi w stołówce.

– Musimy mówić cicho. – Nachyla się w moją stronę. – Widziałaś to? – Sięga do kieszeni kurtki i wyciąga gazetę. Jest złożona wzdłuż i dziadek przesuwają ją do mnie po stole. – Tej na pewno nie będą ci chcieli pokazać.

Rozkładałam gazetę i oczy wychodzą mi z orbit. Moje zdjęcie zajmuje niemal całą pierwszą stronę, u góry wciśnięto dramatyczny nagłówek, reszta artykułu jest w środku. Szczeka mi opada. Nagłówek krzyczy: OBLICZE ZMIANY?

Dziadek podaje mi kolejną. To wariacja tego samego zdjęcia z nagłówkiem: NORTH. NOWY KIERUNEK W SPRAWIE NAZNACZONYCH.

– Co? Co to za gazety? – pytam, nie rozpoznając ich.

– Nie dostaniesz ich tutaj – szepcze dziadek. – Nie należą do Crevana. Wiesz, nie wszystkie dzienniki są jego własnością.

– Żadna gazeta nie jest jego własnością. Są jego siostry, Candy – poprawiam dziadka, omiatając gazetę wzrokiem.

– Tylko formalnie. Niedługo się dowiesz, że nikt nie ma z tymi

gazetami tyle wspólnego, co sędzia Crevan. W jego gazetach też o tobie piszą. Jednak ich perspektywa jest całkowicie inna. Piszą o dziewczynie, która próbuje chronić społeczeństwo przed Naznaczonymi. Dla jednych i drugich jesteś bohaterką, w zależności od tego, w jakim świetle przedstawiają sprawę.

Co tłumaczy, dlaczego ludzie na dziedzińcu byli tacy wściekli. Zdenerwowałam kogo tylko się dało. Nikt nie przychodzi na dziedziniec wspierać oskarżonego.

Mama poróżniła się z dziadkiem przez jego teorie spiskowe. Nie było nic złego w tym, żeby sobie w nie wierzył w odosobnieniu, na farmie, jednak kiedy zjawiał się z nimi u nas w domu, to wedle mamy sprowadzał na nas zagrożenie. Zwłaszcza jeśli siedział z Bosco przy tym samym stole. Wtedy uważałam, że jego komentarze są zabawne, teraz widzę, dlaczego mama się obawiała.

Widok siebie samej na pierwszej stronie gazety jest dla mnie przytłaczający, tak samo jak fakt, że prasa w najmniejszych szczegółach analizuje moje działania, a przecież ja sama zastanawiałam się nad tym o wiele mniej. Jeśli jestem tym, kim mówią, że jestem, to komu mam wierzyć? Nie sądzę, żeby ktokolwiek z autorów tych tekstów w ogóle mnie znał.

– Dziadku, rozmawiałeś z Juniper? Wiesz coś? Nic jej nie jest? Nie będzie dla mnie zeznawać. Nienawidzi mnie?

– Nie widziałem jej, ale jestem przekonany, że cię nie nienawidzi. Twoja matka nie wpuszcza mnie do domu. Próbowałem, ale ona uważa, że straciłem rozum. A ja mam dowód. – Zaczyna wyciągać kartki z każdej kieszeni kurtki, niektóre to wycinki, inne notatki. – Od pewnego czasu zbieram informacje. Wiele z nich ci pomoże. Twoja matka nie chce mnie słuchać, ty musisz. Powinnaś zapamiętać dwa nazwiska, Celestine: doktor Blake i Raphael Angelo. Zapomnij o Berrym. Tylko oni mogą ci pomóc podczas procesu. Musimy ich znaleźć...

– Dziadku, przestań, proszę – mówię łagodnie, zamykając jego dłonie w moich. – Wszystko będzie w porządku – tłumaczę spokojniej, niż naprawdę się czuję. Scena z Izby Napiętnowań naprawdę mną wczoraj wstrząsnęła i wiem, że ktoś próbował mnie w ten sposób ostrzec. Nie mam zamiaru tego zignorować. – Bosco mi pomaga

– ciągnę ledwie słyszalnym głosem. – Rozmawialiśmy. Muszę jedynie zrobić, co mówi pan Berry, i nic mi się nie stanie.

„Za to się stanie staruszkowi” – podpowiada mi sumienie. Staruszkowi, którego mam oskarżyć o złamanie zasad Naznaczonych. Człowiekowi, który przypominał mi mojego dziadka. Jak mogę mu to zrobić? Odsuwam od siebie tę myśl, muszę pamiętać o własnym przetrwaniu.

Dziadek prycha.

– Celestine, cokolwiek obiecał ci ten człowiek, nie liczyłbym, że dotrzyma słowa. Wczoraj wystawiło go do wiatru dwóch jego własnych sędziów. Sanchez i Jackson mają dość jego podwójnych standardów i to na pewno się powtórzy. Ostatnio nie są zadowoleni z jego decyzji. Uważają, że wykorzystuje swoje powiązania z mediami, żeby forsować własne zdanie, narzuca dziennikarzom swoje przekonania, nie wspominając już, co zrobił biednej żonie tego redaktora. Szykuje się wojna, Celestine. Nie daj się im wykorzystać.

– Dziadku, Bosco by mnie nie wykorzystał.

Dziadek mi się przygląda.

– Wierzysz w to, co zrobiłaś, perełko?

Spuszczam wzrok. Po chwili spoglądam na niego i potakuję.

– Czego się więc boisz?

– Bycia Naznaczoną. Bólu, blizn, ograniczeń, godziny policyjnej, życia wykluczonej, demaskatorów, że stracę przyjaciół, że ludzie będą się ze mnie śmiać, że będą się gapić. Wczoraj słyszałam krzyk mężczyzny, którego piętnowano, dziadku. Nigdy tego nie zapomnę – szepczę, a moje oczy wypełniają się łzami.

– Oj, perełko – mówi dziadek, ujmując moją dłoń. – Grają z tobą w kotka i myszkę, rozumiesz? Manipulują tobą. Tu chodzi o władzę. Kontrolę. Nad społeczeństwem, w którym żyjemy. – Znów zniechęca mnie do siebie teoriami spiskowymi. – Zamieszkać ze mną – proponuje nagle pełen entuzjazmu. – To proste życie, ale żyjesz tak, jak ci się podoba. Nikt nie patrzy ci przez ramię ani nie dyktuje, co masz robić i kogo kochać. Nie będę przestrzegał jakichś godzin policyjnych albo bzdurnej diety. Będiesz mogła chodzić spać, o której zechcesz, i wstawać wedle życzenia, jeść, co chcesz, spotykać się, z kim chcesz.

Tam nie jest jak tu, w mieście. Będiesz mieć tyle wolności, ile zapragniesz.

– Na wsi też są demaskatorzy, dziadku – przypominam, wdzięczna za propozycję, jednak nie biorę jej poważnie. – Nie mogę tego zrobić. Nie mogę zostać Naznaczoną. Tęskniłabym za Artem. Widziałeś go może? Czy pisali coś o nim w gazetach? Myślałam, że mnie odwiedzi albo wyśle mi jakąś wiadomość... – Obgryzam paznokiec.

Dziadek milknie i przygląda mi się zatroskanymi oczami.

– Ja tylko... – Wyciągam palec z ust. – Ja i on to nie jest jakaś dziecinada, to coś poważnego. Mamy plany. Rozmawialiśmy o tym, co chcemy razem robić, kiedy skończymy szkołę. Ja go naprawdę, no wiesz, kocham. – Nie powiedziałam jeszcze tego Artowi, ale zrobię to. Jak tylko stąd wyjdę, będzie to pierwsza rzecz, jaką mu wyznam. Teraz, z dala od niego, czuję to mocniej niż kiedykolwiek.

Dziadek wygląda na zasmuconego. Gdy sięga do kieszeni, spodziewam się kolejnej gazety, lecz zamiast niej po blacie stołu podsuwa mi kopertę.

– To od niego. Nie chciałem ci tego dawać. Ta rodzina, Celestine, to nie są ludzie twojego pokroju. – Kręci głową. – Jesteś od nich lepsza. Wiem, to twoje życie, ja nie mogę się zabawiać w Boga. Sama musisz podejmować decyzje. A przed tobą kilka sporych.

Kiwam głową, ledwie słysząc, co mówi. Tak jestem podekscytowana listem, że chcę, by dziadek już sobie poszedł, żebym mogła od razu rozerwać kopertę i zobaczyć słowa Arta.

– Zastanów się nad tym, perełko: myślisz, że twój przyjaciel Bosco pozwoli ci się zbliżyć do Arta, kiedy stąd wyjdiesz? Nawet jeśli nie będziesz mieć piętna? Na twoim miejscu zastanowiłbym się dwa razy. Przygotuj się na to, że nic nie będzie już takie samo jak kiedyś.

W najgłębszej, najczarniejszej otchłani rozpaczki zastanawiałam się nad tym, a ponieważ myśli o Arcie to jedyne, co dodaje mi sił, przestałam to sobie wyobrażać, bo to by mnie zupełnie załamało.

– Dziś w sądzie powiedz prawdę, Celestine. A jeśli ogłoszą, że masz moralną skazę, noś ją dumnie jak medal. Patrz, co piszą te gazety! Masz szansę coś zmienić. Sama to zresztą poczułaś. Postąpiłaś tak, jak dyktowało ci serce, zrobiłaś coś, co wydało ci się słuszne, i stałaś się

inspiracją dla innych.

– Inspiracją? Wczoraj jakaś kobieta mnie opluła, dziadku. Miła, przyzwoita kobieta.

– Cóż, w takim razie nie było w niej nic przyzwoitego. Ludzie, którzy pragną zmiany, błagają cię po prostu, żebyś była po ich stronie. Nie pozwól Trybunałowi wziąć cię pod swoje krwistoczerwone skrzydła i sprawić, że pomyślisz, że jesteś jedną z nich. Nie jesteś i nigdy nie będziesz. Wykorzystaj chwilę, Celestine, i powiedz, co myślisz. Bądź głosem tych, którzy go nie mają.

Jego oczy błyszczą z podekscytowania i są pełne łez, pełne nadziei, że jego wnuczka jest osobą, którą tak bardzo pragnie, by była.

– Dziadku, ja nie jestem taka jak ty i Juniper – mówię ze smutkiem. – Jestem inna. Przestrzegam zasad, lubię logikę, rozwiązuję problemy. Nie odzywam się nieproszona i nie wypowiadam się w sprawach, o których nic nie wiem. Nie chcę się wyróżniać. Chcę pasować. Nie chcę być twarzą z propagandowego plakatu.

– Tylko że już nią jesteś, Celestine. Coś się zmieniło i czy będziesz nosić piętno Naznaczonych, czy wyjdiesz stąd wolno, nie będziesz już tą samą dziewczyną co wczoraj. Wszyscy będą cię obserwować, a kogo wolałabyś, żeby widzieli? Ciebie czy dziewczynę, którą udajesz, że jesteś?



Cześć, Idealna!

Mam nadzieję, że jakoś sobie radzisz. Nie mieści mi się w głowie, że nie pozwolili Ci wyjść do domu, ale tata mówi, że robi w Twojej sprawie wszystko, co w jego mocy. Chciałbym być przy Tobie, tylko że mi nie wolno. Za dużo mediów i takie tam. Mam nadzieję, że rozumiesz. Za to cały czas oglądam Cię w telewizji. Laska z Ciebie. Mam nadzieję, że nosisz bransoletkę. Dla mnie zawsze będziesz idealna. Rób, co Ci każą mój tata i poczciwy Berry, a zanim się obejrzyysz, będziemy siedzieć na naszym szczycie.

Jestem po Twojej stronie.

Zawsze kochający

Art

PS Co powiedział słoń do nagiego mężczyzny?

„Jak możesz oddychać przez coś tak małego?”

Chichoczę i składam list w małą kostkę, po czym wkładam papier do kieszeni. Zawsze kochający! Zawsze KOCHAJĄCY! Okej, może to nie „kocham cię”, ale blisko, prawda? Czy to to samo?

Nie patrzę na Carricka w celi obok, który położył się plecami do wszystkich, bez wątpienia nienawidząc mnie jeszcze bardziej niż do tej pory. Słowa Arta dały mi nadzieję, że kiedy stąd wyjdę, jest jeszcze dla nas szansa. Trzymam się tej myśli. Czuję się podniesiona na duchu, jakbym złapała kontakt z prawdziwym światem, a cała sprawa ze skazą to nieporozumienie, które da się łatwo odkręcić. Nie zauważyłam nawet, jak do celi weszli pan Berry i mama. Podnoszę głowę i zdaję sobie sprawę, że już czas.

– Zieleń – mówi mama, pokazując mi najpiękniejszą sukienkę, jaką w życiu widziałam. – Kolor natury, młodości, wiosny i nadziei.

Nie cała sukienka jest zielona. Znajduje się na niej piękny malunek

z zielonymi liśćmi, kwiatami, egzotycznymi ptakami – obraz natury i wszystkiego, co w niej piękne.

– Od dziś to będzie także kolor zazdrości – stwierdza prawnik, poprawiając swój zielony jedwabny krawat. – Jej obiektem będziemy dla każdego Naznaczonego w kraju – mówi, szczerząc się. – Bo dzisiejszego dnia, droga Celestine, wyjdiesz stąd taka, jak tu przyszłaś.

Ta myśl nie wydaje mi się trafiona. Już nigdy nie będę taka sama. On się myli. Będę tak samo oceniana po wyjściu stąd jak wtedy, gdy tu trafiłam. Dziadek ma rację. To się już nigdy nie skończy.

Zanim opuszczę celę, spoglądam na Carricka, licząc na jakąkolwiek reakcję. Wstał z łóżka i mierzy wzrokiem moją sukienkę. Pod jego spojrzeniem czuję się naga, jednak nie mogę się ruszyć.

Pozdrawia mnie skinieniem. Może to pożegnanie, życzenie powodzenia, nie wiem. Najważniejsze, że już nie ma w nim złości. Odwzajemniam gest. Próbuję zapamiętać jego twarz, wierzę, że to ostatni raz, kiedy się widzimy, bo nasze losy zmierzają w przeciwnych kierunkach.

Tata, mama, pan Berry i ja, w obstawie Barka i Tiny, patrzymy na zamknięte podwójne drzwi. Coś musi się dziać, ponieważ nasi strażnicy mają ze sobą tarcze, co najwyraźniej niepokoi mojego pełnomocnika. Przynajmniej pięć razy poprawia sobie krawat. Wszyscy oprócz mnie o czymś wiedzą.

Drzwi się otwierają i wtedy widzę, że liczba ochroniarzy, gapiów i reporterów się podwoiła. Tłum powstrzymują barierki, strażnicy mają na sobie kaski, a w przywdzianych w rękawice dłoniach trzymają czerwone jak krew tarcze. Odgłosy tłumu są nie do zniesienia. Nie jestem w stanie wyłapać żadnych słów, lecz gdyby można było zamknąć wściekłość w słoiku, to przy każdym odkręceniu pokrywki słysząc by było właśnie coś takiego.

Przed nasze nogi leci puszka, z której wydobywa się dym. Ochrona zbiera się wokół niej, a my przyspieszamy kroku. Krok mamy nie wydaje się dziś ani odrobinę chwiejny, jej głowa i podbródek są w górze. I choć bardzo chcę spuścić wzrok, ona mnie zmusza, żebym patrzyła

przed siebie. Nie czuję się silna, ale przynajmniej chcę się wydawać tak silna jak ona. Dziś ludzie krzyczą do mnie, bo sami są Naznaczeni albo z nienawiści do Naznaczonych. Jedyne, co ich łączy, to to, że wszyscy mnie nie znoszą i chcą zobaczyć, jak otrzymuję Skazę i zostaję wykluczona ze społeczeństwa. Nikt nie przyszedł tu, żeby mnie wesprzeć, tylko by dać upust swojej frustracji, by wykorzystać mnie jako worek treningowy. Nie wiem, jak idzie kampania medialna Bosco i Pii, która miała przekonać ludzi, że jestem bohaterką Trybunału. Patrząc, co się tu dziś dzieje, czuję, że jest tylko jedna osoba, która na tym wszystkim traci: ja.

Mimo przerażenia rozglądam się. Może jeśli połączę dźwięki z twarzami, poczuje się lepiej. Widzę Pię Wang, która komentuje sytuację ze specjalnego podestu, w swoich idealnych ubraniach i z idealną fryzurą, na żywo jeszcze bardziej przypomina lalkę niż w telewizji. Kobieta w krótkiej fryzurze, ta sama co wczoraj, znów z szacunkiem pozdrawia mnie skinieniem głowy. Dziwnie wyglądający mężczyzna zza barierki posyła mi buziaka. Jest w nim coś znajomego, choć jestem przekonana, że nigdy wcześniej go nie widziałam. Ma brodę i długie włosy jak hipis, lecz wydaje się zbyt młody na tak bujny zarost. Na głowie ma dziecianną czapkę wełnianą w kształcie słonia. Wielkie, opadające uszy zwierzaka osłaniają jego własne, a trąba wystaje mu ponad głowę. To dziwne zobaczyć mężczyznę w jego wieku ubranego w coś takiego i o tej porze roku, kiedy wcale nie jest zimno. Przyglądam się mu, idąc, na co on mruga do mnie. Zdradzają go niebieskie oczy. Art. Wiedziałam, że znajdzie sposób, żeby się tu zjawić. Niemal staję jak wryta, ale mama i pan Berry mnie popychają i idę dalej. Myślę o żarcie ze słoniem z jego liściku i wiem, że Art próbuje mnie pocieszyć. W tej sytuacji nie wypada się głośno śmiać, jednak mój nastrój nieco się poprawia i z trudem powstrzymuję uśmiech.

– Celestine! Pia Wang, Info24! – woła. Kamera skierowana jest na mnie, świeci się czerwona lampka. – Jesteśmy na żywo. Możesz pomachać do ludzi, oglądających nas w domach?

– Uśmiechnij się – cedzi przez zęby mój prawnik, więc podnoszę głowę do kamery na podeście, delikatnie macham i lekko się uśmiecham. Nie chcę sprawiać wrażenia, że cała sytuacja sprawia mi przyjemność.

Dziś w moją stronę leci jeszcze więcej przedmiotów, choć dzięki tarczom udaje się powstrzymać większość z nich. Mimo to niektóre rozbryzgują się na mojej sukience. Tym razem mama jest przygotowana. Kiedy tylko jesteśmy w środku, wyciąga chusteczki i różne preparaty, i po chwili znów wyglądam nienagannie. Wszyscy jesteśmy odrobinę zszokowani. Pan Berry prosi o szklanekę wody i przez chwilę próbuje się uspokoić. Mama biegnie do łazienki.

Tata bierze mnie na stronę.

– Bez względu na to, co się stanie, kochanie, jestem z ciebie dumny. Zawsze będę cię kochał. Nieważne, co się wydarzy – mów mi pospiesznie.

– Dzięki, tato.

Rozgląda się wokoło, wygląda na spiętego, jakby nie był pewien, czy coś powiedzieć, czy nie.

– Tato, mów – zachęcam go cicho.

– Dotąd niewiele się odzywałem. Twoja matka powiedziała, że lepiej, bym tego nie robił, ale wydaje mi się, że powinienem. Chodzi o to... Nie chcę, żebyś myślała, że z powodu mojej pracy... nie możesz przemówić własnym głosem. Rozumiesz? – Patrzy na mnie z napięciem. Wygląda na wyczerpanego, jakby od kilku dni nie spał. Oczy ma przekrwione. – Bob postawił się w redakcji, chciał powiedzieć, co myśli, i... został za to ukarany. Angelinę napiętnowano z jego powodu. To było ostrzeżenie dla nas wszystkich. Będę cię bronił bez względu na to, co się stanie, Celestine. Nie mam z tym problemu. Zrobię każdy materiał, jak każe Crevan, bo taką mam pracę i próbuję chronić Summer, ciebie, Juniper i Ewana. Ty nie musisz być mną. Rób to, co uważasz za słuszne.

Teraz?! Mówi mi to teraz?! Angelinie Tinder wypalono piętno, bo Bob się wychylił? Tata wypowiada te słowa, a ja odnoszę wrażenie, że wiedziałam o tym już wcześniej, gdzieś głęboko wewnątrz mnie, tylko bałam się wyznać prawdę.

Z trudem przełykam ślinę i kiwam głową, niemal boję się intensywności spojrzenia taty. Czuję na ramieniu jego mocny uścisk. Wiem, że stara się pomóc, jednak nie mogę nic poradzić na to, że w głowie mam mętlik i nie wiem, jak postąpić. Plan był taki, żeby kłamać.

Żeby nie orzeczono, że mam moralną skazę, muszę zdradzić staruszkę z autobusu.

Jeśli pozostanę wierna sobie, zostanę Naznaczona.

Mam siedemnaście lat i choć kłóciłam się z rodzicami, że jestem bardziej dojrzała, niż sądzą, nie jestem gotowa na podjęcie tej decyzji. Wchodzę na salę rozpraw, a w głowie mam chaos. Plan działania wydaje mi się kompletnie rozmyty. Nie wiem już nawet, co jest słuszne. Ja, która zawsze jestem wszystkiego taka pewna. Czerń i biel nagle się stały nieostre, pojawiła się szarość.

Rozglądam się po sali, szukając Arta. Mimo że przed chwilą minęłam go na zewnątrz, nadal mam nadzieję, że wszedł tu przez główne wejście. Przeszukuję tyły sali i... nie wierzę własnym oczom. Stoi tam Carrick, zasłania sobie twarz czapką z daszkiem, ręce skrzyżował na piersi i głowę wciągnął w ramiona, jakby był ochroniarzem pilnującym drzwi. Nasze oczy się spotykają, lecz żadne nie daje nic po sobie poznać. Stoi w głębi, wśród Naznaczonych, jakby już był jednym z nich.

Jestem poruszona jego obecnością, oczy wypełniają mi się łzami. Zastanawiam się, czy sam chciał obejrzeć mój proces, czy został do tego zmuszony, tak jak zmusili nas do słuchania krzyków napiętnowanego mężczyzny. Jeśli jest tu pod przymusem, to miała to być dla niego lekcja. Albo naprawdę mnie wspiera, albo ktoś chce go przestraszyć.

Dziadek uśmiecha się do mnie szeroko i pokazuje uniesione kciuki. Obok niego siedzi Juniper, która wydaje się maleńka i przerażona. Lekko się do mnie uśmiecha. Cieszę się, że tu jest. Teraz przynajmniej nie myślę, że się mnie wstydzi.

Proces zaczyna się od przesłuchania pierwszego ze świadków zeznającego na temat mojego charakteru. Marlina, moja przyjaciółka od ósmego roku życia, jest zdenerwowana, lecz lojalna. Opowiada o tym, jak zawsze uważałam na swoje zachowanie, nawet przy tych, którym na tym nie zależało. Myślę, że dobrze mnie opisuje: Celestine jest rozsądna, lojalna, zabawna, zawsze trzymająca się zasad. Po raz pierwszy od dwóch dni rozpoznaję siebie w czyichś słowach i cieszy mnie, że wychodzę na nudną nastolatkę.

– Panno Ponta, czy uważa pani, że charakter Celestine North jest skażony? – pyta Bosco.

Marlena spogląda na mnie i widzę łzy w jej oczach. Odpowiada bez zawahania:

– Nie, ani trochę.

– Dziękuję, panno Ponta.

Potem mówi tata w imieniu swoim i mamy. Opowiada, jak zabrał mnie malutką ze sobą do stacji telewizyjnej i jak trzeba mnie było wyprowadzić z montażowni, bo chciałam, żeby wszystko było idealne i cały czas wytykałam niedoskonałości i luki w materiale.

– Celestine to dziecko myślące logicznie. Jest matematyczką. Ma najlepsze oceny w klasie, chce się dostać na wydział matematyczny tutejszej uczelni, a jej grudniowe wyniki wskazują, że jest na dobrej drodze, żeby zebrać dużo więcej punktów, niż jest wymagane. To nadzwyczaj błyskotliwa młoda kobieta i bycie jej ojcem to zaszczyt. Lubi, żeby wszystko było na swoim miejscu. Problemy rozwiązuje za pomocą twierdzeń. Postępuje wedle zasad.

Uśmiecham się do taty. To ja.

Sędzia Sanchez, której czerwoną szminkę można by dostrzec z księżycy, spogląda na tatę i szczerzy się z przebiegłą miną.

– Zgoda, panie North, chciałabym jednak zacytować Kaplansky’ego, który o matematykach powiedział: „Najciekawsze chwile nie zdarzają się wtedy, kiedy coś zostaje udowodnione, ale kiedy tworzy się nowa idea”. Matematyka bierze podstawowe pojęcia, jednak różnie je stosuje, co doprowadziło do powstania wielu abstrakcyjnych teorii. Czy właśnie taki rodzaj umysłu ma pana córka, panie North? Umysł, który tworzy nowe teorie, nowe idee, podejmuje ryzyko i idzie pod prąd?

Tata zastanawia się nad tym i spogląda na mnie.

– Nie. – Milknie na chwilę. – Nigdy bym nie powiedział, że Celestine to typ osoby, która idzie pod prąd. Nigdy.

Rozumiem, co mówi. Pójść pod prąd w jego mniemaniu oznacza postępowanie wbrew sobie. Nigdy nie byłam typem osoby, która robi rzeczy, w które nie wierzy. Tata każe mi słuchać głosu serca.

Sędzia Sanchez triumfuje, bo słyszy to samo co ja.

– A teraz, panie North? – pyta słodkim, melodyjnym tonem.
– Dzieci potrafią nas zaskakiwać. Zmieniają się, a my nawet tego nie

zauważamy.

Tata patrzy na mnie i przygląda mi się, jakby mnie widział pierwszy raz w życiu. Zastanawiam się, co jej odpowie.

Bosco przerywa, poirytowany.

– Sędzia Sanchez próbuje pana zapytać, czy uważa pan, że charakter córki jest skażony, panie North.

Tata zwraca się ku niemu.

– Nie. Moja córka absolutnie nie ma skażonego charakteru – stwierdza, starając się, żeby jego głos nie zdradzał złości.

Znam go, więc wiem, że najchętniej zerwałby się z miejsca i zaczął krzyczeć, a nawet przyłożył pierwszemu, który się napatoczy.

– Dziękuję, panie North.

Następnie swoje pięć minut mają dwie panie z autobusu, Margaret i Fiona. Gdy słyszę ich zeznania, mam wrażenie, że mówią o kimś innym. To nie ja, ja nie byłam aż taka odważna. Zachowują się jak para klaunów, mówią coś kompletnie nielogicznego. Ich opinie o zasadach obowiązujących Naznaczonych i nas nie mają już dla mnie sensu. Kobiety utwierdzają mnie jedynie w przekonaniu, że w autobusie postąpiłam słusznie, skoro beczynność uczyniłaby mnie jedną z nich.

Wystąpienie pana Berry’ego nie jest tak widowiskowe, jak się spodziewałam – nie wygląda jak w filmach. Mój prawnik nie wywołuje wrzawy, nie przechadza się po sali rozpraw tanecznym krokiem. Zachowuje się całkowicie normalnie, a dzięki temu staje się bardziej wiarygodny. Jest jednak bystry i błyskotliwy, odczytuje nastroje, niuansy i pauzy chyba nawet szybciej od Juniper. Kobiety są wobec niego podejrzliwe, a ja wreszcie czuję do niego sympatię. Jest czarujący i okazuje im zainteresowanie, nie nazywa ich – jeszcze – kłamczuchami. Dzieli się z nimi teorią, którą stworzył Bosco, jak to niby próbowałam ochronić ludzi w autobusie przed Naznaczonym.

Zastanawiają się nad tym.

Pierwsza kobieta, Margaret, stwierdza, że to możliwe. Druga, Fiona, która chodzi o kulach, niewzruszenie twierdzi, że było inaczej.

– Nie obchodzi mnie, jaką bajkę będzie próbowała wcisnąć obrona – mówi Fiona. – Nie dam sobie zrobić prania mózgu. Wiem, co widziałam. Ta dziewczyna – wskazuje mnie palcem – pomogła usiąść

Naznaczonemu.

Na jej deklarację na sali wybuchu wrzawa i kilku reporterów wybiega, żeby zdać ze wszystkiego relację.

Bosco oznajmia, że nagrania z kamer przemysłowych w autobusie okazały się nieprzydatne i nie mogą posłużyć za dowód. Nie mam wątpliwości, że to jego sprawka: próbuje odwrócić sytuację na moją korzyść i powstrzymać dopuszczenie dowodu, który może mnie zniszczyć. Zauważa, że musimy wziąć pod uwagę, iż opieramy się jedynie na opiniach świadków z autobusu, a nie jednoznacznych dowodach. Podejrzewam, że gdyby sędziowie zobaczyli wszystko na własne oczy, byłoby po mnie. A tak najpierw muszą się zastanowić, czy uwierzyć świadkowi czy nie. Jestem wdzięczna za ten fortel.

Nagle zdaję sobie sprawę, że wszyscy gadają o staruszkę, a ja nawet nie wiem, jak on się nazywa. Nie zapytałam o jego nazwisko, nigdy ono nie padło, jakby nie miało znaczenia. Cała sprawa kręci się wokół Naznaczonego, a mimo to pozostaje on zepchnięty na bok, jakby był nikim. Nie chcę pytać o to pana Berry'ego. Nie chcę, żeby wyglądało na to, że czuję litość dla tego człowieka, jakbym współczuła Naznaczonemu. Mój prawnik musi wierzyć we mnie najbardziej ze wszystkich.

Ogłaszają przerwę na lancy, a ja szybko się odwracam do dziadka, zanim mnie wyprowadzą.

– Możesz zdobyć jakieś informacje o tym staruszkę? – szepczę mu do ucha.

Dziadek potakuje ze skupioną miną i wiem, że mnie nie zawiedzie.

Siadam w poczekalni z rodzicami, Juniper i panem Berryem.

Próbuję skubać wędlinę i krakersy. Choć mdli mnie z głodu, nie potrafię przełknąć ani kęsa. Jestem wdzięczna za towarzystwo, jednak nic nie mówię. Czuję ulgę, że znajduję się z dala od zamieszania, z dala od niechcianej uwagi, że nie muszę się martwić, że każda część mnie jest analizowana: moje miny, moje reakcje, jak siedzę, jak chodzę. Mogę zwyczajnie być.

Tina wchodzi do pomieszczenia i przekazuje mi liścik. Wiem, że jest od dziadka. Nie zawiódł mnie. Ponieważ nie wiedzą od kogo to, mama i pan Berry mierzą kopertę wzrokiem, jakby to był granat. Ziemia

osuwam się spod nóg, gdy czytam wiadomość.



Oto czego się dowiedziałam z liściku dziadka: Clayton Byrne, staruszek z autobusu, był prezesem wydawnictwa Latarnia. Ukończył prestiżowy Uniwersytet Humming, gdzie studiował literaturę angielską. Poznał swoją żonę na studiach i ożenił się, kiedy mieli po dwadzieścia sześć lat. Mają czworo dzieci. Prezesem wydawnictwa został, gdy miał czterdzieści dwa lata i był wtedy chwalony za swoje umiejętności przywódcze, kreatywność i rozwój firmy. Wiele razy podejmował ryzyko, co opłacało się zawsze, oprócz jednego razu. Z powodu jednego błędu musiał zrezygnować z posady. Posłużył też za przykład dla wszystkich przyszłych prezesów – został postawiony przed Trybunałem i skazany. Za podejmowanie złych decyzji w biznesie otrzymał znamię na czole, a ponieważ okłamał w tej kwestii kolegów z pracy i starał się zatuszować całą sprawę, wypalono mu też znak na języku. Żona staruszka zmarła dwa lata temu, on choruje na odmę. Tamtego dnia wyszedł z domu bez butli tlenowej.

W końcu zostaję wezwana na mównicę. Sala aż pęka w szwach, tak jest przepełniona. Carrick wciąż stoi w głębi, ze skrzyżowanymi rękami, obok krótko ostrzyżonej kobiety, która pozdrowiła mnie na dziedzińcu. Juniper siedzi koło dziadka w pierwszym rzędzie. Dziadek mnie obserwuje. Skinęłam mu głową, żeby wiedział, że dostałam kopertę. Nadal nie widać Arta, choć myśl, że stoi w przebraniu na zewnątrz, jest lepsza niż nic.

– Znamy już historię tego, co się stało w autobusie – mówi sędzia Sanchez, rozpoczynając przesłuchanie. – W ciągu minionych dwóch dni słyszeliśmy ją na tej sali wielokrotnie i moglibyśmy równie dobrze spędzić kolejne dwa, słuchając zeznań reszty świadków zdarzenia. Pełnomocnik oskarżonej, pan Berry, przekazał nam łaskawie, że nie zgłasza pani, panno North, zastrzeżeń do złożonych zeznań. Sąd docenia

pani chęć współpracy i szacunek wobec czasu wszystkich zgromadzonych. W tej sytuacji rezygnujemy z pani osobistej relacji, pamiętając, że w pani wersji zdarzeń próbowała się pani pozbyć Naznaczonego w celu ochrony zdrowia pasażerów autobusu, podczas gdy świadkowie zeznali, że udzielała mu pani pomocy. I choć większość pasażerów widziała, jak pomaga mu pani usiąść, pani twierdzi, że usiadł sam. Czy to prawda?

Biorę głęboki wdech.

Nagle na sali rozpraw rozlega się wrzawa. Dwie kobiety i dwóch mężczyzn stoją i krzyczą, wygrażają pięściami i pokazują na mnie palcem. Nazywają mnie kłamczuchą. Krzyczą to raz po raz.

– Spokój! – Bosco uderza młotkiem sędziowskim w stół. – Spokój!

– Proszę się uciszyć, inaczej zostaniecie wyprowadzeni z sali rozpraw! – mówi podniesionym głosem sędzia Sanchez.

Troje z nich cichnie i siada w milczeniu, tylko jedna kobieta krzyczy dalej:

– Nasz ojciec nie zrobił nic złego! Nasz ojciec przestrzegał zasad! Kłamiesz, Celestine North. Powinno być ci wstyd! Powinnaś się sobą brzydzić!

Strażnicy ruszają w stronę kobiety. Łapią ją za ręce, a pozostała trójka się podrywa, żeby bronić siostry. Jestem o krok od tego, żeby krzyknąć do dzieci Clayтона Byrne’a „przepraszam”, lecz zasycha mi w ustach, a moje serce bije jak opętane.

– To, co robisz, jest nie w porządku! – krzyczy jeden z mężczyzn, wpatrując się we mnie.

– Proszę o spokój! – powtarza sędzia Sanchez. – Jeszcze jeden wybuch, a zostaniecie usunięci z sali rozpraw.

Cała czwórka milknie i siada. Jedna z córek zaczyna płakać, druga ją pociesza.

Serce zaczyna mi kołatać, mój oddech robi się nieregularny. Wszystkie spojrzenia skierowane są na mnie, wszyscy mnie oceniają i myślą o mnie źle. Robię to wszystko, żeby udowodnić, że nie jestem Naznaczona, ale przez to nie czuję się idealna. Mam poczucie, że robię coś złego.

– W porządku, Celestine? – Pan Berry obserwuje mnie uważnie.

Rozglądam się spanikowanym wzrokiem, w duchu zliczam ludzi, których zawodzę: dziadek, Juniper, nawet stojący z tyłu Carrick, który musiał się już zorientować, że kłamię, kobieta w krótkiej fryzurze, która z szacunkiem skinęła mi głową wczoraj i dziś. Art, który czeka na mnie gdzieś na zewnątrz i który kazał mi zrobić dokładnie to, co powie pan Berry. Ja sama. Ludzi, których zawiodę, jeśli przyznam, że mam moralną skazę, jest dużo mniej.

– Czy moja klientka może się napić wody? – pyta prawnik.

Patrzę, jak prawnik nalewa wodę do szklanki. W głowie mam gonitwę myśli. Upijam łyk, w moim umyśle nadal panuje chaos. Zauważam, że pan Berry próbuje zwrócić na siebie moją uwagę. Sędziowie mówią do mnie, a ja nie słuchałam.

– Przepraszam, można powtórzyć? – pytam, wracając myślami na salę.

– Pytałam, co cię opętało, Celestine? To proste pytanie, prawda?

– Sędzia Sanchez patrzy na mnie znad czerwonych oprawek okularów, które pasują do szminki.

To samo pytanie zadała mi mama i niezliczeni inni ludzie. Co mnie opętało? Dotąd nie umiałam na nie odpowiedzieć, dopiero teraz umiem. Nie jest to odpowiedź, którą przećwiczyłam z prawnikiem, ale to jedyne słowa, które chcą wypowiedzieć moje usta.

– Przypominał mi mojego dziadka – mówię, a na sali jakby nagle zabrakło powietrza.

Głucha cisza.

Widzę, jak z tyłu Carrick nastawia uszu i wstaje, zaintrygowany. Teraz widzę jego oczy, które chował pod czapkę. Patrzy wprost na mnie. A to w dziwny sposób sprawia, że czuję się silniejsza.

– Ten starszy Naznaczony nazywa się Clayton Byrne – mówię do mikrofonu. Jego nazwisko zostaje po raz pierwszy wypowiedziane w trakcie rozprawy. – Kiedy pan Clayton wszedł do autobusu, myślałam, że to mój dziadek. – Przypominam sobie, co czułam, gdy zaczął kaszleć. – Tak zanosił się kaszlem, że myślałam, że się udusi. Nie obchodziło mnie, czy jest Naznaczony, widziałam tylko człowieka, który przypomina mi dziadka i któremu nikt nie pomaga. Więc jeśli pyta pani, co mnie opętało, to było... współczucie. I logika. Nie usiadł sam,

pomogłam mu. Wtedy – teraz mówię do wszystkich, próbując sprawić, żeby dobrze zrozumieli – wydawało mi się to całkowicie słuszne.

Oburzenie. Obłąd. Hałas. Stuk, stuk! młotkiem.

Rozglądam się po sali i widzę panujący na niej chaos. Dziennikarze pchają się do drzwi, żeby zdać wyłączną relację, widzowie wstają i wygrażają mi z obrzydzeniem. Ci, którzy mnie wspierali, czują się zdradzeni. Widzę, jak moja przyjaciółka Marlena chowa twarz w dłoniach. Ręczyła za mnie, a ja nie potwierdziłam jej słów. Naznaczeni w tylnych rzędach wydają się głęboko poruszeni, niektórzy wściekli, że pozwoliłam sprawie zajść tak daleko, że pozwoliłam, by nazwisko Clayтона Byrne'a było szkalowane choć przez jeden dzień. Mama zalewa się łzami, pociesza ją tata, który oparł jej głowę na swojej piersi i kołysze się to w przód, to w tył, jednocześnie obejmując Juniper, która w szoku gapi się w podłogę.

Pośród tego szaleństwa dziadek wstaje i zaczyna klaskać z uśmiechem pełnym dumy. Koncentruję się na nim, na jego twarzy, podczas gdy mój umysł i serce próbują sobie poradzić z tym, co zrobiłam.

Sędziowie walą młotkami, usiłując się przebić ponad okrzyki zebranych i przekrzyczeć siebie nawzajem.

Naznaczeni są rozemocjonowani, jakby to było ich zwycięstwo. Obejmują się, jednak uważają, żeby nie tworzyć grup. Dzieci starszka przytulają się, płacząc i ciesząc się, że nazwisko ich ojca zostało oczyszczone. Nie spodziewam się wdzięczności za coś, co powinnam była powiedzieć na samym początku.

Widzę Carricka w tylnym rzędzie. Ściągnął czapkę i trzyma wysoko uniesioną głowę. Stoi nieruchomo pośród otaczającego nas chaosu i kiwa mi głową na znak wsparcia, patrząc mi prosto w oczy. Skupiam się na nim. Przynajmniej raz jego oczy mnie nie oceniają, nie wyśmiewają. Nie zdawałam sobie sprawy, że tak bardzo pragnęłam szacunku Carricka, teraz wiem, że tak było. Choć ani razu nie rozmawialiśmy, domyślałam się, co o mnie myśli. Co więcej, zgadzałam się z nim. Wiem, bo mimo obezwładniającego przerażenia tym, co nastąpi, jestem z siebie zadowolona.

Patrzę na Carricka, nawet gdy Tina i Bark przychodzą mnie

wyprowadzić. Patrzę na niego – nieruchomego, niezłomnego,
milczącego jak kamień.



Tina i Bark wyprowadzają mnie z sali sądowej i eskortują do poczekalni, w której niedawno jadłam lancz. W głowie nadal mi się kręci z powodu tego, co zaszło. Wszystko zdążyło się już rozmyć i chciałabym, żeby ktoś mi pomógł sobie przypomnieć, co się stało, złożyć wszystko w całość.

Co ja powiedziałam...?!

Zauważam, że uścisk Tiny na mojej ręce jest mocniejszy niż zwykle, a jej twarz bardziej spięta.

– Tino? – Słyszę przerażenie we własnym głosie. Moja wcześniejsza pewność i brawura, jeśli można to tak określić, zniknęły. Słyszałam kiedyś, że aby być odważnym, trzeba na każdym kroku czuć w sobie strach. Odwaga nie przejmuje kontroli, walczy i zмага się z każdym wypowiedzianym słowem i poczynionym krokiem. To walka o to, czy pozwolić jej nami zawładnąć. Potrzeba odwagi, żeby pokonać strach, ale przeraźliwy strach jest konieczny, żeby być odważnym.

Tina mnie ignoruje, celowo odwraca twarz, a i tak zauważam jej kwaśną minę.

– Masz w ogóle pojęcie, jaką idiotkę ze mnie zrobiłaś? Uwierzyłam ci. Opowiadałam wszystkim, jaka dobra z ciebie dziewczyna.

– Tino... przepraszam. Nie wiem, co...

– Już na to za późno – ucina cierpko.

Wprowadza mnie do celi. Rozglądam się niespokojnie, czuję nagłą obawę, bo nie wiem, co przyniesie każda nowa chwila. Bark zamyka drzwi. Rozlega się szcęk zamka i zostaję sama.

Słyszę na korytarzu kroki zmierzające w moją stronę. Głośne, pospieszne kroki. Tylko jedna osoba. Staję na środku pomieszczenia i próbuję się przygotować na to, co nastąpi.

Drzwi otwierają się gwałtownie i widzę błysk czerwonej peleryny.

To Bosco, ale nie taki, jakiego znam – tego Bosco widzę pierwszy raz w życiu. Jego twarz promieniuje furją, złość barwi mu policzki na czerwono, więc pasują do szaty.

– W co ty, do cholery, pogrywasz?! – Nikt jeszcze nie krzychał na mnie tak głośno i aż mnie zatyka z wrażenia.

Tina posyła mu, a potem mnie, nerwowe spojrzenie, po czym cicho zamyka drzwi i zostawia nas samych.

– Bosco, ja...

– Sędzio Crevanie! – wrzeszczy. – Tylko tak wolno ci się do mnie zwracać, zrozumiałaś?!

Kiwam głową zapamiętane.

Chyba zauważyła, jak bardzo się go boję, i nieco się uspokaja. Przystaje krzyczeć.

– Celestine, dałaś mi słowo. Rozmawialiśmy o tym, co zrobimy. Naraziłem dla ciebie swoją reputację i karierę, a ty mnie zdradziłaś.

– Nie, to znaczy, nie myślałam... – stękam, lecz on mi przerywa.

– Nie, oczywiście, że nie myślałaś! – Chodzi tam i z powrotem po pomieszczeniu, pogrążony we własnych myślach. Oddycham z ulgą, nie jest przyjemnie być celem jego gniewu. – Co za dzień! Moje media i obywatele, wszystko oszalało! Zdolna siedemnastolatka, obiekt zazdrości innych dziewczyn, który dziennikarze z ciebie zrobili, który ja z ciebie zrobiłem – przewraca oczami – przyznaje się do pomagania Naznaczonemu i jest z tego dumna! Czy ty sobie w ogóle zdajesz sprawę, do czego to może doprowadzić? Jakie to niebezpieczne? To może zainspirować całe pokolenie do niedoskonałości, zachłanności i błędów! – Przystaje chodzić i staje ze mną twarzą w twarz, a ja się zastanawiam, jak to możliwe, że kiedyś uważałam go za przystojnego. Teraz cały jego urok zniknął. – Nie zrozumiałaś jeszcze, że tu nie chodzi o ciebie, Celestine?! Tu chodzi o przyszłość naszego kraju, o zapewnienie mu wiarygodnych, perfekcyjnych, etycznie rozsądnych i moralnie kompetentnych przywódców, którzy są w stanie podejmować nieskażone decyzje i poprowadzić nas ku pomyślnej przyszłości. Nie zrozumiałaś tego? – Stoi tuż przede mną, żądając odpowiedzi i wyjaśnień, choć ja ledwie jestem w stanie zebrać myśli. – Nie pozwolę, żeby zrobili sobie z ciebie jakiś symbol! Chciałem cię mieć po naszej

stronie!

– Jestem po twojej stronie, Bos... sędzio Crevanie – poprawiam się szybko. – I uważam, że nie musisz się martwić tym, jaki mam wpływ na ludzi. Nie umiem motywować. Nie umiałabym nikomu przewodzić, nawet gdybym się starała. Po prostu chcę być normalna. Chcę się wpasować. Chcę być z moimi przyjaciółmi. Chcę wrócić do domu. Nie chcę, żeby ktokolwiek zrobił ze mnie kogoś, kim nie jestem – mówię ze łzami w oczach. – Wiesz, jak bardzo kocham Arta i jak kocham być członkiem waszej rodziny. Nigdy nie zrobiłabym celowo niczego, żeby was obu skrzywdzić. Przepraszam, że przyniosłam ci wstyd i że postawiłam cię w tej sytuacji, ale nie mogłam tego zrobić staruszkowi. Nie mogłam pozwolić na to, żeby został ukarany za coś, czego się nie dopuścił!

– Kto? – pyta zdezorientowany.

– Clayton Byrne. Ten Naznaczony.

– Nikt ci nie powiedział? On umarł, Celestine. Umarł w szpitalu wczoraj wieczorem. Mówiłem ci, że nie dożyje nawet Dnia Ogłoszeń.

– Aha. – Z drzeniem wydecham powietrze z płuc. Czy poświęciłam się na próżno?

– Jego rodzina nie powinna była być w sądzie. – Znow zaczyna chodzić. – Nie pozwoliłbym na to. To musiała być Sanchez. Ona toczy jakąś grę, w dodatku Jackson daje się jej zwieść. Już od jakiegoś czasu jest przeciw mnie, a teraz przestała się patyczkować. Pokazała pazury. – Na jego skroni pojawiają się kropelki potu. Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby się pocił, nawet w najgorętsze dni, gdy stał nad grillem. Staje ze mną twarzą w twarz i patrzy rozpaczliwym wzrokiem.

– Wycofasz zeznania, Celestine?

– Co?

– Nadal możemy wszystko odkręcić. Będzie ciężko, ale Pia da radę. Zrobimy reality show. Kamera będzie z tobą przez cały czas. Pokażemy całemu krajowi, jaka jesteś idealna. Całemu światu! Wiesz, że inne kraje rozważają przyjęcie naszego systemu? Obserwują nas już od jakiegoś czasu. Mógłbym być przewodniczącym Globalnego Trybunału. W tym miesiącu będę o tym mówić w Brukseli. Celestine, nie mogłaś sobie wybrać gorszego momentu. – Znow na mnie spogląda, dziki,

zdesperowany, spięty. Przerazający. Już nie dostrzegam w nim podobieństwa do Arta. Nie widzę w nim twarzy, którą kocham.

– Będiesz żałować za grzechy?

– Ja... ja... ja nie mogę. Nie mogę tam znów pójść i cofnąć tego, co powiedziałam. To byłoby kompletnie nielogiczne. Kto by mi zaufał?

– Już raz pozwoliłam mu przejąć inicjatywę. Myślałam, że wie wszystko, że jest idealny. Zaskakuje mnie to, kogo widzę w tej chwili: spanikowanego, przebiegłego mężczyznę, rozpaczliwie próbującego utrzymać władzę, która wyślizguje mu się z rąk. Chwyciłby się brzytwy, żeby się ratować. Chce się posłużyć mną, wypchnąć dziewczynę syna na pierwszą linię frontu. Dziadek miał rację. – Przykro mi, nie mogę – mówię delikatnie. – Czy mogłabym sama wytłumaczyć to Artowi?

Jego oblicze robi się marsowe i w duchu szykuję się na kolejny krzyk. Tymczasem Bosco mówi tak cicho, że muszę wyteńczyć słuch. To prawie syk.

– Jeśli wydaje ci się, że pozwolę synowi znów się do ciebie zbliżyć, to chyba masz urojenia. Bez względu na to, czy ten sąd uznałby cię za Naznaczoną czy nie, nie miałem najmniejszego zamiaru kiedykolwiek jeszcze cię do niego dopuścić. Tym bardziej nie ma o tym mowy teraz, gdy okazuje się, że jesteś moralnie skażona, Celestine North. Skażona do szpiku kości.

Odwraca się i wychodzi, jego czerwona peleryna trzepocze. Na koniec trzaska drzwiami.

Kilka minut później Tina otwiera drzwi wraz z nową strażniczką.

– Czekają na ciebie. – Być może myśli o swojej córce, bo łagodni ton. – To jest June.

– Bark nagrzewa już żeliwną pieczęć, Naznaczona – odzywa się June – żeby porządnie przypaliła twoją śliczną skórę.

Spoglądam na Tinę z przerażeniem. Zauważam, że ona patrzy na June ze złością. Zatrzymuję się, ze strachu nie mogę zrobić kroku, wtedy strażniczki ciągną mnie za sobą.

– No już, idziemy – szepcze Tina.

Nogi się pode mną uginają i osuwam się na ziemię, ale Tina mnie

podnosi.

– To jeszcze nie teraz, Celestine. Najpierw muszą ogłosić twoje skazy.

Daję się im ciągnąć przez labirynt korytarzy. Poruszam się bezwolnie jak szmaciana lalka. Stajemy przed jakimiś drzwiami. Może już przez nie przechodziłam, nie pamiętam, taka byłam oszołomiona.

Tina spogląda na mnie.

– Gotowa?

– Nie.

Drzwi się otwierają i sala eksploduje gwarem.

Pierwszą osobą, którą widzę, jest Carrick; stoi w tym samym miejscu z tyłu sali. Na mój widok się prostuje, odwraca w moją stronę i odprowadza mnie wzrokiem, gdy idę na swoje miejsce. Wyczuwam w nim coś nowego – szacunek, dziś w celi nie odwróci się do mnie plecami.

Na sali jest gorąco i duszno. Pocę się i wyczuwam ogólne podekscytowanie. Moje życie stało się rozrywką dla innych. Zauważam, że jakaś kobieta częstuje cukierkami siedzącego obok mężczyznę. Pakują sobie słodczyce do ust i mierzą mnie wzrokiem, jak gdybym ich nie widziała.

Siadam koło pana Berry'ego.

– Co się dzieje? – pytam, a on wzrusza ramionami, równie dezorientowany jak ja.

– Panno Celestine North, proszę wstać – mówi Crevan.

Wstaję, choć nogi się pode mną uginają. Mama kurczowo przytrzymuje się taty. Dziadek ściska w dłoniach swoją czapkę tak mocno, aż bieleją mu knykcie.

Stoję sama w sali rozpraw i zdaję sobie sprawę, że tak będzie już do końca życia: będę stać sama, na zawsze Naznaczona.

Słyszę, jak ktoś z impetem otwiera drzwi, i troje sędziów unosi głowy.

– Nie róbcie tego! – krzyczy jakiś głos.

To Art. Odwracam się. Przebranie zniknęło.

– Art – szepczę w obawie, że usłyszy drzenie w moim głosie.

– Spokój na sali! – żąda Crevan i wali młotkiem w stół.

– Nie róbcie tego! – Art krzyczy jeszcze raz.

– Wyprowadzić go – rozkazuje jego ojciec, spuszcza wzrok i nerwowo przegląda rozłożone przed sobą papiery.

Dwóch strażników łapie Arta za ręce. Art krzyczy i szarpie się, podczas gdy oni wyciągają go z sali. Spuszczam wzrok i odwracam głowę.

– Mam kontynuować? – sędzia Sanchez pyta Crevana swoim aksamitnym głosem, spokojnym i słodkim jak miód.

– Nie – warczy on w odpowiedzi. – Celestine North – mówi, spoglądając na mnie dzikimi, przekrwionymi oczami. To już nie przelewki. – Twoja tak zwana odwaga przed Trybunałem sugeruje, że pragniesz się stać wzorcem dla naszego społeczeństwa, a my nie lekceważymy takiego podejścia. Nie, jeśli przekaz może się okazać szkodliwy. Uważamy cię za zarazę, która może się roznieść na nasze porządne społeczeństwo. Możesz ją przekazać ludziom. Rzadko kiedy się zdarza, żeby jakikolwiek oskarżony otrzymał więcej niż jedno piętno. Społeczeństwo chce widzieć w tobie przykład, to go zobaczy! I twoje piętna też. Oceniliśmy wagę twoich działań, których dopuściłaś się publicznie, przy świadkach. Wzięliśmy pod uwagę, że to nie było odizolowane zdarzenie, które skrzywdziło tylko jednostki, że rozpowszechniło się na cały kraj. Oraz to, że skupiłaś na sobie uwagę świata. Panno North, Trybunał musi wysłać odpowiedni komunikat. Teraz ogłoszę twoją karę. – Milknie i na sali panuje taka cisza, że jestem niemal pewna, że wszyscy słyszą, jak mi bije serce. – Za kradzież wobec społeczeństwa otrzymasz piętno na prawej ręce. Kiedy będziesz się witać uściskiem dłoni z porządnymi ludźmi, będą wiedzieć o twojej kradzieży.

Ludzie zaczynają rozmawiać, myślą, że Crevan skończył, ale kiedy zaczyna mówić dalej, uciszają się.

– Za zły osąd znamię na prawej skroni.

Dwa piętna.

Crevan mówi dalej, jego głos dominuje nad zaskoczonymi jękami zebranych.

– Za znowę z Naznaczonymi, za to że szłaś z nimi ramię w ramię i wystąpiłaś ze społeczeństwa, podeszwa prawej stopy. Za każdym razem, gdy staniesz na ziemi, nawet ona będzie wiedzieć, że jesteś

Naznaczona i skażona do szpiku kości.

Bierze oddech, najwyraźniej nie skończył. W sali rozlegają się szmery protestu. To niesłychane, żeby ktoś dostał trzy i żeby to nie był koniec. Tylko jednej osobie w całej historii Trybunału wypalono trzy Skazy.

– Za nielojalność wobec Trybunału i całego społeczeństwa, znamię na piersi, żeby każdy, kto postanowi ci zaufać lub pokochać cię w przyszłości, widział na twoim sercu znak nieprzemijającej zdrady. I na koniec, za to, że skłamałaś przed obliczem Trybunału, naznaczymy twój język, żeby każdy, z kim będziesz rozmawiać lub kogo pocałujesz, wiedział, że twoje słowa to kłamstwo i nie można im nigdy zaufać.

W sali wybucha wrzawa. Ludzie wiwatują, świętują wymierzoną sprawiedliwość, to że znów wychwycono szumowinę w społeczeństwie. Inni gniewnie krzyczą na sędziów z powodu ogromnej niesprawiedliwości. Teraz, po wyroku, chyba przybyło niezadowolonych. Zyskałam zwolenników, choć niewielu, zresztą co mi po nich? Jest już za późno. Nadszedł Dzień Ogłoszeń, a ja zmierzyłam się z moim największym lękiem: Naznaczeniem. I to nie jednym piętnem, a pięcioma. To się nigdy wcześniej nie zdarzyło.

Nogi trzęsą mi się tak bardzo, że w końcu nie wytrzymują mojego ciężaru. Pan Berry próbuje mnie podtrzymać pod ramię, lecz robi to bez przekonania. Tina natychmiast rusza mi z pomocą. June chwyta mnie pod drugie ramię i głównymi drzwiami zostaję wyprowadzona przez rozhisteryzowany tłum na dziedziniec, gdzie ludzie krzyczą i na mnie pluja. Najróżniejsze rzeczy lecą w moją stronę, ochrona powstrzymuje falujący tłum. Jeszcze więcej niż poprzednio dziennikarzy wymierza kamery w moją twarz i ledwie jestem w stanie zarejestrować cokolwiek, poza błyskami fleszów. Dostrzegam wielki ekran na ścianie zamku i zdaję sobie sprawę, że mój proces transmitowano na żywo, a za barierkami wielu ludzi siedzi na składanych krzesłach.

Docieram do aresztu, cała w plwocinach i najróżniejszych rzeczach, którymi mnie obrzucono, w uszach dzwoni mi od wyzwick, przed oczami nadal mam błyski fleszów. Próbuję się przyzwyczaić do sztucznego światła, ale nie jest to łatwe. Potykam się i tracę równowagę, Tina mnie podtrzymuje. Mojej uwadze nie umykają zmartwione

spojrzenia obu strażniczek. Siadają obok mnie równie roztrzęsione jak ja. Też są brudne.

– Przepraszam – mówię do nich obu.

June wydaje się zaskoczona moimi przeprosinami.

– Jesteśmy do tego przyzwyczajone – mówi Tina, ścierając z siebie żółtko. – No, może nie w takim natężeniu. Wiesz, to, co się dzieje, to nowość dla nas wszystkich. Może napijemy się herbaty?

June potakuje i idzie do kuchni strażników.

– Przyniosę ci jakieś czyste ubranie – zapowiada Tina. – I mam ci dać do przeczytania folder.

Folder Naznaczonych, który ma mnie przygotować na moją nową przyszłość.

Strażniczka wychodzi, a wtedy Funar wprowadza Carricka, który idzie szybkim krokiem, jakby bardzo się spieszył. Spogląda na mnie z troską. Wielkimi czarnymi oczyma, zmartwionymi, zagubionymi. W swojej celi od razu podchodzi do dzielącej nas ściany. Przypominam sobie wczorajszy dzień, kiedy odwrócił się do mnie plecami. Tym razem przykłada do szyby lewą dłoń.

Nie wiem, co to ma znaczyć, dopiero kiedy jej nie cofa, nagle jego gest nabiera sensu. Podchodzę blisko, stoję przy szybie, podnoszę prawą dłoń i przykładam ją do chłodnego szkła. Przy jego ręce moja własna wygląda jak dłoń lalki i zdaję sobie sprawę, że szkło, które, jak sądziłam, nas dzieli, jest jedyną rzeczą, która nas łączy. Opieram czoło o szybę i jego dłoń wędruje do mojej twarzy, a gdy napotyka szkło, cofa się.

Nie wiem, ile czasu tak stoimy. W końcu zaczynam płakać.

Nie wypowiadamy ani słowa.



Czyste ubrania”, z którymi wraca Tina, to krwistoczerwony fartuch przypominający szpitalną koszulę wiązaną na plecach, z dekoltem w serek, żeby było miejsce na piętno na piersi. Strój do Izby Napiętnowań. Taki sam miał na sobie Naznaczony, którego krzyków podczas wypalania musieliśmy słuchać z Carrickiem.

Carrick zaciska zęby, widząc, jak biorę koszulę do ręki. Jego oczy są jak dwa głębokie zbiorniki. Już mnie nie ignoruje. Zarozumiałe miny i sarkastyczne spojrzenia zniknęły. Teraz mam jego pełną uwagę, pełen szacunek. Ledwie jestem w stanie umknąć jego spojrzeniom.

Gdy wracam przebrana, jego cela jest kompletnie zdemolowana, a Bark przyciska go do ziemi. Carrick nie najlepiej zniósł mój wyrok. Być może zaczął się bać o to, co z nim będzie. Nie pozwalają się nam pożegnać. Nie widzę nawet jego twarzy uwięzionej pod kolanem Barka, z policzkiem wbitym w podłogę, odwróconej ode mnie. Nasz kontakt na zawsze ma pozostać niemy, nie żebyśmy kiedykolwiek potrzebowali słów. Nie mam wątpliwości, że on też będzie musiał przywdziać czerwony fartuch i przebyć tę samą drogę co ja.

Zanim wejdę do Izby Napiętnowań, siadam w małej poczekalni z Tiną i June. Czytają ze mną ulotki informacyjne o tym, co się zaraz stanie, co zobaczę, co będę czuć (ponoć nic, bo mnie znieczulą) i jak potem opatrywać rany. Dają mi mnóstwo broszurek na temat opieki ambulatoryjnej, spotkań z psychologiem, telefonów pomocy kryzysowej, wszystkie z symbolem Naznaczonych. Podpisuję jakieś dokumenty – szybkie i krótkie zgody na przyjęcie odpowiedzialności za to, co się za chwilę stanie, oraz oświadczenie, że rozumiem, iż Trybunał nie ponosi odpowiedzialności za pomyłki i późniejsze powikłania. Wszystko opisane jest profesjonalnie medycznym językiem, jakbym szła na operację plastyczną nosa.

Kiedy wychodzę z poczekalni na długi, wąski korytarz prowadzący do Izby Napiętnowań, widzę Carricka, który wierci się na tej samej ławce, na której kiedyś siedzieliśmy razem. Pilnuje go Funar, który ma na ustach szyderczy uśmiech. Najwyraźniej cieszy go zarówno moja sytuacja, jak i fakt, że Carrick będzie słyszeć, jak krzyczę z bólu. Carrick będzie słyszeć, jak krzyczę. Moja rodzina będzie słyszeć, jak krzyczę. Będę krzyczeć.

Nie. Nie dam Trybunałowi tej satysfakcji. Wytrzymam. Nie będę krzyczeć.

Buntuję się, chyba pierwszy raz w życiu. Za pierwszym razem w autobusie kierowało mną współczucie, moje wyznanie w sądzie wynikało nie z odwagi, lecz z poczucia winy, teraz czuję wściekłość i opór.

Nasze oczy się spotykają. W spojrzeniu Carricka jest siła, która daje mi wsparcie.

– Znajdę cię – mówi nagle. Jego głos jest głęboki i silny, a ja jestem zaskoczona, że w ogóle przemówił.

Dziękuję mu skinieniem, bo boję się odezwać. Carrick wypełnia mnie mocą, której potrzebuję, żeby przejść przez próg Izby Napiętnowań, nie panikując. Nie chcę się przed nim załamać. Moi rodzice i dziadek siedzą już w galerii za szybą, jak gdyby byli w kinie i czekali, aż zacznie się seans. Ich twarze odzwierciedlają przerażenie, które sama czuję. Nie chcą być świadkami tego, co za chwilę zobaczą, jednak są tu, żebym nie musiała przechodzić przez to sama. Na ich widok myślę sobie, że chyba wolałabym być sama, co jest dla mnie obcym uczuciem, bo zwykle bardzo ich potrzebuję. Czy to pierwszy objaw wykluczenia ze społeczeństwa – poczuć odsunięcie od rodziny, niczym obcy, który musi radzić sobie sam...?

Jest tu też pan Berry, co wprawia mnie w zakłopotanie, choć pewnie jego obecność dyktują przepisy.

Za uchylonymi drzwiami, tuż za rogiem, stoi Carrick. On daje mi siłę.

Tina sadza mnie na fotelu. Z bliska jeszcze bardziej przypomina fotel dentystyczny, różnica jest tylko taka, że u dentysty nikt nie przypina pacjenta. Moje kostki, nadgarstki, głowa i talia zostają

unieruchomione, żebym nie mogła się rzucać czy kopać podczas wypalania znaków. Symbole na ciele muszą być idealne. Nie umyka mi tkwiąca w tym ironia. Tina łagodnie zapina mi pasy. Zauważam nawet, że June porzuciła swój sarkazm. Teraz nie pora na kąśliwości. Dostaję to, na co zasłużyłam, karę boleśniejszą niż wszelkie docinki. Bark zajmuje się przygotowaniem sprzętu.

Fotel automatycznie się odchyła i rozkłada. Mrużę oczy przed światłem lamp sufitowych. W ich blasku moja skóra szybko się rozgrzewa. Leżę w świetle jupiterów, wystawiona na widok ludzkich oczu. To ten moment.

– Lepiej zamknij oczy – szepcze mi Tina do ucha, zapinając mi pas na czole. Teraz ledwo mogę odwrócić oczy, nie mogę się ruszyć.

Najpierw zostaje znieczulona moja prawa ręka. Momentalnie drętwieje. Bark podnosi rozgrzany żelazny pręt, na którego końcu widnieje pieczęć w kształcie litery © wpisanej w okrąg. Moja ręka leży przy ciele, na siłę rozprostowują mi zaciśnięte palce. Sam akt jest prosty i szybki. Żadnego współczesnego sprzętu, tylko żeliwny pręt i odliczanie przez Barka do trzech.

– Trzy, dwa, jeden...

Skaza.

Podskakuję ze strachu, lecz nie czuję bólu. Co najwyżej dotknięcie żelaza. I zapach przypalonego ciała, od którego robi mi się niedobrze.

Nie krzyczę. Nie będę krzyczeć.

– Jeśli masz mdłości, to mamy wiadro – podpowiada Tina, jakby była pielęgniarzką.

Kręcę głową. Słyszę, jak w środku kwilę, wyobrażam sobie oparzenie na dłoni. Otwartą ranę na mojej gładkiej skórze. Jeszcze cztery razy. Najbardziej obawiam się języka. Wiem, że zostawią go na koniec, powiedzieli mi to wcześniej. Pewnie jest najgorszy.

Dostaję zastrzyk znieczulający w spód prawej stopy i momentalnie tracę czucie. Bark podchodzi do mnie. Spogląda na moją kostkę i marszczy brwi, gdy zauważa łańcuszek.

– Skąd to masz? – pyta.

– Nie twoja sprawa, Bark! – warczy na niego Tina. – To ja pozwoliłam jej go zatrzymać. Do roboty.

– Ale... Chodzi o to, że to ja go zrobiłem... Dla pewnego chłopaka. Miał go dać swojej dziewczynie. Powiedział, że jest idealna...
– Mierzy mnie wzrokiem i składa wszystko w całość.

Przypominam sobie, jak Art, dając mi łańcuszek, powiedział, że zrobił go dla niego ktoś z Zamku Highlandzkiego. Zatem to Bark wykonał dla mnie znak doskonałości, a teraz wypala mi Skazy.

Wymieniamy długie spojrzenia.

– Bark – upomina go June stanowczo.

Gdy patrzyliśmy sobie w oczy, Bark był przez chwilę człowiekiem, teraz się z tego otrząsa.

– Uwaga – mówi Tina łagodnie, trzymając dłoń na moim ramieniu w geście wsparcia.

– Trzy, dwa, jeden...

Skaza.

Widzę, jak mama płacze, jak tonie w stercie chusteczek. Jej opanowanie zostało całkowicie zdruzgotane, zmiażdżone, rozbite na kawałki. Tata nie może usiedzieć i chodzi po galerii jak lew w klatce. Rudowłosy strażnik obserwuje go bacznie, gotów natychmiast zareagować, gdyby tata się z czymś wyrwał. Nie słyszę, ale oni słyszą mnie. Element zastraszania świadków: niech słyszą krzyki. Popełnij błąd, a skończysz jak Naznaczony.

Dotąd nie wydałam z siebie dźwięku i nie mam zamiaru tego robić.

W polu widzenia pojawia się dłoń Barka, który wstrzykuje mi środek znieczulający w pierś. Po raz kolejny drętwieję. Znów zbliża się do mnie metalowy pręt. Czuję żar. Czuję znajomy uścisk Tiny i zdaję sobie sprawę, że nie ma nic wspólnego ze wsparciem, to jedynie procedura. Przygotowuje mnie. Jednak na tym etapie jedyne, na co jestem gotowa, to zemdleć. Smród jest nie do zniesienia. Odór mojej własnej spalonej skóry.

Czuję podmuch powietrza. June otworzyła chyba okno, pewnie żeby się pozbyć zapachu spalenizny. Dla strażników to też jest coś nowego, widzę to po ich niespokojnych spojrzeniach. Zwykle skazany otrzymuje jedno piętno, rzadko dwa. Tylko raz ktoś otrzymał trzy Skazy, lecz nigdy, przenigdy nie wypalono pięciu. Będę jedyną osobą na świecie z pięcioma piętnami. Kręci mi się w głowie, jakbym była na

karuzeli, a przecież leżę nieruchomo. Mocno zaciskam powieki.

– Trzy, dwa, jeden...

Skaza.

Nie mogę oddychać. Nie czuję fizycznego bólu piersi, za to psychicznie wyję, tak cierpię. Nacisk na moją pierś jest ogromny, chcę się wyrwać z pęt. Walczę z nimi, wciąż nie wydając z siebie dźwięku. Nie zgadzam się! Podłoga się kołysze, faluje. Zaraz walnie mnie w twarz.

– Celestine? Celestine, nic ci nie jest? – słyszę Tinę, lecz nie widzę ostro jej twarzy, cały czas się rusza. Mówi coś o wiadrze.

Nie potrafię się skupić. Myślę o języku. Przypominam sobie język Clayтона Byrne'a, gdy kaszlał mi w twarz. Nie chcę, żeby wypalali mi Skazę na języku.

Tina każe mi brać głębokie wdechy.

– Ona tego nie zniesie – zaniepokojona, mówi zmartwionym tonem do Barka. Ku mojemu zaskoczeniu on też przygląda mi się z niepewną miną. – Musimy kogoś powiadomić. Może zrobić przerwę? Dokończyć jutro?

– Słuchajcie, wiem, że to trudne, ale musimy kończyć natychmiast – mówi June stanowczo. – Im dłużej będziemy dyskutować, tym będzie jej trudniej. Nie przedłużajmy, dla jej dobra. Rodzina patrzy – dodaje szeptem. – Ze względu na wszystkich skończmy z tym tu i teraz.

Zastrzyk w skroń. Tym razem szybszy.

Dłoń na ramieniu. Już do końca życia ten rodzaj uścisku będzie mi się kojarzył z tą chwilą.

– Trzy, dwa, jeden...

Skaza.

Szarpią mną torsje. Czuję palone ciało. Moje ciało.

Bark coś mamrocze.

– Słodki Jezu – mówi June, nagle zmieniając zdanie – powinniśmy zacząć opatrywać jej rany. To trwa zbyt długo.

– Świetnie sobie radzisz, Celestine. – Tina szepcze mi do ucha.

– Prawdziwa mała bohaterka. Już prawie koniec, wiesz? Trzymaj się.

Na wpół się śmieję, na wpół płaczę.

Podnoszę wzrok i widzę, jak rodzice i dziadek stoją tuż przy

szybie. Zrozpaczone, wściekłe twarze. Pan Berry nie jest zadowolony. Chodzi tam i z powrotem. Rozmawia przez telefon. Pewnie słyszał wątpliwości strażników i próbuje coś z tym zrobić. Dziadek kłóci się z ochroną. Nawet z mojego miejsca czuję napięcie panujące w tamtym pomieszczeniu. Biorę głębokie wdechy, nie będę krzyczeć.

– Proszę. – Widzę Barka z butelką wody i słomką. To podstęp, to na pewno podstęp. Tina wkłada mi słomkę do ust. Piję i myślę o Skazie na języku. Przyszła na nią kolej. Znowu wymiotuję. Nie jestem w stanie zatrzymać w sobie wody.

W galerii panuje kompletny chaos. Czuję ich energię, ich wściekłe ruchy. Zerkam to w prawo, to w lewo. Próbuję się skupić, ale nie mogę. Wiem, dlaczego tu jestem, a po chwili już nie wiem. Rozumiem, a po chwili nie rozumiem. Myślę, że to sprawiedliwe, i nie. Żałuję tego, co zrobiłam, a potem cieszę się, że to zrobiłam. Chcę krzyczeć i nie chcę.

Nagle moja rodzina rozprasza się jak stado ptaków, w które ktoś rzucił kamieniem. Widzę przed sobą sędziego Crevana. Usta wykrzywia mu zarozumiały, szyderczy uśmiech. Pewnie ściągnął go tu pan Berry, by powstrzymać ten nieludzki proceder. Na to już za późno, Bosco dotarł do Izby Naznaczeń w ostatnim akcie. Zasłania mi bliskich.

– Masz już dość, co, Celestine?

Stękam. Nie będę płakać. Nie przy nim.

Mówili, że jestem znieczulona, mimo to coś czuję. Mrowienie. Wkrótce środek znieczulający przestanie działać, mrowienie zamieni się w szczypanie, potem w pieczenie. Nie chcę bólu. Nagle ustanie znieczulenia staje się moją główną obawą. Żałuję, że nie czytałam uważniej ulotek, teraz nie wiem, ile czasu minie, zanim anestetyk przestanie działać.

– Ostrzegałem cię. Mówiłem, że to się stanie, ale nie słuchałaś.

Czerwona peleryna Crevana ma ten sam kolor co blizna na mojej dłoni i jak podejrzewam, na stopie, piersi i skroni. Moja krew jest na jego pelerynie. To on mi to zrobił. On. Brzydzę się nim, nie czuję nic więcej. Kiedyś mi się wydawało, że nic, co ludzkie, nie może być straszne, w tej chwili zdaję sobie sprawę, że typ człowieka, jakim jest Crevan, przeraża mnie na wskroś. Czy w ogóle można nazwać człowiekiem kogoś, kto mimo przeżytych razem chwil mógł mi zrobić

coś takiego? Bosco napawa mnie lękiem. Widzę w nim zło.

– Och, Celestine, przykro mi, kiedy patrzysz na mnie w ten sposób. Nie jestem tu zwycięzcą, wiesz? Art mówi, że już nigdy się do mnie nie odezwie. Możesz sobie wyobrazić, jakie to dla mnie bolesne. Najpierw straciłem Annie, teraz, przez ciebie, tracę syna. Przez ciebie!

Nie odzywaj się, mówię sobie. Jeszcze jedno znamię i będzie po wszystkim. Będzie po wszystkim.

– Jestem tu, żeby ci okazać litość, Celestine. Przepróż, powiedz, że źle postąpiłaś, że masz moralną skazę, a odwołam wypalenie języka. Jest najgorsze. Każdy ci to powie.

Próbuję pokręcić głową, niestety pasy trzymają mocno. Nie mogę. Nie odezwę się. Wysuwam język, by pokazać mu, że jestem gotowa na kolejne piętno.

Widzę zaskoczenie, które maluje się na wszystkich twarzach. Dziadek unosi pięść w górę w geście wsparcia: nie cieszy go to, co się za chwilę stanie, ale kipi złością. Nie chciałby, żebym się poddała. Zaszłam tak daleko, że wycofanie się teraz byłoby nielogiczne, niczego bym nie zyskała. Po policzkach mimowolnie płyną mi łzy.

– Wypalić jej język – rozkazuje Crevan chłodno, po czym się wycofuje.

Moja rodzina odsuwa się o krok od szyby, jego bliskość jest dla nich nie do zniesienia. Poza tym moi krewni nie tkwią w bezruchu, pan Berry też nie – zaczyna walić pięścią w szybę, by zwrócić na siebie uwagę Crevana. Mój tata szarpie się ze strażnikiem, chce go zmusić, żeby jakoś to powstrzymał, co kończy się bójką. Nigdy nie widziałam mojego ojca w takim stanie.

Crevan się odwraca i patrzy na to pandemonium.

– Wyprowadzić rodzinę! – krzyczy.

W drzwiach pojawia się Funar i jakoś udaje mu się wyciągnąć z pomieszczenia mamę i dziadka. Pan Berry wychodzi za nimi, ciskając gromy na strażnika. Tata nie daje się rudemu strażnikowi i wymierza mu cios w twarz, wtedy do pomieszczenia wraca Funar, odprowadziwszy gdzieś moją rodzinę, pewnie do poczekalni albo pobliskiej celi, i bierze tatę z zaskoczenia. Dwaj strażnicy opanowują go i wywlekają na zewnątrz. Galeria jest pusta.

– O Boże. – June szepcze mi do ucha.

– Wykonać – mówi Crevan.

Cicho jęcę, kiedy otwierają mi usta i zakładają zacisk na język.

– To nie potrwa długo, skarbie – mówi Tina z paniką w głosie.

– Odsuń się od niej – żąda wściekle Bosco.

– Jeśli pan pozwoli, chciałabym wykonać swoją pracę do końca
– mówi Tina z drżeniem w głosie.

– Wszystko jedno – rzuca sędzia.

Zastrzyk w język. Momentalnie wydaje mi się wielki
i napuchnięty. Znów mam torsje.

– Trzy, dwa, jeden...

Skaza.

Nie krzyczę, nie mogę. Nie mam władzy nad swoim językiem.
Chcę kopać i tupać, machać rękami, lecz wciąż jestem związana. Mogę
tylko czuć, jak moje ciało napiera na pęta i wsłuchiwać się w dźwięk,
który – nie od razu się orientuję – pochodzi ode mnie. Jest gorszy niż
krzyk, to zwierzęcy, gardłowy odgłos, jęk, wycie, coś z moich
najgłębszych otchłani, ból, jakiego nigdy wcześniej nie doznałam
i o istnieniu którego nie wiedziałam. Krzyk, jakiego nie chcę już nigdy
słyszeć, ale usłyszę wiele razy w swoich koszmarach.

– Okaż skruchę, Celestine! – wrzeszczy do mnie Crevan.

Nie jestem w stanie nic powiedzieć, bo mój język jest odrętwiały
i spuchnięty. Widzę jednak, że Bosco jest zrozpaczony. Nie postawił na
swoim. Nie wypełniam jego planu. Miałam przeprosić, ukorzyć się, a on
wstrzymałby wypalanie.

Nigdy go nie przeproszę.

– Panie sędzio, musimy jechać z nią na oddział. Rany musi
opatrzyć lekarz – mówi Tina z pośpiechem. – To nigdy tyle nie trwało.
Trzeba się nią natychmiast zająć.

Czuję, jak rozpina się pas na moim czole. Wreszcie jestem w stanie
podnieść głowę z oparcia i spojrzeć mu w twarz.

– Okaż skruchę! – ryczy Crevan jeszcze głośniejsze.

Gwałtownie kręcę głową. Zaszłam tak daleko. To już koniec.
Nigdy nie powiem mu, że przepraszam, nawet gdyby mój żal był
silniejszy niż ból.

Strażnicy uwalniają moje ręce i kostki. Pracują sprawnie, chcą jak najszybciej wydostać mnie z tej sytuacji i pewnie siebie też. Próbują mnie podźwignąć, Tina z jednej strony, June z drugiej. Bark zaczyna czyścić i chować sprzęt. Nie mogą się doczekać, kiedy stąd wyjdę. Nie mogę iść. Moja stopa jest kompletnie bez czucia, a nogi trzęsą się jak galareta. Koło mnie pojawia się wózek inwalidzki.

– Wypalić Skazę na kręgosłupie – mówi sędzia Crevan lodowatym tonem.

Bark powoli się do niego odwraca.

– Słucham?

Tina i June nieruchomieją i spoglądają na siebie z niedowierzaniem.

– Słyszałeś.

– Panie sędzio, to tylko dziecko – szepcze Tina. Słyszę drzenie w jej głosie i wyczuwam, że zaraz popłyną jej łzy.

– Wykonać.

– Panie sędzio, nigdy wcześniej nie wypalaliśmy niczego na kręgosłupie – nerwowo mówi Bark.

– Bo nigdy wcześniej nie widzieliście nikogo z tak poważną skazą na kręgosłupie moralnym jak ta dama. Wypalić. Jej. Skazę. Na. Kręgosłupie.

– Nie mogę tego zrobić, panie sędzio. Obawiam się, że najpierw muszę to skonsultować...

– Jestem przewodniczącym Trybunału i zrobisz, co mówię, albo z samego rana sam się znajdziesz na sali rozpraw. Pomagasz Naznaczonej?

Bark nieruchomieje.

– Pomagasz?

– Nie, panie sędzio.

– No to do roboty. Wypalić jej znamię na kręgosłupie.

– Nie mamy już środków znieczulających.

– Wypalcie bez nich.

– Panie sędzio, zgodnie z prawem...

– Ja jestem prawem. Wykonać! – wrzeszczy. – Nakazem Trybunału!

– Nie! – Sprzeciwiam się, jednak dźwięk, który z siebie wydaję, nie przypomina słowa. Mój język jest spuchnięty i obolały. Czuję smak krwi, która spływa mi po gardle. Zaczynam kaszleć. Mogę jedynie jęczeć, ale podejrzewam, że Crevan może czerpać z tego przyjemność, więc przestaję. Widzę zło w jego oczach i radość, jaką czerpie z władzy. Nie przysporzę mu więcej satysfakcji.

To się wydarzy, a ja muszę być przygotowana. Muszę zignorować chaos, który zapanował w galerii, niesprawiedliwość, która się dzieje w Izbie Naznaczeń. Muszę się odciąć od obaw o moich bliskich i znaleźć w sobie spokój.

Tina i Bark rozwiązują tył mojego fartucha.

– Biedactwo, tak mi przykro – mówi June, trzymając mnie za ramiona. – Dobry Boże...

– Przestań gadać – warczy sędzia Crevan.

Tina czule bierze mnie za niepoparzoną dłoń i mocno zaciska ją w swojej. Stoi plecami do sędziego Crevana, tak żeby nie widział łez spływających rzęsiście po jej policzkach.

Bark podchodzi do mnie z rozgrzanym do czerwoności prętem. Ma niepewną minę.

– Rób, co mówię – powtarza Bosco, po czym patrzy na mnie.

– Jeśli chcesz, żeby przestali, wystarczy, że przeprosisz.

– Ona nie może mówić, sędzio – odzywa się Tina. – Jak ma to zrobić?

– Może, jeśli zechce – odpowiada Crevan powoli, cicho.

Chce, żebym krzyczała, żałowała. Nie ma mowy.

Nagle w galerii pojawia się Carrick. Widzę łzy w jego czarnych oczach, więc wiem, że wszystko słyszał. Ciężko dyszy, jakby przebiegł maraton. Na jego skroni jest krew i pot, ma też przeciętą wargę. Krew kapie mu na koszulkę. Funar z rozkwaszonym nosem stoi w drzwiach zgięty wpół. Pan Berry wbiega do środka za Carrickiem z telefonem w dłoni. Strażnik, który bił się z moim ojcem, pojawia się w drzwiach i rzuca na Carricka, ale ten rozprawia się z nim jednym mocnym ciosem. Strażnik pada nieprzytomny na ziemię. Funar wie, że nie da mu rady, więc nie podejmuje walki, tylko wymyka się z pomieszczenia, z dłonią na krwawiącym nosie. Prawnik zamyka drzwi. Widzę jego twarz i nagle

wygląda na swój wiek. Trzyma przed sobą telefon i nagrywa. Crevan nie jest świadom tego, co się dzieje za jego plecami, a Bark, June i Tina nie dają mu znaku, że coś jest nie tak.

– Wykonać – rozkazuje znów sędzia z niecierpliwością w głosie. Nad wargą zebrał mu się pot. – Wypalić znamię na kręgosłupie!

Carrick stoi tuż przy szybie i patrzy na mnie w skupieniu, zmusza mnie, żebym nie odwróciła wzroku. Jedną dłoń przyłożył do szkła, dociska ją z całej siły.

Wyłączam myślenie, zostawiam daleko całe szaleństwo Izby i skupiam się na nieruchomym ciele Carricka. Skupiam się na jego dłoni. Dłoni przyjaźni, którą wcześniej mi podał. Powiedział, że mnie znajdzie. Mam przynajmniej jednego przyjaciela. Jestem wyczerpana. Jestem nieruchoma. Jestem gotowa.

– Trzy, dwa, jeden...

Kiedy gorące żelazo dotyka mojego kręgosłupa, wydaję z siebie najgłośniejszy, najbardziej potworny, udręczony, zwierzęcy krzyk, jaki kiedykolwiek słyszałam. Mój wrzask niesie się echem przez korytarze Zamku, żeby wszyscy go usłyszeli i wiedzieli, że idealna dziewczyna została przez Crevana Naznaczona.



Dzień pierwszy

Jestem w domu wsparta na łóżku na kilkunastu poduszkach przyniesionych przez mamę, która co chwilę robi krok w tył, żeby ocenić swoją pracę, zanim znów zacznie je poprawiać, jakby były dziełem sztuki. Jeśli nie może mnie naprawić, to naprawi przynajmniej wygląd mojego otoczenia. To wszystko z okazji wizyty doktora Smitha, naszego lekarza rodzinnego. Po obejrzeniu ran siada na krześle przy moim łóżku i odpowiada na pytania mamy.

– Oparzenie na języku wygląda inaczej i daje inne wrażenie w zależności od tego, jakiego jest stopnia. Oparzenia stopnia pierwszego ranią najbardziej zewnętrzną warstwę języka. Powodują ból i opuchliznę. Oparzenia stopnia drugiego są bardziej bolesne, bo ranią powłokę zewnętrzną i warstwy wewnętrzne. Mogą powstać pęcherze, tak jak w wypadku Celestine, oraz opuchlizna. Oparzenia trzeciego stopnia ranią najgłębsze tkanki języka. Rezultatem jest zbieleła lub szarawa sparzona skóra, brak czucia albo poważny ból.

Albo i jedno, i drugie.

Doktor Smith wzdycha, jego przyjazna twarz dziadka zdradza, że nie jest mu łatwo.

– Wygląda na to, że Celestine otrzymała na Zamku prawidłową opiekę medyczną. Jej język nie jest zakażony, pęcherze za jakiś czas znikną. Kubki smakowe zostały zniszczone...

– Ona i tak w ogóle nie chce jeść – wcina się mama.

– Można się było tego spodziewać. Celestine wiele przeszła.

Apetyt w końcu jej wróci, podobnie jak zregenerują się kubki smakowe, co potrwa około dwóch tygodni. Poważny ból, który teraz Celestine czuje, a na który nie jesteśmy w stanie nic poradzić, może doprowadzić

do depresji lub wywołać stany lękowe.

Co pan powie.

Mama ściąga wargi i unosi podbródek. Obserwuję, jak ze sobą rozmawiają, jakby mnie tu nie było.

– Jeszcze jedno – dodaje lekarz. – Chodzi o... szósty znak. – Czuje się niezręcznie, wspominając o tym.

Mama patrzy na niego w panice. Słowa wiszą w powietrzu.

– Znamy się nie od dziś, Summer – mówi doktor łagodnie.

– Zajmowałem się Celestine, kiedy miała świnkę, ospę, szczepionki i tym podobne. Zapewniam cię, że możesz mi w pełni zaufać.

Mama jeszcze raz potakuje i widzę po niej, że się boi. Nie było jej w Izbie Naznaczeń, gdy miały miejsce dwa ostatnie wypalenia, wtedy nie było tam nikogo z rodziny, a ja nie chcę o tym rozmawiać. Nigdy. Nie wiem nawet, czy pan pan Berry jej o tym powiedział. Nawet jeśli nie, to przecież moja matka była w Izbie przez większość spektaklu. I pewnie się domyśla, co zrobił rozwścieczony Crevan. Szanuje jednak moją prywatność, choć tata pewnie chce wiedzieć. Za każdym razem, gdy na mnie patrzy, czuję, jak pytania cisną mu się na usta... Powstrzymuje się, pewnie z poczucia winy za to, że zachęcał mnie do oporu, przez co przeżyłam to wszystko.

– Przyjdę za kilka dni, żeby sprawdzić opatrunki – dodaje doktor.

– Jeśli wcześniej byłaby potrzebna moja pomoc, jestem do dyspozycji.

Nie mam ochoty choćby skinąć głową.

Teraz i tak wszyscy mówią za mnie. Rozmawiają o mnie, jakby mnie tu nie było.

Nie ma mnie tu.

Zamykam oczy i pozwalam tabletkom, które przed chwilą połknęłam, pomóc mi znów odpłynąć.

Dzień drugi

Słyszę pukanie do drzwi i zamykam oczy. Wchodzi mama.

Poznaję, że to ona, po perfumach i swobodnym, idealnym kroku, którym porusza się po pokoju. Po chwili mówi:

– Wiem, że nie śpisz.

Nie otwieram oczu.

– Odwiedziła nas Tina. Tina z Zamku Highlandzkiego. Pytała

o ciebie. Zadała sobie sporo trudu, żeby tu przyjść, zwłaszcza że, no wiesz, oni stoją na zewnątrz. Wiedziała, że nie będziesz chciała się z nią widzieć. Chciała ci tylko coś dać.

Otwieram oczy i widzę pudełko pełne ślicznych babeczek. Różowych, fioletowych, niebieskich i żółtych, przypominających mi o ubraniach z procesu. Tych kolorów nigdy więcej nie chcę mieć na sobie.

– Powiedziała, że zrobiła je dla ciebie jej córka. W tym tygodniu możesz jedną zjeść – mówi, żeby wzbudzić moje zainteresowanie.

Naznaczonemu przysługuje jeden luksus tygodniowo. To element prostego życia, którego musimy przestrzegać, żebyśmy mogli doznać oczyszczenia. Możemy jeść jedynie podstawowe produkty żywnościowe, nic drogiego czy wyszukanego, nic, co można by uznać za zbytek. Prawidłowa dieta jest sprawdzana na koniec każdego dnia przez badanie, którego jeszcze nie przeszłam.

– Przyniosła też to. – Mama podaje mi papierową torbę ze sklepu z pamiątkami na Zamku, co wydaje mi się bardzo niestosowne. Jeśli Tina uważa, że chcę jakiś bibelot na pamiątkę największej tragedii w moim życiu, to się grubo myli.

W torbie znajduję pudełko. Nie mam ochoty go otwierać, lecz ostatecznie ciekawość bierze górę. Wewnątrz znajduje się śnieżna kula z zamkniętym w środku Zamkiem Highlandzkim. Delikatnie nią potrząsam i za szkłem zaczynają wirować małe czerwone drobinki. Bardzo niestosowne. Nawet mama patrzy na ten prezent zde gustowana. Jestem zaskoczona gestem Tiny, choć wiem też, że próbowała okazać mi życzliwość, może nawet chciała przeprosić, a może to tylko moje pobożne życzenie. Wkładam kulę z powrotem do pudełka i zamykam w szafce przy łóżku. Nie chcę jej nigdy więcej widzieć.

Znów zamykam oczy.

Dzień trzeci

Mam gościa. Przy moim łóżku siada Angelina Tinder, od stóp do głów odziana w czerń. Nigdy wcześniej nie widziałam jej w takim stroju. Wygląda jak dama z czasów wiktoriańskich, która opłakuje zmarłego męża. Na dłoniach ma skórzane rękawiczki bez palców, które ukrywają Skazę na dłoni. Jej długie palce pianistki są blade jak śnieg. Nie wolno

jej nosić rękawiczek w miejscach publicznych, we własnym domu może ukrywać bliznę, jeśli tylko ma na to ochotę. Angelina nie jest w swoim domu. Łamie zasadę. Choć to nie przede mną chowa bliznę – chowa ją przed sobą. Siedzi na krześle wyprostowana, rzadko kiedy na mnie spogląda, jedynie na tyle, żeby wiedzieć, że słucham.

Oczy ma zaczerwienione, jak gdyby od dnia napiętnowania nie przestawała płakać. Czubek jej nosa też jest czerwony. Nigdy nie widziałam jej tak bladej. Wygląda, jakby od tygodni nie była na słońcu.

– Zostanie ci przydzielony demaskator – mówi. – Dadzą ci mojego. To emerytka. Okropna kobieta, która ma za dużo wolnego czasu. Pewnie wykonywałaby tę pracę nawet za darmo. Nazywa się Mary May. Twierdzi, że wierzy w Boga, ale to ten typ kobiety, który gotów był palić czarownice na stosie. Ani odrobinę ci nie popuści, Celestine, pamiętaj o tym. – Patrzy na mnie przelotnie i znów odwraca głowę. – Liczy na to, że cię na czymś przyłapie. Uważa, że jesteś obrzydliwa. – Pociąga nosem, jakby sama poczuła smród. – Wierzy, że my, Naznaczeni, tacy jesteśmy. Zwyczajnie obrzydliwi. Nie jesteśmy takie jak inni, Celestine, nie pozwól, żeby ktokolwiek tak pomyślał. Chociaż... No co ci strzeliło do głowy, żeby pomagać Naznaczonemu w autobusie? I żeby wygadywać w Trybunale takie rzeczy? Wszyscy to widzieli, wiesz? Nagranie z autobusu rozeszło się po internecie. – Patrzy na mnie z grymasem zmieszania i niechęci.

Nie odpowiadam. Nie mogę odpowiedzieć. A nawet gdybym mogła, i tak bym tego nie zrobiła.

– Wieczorem bądź w domu o dziesiątej trzydzięci. Mówią, że o jedenastej, ale ona będzie na ciebie czekać. Musisz być przygotowana na wszystko. Na złośliwości i rzucanie kłód pod nogi. Oni zawsze cię sprawdzają. Raz spóźniłam się na godzinę policyjną. Mogę cię zapewnić, więcej mi się to nie zdarzy. – Zastanawia się przez chwilę. – May co wieczór skontroluje, czy trzymasz się diety, a dla pewności, że przestrzegasz zasad, zrobi ci test wykrywaczem kłamstw. Demaskatorzy bardzo polegają na tej metodzie. Nie są w stanie bez przerwy cię pilnować, ale na pewno wkrótce wymyślą coś, żeby nas podglądać, słyszeć nasze myśli. Chcą je znać. Pragną się zakraść do naszych głów, wślizgnąć się nam pod skórę. – Jeszcze raz pociąga nosem i drapie się po

rękach. Widzę, że palce jej drżą. Zauważa, że na nie patrzę. – Nie mogę nad nimi zapanować. Nie mogę grać. Jakby już nie były moje...

– Milknie, a ja próbuję się przygotować na ciąg dalszy. – Mamy straszne życie. Dziś pewna kobieta spojrzała na mnie, jakbym zabiła wszystkie jej dzieci. Wolałabym chyba, żeby mnie zabili, niż żyć w ten sposób.

Dobrze, że mam obolały język i nie mogę mówić. Nie wiedziałabym, co odpowiedzieć.

– Powodzenia, Celestine. – Wstaje i znika.

Mama przychodzi do mnie później z pełną nadziei miną.

– Lepiej się czujesz, kochanie?

Zamykam oczy i odpływam.

Dzień czwarty

Budzę się. I tak jak przez ostatnie trzy poranki od powrotu do domu zmuszam się, żeby znów zasnąć. Zdaję sobie sprawę, że to nie był senny koszmar. To prawda. Sen jest ostatnio moim jedynym sprzymierzeńcem, więc przewracam się na bok, bo plecy za bardzo mnie bolą, opieram głowę na poduszce, tak żeby skroń nie dotykała materiału, staram się nie musnąć skóry na piersi, żeby nie piekła, palce trzymam rozprostowane, zresztą opatrunek i tak uniemożliwia zaciskanie dłoni. Tylko w takiej pozycji odczuwam ulgę, choć dla dziewczyny lubiącej definicje słowo „ulga” w tej sytuacji to eufemizm.

Nie wyszłam z pokoju od trzech dni. Z łóżka wstawałam tylko po to, żeby skorzystać z łazienki. Poza doktorem Smithem i Angeliną Tinder mama, tata i Juniper to jedyne osoby, z którymi się widziałam. Chowają przede mną Ewana, co akceptuję. Mama pielęgnuje mnie dniami i nocami, oczyszcza moje rany, zmienia opatrunki, smaruje je miksturami i balsamami, żeby uśmierzyć ból i zwalczyć zakażenie.

W niektóre noce budziłam się i widziałam siedzącą przy moim łóżku Juniper, która gapi się w przestrzeń. Kiedy indziej, gdy się budzę, a jej nie ma, zaczynam się zastanawiać, czy to był tylko sen. Rozmawiałyśmy przez chwilę po moim powrocie z zamku, jednak była to niezręczna, pełna sztuczności rozmowa.

Choć wiem, że to, co mi się przydarzyło, to nie jej wina, gotuje się we mnie złość. Jest ona spowodowana tym, że Juniper była świadkiem sytuacji w autobusie. Mogła się za mną wstawić od razu przy

pasażerach, mogła zeznawać w sądzie, że nie pomogłam usiąść staruszkowi. Dlaczego tego nie zrobiła...? Zaraz po powrocie do domu wyczułam, że ma wyrzuty sumienia, a to podsyciło mój gniew, sprawiło, że zapragnęłam obarczyć ją winą. Cokolwiek, bylebym tylko nie winiła siebie.

Jestem naszprycowana środkami przeciwbólowymi i bardzo mi się to podoba. Dają mi chwiejne poczucie, że opuszczam własne ciało i oddalają mnie od rzeczywistości, łagodzą cios. Od czasu do czasu uświadamiam sobie obecność tłumu przed naszym domem, lecz nie śledzę poczynań ludzi i nie rozmawiam o nich. Wiem, kiedy tata wychodzi do pracy i kiedy wraca; nie poznaję tego po dźwięku silnika, a po trzaskach migawek, nagłym ożywieniu stada, wykrzykiwanych pytaniach. Niektóre są życzliwe, inne ohydne. Nie słyszę odpowiedzi taty. W sumie sama chciałabym wiedzieć, czy może kochać najbardziej Naznaczoną osobę w historii kraju.

– Kocha pan córkę, panie North?!

– Jak może ją pan nadal kochać?!

Doceniam to drugie założenie – że w ogóle istnieje jeszcze jakaś miłość do mnie, mimo że sam pomysł wydaje się dziennikarzom zdumiewający. To by się im nigdy nie zdarzyło, nie komuś, kogo kochają. Niemożliwe. Dla niektórych z tych ludzi jestem jak zaraza, dla innych stanowią jedynie rozrywkę. Poznałam to po tym, jak się śmieją, gdy tata odjeżdża, po czym wracają do swoich zajęć, nieco się rozerwawszy. Moje życie jest świetną telenowelą.

Rozpoznaję niektóre z głosów. To reporterzy z portali plotkarskich, prezenterzy wiadomości, znajome głosy z mojej przeszłości. Teraz mówią o mnie. Tylko w ich słowach nie przypominam siebie, nie jestem tą samą osobą. To jakaś podkrecona wersja mnie, której nie rozpoznaję. Dziennikarze analizują i rozkładają na czynniki pierwsze moje zachowanie, poświęcają mu więcej uwagi niż ja sama. Jestem zbyt słaba, żeby się przejmować, i zbyt zażenowana, żeby się w to wsłuchiwać. Słowa wpadają mi jednym uchem i wypadają drugim. Wolałabym spać.

W moim pokoju jest telewizor, ale nie włączyłam go, telefonu też nie. Urządzenia należą do utraconej części mojego świata, która była mi niezbędna, choć nigdy sobie tego nie uświadamiałam. Części mnie, którą

oddalam, zeby sie stac... nikim.

Na razie moje zycie ze Skazami zasadniczo niewiele sie zmienilo. Nigdzie nie bylaam, niczego nie dokonalam. Utknelam w lozku. Lecz skoro tak, to czemu mam wrazenie, ze nie jestem juz taka sama? I nie chodzi o fizyczne blizny i bol, jestem inna do szpiku kości. Tak jak sobie zaplanowal Crevan.

Slyszę pukanie do drzwi i wiem, ze to mama. Nauczylam sie rozpoznawac, kto idzie, rozrozniac styl zachowania. Tata jest niepewny, pelen wahania, jakby sie bal, ze bedzie mi przeszkadzal. Mama sie nie patyczkuje, jakby jej miejsce bylo w moim pokoju. Nie czeka nawet na odpowiedz, zanim wejdzie. Odwracam sie na plecy, zeby popatrzec jej w twarz, co wywoLUje bol kręgosłupa.

– Tata znalazl sposob, zeby ktos mogl cie odwiedzic. Zaciemnil szyby jeepa. Moze odebrac twojego gościa z przystanku, a potem wjechać z nim prosto do garażu, bez obawy, ze ktos go zauwazy.
– Z garażu można wejść bezpośrednio do kuchni, więc nikt nie będzie musiał stawać przed drzwiami. – Więc gdybyś chciała się z kimś zobaczyć...

– Art – mówię. To prawdopodobnie pierwsze słowo, jakie wypowiedziałam, odkąd jestem w domu. Byłoby romantycznie, gdyby nie okoliczności.

Mama spuszcza wzrok na dłonie, na jej twarzy maluje się przerażenie, ze o niego zapytałam. Sądziłam, ze przez tyle dni sam znajdzie sposob i mnie odwiedzi. Czekam na niego. Nasłuchuję. Za każdym razem, gdy rozlega się dzwonek do drzwi, mam nadzieję, ze to on. I zawsze się rozczarowuję. Jeszcze nie przyszedł.

– Nikt nie wie, gdzie on jest – mówi w końcu mama. – Po ogłoszeniu wyroku poszedł do domu, spakował się i zniknął.

– Crevan na pewno wie, gdzie jest – bełkoczę przez opuchliznę. Mam suche gardło i z trudem wymawiam słowa. Mam wrazenie, ze mój język jest ogromny. To najtrudniejsza z ran, bo w wilgoci pęcherze i strupy nie chcą się goić.

– Nie, niemal traci rozum ze zmartwienia i cały czas go szuka. Uśmiecham się. Dobrze mu tak.

Mama podaje mi szklankę wody ze słomką.

– Ludzie się wstydzą mnie odwiedzać? To dlatego muszą wchodzić przez garaż? – pytam.

– Nie – odpowiada mama. – To dla zachowania prywatności. Żebyś mogła wyjść i wrócić do domu w spokoju.

– Nie mam zamiaru nigdzie wychodzić.

– Szkoła.

Gapię się na nią zaskoczona.

– W przyszłym tygodniu, jak rany się wygoją. Nie możesz się tu chować w nieskończoność.

O dziwo, mam nadzieję, że nigdy nie wydobreję, więc nie będę musiała nigdzie iść.

– Poza tym nie pozwolą ci tu dłużej siedzieć. Musisz się zmierzyć ze światem, Celestine.

Zastanawiam się, czy mama zastosuje tę radę również do siebie. Ma podkrążone oczy. Nie wychodziła z domu tak samo długo jak ja. Żadnych wizyt w klinice, żeby poprawić sobie humor, choć pewnie w końcu zamówi sobie całkiem nową twarz, szczególnie że jest pod ciągłą obserwacją. Zastanawiam się, jak to wszystko wpłynie na jej pracę. Czy zrezygnowano z niej w sesjach do katalogów? Zakładać, że będzie inaczej, byłoby naiwne z mojej strony. Nie można nikogo dyskryminować za relacje z Naznaczonymi. Nikogo nie można winić za czyny bliskich. Prawda jest taka, że ludzie zawsze znajdą sposób, żeby to obejść. Życie mojej mamy to kolejny los, który zmarnowałam.

– Twoją demaskatorką jest Mary May. Przychodzi tu codziennie. Szczegółowo poinformowała nas, co nam wolno i co wolno tobie. Jest w swojej pracy bardzo... drobiazgowa – mówi mama, a ja wyczuwam napięcie w jej głosie. Ta kobieta musi być niezłym ziółkiem. – Nalega, żeby codziennie cię widywać, na razie jakoś ją powstrzymałam. – Mama ma determinację w oczach i wiem, że to nie było łatwe zadanie.

– Poznasz ją za kilka dni. Omówi z tobą zasady, po czym zostanie u nas na kolacji. Przez pierwsze kilka dni chce sprawdzić, czy przestrzegamy zasad. Będiesz ją widywać codziennie. Co wieczór wykona dwa testy.

– Angelina mi mówiła – przerywam jej, bo nie chcę już słyszeć o inwazji w moje życie.

– W nic innego nie może się mieszać. – Mama stara się sprawić,

żeby ta codzienna ingerencja nie brzmiała tak źle jak w rzeczywistości.

– Musisz coś zjeść – dodaje, zerkając na tacę z nietkniętym przeze mnie posiłkiem. – Nie jadłaś od kilku dni.

– I tak nie czuję żadnego smaku.

– Doktor Smith mówi, że twoje kubki smakowe się zregenerują.

– Czuję smak krwi, więc chyba nic im nie jest. – Kiepski żart. I nie jestem pewna, czy naprawdę smakuję krew. Mój język pokrywają pęcherze i strupy, może tylko sobie wyobrażam, jak krew spływa mi po gardle za każdym razem, gdy przełykam ślinę. Mama się krzywi. – Może będzie lepiej, jeśli już nigdy niczego nie spróbuję, zwłaszcza jeśli do końca życia mam jeść trociny.

– To zdrowa dieta – odpowiada mama dziarskim tonem. – Pewnie wszyscy powinniśmy tak jeść. I jedlibyśmy, ale nie wolno nam do ciebie dołączyć, przykro mi.

– Będziesz bronić wszystkiego, co oni robią?

– Staram się skupić na pozytywach, Celestine.

– Nie ma żadnych pierdolonych pozytywów.

– Wyrażaj się – zwraca mi uwagę i ponownie poprawia mi poduszki. Jednak ton, jakim to mówi, brzmi tak, jakby przekleństwo niezbyt ją zszokowało.

– Naznaczonym nie wolno też przeklinać?

– Uważam, że jeśli już komuś wolno, to właśnie Naznaczonym – rzuca, po czym obie się uśmiechamy. – O, jest – szepcze, obrysowując palcem kontur mojej twarzy. – Wróciła moja dzielna dziewczynka.

Przyglądam się jej z bliska.

– Jak się masz, mamó? Wyglądasz na zmęczoną – pytam z czułością.

– Dobrze. – Jej determinacja słabnie. – Umówiłam się na lifting powiek – mówi i obie zaczynamy się śmiać. Po raz pierwszy przyznała się, że poprawia sobie urodę.

– Gdzie jest Juniper?

– Wyszła. – Krótka odpowiedź.

– Dziwnie się przy mnie zachowuje.

– Boi się, skarbie. Myśli, że jesteś na nią zła.

Myślę o tym, jakie smutne ma oczy, gdy na mnie patrzy,

i o łagodnym tonie jej głosu, gdy pyta mnie, jak może mi pomóc, co sprawia, że mam ochotę na nią warczeć. Wolałabym, żebyśmy wróciły do dawnego przekomarzania. Czuję się swobodniej, kiedy jest mną poirytowana. Teraz odbieram jedynie jej litość.

Myślę o tym, że Juniper nie pomogła mi w autobusie i nie zeznawała w Trybunale. Siostra ma rację, jestem na nią zła. Wiem, że to bez sensu, lecz mimo to coś się we mnie gotuje.

– Gniewasz się na Arta? – pyta mama.

Domyślam się, co próbuje mi uświadomić: jak mogę się gniewać na własną siostrę, a na Arta nie? Gdzieś w środku zadaję sobie pytanie, dlaczego bardziej się nie starał? Nie mógł przekonać ojca? Jednak go rozumiem, ja też kiedyś zaufałam sędziemu Crevanowi, Art nie mógł się spodziewać, że jego własny ojciec ściągnie na mnie takie kłopoty.

– Myślisz, że przyjdzie się ze mną zobaczyć?

Mama ściąga usta i milknie, więc wiem, że nie.

– Jestem przekonana, że musi przemyśleć sobie kilka rzeczy.

Z dała od niego – mówi i widzę złość w jej oczach. – Ale... – zastanawia się, jak to ująć – nie spodziewaj się, że...

– Nie spodziewam się – przerywam. – Już o tym wiem.

Realistycznie powinnam uznać, że Art nigdy do mnie nie wróci. Wiem o tym. Jednak to mnie nie powstrzymuje, żeby mieć nadzieję. I przed tym, żeby wspominać, jak to kiedyś było.

– Wiem, że nie chcesz o tym rozmawiać, ale rozważamy z tatą skontaktowanie się z panem Berrym w sprawie dodatkowego piętna.

– Nie – przerywam jej, zanim rozwinie temat.

– Posłuchaj, Celestine, tego nie było w wyroku. To, co się zdarzyło, to coś niesłychanego. Chcemy z nim porozmawiać i sprawdzić, jakie masz opcje...

– A jakie niby mogę mieć?! – złoścuję się. – Ktoś sprawi, że blizna zniknie?! Crevan mnie przeprosi?! Nie! Fakt, że to coś niesłychanego, nie znaczy, że się nie zdarza. Taki jest Crevan. Robi, co zechce, i może mi to zrobić jeszcze raz. Obiecuj mi, że dasz temu spokój.

Mama ściąga usta i kiwa głową.

– Rozumiem, Celestine. Tata chce cię ochraniać i bronić. Walczyć o twoje dobre imię. – Uśmiecha się z miłością. – Ale zgadzam się z tobą.

Uważam, że powinniśmy to przemilczeć. Gdybyśmy zgłosili to prawnikowi, obawiam się, że zwrócilibyśmy na ciebie tylko więcej uwagi. Nie wiem, czy on o tym wie czy nie, ale w twoich dokumentach widnieje pięć Skaz. Nikt nie skontaktował się z nami, żeby to uściślić, a media milczą w tej kwestii. Mówią tylko o pięciu. Żaden z dziennikarzy nie wie lub nie wspomina o szóstej.

Jeszcze. To niewypowiedziane słowo wisi w powietrzu. Jednak ta wiadomość przynosi mi pewną ulgę. Wciąż jestem najbardziej Naznaczoną na świecie, tylko jeszcze nikt się nie dowiedział o tym. Jednak jest dobra strona posiadania pięciu Znaków – zawsze można mieć sześć.

Berry wie o moim szóstym piętne. Widział, jak mi je wypalają. Zastanawiam się, czy powiedzieć o tym mamie, ostatecznie nie mówię nic. Nie chcę rozmawiać o tym, co się stało w Izbie Naznaczeń. Chcę zapomnieć. I nie mogę.

Carrick też wie.

Widzę jego dłoń przyciśniętą do szyby i słyszę jego głos. „Znajdę cię”.

Nie wiem, czy chcę, żeby znalazł mnie w tym stanie.

Na tę myśl zamykam oczy i odpływam.

Dzień piąty

Śni mi się koszmar. Juniper siedzi na krześle przy moim łóżku i się na mnie gapi. Nasze spojrzenia się spotykają i siostra posyła mi złośliwy, pełen satysfakcji uśmiech.

Budzę się cała spocona, mam wilgotną pościel. Rozglądam się wokół, w głowie mi się kręci. Juniper tu nie ma. Dom jest cichy. Wybiła północ. Byłam przekonana, że ktoś jest w moim pokoju, czułam czyjąś obecność. Wstaję z łóżka, cicho otwieram drzwi i idę korytarzem, utykając, bo staram się nie stawać na stopie z piętmem. Nasłuchuję pod drzwiami sypialni siostry. Cisza. Powoli je otwieram. Muszę zobaczyć, że tam jest, że śpi. Jej łóżko jest puste. Nikt dziś w nim nie leżał.

Dzień siódmy

Poznaję Mary May. Spodziewam się kobiety uzbrojonej po zęby, zamiast tego widzę Mary Poppins. Widziałam kobiety ubrane jak ona, lecz nigdy nie rozumiałam, kim są i czym się zajmują. Ma na sobie coś,

co przypomina uniform przedpotopowej niani: konserwatywną czarną sukienkę z białym kołnierzykiem i czarnym krawatem. Na krawacie znajduje się wyszyte czerwone ©. Ma też na sobie czarne rajstopy i czarne męskie półbuty. Całości dopełnia czarny, zapinany na guziki płaszcz z obszernym kołnierzem i czerwonymi mankietami. Na głowę włożyła czarny melonik z czerwoną opaską i kolejnym © na przodzie. Jej włosy są uczesane w gładki kok i schowane pod kapeluszem. Nie ma makijażu, a jej twarz jest poważna. Nie jestem najlepsza w zgadywaniu, ile kto ma lat, ale Mary ma między czterdzieści a pięćdziesiąt. Ma drobną sylwetkę i z twarzy przypomina ptaka. Ubrała się, jakby był środek zimy. Gapi się na mnie, gdy wchodzę do kuchni. Mierzy mnie wzrokiem tak jak ja ją.

– Dzień dobry – mówię. Nie wiem, czy powinnam wyciągnąć do niej rękę. Grube rękawice ze skóry sugerują, że raczej nie.

– Jestem Mary May, twoja demaskatorka. Znasz zasady, czy mam omówić je raz jeszcze?

Kręcę głową.

– Komunikacja werbalna – upomina mnie.

– Nie, to znaczy tak – jąkam się. – Znam zasady. – Jestem zdenerwowana, bo nie chcę popełnić żadnego błędu, nie chcę jeszcze raz zostać ukarana. Nie wiem, co jest słuszne, a co nie, czego się ode mnie oczekuje w tym nowym świecie. Czytałam zasady, mówiono mi o nich, lecz rzeczywistość jest zupełnie inna.

Moja rodzina siedzi za stołem i obserwuje mnie i ją. Czuję napiętą atmosferę. Nie mogę popełnić błędu. Nie kolejny raz.

Podoba się jej to, że się jej boję. Widzę w jej oczach przeblysk uśmiechu.

Siadam do stołu po raz pierwszy, odkąd wróciłam do domu. Zwykła rodzinna kolacja. Mary May siedzi w rogu, nadal w kapeluszu, płaszczu i rękawiczkach, a jej obecność jest tak „uspokajająca”, jakby siedziała z nami kostucha. Mama włączyła muzykę, żeby wypełnić niezręczną ciszę. Juniper siedzi przy stole i wpatruje się w podłogę, tylko zerka na mnie nerwowo, gdy myśli, że nie patrzę. Im bardziej wydaje się mnie bać, tym bardziej się złości. Ewan nie przestaje się na mnie gapić, jakbym wcale tego nie widziała.

- Co ona je? – pyta mały, patrząc na mój talerz z obrzydzeniem.
- Nasiona słonecznika i łososia – mówi mama.
- Wygląda jak karma dla psa.

Pachnie jak karma dla psa.

Pozostali jedzą kurczaka i ryż. Kurczak wygląda na wysuszonego, a ryż jest rozgotowany i zastanawiam się, czy to celowe. Mama ugotowała też kapustę, której nie znoszę. Widzę, że próbuje mi pomóc, coś mi ułatwić. Wiem, że specjalnie nie przyrządziła niczego wykwintnego, a i tak chcę zjeść to, co oni. Nie dlatego, że wygląda lepiej, albo dlatego, że jestem bardzo głodna, bo nie jestem. Chcę tego, bo właśnie to jedzenie powinnam dostać. Chcę go, bo powiedziano mi, że nie mogę go dostać.

Po raz kolejny się zastanawiam, skąd się to we mnie wzięło. Zawsze przestrzegałam zasad, byłam po ich stronie. Nigdy niczego nie kwestionowałam, a teraz, gdy się znalazłam po niewłaściwej stronie, kwestionuję wszystko.

Pewnie Juniper czuła się tak codziennie. Spoglądam na nią. Wpatruje się w talerz i bawi jedzeniem. Raz jeszcze czuję irytację, że nie je. Może jeść. Ma do tego prawo, a mimo to ledwie tknie kurczaka. Na chwilę podnosi wzrok, widzi moją minę, przełyka i znów spuszcza oczy.

Ewan gapi się na mnie. Na opatrunek na mojej dłoni i na czole. Ciekawsko przygląda się mojej piersi.

- Mamo, tato – jęczy. – Ona się na mnie gapi.
 - Zamknij się, Ewan – syczy Juniper.
 - Wolno jej na ciebie patrzeć – odburkuje tata. – To twoja siostra.
- Ewan je dalej, poirytowany.

– Wiesz, Ewanie, możesz mówić bezpośrednio do mnie – mówię cicho, znajdując w sobie siłę, żeby zachowywać się łagodnie. To mój młodszy brat. Nie chcę, żeby się mnie bał.

Wygląda na złkniętego tym, że się do niego odezwałam.

- Poproszę o sól – mówię.

Stoi najbliżej Ewana, który zastyga.

– Nie mogę ci pomóc, nie wolno mi. Mamo, tato... – znowu jęczy, przerażony. Spogląda na Mary May, która siedzi w kuchni, obserwując wszystko z notatnikiem i długopisem w ręce.

Serce mi wali jak młot i czuję się, jakbym dostała cios pięścią i uszło ze mnie powietrze. Wywołałam panikę na twarzy własnego brata.

– Na miłość boską! – wrzeszczy na niego Juniper i z hukiem stawia przede mną solniczkę. – Wolno ci podać siostrze sól!

Dalej wszyscy jedzą w ciszy.

Obserwuję ich: są jak roboty, głowy mają spuszczone, mechanicznie wkładają jedzenie do ust. Wszyscy, oprócz Juniper. Wiem, że żadne z nich nie chce jeść. A przynajmniej żadne z wyjątkiem Ewana, lecz robią to i wiedzą, że robią to dla mnie. Chciałabym, żeby Juniper też się przełamała. Ogarnia mnie dziwna chęć, żeby wcisnąć jej tego kurczaka na siłę do gardła. Po chwili nie jestem już w stanie dłużej znosić tej atmosfery, tej wściekłości, nienawiści, którą czuję do własnej siostry. To nie jej wina, a mimo to obwiniam ją.

Wstaję, biorę swój talerz i odnoszę go do kosza, niedaleko którego siedzi Mary. Przyciskam pedał pokrywy i wrzucam do środka cały talerz. Słyszę, jak porcelana się tłucze. Demaskatorka nawet nie drgnie. Wystawiam palec, gotowa na test. Chcę mieć to już za sobą i wrócić do łóżka. Mary May nakłuwa mi palec i przenosi kropelkę krwi na szkiełko, po czym wsuwa je do miernika przypiętego do nadgarstka. Miernik przypomina zegarek, pokazuje wynik badania. Pokazuje się komunikat: „Wynik prawidłowy”.

Następnie demaskatorka nakłada mi na palec nasadkę przypominającą pulsoksymetr, podpiętą do miernika, po czym zadaje mi pytanie:

– Celestine North, czy przestrzegałaś dziś zasad Naznaczonych?

– Tak. – Serce bije mi jak oszalałe. Wiem, że mówię prawdę, lecz jeśli maszyna stwierdzi inaczej? Może próbują mnie podejść? Jak wiarygodne są te testy? Jak mogę ufać wynikom, skoro kontroluje je Trybunał? Mogą wykazać, że kłamię, nawet jeśli mówię prawdę. Moje słowo przeciw ich.

Miernik jeszcze raz rozbrzmiewa energicznym „Wynik prawidłowy”, po czym Mary ściska mi nasadkę z palca.

Nie spoglądam nawet na swoją rodzinę, czuję się zbyt upokorzona. Idę na górę. Chcę zasnąć.

Sen nie przychodzi. Środki przeciwbólowe przestają działać. Nie

czuję się już taka oddalona od wszystkiego, nie taka odurzona, pragnę, żeby to uczucie powróciło. Słyszę, jak Mary May wychodzi, zadowolona, że położyłam się spać zgodnie z wyznaczoną porą.

Siedzę w oknie i patrzę na dom Arta po drugiej stronie ulicy. Jest duży, największy na naszej ślepej uliczce. Można by go chyba nazwać rezydencją. Stoi na początku ulicy i góruje nad pozostałymi domami. Wybudował go brat Crevana, ten który ma udziały w drużynie piłkarskiej. Crevanowie chcieli, żeby wszyscy pracujący w ich gazecie i stacji telewizyjnej mieszkali na tej samej ulicy. Żeby nas kontrolować. Dlaczego wcześniej tego nie zauważyłam? Bob, tata, sędzia Crevan, wszyscy razem w Dzień Ziemi. Myślałam, że jest tak przytulnie i miło. Teraz wiem, że chodziło tylko o kontrolę. Liczne okna w domu Arta są ciemne. Pewnie nikogo nie ma. Jediną osobą, jaka się tam kręci, jest Hillary, ich gosposia. Rozumiem, że Art nie może mnie odwiedzić – przez dziennikarzy i fotoreporterów, zwłaszcza jeśli ukrywa się przed ojcem. Czy w odwiedzeniu mnie naprawdę może być coś złego...? Przecież to nie przestępstwo. Okazałby ojcu brak szacunku, ale czy i tak już tego nie robi? A jeśli już nie wizyta, to może telefon, SMS albo list, jak ten, który mi przysłał, gdy byłam w Zamku. Liścik byłby znakiem, że się o mnie martwi, że o mnie myśli. Cokolwiek. Wszystko jedno co.

Nie uznałabym odwiedzin u osoby ze znakiem za pomoc jej, chociaż wiem, że jego ramiona całkowicie by mnie ocaliły i to w ułamku sekundy. Obiektywnie dla mnie i Arta nie ma już nadziei, lecz w głębi serca czuję, że nadal mamy szansę. To wciąż możliwe. Musiałby tylko raz na zawsze sprzeciwić się ojcu.

Odszukuję w telefonie jego numer i dzwonię. Wiem, co się stanie – to samo co przez ostatnie kilka dni. Od razu włącza się poczta. Słucham jego pogodnego głosu, który brzmi, jakby Art miał się zaraz roześmiać, wyobrażam sobie jego zadziorną minę i rozłączam się.

Na dole Ewan dostaje niezłe kazanie, powtórkę z obowiązujących zasad.

Udaję, że śpię, kiedy mama i tata całują mnie na dobranoc. Słyszę, jak kładą się spać. Rozmawiają dyskretnie, potem zapada cisza.

Dalej staje się to, czego się spodziewałam. Słyszę, jak Juniper wymyka się z domu.



Staję naga przed lustrem – bez opatrunków. Nie mogę znieść swojego widoku. Z oczu płyną mi łzy, gdy przyglądam się bliznom. Moje ciało nie należy już do mnie, a do nich. Chcę zedrzeć blizny ze skóry. Odwracam wzrok od lustra. Już nigdy na siebie nie spojrzę. Nigdy więcej nie pozwolę nikomu zobaczyć mojego nagiego ciała. Nikomu z przyjaciół. Żadnemu mężczyźnie. Nikomu.

Ludzie różnie postrzegają szkołę. Dla Juniper jest stresująca, wiem o tym. Od chwili, gdy wieczorem położy się spać, po powrót do domu nieustannie martwi się szkołą. W klasie czuje się niezręcznie, jest skrępowana, ograniczona, może zagubiona. Niecierpliwie czeka, kiedy to wszystko się skończy i będzie mogła zacząć robić rzeczy, które uważa za ważniejsze w swoim życiu. Martwi się o pracę domową, że źle odpowie, o egzaminy, martwi się tym, w co jest ubrana. Jej umartwianie się nie wynika z tego, że jest leniwa i się nie stara albo że nie jest wystarczająco bystra. Jest mądra. Cały czas się uczy. Bez przerwy mówi o szkole i nauce, nawet gdy przymierza ciuchy. Wyciąga z szafy kolejne ubrania, tylko po to, żeby zacząć od nowa. Ma jedną bliską przyjaciółkę, z którą wydaje się, że są zrosnięte biodrem. Trzymają się razem, nie chcą ani nie potrzebują nikogo więcej. Juniper chce po prostu przetrwać do końca szkoły.

Dla mnie szkoła to coś pewnego. Czuję się tam swobodnie. Czekam na każdy kolejny dzień nauki. Nie boję się jej. Ciężko pracuję na swoje stopnie, choć nie aż tak, żeby ugrzęznąć w książkach i zbytnio się stresować. Nauczyciele mnie lubią, a ja ich. Nie sprawiam problemów. Mam świetną grupę przyjaciół. Jest nas sześcioro, trzy dziewczyny i trzech chłopaków, w tym ja i Art oraz Marlena, która

zeznawała na moją korzyść w Trybunale. Dobrze się razem bawimy. Nie jesteśmy ani typowymi kujonami, ani supersportowcami. Może zostaniemy zapamiętani, może nie. Po prostu jesteśmy.

Dziś po raz pierwszy w życiu doznaję tego, co Juniper odczuwa pewnie każdego ranka. Długo się zastanawiam nad tym, w co się ubrać do szkoły. Wszystko, co mam w szafie, wydaje mi się zbyt bez troskie, należące do kogoś, kto pasuje do grupy i nie ma niczego do ukrycia. Już nie jestem tą osobą.

Patrzę na trzy zestawy ubrań, które pomogła mi wybrać mama. Mam wrażenie, że w żadnym z nich nie mogę się ukryć.

Zgodnie z zasadami poza domem nie wolno mi zasłaniać skroni i ręki. Nie wolno mi ukrywać Skaz. Oczywiście w przypadku stopy nie da się wiele zrobić. W domu lubię styl, który sobie wypracowałam. Warkocze zaplatam nisko, żeby ukryć bliznę na prawej skroni. Rękawy muszą być na tyle długie, żeby ukryć znamię na dłoni, a dekolt na tyle wysoki, żeby ukryć napiętnowaną pierś. Podeszwa stopy i kręgosłup pozostaną zakryte, o ile nie znajdę się na plaży albo na basenie, zresztą nawet tam nie wolno mi nosić japonek.

Jest cała lista miejsc na ciele, które pragnę ukryć.

Nienawidzę mojego ciała.

Zerkam na korytarz w stronę pokoju Juniper. Pukam do jej drzwi.

– Cześć – odpowiada zaskoczona. Wygląda na zmęczoną.

Zastanawiam się, gdzie chodzi po nocy. Ostatnio panuje między nami dziwna atmosfera i nie czuję się na tyle swobodnie, żeby ją o to zapytać wprost. Zresztą i tak by pewnie skłamała.

– Muszę się w coś ubrać – mówię niewyraźnie z powodu wciąż spuchniętego języka. Brzmie trochę jak moja koleżanka Lisa, po tym jak przekłuła sobie język. Mimo to i tak jest lepiej niż kilka dni temu, bo wtedy ledwie mogłam nim poruszać.

– Chcesz coś pożyczyć? – pyta zmieszana.

– Nic z moich rzeczy się nie nadaje.

– Aha. Dobrze. Jasne. Wchodź. – Otwiera drzwi szerzej, a moim oczom ukazuje się teren jak po wybuchu bomby. Ciuchy Juniper rozrzucone są po całym pokoju. – Też nie mogłam się na nic zdecydować.

Mam ochotę na nią naskoczyć, bo bez wątpienia jej rozterki wynikają z całkowicie odmiennego powodu niż moje. Nie robię tego. Przełykam gorzką pigułkę. Przełykam wszystko. Mierzę wzrokiem bałagan. Wiem, czego szukam, i od razu to zauważam.


– Dzięki – mówię, po czym zmierzam do wyjścia.

– Jesteś pewna? – Juniper przygląda się ciuchom w moich dłoniach. – Mam jeszcze inne rzeczy.

– Nie, to wystarczy, dzięki.

Wracam do swojego pokoju i przymierzam ubrania. Następnie spoglądam w lustro i zaczynam płakać. Czarna bluzka z długim rękawem i małym dekoltem. Czarne džinsy rurki. Czarne buty. Wyglądam jak Juniper.

Ale strój nie jest gotowy.

Naciągam na ramię opaskę z czerwonym , odkleiwszy spod spodu specjalną taśmę, żeby opaska ciasno przylegała do rękawa. Ma idealnie pasować.

Jak druga skóra.

Żaluzje w gabinecie dyrektora Hamiltona są zasunięte, ponieważ nieopodał, przy wejściu do liceum imienia Grace O'Malley rozbili obóz reporterzy. Któryś z pracowników dał im znać, że dziś wracam do szkoły. Dziennikarze tak mocno napaarli aparatami na zaciemnione szyby auta taty, że myślałam, że je potłuką. Tata musiał wycofać samochód przez tłum, ledwie widział, gdzie jedzie.

Siedziałam w środku, przerażona, przeczuwając zbliżający się napad klaustrofobii. Dusiałam się pod tyłoma spojrzeniami, a jednocześnie analizowałam, jak gazety opiszą tę sytuację.

Juniper, w kompletnym bezruchu, wbiła wzrok prosto przed siebie, jakby niczego nie dostrzegała.

Reporterzy uprzykrzali życie nie tylko nam, ale i dyrektorowi, aż na szyi wyskoczyła mu wysypka. Pęknięte naczynka są jeszcze wyraźniejsze na jego bulwiastym nosie.

Nigdy wcześniej nie byłam na dywaniku u dyrektora Hamiltona, nigdy nie miałam ku temu powodu, lecz dziś zwołano zebranie, żeby

o mnie porozmawiać. Obecna jest moja nauczycielka matematyki, pani Dockery, i nauczyciel wiedzy o społeczeństwie, pan Browne. Pani Dockery posyła mi nerwowy uśmiech. Pan Browne nawet na mnie nie patrzy. Walczę z przemożną ochotą, żeby odegrać jakieś przedstawienie, pojęczeć, jakbym w ogóle nie miała języka, albo poudawać, że rzucam na nich klątwę Naznaczonych. To by ich naprawdę wystraszyło.

Dyrektor wygląda na zestresowanego, próbuje sprawnie załatwić sprawę. Tymczasem jego telefon znów dzwoni.

– Susan, prosiłem, żeby nie łączyć żadnych rozmów! – rzuca, jednak słucha sekretarki. – Nie, nie zorganizuję konferencji prasowej. Nie, rozmawiałem już na ten temat z radą rodziców i zarządem.

– Wzdycha. – Nie wygłoszę też oświadczenia. – Odkłada słuchawkę.

– Panie dyrektorze – odzywa się mój tata. – Rozumiem, że jest pan pod ogromną presją, ale nie tylko pan. Dlatego tak ważne jest, żeby rozwiązać problemy w jak najlepszy sposób dla wszystkich zainteresowanych. Zdaje się, że do szkoły prowadzi drugie wejście, z którego Celestine mogłaby korzystać. Wchodziłaby i wychodziła ze szkoły bez szwanku. Moja córka opuściła Zamek Highlandzki, wyrok został wykonany. Nie powinna musieć się ukrywać przed dziennikarzami we własnej szkole.

– Rozumiem, panie North, zgadzam się z panem. – Pan Browne chrząka na znak sprzeciwu, na co dyrektor rzuca mu znaczące spojrzenie. – Moim zdaniem wszyscy uczniowie powinni być traktowani tak samo. Takie też stanowisko przekazałem nauczycielom. – Pan Browne znów próbuje okazać, że się nie zgadza, i ponownie zostaje uciszony. – Powoli – upomniał go dyrektor, po czym znów się zwrócił do mojego taty. – Sam wyszedłem z pomysłem, żeby Celestine korzystała z innego wejścia, mam tu jednak dokument od... – zerka na list – demaskatorki Mary May, w którym to poucza mnie ona, co mogę, a czego nie mogę robić we własnej szkole. – Wydaje się tym poirytowany. – I niestety, pozwolenie Celestine, żeby korzystała z tylnych drzwi, zostałoby uznane za pomoc Naznaczonemu.

– Do diabła, przecież to jedna z pana uczennic! – Tata ze złością wali pięścią w stół.

Pan Hamilton daje mu chwilę, żeby się uspokoił.

– Zgadzam się z panem. Zostałem jednak pouczony, że nie mogę narażać nauczycieli i szkoły na jeszcze większe zamieszanie.

– Nie możemy codziennie przywozić Celestine do szkoły, a potem jej odbierać, dyrektorze – mówi tata spokojniejszym tonem. – Moja córka znajduje się w nietuzinkowym położeniu, w którym nie może nawet sama podróżować autobusem. Na rowerze będzie pozbawiona ochrony, samochodem też nie może jeździć, bo posiada jedynie tymczasowe prawo jazdy, które uprawnia ją do jazdy w towarzystwie doświadczonego kierowcy. Mam obawy, co do jej podróżowania w pojedynkę, ci reporterzy są po prostu nieobliczalni. W tej sytuacji należy opracować jakiś specjalny plan postępowania. Inaczej Celestine nie będzie bezpieczna.

Nie powinno to być dla mnie niespodzianką, a jednak jest. Słowa taty sprawiają, że moje ukryte lęki wyłażą na światło dzienne.

– Rozumiem pana stanowisko, naprawdę. – Dyrektor spogląda na mnie niepewnie. – Może będziemy kontynuować, gdy Celestine pójdzie na lekcję.

– Ta rozmowa mnie dotyczy, chcę w niej uczestniczyć
– odpowiadam wprost.

To nieprawda. Nie chcę tego wysłuchiwać, ale muszę.

– W porządku. Chciałem zaproponować edukację w domu.

– Co? – pyta tata z oburzeniem.

– Celestine zostało tylko kilka miesięcy do egzaminów końcowych. To niedługo. Już prawie skończyła szkołę. Jest jedną z naszych najlepszych uczennic, jeśli oceniać po stopniach. Nie chcę, żeby jej wyniki spadły. Przeprowadziliśmy długą rozmowę z radą rodziców. Niektórzy rodzice, choć nie wszyscy, obawiają się, że uczęszczanie do szkoły Naznaczonej negatywnie wpłynie na reputację placówki.

– Nie może pan dyskryminować mojej córki z powodu znaków. Ma prawo być w szkole.

– Zdaję sobie z tego sprawę. Ale po całym tym... zajściu nasze statystyki zapisów na wrzesień już spadły. Rodzice się martwią. Uczniowie się martwią, że uderzenie w dobre imię szkoły nadszarpnie ich reputację przy aplikacji na studia i szukaniu pracy. Przekazuję panu tylko, jakie poruszaliśmy tematy, panie North – dodaje, zanim tata znów

wybuchnie. – Muszę dbać o reputację szkoły.

– Musi pan dbać o dobro pańskich uczniów.

– Proszę pana, to nie jest mój jedyny problem – denerwuje się dyrektor. – Pewna grupa nauczycieli, których reprezentuje tu pan Browne, oznajmiła, że w ogóle nie chce mieć Celestine w klasie. Nie podejmie się też pracy z nią w domu. Choć nie popieram takiego podejścia, muszę się wykazać zrozumieniem i wspierać grono nauczycielskie. Takie są fakty. Jestem przekonany, że w tej sytuacji przyzna pan, iż nauka w domu jest lepsza niż wydalenie.

Robi mi się niedobrze i myślę o Carricku. Myślę o nim zawsze, kiedy mierzę się z nowymi aspektami życia ze Skazami. Zastanawiam się, jak on sobie radzi. Nie wiem, czy to, że jeszcze się nie odezwał, to dobry czy zły znak.

– Pani Dockery, nauczycielka matematyki, zaoferowała w swej dobroci, że będzie uczyć Celestine w domu – dodaje mruklawie pan Hamilton.

Na dźwięk swojego nazwiska pani Dockery prostuje się na krześle. Spoglądam na nią zaskoczona. Nie wiem, czy przyjąć to jako komplement czy obelgę. Albo ona nie chce mi pomóc i próbuje się mnie pozbyć, albo jednak mi pomaga. Łzy szczypią mnie w oczy i czuję, że upadam jeszcze niżej. Za każdym razem, gdy wydaje mi się, że to niemożliwe, sytuacja znów się pogarsza.

– Myślę, że powinien pan poważnie rozważyć edukację domową córki – ciągnie dyrektor. – Nic nie będzie jej rozpraszać, skoncentruje się na utrzymaniu dobrych ocen. Im prędzej zacznie się uczyć w domu, tym lepiej dla niej i dla wszystkich w jej otoczeniu.

Atmosfera spotkania momentami była gorąca, co gorsza kończy się brakiem konsensusu. Sytuacja będzie oceniana na bieżąco. Pan Browne nie będzie mnie uczył, podobnie jak nauczyciele geografii i francuskiego, a do chwili, aż dyrektor Hamilton wymyśli, co ze mną zrobić, mam na czas zajęć z nimi udawać się do biblioteki. Jedyne, co do czego wszyscy są zgodni to to, że za kilka dni media odpuszczą, a moja historia nieco przycichnie, choć jednocześnie dziwimy się, że to jeszcze nie nastąpiło. Zainteresowanie mediów wydaje się tak samo silne jak na początku i cały czas pojawiają się nowe wątki w mojej historii.

Nie wiem, co donoszą gazety i telewizja. Nie interesowałam się tym, a rodzice nic nie mówili. Tak naprawdę oni nie pozwalają, żeby cokolwiek przedostało się do naszego domu. Dom jest jak kokon, w którym trwamy i radzimy sobie z moją nową codziennością, gdzie nie przejmujemy się opiniami innych. To konieczne, żebym przetrwała i poradziła sobie z własną sytuacją, bo wtedy wypaczone opinie innych może aż tak bardzo mnie nie dotknąć. Jednak minęło półtora tygodnia, a harmider wokół mnie nie przycichł, co po raz pierwszy sprawia, że jestem zainteresowana tym, co o mnie mówią.

Ponieważ spotkanie się przedłużyło, spóźniam się na angielski. Kiedy wchodzę do klasy, wszystkie głowy odwracają się w moją stronę. Koledzy i koleżanki patrzą na mnie, jakby mnie nie znali, jakby widzieli mnie pierwszy raz w życiu. Miejsce Arta koło mojego jest puste. Gdziekolwiek się ukrywa, robi to skutecznie. Czuję pod powiekami piekące łzy, ale szybko je przetykam, bo wszyscy mnie obserwują.

Na tej lekcji i na następnych siedzę sama. Na przerwie Marlina bierze mnie na stronę, upewniwszy się, że nikt nie zobaczy, jak rozmawiamy. Ze łzami w oczach mówi mi, jaka się czuje zawiedziona, jak nadstawiła za mnie karku, a ja ją zdradziłam. Opowiada, jak wygląda jej życie, odkąd zeznawała na moją korzyść: każdy dzień jest nie do zniesienia, ludzie postrzegają ją jako osobę zdolną do pomocy Naznaczonemu. Pewnego dnia śledził ją paparazzi. Boi się o swoje bezpieczeństwo. I ma nadzieję, że nie wpadnie w jeszcze większe kłopoty. Próbuję ją pocieszyć, jak umiem. Rozstajemy się, ustaliliśmy, że od tej pory Marlina będzie się trzymać ode mnie z daleka. Ani razu nie pyta mnie, jak sobie radzę.

Na następnej lekcji nauczycielka biologii odmawia uczenia mnie. Gdy tylko siadam w klasie, rzuca mi jadowite spojrzenie, po czym wychodzi. Wraca dziesięć minut później w obstawie pana Browne'a i jeszcze bardziej zafrasowanego dyrektora Hamiltona, który wyprowadza mnie na korytarz.

– Celestine – mówi, wycierając pulchne, lepkie od potu dłonie o klapy garnituru. – Idź teraz może na WF. – Patrzy mi w oczy.
– Przepraszam.

To słowo znaczy dla mnie więcej, niż mógłby sobie wyobrazić.

– Myślałam, że mam chodzić do biblioteki.

– Spędzisz tam następną lekcję. Nie mogę ci kazać siedzieć w bibliotece przez cały dzień.

Aha. Czyli nauczyciele powoli się wykruszają.

Oczy zachodzą mi łzami.

– Nie mam stroju gimnastycznego...

– Możesz skorzystać ze szkolnych zapasów. Mimo tego, co się mówi, pierzemy je. Powiedz Susan, żeby dała ci kluczyk do szatni.

Lekcje WF-u składają się z dwudziestu minut pływania i dwudziestu minut ćwiczeń na sali gimnastycznej. Nie włożę szkolnego kostiumu. Swojego nie mam ze sobą, a szkolnego nie chcę używać. Tym razem nie chodzi o to, że nie podoba mi się jego krój. Po prostu nie chcę, żeby ktokolwiek widział moje ciało. I nie mogę znieść myśli, że woda dotknie moich blizn. Minęło jedynie półtora tygodnia i rany dobrze się goją, ale uważam na to, żeby nie polewać ich zimną ani ciepłą wodą. Choć pewnie ból bym zniosła. Bardziej mi zależy, żeby nikt nie zobaczył mojego okaleczonego ciała. Piętna widzieli jedynie ludzie, którzy je wykonali, lekarze i pielęgniarki, moja rodzina i oczywiście Carrick. Nie pozwolę, żeby ktokolwiek jeszcze kiedyś je zobaczył. Zastanawiam się nawet, czy kiedykolwiek będę w stanie pokazać się nago Artowi.

Idę za resztą na basen. Wszyscy są już przebrani. Chłopcy i dziewczyny uśmiechają się do siebie z wyższością, co jest zwyczajną reakcją na to, że widzą swoje półnagie ciała. Mam zamiar usiąść na trybunie i tyle.

– Hej, ty! Co to ma być? – fuka na mnie nasz wuefista, pan Farrel.

– Nie będę pływać, proszę pana.

– Czemuż to? – Podchodzi do mnie. Na jego piersi kołyszają się i objają o siebie liczne gwizdki, co przypomina mi o demaskatorach.

Słyszę, jak inni śmieją się pod nosem.

– Chodzi o blizny, proszę pana, nie mogę ich moczyć – kłamię, ścisząc głos.

Nagle nauczyciel zdaje sobie sprawę, kim jestem, i cofa się ode mnie o krok.

– Ona musi mieć zwolnienie lekarskie! – woła jedna z dziewczyn, Natasha. – Jeśli go nie ma, musi wejść do wody. – Błyska niewinnym

uśmiechem do Logana, który stoi obok niej. Poznaję go z lekcji chemii, choć nigdy z nim nie rozmawiałam.

– Masz zwolnienie lekarskie?

– Nie.

– W takim razie wchodzisz do basenu.

– Nie wiedziałam, że będę dziś miała WF. Miałam być na biologii.

– To dlaczego nie jesteś na biologii?

– Pani Barnes nie chce mnie w swojej klasie.

– Ja też cię nie chcę w swojej, jeśli nie wejdiesz do wody.

– Nie mogę, proszę pana.

– Myjesz się?

– Tak.

– No to możesz wejść do wody. Włącz.

Ląduję w gabinecie dyrektora Hamiltona ledwie kilka godzin po tym, jak obiecałam, że nie przysporzę mu żadnych kłopotów. Doktor Smith przesyła do szkoły e-mailem zwolnienie, zgodnie z którym powinnam unikać kontaktu z chlorowaną wodą ze względu na blizny. Niestety, jest już za późno, krzywda się stała.

W porze lanczu wchodzę na stołówkę. Jestem tak zdenerwowana, że aż mi niedobrze. Rozmowy milkną i wszystkie spojrzenia kierują się na mnie. Córka Angeliny Tinder, Colleen, siedzi sama. Zdobywam się na odwagę, żeby do niej podejść. Gdy staję przy jej stoliku, nie podnosi wzroku. Wiem dlaczego. Pewnie myśli, że ktokolwiek do niej podszedł, zrobił to tylko po to, żeby jej powiedzieć coś przykrego, więc lepiej nie patrzeć.

– Cześć – mówię, a ona spogląda na mnie zaskoczona. – Jak tam twoja mama?

Colleen mruży oczy i zaczyna się śmiać.

– No, no!

– Co?

– Naprawdę jesteś taka zdesperowana? Gdzie byłaś dwa tygodnie temu? Czemu wtedy mnie nie zapytałaś? No tak, byłaś wtedy zbyt samolubna, żeby choćby powiedzieć mi cześć. – Nieśmiała Colleen zniknęła, jej miejsce zajęła ta zagniewana, uszczypliwa osoba.

Nie rozpoznaję jej, to nie jest dziewczyna, z którą co roku

spędzałam Dzień Ziemi i inne rodzinne uroczystości, kiedy obie byłyśmy bez troski, a życie takie jak to w ogóle nas nie zaprzętało.

Oczywiście ma rację. Nie przywitałam się z nią tamtego ranka po aresztowaniu jej mamy. Za bardzo się bałam. A potem popełniłam największą pomyłkę w swoim życiu.

Jej zdaniem zasłużyłam na to, co mnie spotkało.

Kilka osób podchodzi do stolika i siada obok Colleen. Logan, chłopak z pływalni, który jako jeden z nielicznych spogląda na mnie przyjaźnie, Natasha i chłopak imieniem Gavin.

– Czy ona ci przeszkadza? – pyta Natasha.

Colleen na początku zdaje się zaskoczona, po czym spogląda na mnie z wyższością. Natychmiast się odsuwam, nie chcę wywołać sensacji, bo osoby siedzące przy sąsiednich stolikach już zaczęły uważnie nas obserwować.

– Może na stołówce powinien być specjalny stolik dla Naznaczonych – rzuca Natasha, mrużąc ciemne, przebiegłe oczy.

Wychodzę ze stołówki ze spuszczoną głową. Oczy pieką mnie tak jak w Izbie Naznaczeń. Nie chcę, żeby ktokolwiek zobaczył, że płaczę.



Kiedy po tym potwornym dniu w szkole wracam do domu, mama wita mnie w drzwiach idealna od stóp do głów: lśniące, wypielegnowane blond włosy spływają jej na ramiona w miękkich falach, na ustach ma miły uśmiech. Dobiega mnie zapach ciasteczek lub innego wypieku. Zachowuje się jak pani domu z lat pięćdziesiątych i od razu wiem, że coś jest nie tak. W ogóle nie pyta mnie, jak mi minął dzień w szkole, z czego się cieszę, bo mam wrażenie, że wybuchłabym płaczem.

– Czeka na ciebie Pia Wang – mówi.

Juniper patrzy na nas zaskoczona, po czym zdaje sobie sprawę, że chodzi o rozmowę w cztery oczy. Znowu czuje się odepchnięta, ciężkimi krokami idzie na górę, do swojego pokoju, po czym zamyka drzwi z trzaskiem.

W dziwny sposób moje piętna sprawiły, że mama, tata i ja zbliżyliśmy się do siebie. Dało nam to więcej powodów, żeby rozmawiać w odosobnieniu, co z pewnością sprawia, że Juniper czuje się wykluczona.

– Jest tutaj? W naszym domu? – szepczę, rozglądając się wokół.

Mama szybko potakuje, bierze mnie na stronę i odpowiada:

– Siedzi w bibliotece.

– Tak po prostu przyjechała, nieproszona?

– Tak. To znaczy nie. Codziennie wydzwaniała z pytaniem o wywiad, a ja ją zwodziłam, tłumaczyłam, że zdrowiejesz. Ale teraz, skoro wróciłaś do szkoły, nie mogłam się już wykręcić.

– Nie chcę z nią rozmawiać – syczę.

– Musisz, ma nakaz Trybunału – szepcze mama. – Najwyraźniej to część kary. Każdy Naznaczony musi porozmawiać z Pią po procesie. Gdybym jej nie pozwoliła...

– Mogliby uznać, że pomagasz Naznaczonemu.

– Jesteś moją córką – mówi, a jej oczy wypełniają się łzami.
– Mamo, nie przejmuj się. Porozmawiam z nią.
– Co jej powiesz? – pyta nerwowo. – Może powinniśmy zadzwonić do pana Berry’ego?
– Nie chcę, żeby ktoś mnie instruował. On na pewno każe mi kłamać.

Nadal boli, gdy opadam całym ciężarem ciała na stopę, lecz nie chcę, żeby Pia widziała, jak utykam. Czeka na mnie w bibliotece. Biorę głęboki wdech i wchodzę od środka. Mówię mamie, że nic się nie stanie, jeśli zostaniemy same. Nawet tak wolę, bo nikt nie będzie bez przerwy zerkać i się zamartwiać, czy to, co mówię, jest w porządku. I tak ani myślę odzywać się zbyt wiele. Monosylabowe odpowiedzi doprowadzą Wang do szału, a takich właśnie mam zamiar udzielać.

Na żywo Pia wydaje się jeszcze chudsza niż w telewizji. Wygląda jak filigranowa lalka, którą mógłby porwać wiatr, choć wiem, że nie ma na to szans. Nawet wiatr przegrałby z nią walkę. Jej skóra jest delikatna i brzoskwiniowa, jej ubrania – jedwabna bluzka w kolorze kości słoniowej w subtelne kwiaty i ołówkowa spódnica z koronki – są delikatne i śliczne. Ona nawet pachnie brzoskwiniami. Wszystko w niej jest subtelne i piękne, za to jej oczy są nieustępliwe. Może nie zimne, ale gotowe. Wszystko widzą, wszystko rejestrują jak dwa obiektywy aparatu.

– Pia Wang – przedstawia się i wyciąga rękę na powitanie.

Ociągam się z reakcją, nie wiem, co robić. Napiętnowana dłoń nie jest już zabandażowana. Musiałam ściągnąć gazę przed pójściem do szkoły, żeby nie uznano, że ukrywam swoje Skazy. Nie musiałam jeszcze nikomu podawać ręki. Trzymam ją spuszczoną luźno wzdłuż boku i pozwalam, żeby dłoń dziennikarki pozostała w powietrzu. Jej oczy lądują na mojej ręce, po czym Pia się uśmiecha.

– Ach, oczywiście. – Cofa dłoń.

Jestem przekonana, że wiedziała, co robi. Nie ufałam jej wcześniej, a teraz to się tylko pogłębiło. Jeśli chciała pokazać mi moje miejsce w szeregu, to jej się nie udało. Role zaraz się odwrócą, bo nie mam zamiaru niczego jej ułatwiać.

– Miło cię poznać – mówi. – Usiądziemy?

Przy wykuszowym oknie stoją dwa fotele, skąd widać nasz mały ogródek, który mama uprawia, kiedy twierdzi, że czuje się grubo. Okiennice nadal są zamknięte, żeby chronić naszą prywatność przed wścibskimi reporterami.

Pia wskazuje mi miejsce, jakby to był jej dom.

– Chciałam cię poznać już dawno – oświadcza z szerokim uśmiechem. – Wszyscy o tobie mówią, Celestine. Siedemnastoletnia była dziewczyna Arta Crevana zostaje Naznaczona pięć razy, najwięcej w historii. Wywiad z tobą to największa sensacja roku.

– Bardzo ciekawe, że moje życie dostarcza pani tylu rozrywek. Jej uśmiech nieco blednie.

– Jak widać, nie tylko mnie. – Odnosi się do dziennikarzy przed domem. – Wiesz, że zgodnie z regulaminem Trybunału przysługuje mi rozmowa z każdym Naznaczonym, prawda? Jej zapis pojawi się w naszym serwisie on-line, w telewizji, gazetach.

– We wszystkich mediach Crevana.

Pia milknie na chwilę.

– Tak. Najpierw chciałabym przeprowadzić z tobą wywiad, jednak proponuję też coś nowego: nagramy dodatkowe wywiady dla telewizji i będziemy cię śledzić z kamerą, żeby zobaczyć, jak wygląda twoje obecne życie.

– Reality show?

– Jeśli tak chcesz to nazwać. Ja wolę „program dokumentalny”.

– Bo taka z ciebie poważna dziennikarka i w ogóle.

Pia milknie na chwilę, by przyswoić obelgę.

– Interesują mnie ludzie. Ciekawi mnie, co ich motywuje. Wyobraź sobie, że w twoim przypadku nie jestem w stanie tego ustalić. – Mierzy mnie wzrokiem. – A chciałabym się dowiedzieć.

– Nie chcę, żeby śledziła mnie kamera. Mój tata jest redaktorem w telewizji. Wiem, że i tak przedstawię mnie tak, jak wam się będzie podobało. Jeśli mam udzielić wywiadu do gazety, okej, zrobię to, ale na tym koniec.

Jest wyraźnie rozczarowana, lecz nie może nic na to poradzić.

– W porządku. Uprzedzam tylko, że to będzie seria spotkań, nie jedno. Chcę szczegółów. Chcę cię zrozumieć, Celestine, naprawdę cię

poznać.

Parskam śmiechem.

– Bawię cię?

– Pracujesz dla Crevana. Myślisz, że jestem na tyle głupia, by uwierzyć, że naprawdę chcesz mnie zrozumieć? Że cokolwiek, co o mnie powiesz, będzie pochlebne albo chociaż obiektywne? Że jakiegokolwiek moje słowo znajdzie się w twoich artykułach?

– Ciekawy z ciebie przypadek, Celestine.

– Jestem człowiekiem, nie przypadkiem.

– Przyjaciółka sędziego Crevana, wzorowa uczennica, idealna dziewczyna. Nie jesteś typem, który pasuje do tej sytuacji. Ludzie chcą cię poznać.

– Ja i Angelina Tinder. Zabawne, prawda? Dwie Naznaczone na tej samej ulicy w ciągu dwóch dni. Prawdziwy zbieg okoliczności.

Coś błyska w jej oczach. Coś innego. Wątpliwość. Po chwili powraca do zwykłej strategii.

– Nasze społeczeństwo nie pochwała eutanazji. – Broni werdyktu Trybunału w sprawie Angeliny Tinder.

– Współczucia też nie. Pomogłam usiąść starszemu mężczyźnie.

Wtem zdaję sobie sprawę, że właśnie podrzuciłam jej nagłówek.

Pia jest zachwycona.

– Widzisz, Celestine – mówi z szerokim uśmiechem, przysuwając do mnie fotel. – To właśnie takie komentarze sprawiają, że ludzie się tobą interesują. Jesteś jak powiew świeżości, szczególnie jak na kogoś tak młodego.

– Nie jest to moim celem.

Przez chwilę wygląda na zagubioną, po czym rozgląda się szybko, zanim zmieni ton, jakby nie powinna czegoś mówić. Próbuję rozgryźć jej taktykę.

– Enya Sleepwell była na każdej twojej rozprawie.

Patrzę na nią wyczekująco. Nie mam pojęcia, o kim mówi.

– Wiesz przecież, kim ona jest? – mówi protekcyjnym tonem.

– Nie – wzdygam. – Nie mam pojęcia, kto to taki. Czy to ta starsza pani, która mnie opluła? Czy może młoda kobieta, która rzuciła we mnie kapustą? A może ta paniusia z trzeciego rzędu, która zjadła całą

paczkę cukierków w mój Dzień Ogłoszeń?

Pia marszczy brew.

– Ostatnio dużo mówi się o niej w mediach. Nic nie słyszałaś?

– Nie oglądam wiadomości.

– Trudno mi w to uwierzyć. Codziennie się w nich pojawiaasz.

– Dlaczego więc miałabym je oglądać? Przecież wiem, co robię każdego dnia.

Posyła mi przelotny uśmiech.

– Twoi rodzice nie rozmawiają z tobą o tym, co się dzieje? O tym, co się mówi?

– To, co się o mnie mówi, nie ma znaczenia. Nie muszę tego słuchać. Nie jestem w stanie tego kontrolować, a na pewno nie mogę tego zmienić.

Pia wygląda na skonsternowaną. Zerka na drzwi, upewnia się, że są zamknięte.

– Czyli ty naprawdę... niczego nie wiesz? Enya Sleepwell należy do Partii Niezbędnych. Na pewno wiesz, kim oni są. W ostatnich wyborach uzyskali bardzo dużo miejsc w parlamencie. To obecnie najszybciej rozrastające się ugrupowanie.

Kręcę głową.

– Nie interesuję się polityką, mam siedemnaście lat. Moich przyjaciół też to nie obchodzi. Nie jesteśmy pełnoletni, nawet nie możemy głosować.

Dziennikarka patrzy na mnie zaskoczona, jakby nie wierzyła w to, co mówię.

– Cóż... za to polityka interesuje się tobą, Celestine.

Naigrywam się z niej, również odwracając się przez ramię dla pewności. Zdaję sobie sprawę, że jednosylabowe odpowiedzi zastąpiłam sarkazmem, który daje mi dużo więcej satysfakcji.

– Więc nie współpracowałaś z Enyą Sleepwell? Nie poznałaś jej? Przed incydentem w autobusie?

– Co? Nie! – odpowiadam.

– Niektórzy ludzie uważają, że próbowałaś zachować się bohatersko – mówi. – Że nadal widzisz siebie jako bohaterkę, że może jesteś ponad innymi. Że twój bezinteresowny czyn nie jest świadectwem

skazy charakteru, a przynajmniej stawia cię ponad innymi Naznaczonymi. A ja sędzę, że chciałaś być inna, wyróżnić się. Nastolatka zmęczona byciem przeciętną, normalną, nudną dziewczyną. Znudzona przestrzeganiem zasad.

Gryzę się w wargę, żeby nie wybuchnąć, skoro Pia tego właśnie chce.

– Uważasz się za bohaterkę, Celestine?

Wzdycham.

– Gdybym była bohaterką, ten staruszek nadal by żył. Zdaje się, że nikt nie bierze pod uwagę faktu, że umarł człowiek. Umarł, bo cały autobus ludzi nie chciał udzielić mu pomocy. Czy uważam się za bohaterkę? Nie. Poniosłam klęskę.

Pia marszczy brew, lekko zmieszana.

– Za to odniosłaś sukces w kwestii rozpropagowania problemu. Wszyscy rozmawiają teraz o „pomaganiu Naznaczonym”. Ogromna liczba ludzi chce, żeby przestało być karane.

Jestem zaskoczona tą informacją. Jeśli zakaz pomocy przestanie obowiązywać, czy przestanę być Naznaczona? Czy usuną mi blizny?

Na pewno nie. Nigdy.

Pia spogląda na zegarek i na mnie.

– Kiedy znowu możemy się spotkać?

Wzruszam ramionami.

– Jestem w domu codziennie po szkole. Nie planuję żadnych wyjść.

– Taka popularna dziewczyna jak ty? Na pewno masz mnóstwo propozycji. Słyszałam, że zaproponowano ci, żebyś się stała twarzą perfum.

Wybucham śmiechem.

– Co? *Eau de Skaza*? Kto chciałby coś takiego kupić i dlaczego ja miałabym chcieć w tym uczestniczyć? Chyba naprawdę niczego o mnie nie wiesz.

– Dziś chciałam się jedynie przedstawić. Spotkamy się ponownie jutro – rzuca ochoczo i podnosi swoją aktówkę. – Jeśli nie jesteś znudzoną nastolatką, która miała dość swojego życia i postanowiła zwrócić na siebie uwagę, to sugeruję, żebyś ze mną porozmawiała, bo

inaczej tak właśnie cię opiszę. – Tym razem wyciąga do mnie lewą rękę. Niechętnie podaję jej nienaznaczoną dłoń.

Nie ruszam się, w środku gotuję się ze złości i odtwarzam w myślach naszą rozmowę.

– A tak przy okazji, nie mam pięciu znaków.

Pia staje przy drzwiach jak wryta i z gracją baletnicy odwraca się do mnie w brzoskwiniowych szpilkach.

– Słucham?

– Powiedziałaś, że pięć Skaz czyni mnie najbardziej Naznaczoną osobą w kraju. Crevan kazał mi wypalić sześć.

Wiem, że z jakiegoś powodu media nie podały do wiadomości mojego szóstego piętna, co jest dla mnie zaskoczeniem. Byłam pewna, że Crevan będzie chciał, żeby dowiedział się o tym cały świat. Jeśli nie poinformował o tym Wang, to ona nie może samowolnie opublikować tej informacji.

Fakt, że ona o niczym nie wie, daje mi pocieszenie. Chciałam jej udowodnić, że nie wie wszystkiego, że nie ma nawet podstawowych informacji. Gdy tu weszłam, próbowała postawić mnie w niezręcznej sytuacji. Gdy wychodziła, ja zrobiłam jej to samo. Crevan ją okłamał, co zachwiało jej małym, uporządkowanym światem. Poza tym dla własnej satysfakcji chciałam zobaczyć jej minę.

Gdy spoglądam na twarz Pii, wiem, że było warto.

– Co zrobił? – pyta zszokowana. Jej chłodna fasada przepadła z kretesem. – W sądzie wyraźnie wymienił pięć.

Zastanawiam się, czy ciągnąć temat. I tak w końcu wszyscy się dowiedzą, może lepiej, żeby się dowiedzieli ode mnie. Może przynajmniej Pia napisze w artykule prawdę? Bosco nie może mnie za to winić. Serce mi łomocze, kiedy mówię to na głos:

– Przyszedł do Izby Naznaczeń. Kazał mi okazać skruchę. Nie okazałam. Więc zarządził wypalenie szóstej Skazy na moim kręgosłupie. Bez znieczulenia. Powiedział, że mój moralny kręgosłup jest kompletnie skażony.

– Co... co zrobił? – Ledwie jest w stanie wydusić dwa słowa. – To wbrew... to znaczy nikt tego nigdy...

Wie, że nie może o to wypytywać. Kwestionować i wątpić

w autorytet sędziego? W towarzystwie Naznaczonej? Nie jest taka głupia.

– Pogadaj o tym ze swoim kumplem, Crevanem. – Zostawiam ją w drzwiach w stanie kompletnego osłupienia.

Uśmiecham się po raz pierwszy od prawie tygodnia. Kiedy ponosi się tak ogromne klęski, zwycięstwa zdają się małe. Lecz mimo wszystko są. Trzeba tylko umieć je rozpoznać, małe źródelka światła i nadziei ukryte w ciemności.

Wchodzę do swojego pokoju i zastaję w nim Mary May, która przeszukuje moją szafkę nocną. Rozglądam się, zaskoczona, po swojej sypialni. Szafy są otwarte, ściągnięte z wieszaków ubrania leżą porozrzucane na podłodze, półki również zostały przewrócone do góry nogami i panuje na nich nieład. Mary May siedzi na łóżku i czyta mój pamiętnik – mój prywatny pamiętnik.

Mam ochotę się rozpłakać. Ostatni raz pisałam w nim przed procesem, później nie miałam na to energii. Jest w nim opisane zupełnie inne życie, ale to nadal moje prywatne myśli i głupstewka, które były dla mnie kiedyś ważne. Moje sekrety, które ona zwyczajnie kradnie.

Chcę się temu sprzeciwić, jednak demaskatorka to wyczuwa, bo podnosi odzianą w rękawiczkę dłoń i ucisza mnie gestem. Przewraca stronę. W końcu zamyka pamiętnik i mierzy mnie wzrokiem, jakby przenikała nim moją duszę.

– Zgodnie z zasadami możesz się spodziewać rewizji rzeczy osobistych. Jeśli będziesz nadal prowadzić dziennik, na przykład pisać o tym, czy uważasz, że masz grube uda, i martwić się, czy będziesz dobra w łóżku – prychna, a moja twarz czerwieni się ze wstydu – spodziewam się, że przekażesz mi go co piątek, żebym mogła sobie poczytać. Czy to jasne?

Przełykam ślinę i potakuję.

Mary May podnosi szklaną kulę z Zamkiem Highlandzkim, którą znalazła w mojej szafce, i potrząsa nią.

– Zawsze dobrze mieć coś na pamiętkę, prawda? – mówi, upuszczając ją w moje dłonie, po czym idzie do drzwi.

Czerwony brokat opada w kuli niczym krople krwi. Czuję, że to ostrzeżenie.

Podbiegam do łóżka i wrzucam kulę z powrotem do szuflady. Nigdy więcej nie chcę jej widzieć. Biorę pamiętnik i zaczynam wydierać z niego kartki, najpierw po jednej, a po chwili, bardziej agresywnie. Płaczę. Wyrwane kartki leżą rozrzucone na podłodze.

Mama staje w drzwiach i patrzy na mnie z troską.

– Czytała mój pamiętnik – bełkoczę.

Mama podchodzi do mnie i patrzy na rozrzucone papiery. Podnosi je i rwie na maleńkie kawałeczki. Jej twarz nie jest tak opanowana jak zwykle, a oczy wypełniają się łzami. Ten gest znaczy dla mnie więcej niż jakiegokolwiek słowa. Dołączam do niej i rwiemy kartki zapisane moją dłonią: pełne ekscytacji wykrzykniki, gwiazdki i serduszka wokół imienia Arta, bazgroły i słowa prosto z serca, dawne zmartwienia, zabawne anegdotki, osobiste myśli, które kiedyś należały tylko do mnie. Patrzą, jak serduszka zamieniają się w drobny mak.

Angelina Tinder miała rację. Oni chcą być w naszych głowach. Nigdy więcej nie wpuszczę ich do mojej.



Juniper i ja ledwie ze sobą rozmawiamy.

Moja siostra czuje się winna i odepchnięta. Ja jestem wściekła i zgorzkniała, i muszę przyznać, że w wyładowywaniu na niej swojego bólu znajduję pewną przyjemność. Kiedy mam za dużo czasu na myślenie, mój umysł zawsze wraca do momentu w autobusie. Za każdym razem staram się, żeby w mojej głowie zdarzenia potoczyły się inaczej, jakbym w ten sposób mogła zmienić przeszłość. Nic z tego, ja przeżywam tamten dzień, a moja siostra milczy. Juniper, która zwykle nie potrafi trzymać języka za zębami, nie była w stanie wydusić z siebie ani słowa, żeby mi wtedy pomóc albo bronić mnie w sądzie. Najbardziej jednak boli mnie patrzenie, jak żyje życiem, którego tak bardzo pragnę.

Widzę, że moje milczenie doprowadza ją do szału. Wyczuwam, jak w środku krzyczy na mnie, że to nie jej wina. Mówi mi, że ma wystarczające wyrzuty sumienia, więc nie muszę pogarszać sprawy. A ja odpowiadam jej ciszą.

To ja zawsze robiłam dokładnie to, co mi się każe, nie ona. To, że ona nagle się stała mną, a ja nią, to najdziwniejsza konsekwencja zdarzeń ze wszystkich. Noszę jej ubrania, mam jej kompleksy, a ona nagle jest cicha, gryzie się w język, nad którym wcześniej nie mogła zapanować, i wymyka nocą, żeby spotkać z Bóg wie kim, a mnie nie wolno już wyjść z domu. To moja wina, że zachowujemy się w ten sposób, lecz nie potrafię przestać czuć tego, co czuję.

Przede wszystkim tęsknię za Artem. Mam złamane serce i potrzebuję go, nie potrafię zrozumieć, dlaczego do mnie nie napisał, dlaczego nie zadzwonił, dlaczego nie próbował się skontaktować. Jeśli to prawda, że uciekł z domu, to fakt, że nie znajduje się pod kontrolą ojca, daje mu więcej swobody, prawda? Zaczynam odnosić wrażenie, że on

się chowa przede mną, nie przed ojcem. Ta obawa boli bardziej niż którykolwiek ze znaków.

Po wydarzeniu z Colleen rezygnuję ze stołówki. W zamian czytam książki w bibliotece, przycupnąwszy na wielkim pufie w kącie. Zgłębiając kłopoty i sukcesy kogoś innego. Wcześniej nie miałam zbyt wiele czasu na fikcję literacką. Wolałam prawdziwe życie. Matematykę. Rozwiązania. Coś, co miało wpływ na moją codzienność. Teraz rozumiem, dlaczego ludzie czytają powieści, dlaczego lubią chłonąć życie kogoś innego. Czasem przeczytam jakieś zdanie, które podrywa mnie do pionu, wstrząsa mną, bo mówi o czymś, co ostatnio czułam, a czego nie wypowiedziałam głośno. Wtedy pragnę wejść w książkę i powiedzieć jej bohaterom, że ich rozumiem, że nie są sami, że ja nie jestem sama, że nie ma nic złego w tym, żeby się tak czuć. Potem dzwoni dzwonek na lancz, książka się zamyka, a ja wracam do rzeczywistości.

Dzisiaj jestem zbyt zmęczona, żeby czytać. Nie śpiam najlepiej. Zmuszam się do jako takiego funkcjonowania, bo moje sny ciągle zamieniają się w koszmary o Izbie Naznaczeń. Ostatnio śni mi się Carrick, który siedzi na fotelu zamiast mnie, a ja się przyglądam, jak zostaje napiętnowany. Gdzie on jest? Powiedział, że mnie znajdzie. Kiedy? Czy ostatecznie postanowił tego nie robić? A może potrzebuje mojej pomocy? Często o nim myślę, tak często, że zaczął się pojawiać w moich koszmarach.

Internetowe poszukiwania Naznaczonego Carricka na nic się nie zdały. Nie znam jego nazwiska. Niczego o nim nie wiem. Skąd jest, co zrobił. Nie wiem, czy uznano go za Naznaczonego, lecz gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że tak. Zastanawiam się, jaką dostał karę za to, że był ze mną wtedy w Izbie Naznaczeń. Mam nadzieję, że ktoś obdarzył go takim spokojem, jakim on mnie. Napisałam jego imię na moim zeszytcie i poprawiłam litery czerwonym długopisem. Tusz zaczyna przebijać przez kartkę. To pomaga mi myśleć.

Nagle słyszę hałas w bibliotece. Zrywam się na równe nogi. Zza rogu wyłania się Logan.

– Hej – mówi przyjaźnie. – Szukałem cię.

– Mnie? – odpowiadam zaskoczona.

Podbiega do mnie i podaje mi kopertę. Zwykle jest pewny siebie, jednak dziś wydaje się nieśmiały.

- Zaproszenie na moją osiemnastkę. W ten piątek.
- Dziękuję. – Uśmiecham się i czuję, jak przyspiesza mi puls.
- W środku jest adres. Przyjdiesz? – Patrzy mi w oczy.

Trzymam zaproszenie w dłoniach, zaskoczona i niepewna.

- Dlaczego?
- Co dlaczego? – śmieje się.
- Dlaczego mnie zapraszasz?
- Zapraszam całą klasę. Nie mogłem cię pominąć.
- Nie sądzę, żeby inni mnie tam chcieli.

– Ja chcę – odpowiada z pewnością w głosie. – Przyjdiesz czy nie?

– Okej, to znaczy tak. Dzięki. – Czuję, że uśmiech zajmuje mi całą twarz, nie potrafię nad nim zapanować. Kiedy tylko Logan sobie idzie, zaczynam piszczeć i tupać nogami z podekscytowania. Może jednak nie będzie tak źle? Może wszystko się ułoży?

Słyszę w bibliotece jakiś inny dźwięk i wołam:

– Logan, to ty?!

Idę na koniec regału z książkami i spoglądam w lewo. Ktoś chwytamnie od prawej strony i ciągnie do sąsiedniego rzędu. Już mam zacząć krzyczeć, gdy staję twarzą w twarz z Artem.

– Cii – mówi, przykładam palec do warg i prowadzi w odległy kąt biblioteki, za ostatnimi regałami.

Serce wali mi jak młotem. Nie mogę w to uwierzyć. Uśmiech nie schodzi mi z twarzy.

Jesteśmy tak blisko, stoję przyparta plecami do regału. Czuję, jak pod moim ciężarem kilka książek spada na ziemię. Art. Wygląda na zmęczonego, jego włosy nie są tak błyszczące jak zwykle, wydają się trochę brudne i przylizane, loki przypominają kołtuny. Pod oczami ma cienie, jakby nie spał od tygodni, psotny błysk w jego oczach zniknął.

Przyglądam się mu, a on mnie. Patrzy na moją skroń, tę, na której mam Skazę. Krzywi się, jakby czuł mój ból. Zbliża palce, żeby dotknąć rany, w ostatniej chwili się powstrzymuje i zatrzymuje dłoń tuż nad piętnem. Obrysowuje palcem mój policzek, wędruje nim aż do

ust. Wpatruje się w moje wargi. Wiem, że myśli o bliźnie na języku.

– To nadal ja – szepczę.

– Wiem, tylko że...

– W porządku.

Zapada cisza i nagle nie wiem, co powiedzieć. Od tak dawna pragnęłam go pocałować, jednak teraz nie wydaje mi się to na miejscu. Coś się zmieniło. On się zmienił. Mam do niego tyle pytań, na przykład gdzie, u diabła, się podziewał.

– Kim jest Logan? – pyta, zanim zdążę się odezwać. – Wołałaś go.

– Nikt ważny. Poza tym to bez znaczenia. Art, gdzieś ty się podziewał?

– Co to takiego? – Spogląda na zaproszenie w moich rękach, bierze je i czyta.

– Logan Trilby? – Jego twarz robi się sroga, zła.

– Był tylko dla mnie miły – mówię cicho. – Jak się tu dostałeś?

Lekko się rozchmurza, jednak mówi bez entuzjazmu.

– Tyle razy musiałem tu siedzieć i się uczyć, że w końcu znalazłem sposób, jak się wymknąć i jak niepostrzeżenie wejść.

– Tak się o ciebie martwiłam. Nie wiedziałam, co się dzieje. Wciąż nie wiem. Gdzie byłeś tyle czasu? Minęły prawie dwa tygodnie.

– Nie mogę ci powiedzieć, gdzie byłem.

– Czemu nie?

Podejrzliwie rozgląda się na boki.

– Bo zapytają cię o to, a nie chcę, żebyś skłamała i znów wpakowała się w kłopoty.

– Nie mogę już chyba wpaść w większe.

Żadne z nas się nie śmieje.

– Proszę, powiedz mi – szepczę.

– Nie mogę. Trafiają przez ciebie do mnie. Obserwują cię cały czas.

Nachyla się w moją stronę i wydaje mi się, że mnie pocałuje.

Patrzę na jego usta i czekam, aż dotkną moich, lecz Art znów się odsuwa.

– Potrzebuję cię – mówi.

– Ja ciebie też. – Oczy zachodzą mi łzami żalu. – Czuję się tak, jakbyś mnie porzucił...

– Przepraszam. Musiałem po prostu od niego uciec – tłumaczy, robiąc krok w tył. – Mam taki mętlik w głowie, próbuję to wszystko jakoś sobie wytłumaczyć. Byłem na ciebie taki zły, Celestine. – Kręci głową. – Wszystko szło idealnie.

Jestem w takim szoku, że nie mogę mówić. Po tym, co zrobił mi jego ojciec, on jest zły na mnie?!

– Nie mogę nawet na niego spojrzeć po tym, co ci zrobił. Pięć Skaz? Pięć?! On nie chciał zranić tylko ciebie, chciał zranić też i mnie.

Nie wie o szóstej. Nie mogę mu powiedzieć, jest taki wzburzony. Chcę go dotknąć, ale z jakiegoś powodu nie potrafię.

– Nie mogę z tobą być, wiedząc, że to mój ojciec ci to zrobił – wyjaśnia. – Jestem rozdarty między wami. Cokolwiek bym zrobił, w którą stronę poszedł, zrobię źle.

– Posłuchaj mnie, Art – mówię, czując wzrastającą panikę. Nie mogę go stracić. Jeśli go stracę, zostanę z niczym.

– Nie, to ty mnie posłuchaj. W autobusie zachowałeś się właściwie, ale to było dla nas złe. Gdybyś była taką egoistką jak ja, nie zrobiłabyś tego. Gdybym był tak silny jak ty, broniłbym cię. Stałbym w tym autobusie u twojego boku. Tymczasem ja patrzyłem w milczeniu na to, co robisz. Pozwoliłem pojmać kogoś, kogo kochałem...

Kochałem? On mnie kochał! Czy kocha mnie nadal? Radość z tej myśli zabija niepewność.

– To nie twoja wina, Art. Nic z tego, co się stało, nie jest twoją winą. Nie mogę cię stracić. Co ze szkołą? Co ze studiami? – Próbuję przemówić mu do rozsądku. – Możemy zrobić wszystko to, co sobie zaplanowaliśmy, a potem gdzieś wyjechać, z dala od wszystkich. Nie będziemy się spieszyć, wymyślimy jakiś plan.

– Gdzie, Celestine? Gdzie wyjechać? – pyta i znów wyczuwam w jego głosie, że jest na mnie zły. – Nie wolno ci opuścić kraju. Nie możesz nigdzie wyjechać bez powiadomienia demaskatorów. Naznaczeni są pod stałym nadzorem. Muszą zgłaszać demaskatorom każdy swój ruch. Jeśli się przeprowadzisz, przydzielą ci nowego. I on będzie wiedział. Mój ojciec zawsze będzie wiedział, gdzie jesteście. Nigdy się od niego nie uwolnimy. Nasze życie stanie się piekłem.

– Jakoś sobie poradzimy. – Chciałabym, żeby przestał chodzić w tę

i z powrotem.

Wystarczyłoby mi samo bycie z moim ukochanym, nawet gdybym musiała żyć wedle reguł Naznaczonych, ale jemu to nie wystarczy. Bosco wyszedłby ze skóry, żeby uprzykrzyć nam życie.

Za to uświadamiam sobie, że coś, co Art powiedział, sprawia, że zaczynam szybciej myśleć. Każdy Naznaczony ma demaskatora, każdy Naznaczony ma swoje akta, znane jest miejsce jego pobytu. Serce mi łomocze z podeksycytowania.

– Art, czy możesz mi pomóc kogoś znaleźć?

– Kogo?

– Jednego Naznaczonego. Na imię ma Carrick.

– Jak? – Mruży oczy.

– Carrick. Nie wiem, jak ma na nazwisko. Siedział obok mnie w celi. Muszę go odnaleźć.

Zaciska szczękę.

– Tak? Zbliżyliście się do siebie, co? Jak z Loganem?

– Art! – wołam zaskoczona.

– Przepraszam, Celestine. Nie wiem już, kim jesteś, dlatego w ciebie wątpię.

– Bardzo dobrze wiesz, kim jestem. – Z trudem przełykam ślinę.

Jeszcze raz się mi przygląda. Wzdycha i zamyka oczy. Napięcie go nie opuszcza, ciąży mu. Nie wiem, gdzie się ukrywa, jego ubrania pachną ziemią.

– Carrick był mi życzliwy, Art. Byłam tam całkiem sama, tak jak on, i on się o mnie troszczył. Chcę mu tylko podziękować. Chcę wiedzieć... jak teraz żyje. Czy czuje się tak samo jak ja. Miło by było porozmawiać z kimś, kto rozumie...

– Uważasz, że ja nie rozumiem?! Zapomnij o nim! – Odchodzi.

– Wiesz, jak ciężko mi się było tu dziś dostać? Ludzie ojca wszędzie mnie szukają. Wiesz, czym ryzykowałam? Czym ryzykowałam dla ciebie? Ja próbuję ci coś wytłumaczyć, a ty mnie prosisz, żebym znalazł jakiegoś gościa ze Skazą, którego poznałaś w areszcie? Chodzisz na imprezy, jakby nic się nie stało? No, to bardzo się cieszę, że u ciebie wszystko w porządku – cedzi przez zęby i wściekłym krokiem rusza przez alejkę książek.

Na początku dębieję, lecz już po chwili biegnę za nim, bo zdaję sobie sprawę, że go tracę. Docieram na koniec alejki. Arta nigdzie już nie widać, zniknął. Sprawdzam kolejne rzędy. Rozpłynął się. Straciłam go. Przebiegam każdy rząd. Kręci mi się w głowie i zastanawiam się, jak Art się stąd wydostał, aż w końcu natrafiam na wąskie metalowe drzwi, wyglądające na służbowe. Naciskam na klamkę, spodziewam się, że ani drgną, jednak one się otwierają. Wchodzę do pomieszczenia, gdzie woźny Murray segreguje odpady, trzyma narzędzia i sprzęt. Właśnie między kartonowe pudła i układa je w równy stos. Nawet na mnie nie patrzy.

– Wracaj do środka.

– Co? Szukam kogoś.

– Wiem, kogo szukasz. Wracaj do środka. – Wtedy podnosi wzrok i widzę jego ostrzegawcze spojrzenie, więc powoli się wycofuję.

Wtedy zza jednego z ogromnych kubłów na śmieci wypada reporter i zaczyna pstrykać zdjęcia. Flesz lampy wprawia mnie w stan zupełnej dezorientacji.

Woźny każe mu przestać, zaczyna cytować przepisy i akty prawne. Paparazzi nie słucha i dalej pstryka. W pewnej chwili obniża aparat i widzę na jego ustach szeroki uśmiech. Pewnie nie może uwierzyć we własne szczęście, że uchwycił coś takiego. Jego zadowolona gęba zmusza mnie do działania. Chowam się w bibliotece, zatraskując za sobą drzwi. Serce bije mi tak mocno, że słyszą je chyba nawet książki.

Dopiero wtedy zaczynam się zastanawiać, jak w kanciapie woźnego znalazł się dziennikarz. Co widział? Czy widział Arta, a potem mnie? Nie złamałam żadnych zasad, a i tak zaczynam panikować, bo jest jedna osoba, która chce zobaczyć Arta niemal tak samo jak ja, a może nawet bardziej, i zrobi wszystko, żeby się dowiedzieć, gdzie on jest.

Crevan mnie dorwie.



Opowiedz mi o tym, jak ostatni raz widziałaś Arta Crevana – mówi Pia, siedząc ze mną w bibliotece naszego domu tego samego dnia, w którym straciłam swojego chłopaka.

Jestem wyczerpana i nie w nastroju, żeby z nią rozmawiać. Za wszelką cenę staram się zachować czujność ze względu na to, że ona pracuje dla Crevana. Obawiam się, że za chwilę jego armia zacznie walić do drzwi, żeby wyciągnąć ze mnie informację, gdzie się ukrył syn sędziego.

Jestem wyczerpana przez nasze rozstanie, brak snu i nieustanne wyobrażanie sobie znamion Carricka. Stresuję się tym, że zostałam przyłapana przez fotografa. Opadam z sił. Zabrali mi całe dobro, jakie w sobie miałam, teraz jestem wydmuszką pełną strachu. Jednak pytanie Pii o Arta sprawia, że prostuję się w fotelu. Ona zauważa, jak się cała spinam, a ja złoścuję się na siebie, że dałam po sobie poznać, jaki to dla mnie ważny temat.

– Wszyscy wiedzą, co się stało w Dzień Ogłoszeń. Art był w sądzie. Pokazali to w telewizji. Jeśli chcesz znać szczegóły, obejrzyj powtórkę.

– Nie o to pytałam. – Przypomina kota, kiedy ociera o siebie swoje błyszczące łydki, ubrana w zbyt wąską spódnicę. – Nachyla się do mnie z przebiegłym uśmiechem na ustach. – Przyłapałam cię na dwóch kłamstwach, Celestine. Pierwsze – zagina palec zakończony wypielęgowanym paznokciem w kolorze brzoskwini – spotkałaś dziś Arta w bibliotece. Widziałam zdjęcia, jak tam wchodzi. Zakładam, że tam się spotkaliście. I zatrzymam to dla siebie, jeśli będziesz współpracować i udzielisz mi porządnego wywiadu. – Serce mi wali. – Drugie: nie otrzymałaś szóstego znamienia. Nie ma na to dowodów, dokumentacji, żadnych wzmianek w papierach. Sprawdziłam twoją

teczkę.

Rozsiada się wygodnie, wyraźnie czerpiąc przyjemność z widoku mojej zaskoczonych miny.

– Przestraszyłaś mnie, mówiąc coś takiego, Celestine, i taki chyba miałaś zamiar. Może chciałaś, żebym się skonfrontowała z sędzią Crevanem, napisała pełen oburzenia artykuł, wywołała zamęt. Takie słowa mogą się okazać bardzo niebezpieczne, Celestine. Podobne oskarżenia mogłyby ugodzić w Crevana i Trybunał, nie mówiąc już o mnie, więc nie dam ci się zmanipulować. – Wang jest zdenerwowana.

Znów ktoś próbuje mnie wykorzystać. Zdjęcia Arta to ostrzeżenie.

Część mojego mózgu, o której istnieniu wcześniej nie wiedziałam, włącza się automatycznie, zaczyna kombinować, knuć, planować. Muszę działać. Nie miałam pojęcia, że naznaczenie mnie szóstym znakiem może ściągnąć na Crevana kłopoty, zaszkodzić Trybunałowi. Czy to możliwe? Gdybym o tym wiedziała, byłabym bardziej ostrożna. Nie palnęłabym tego ot tak. Czy to znaczy, że mam jakąś władzę?

– Czy twoim celem jest obalić Crevana, Celestine? Próbujesz wciągnąć Arta w swój plan? Nastawić go przeciw ojcu? Czy to Enya Sleepwell jest inicjatorką tych prób wrobienia sędziego? Co ty, na Boga, zamierzasz, Celestine?! Bo jedno jest pewne: coś planujesz.

Jest z siebie zadowolona, jakby odkryła wielki spisek. Czeka, aż się załamie, rozplaczę, przyznam. W zamian zaczynam się głośno śmiać. Poddała mi pomysł.

Skonsternowana moją reakcją, wierci się w fotelu i poprawia spódnicę.

– Założę się, że nie zapytałaś Crevana o szóste piętno – mówię.

– Oczywiście, że nie. – Jest wyraźnie podenerwowana.

– Spodziewałam się tego. Boisz się go. Wiesz, że jest nieobliczalny.

– Sędzia Crevan nie jest nieobliczalny – odpowiada tak, jakby ktoś się nam przysłuchiwał, jakbym ją wrabiała. – I nie boję się go. Po prostu nie miało sensu pytać go o coś tak niedorzecznego. Musiałabym mieć dowody. Zapytałam twoją matkę – mówi, posyłając mi kolejny cwany uśmieszek. – Nawet ona nie chciała potwierdzić twoich słów. Nie było jej w galerii, kiedy wypalano ci piątą Skazę, Celestine, nie było żadnego

świadka. Twoją rodzinę wyprowadzono z powodu niedopuszczalnego zachowania. Wszystko jest w raportach.

Raporty kłamią.

Nic dziwnego, że mama była zdenerwowana, gdy wróciłam ze szkoły. Myślałam, że to przez obecność Pii, lecz tak naprawdę powodem były pytania o szóstą Skazę. Bała się, że dziennikarka o tym napisze. Mama nie wie jednak tego, co ja. Crevan nie powinien był tego robić, a Pia nigdy o niczym nie napisze, bo sędzia jej na to nie pozwoli.

– Kto napisał raporty?

– Strażnicy na służbie.

Tina, June, Bark, Funar. Skłamali dla Crevana.

– Czyli mój wielki plan nie wypali, ponieważ nie ma dowodów.

– Ani śladu – odpowiada dziennikarka z szerokim uśmiechem.

Zastanawiam się nad tym. Wspominam chwilę, kiedy to się stało, ból i siłę, jaką w sobie znalazłam, żeby się nie poddać i nie okazać skruchy. Najbardziej bolesna chwila mojego życia była jednocześnie chwilą, w której okazałam najwięcej siły i odwagi. Myślę też o Carricku, jego dłoni na szybie. Pamiętam pana Berry'ego i jego uniesiony telefon, którym nagrywał zdarzenie. Nigdy wcześniej nie pomyślałam, że to ważne, że istnieje dowód, którego potrzebuję, ale jej o nim nie powiem. Z jakiegoś powodu mój prawnik nie ujawnił swojego filmiku. Muszę go zdobyć. To nagranie to władza i być może dlatego pan Berry trzyma je w tajemnicy – wykorzysta je do własnych celów.

– Jeśli chcesz, w każdej chwili mogę ci pokazać dowód.

Rozgląda się wokół, myśli pewnie, że ktoś zaraz wyskoczy z ukrycia.

– Zanim ci go pokażę, musisz mi jednak obiecać, że będziesz po mojej stronie – mówię, by odwrócić sytuację. – Nie napiszesz o tym, że widziałam się dziś z Artem, i nie opublikujesz zdjęć. Używasz ich tylko po to, żeby mnie zastraszyć. Jestem tego pewna, bo gdyby Crevan się dowiedział, że wiedziałas, gdzie był dziś jego syn, i nic mu nie powiedziałaś, czekałaby cię sroga kara. Wiedziałaś, gdzie jest jego drogi Art, i pozwoliłaś mu uciec? Wiesz, jak długo go szuka? Mogłabym w tej chwili pójść na drugą stronę ulicy i o wszystkim mu powiedzieć.

Podziałało. Pia się go boi.

– W porządku – mówi, przetykając ciężko ślinę. – Nic nie opublikuję. No to gdzie ten dowód?

Próbuje udawać, że wcale mi nie wierzy, lecz widzę jej strach. Boi się, że szósty Znak naprawdę istnieje. Boi się, że głowa Trybunału to oszust, że wszystko, w co wierzyła, to kłamstwo.

Wstaję. Podchodzę do niej bliżej, na co Pia wbija się w fotel i zaciska dłonie na podłokietnikach, szykuje się na widok, który ją czeka. Odwracam się i unoszę koszulkę, obniżam pasek spodni, żeby widziała dolną część mojego kręgosłupa.

Nie widzę jej twarzy, za to słyszę jej oddech. Skaza na moich plecach jest aż tak ohydna. Wrywałam się podczas piętnowania. Bez znieczulenia bolało wściekle i – o ironio – © nie jest ani trochę idealne. To tylko czerwona, napęczniała skóra. Opuszczam koszulkę, lecz już nie siadam.

– Dziękuję, Pio. To był bardzo pouczający wywiad.

Zamiast mnie zdemaskować, podsunęła mi pomysł. Jeśli z szóstym piętnem posiadam moc, żeby obalić Bosco, zrobię to. Wtedy Art i ja będziemy mogli być razem. Żeby tego dokonać, będę potrzebować więcej dowodów i pomocy. Muszę dostać nagranie pana Berry'ego. I jeszcze jedno. Nie będę już dłużej na niego czekać. Muszę znaleźć Carricka.



Art nie odezwał się do mnie, odkąd się rozstaliśmy w bibliotece. Raz za razem odtwarzam w pamięci nasze spotkanie i próbuję sobie wmówić, że nie powinnam była wspominać o Carricku. Co za idiotyczne posunięcie. Gdybym się powstrzymała, między Artem a mną wszystko byłoby w porządku.

W głębi serca wiem, że to nieprawda. Nie mogę tolerować jego napadów zazdrości w imię bycia z nim. Wtedy, w bibliotece, nie było między nami jak dawniej. Wszystko wydawało się inne. Art nie mógł się nawet zdobyć na to, żeby mnie pocałować. Jedyne, czego jestem pewna, to że wczoraj chciałam odnaleźć Carricka, żeby mu podziękować. Dziś nie chodzi o podziękowania, muszę go znaleźć, bo potrzebuję jego pomocy, żeby wprowadzić mój plan w życie. Jeśli istnieje choć jedna osoba, która chce rozprawić się z Crevanem tak bardzo jak ja, to jest to właśnie Carrick. Sama nie dam sobie rady.

Moją ostatnią lekcją tego dnia jest francuski. Nauczycielka nie chce mnie uczyć, więc znów będę siedzieć w bibliotece. To świetna okazja, żebym spędziła trochę czasu sama ze sobą i udała się gdzieś bez niczyjej wiedzy.

Spotykam Juniper na korytarzu. Wokół nas kłębi się tłum.

– Frajerzy – mruczy moja siostra.

– Juniper, powiedz mamie, że musiałam gdzieś pójść po lekcjach, i żeby na mnie nie czekała. Jedźcie do domu beze mnie.

– Co? Wpadnie w panikę. Gdzie się wybierasz?

– Powiedz jej, że nic mi nie będzie, że postanowiłam być niezależna, wziąć się za bary z nowym życiem i takie tam. Łyknij to.

Moja siostra podejrzliwie mruży oczy.

– Co ty knujesz, Celestine?

Tkwimy w martwym punkcie. Nie ufamy sobie nawzajem.

- Powiedz mamie, że umówiłam się z Pią Wang na wywiad.
- A umówiłaś się?

Przewracam oczami i odchodzę. Nie tylko ona może potajemnie się z kimś spotykać.

Muszę sobie jeszcze poradzić z Susan, sekretarką dyrektora, która zaczęła mnie niańczyć. Sprawdza, czy jestem w bibliotece, postanawiam więc się wymknąć sekretnymi drzwiami Arta. Próbuję je otworzyć, niestety są zamknięte. Walę w nie i kopię, sfrustrowana, bo absolutnie nic nie idzie po mojej myśli.

W końcu osuwam się po nich na podłogę i zaczynam płakać. Wtedy nagle się otwierają, a ja wpadam do schowka woźnego. Nade mną stoi pan Murray.

Staję na nogi.

– Nie pomogłem ci – mówi jedynie, po czym wraca do swojej pracy.

Nie wychodzę na zewnątrz. Chociaż chcę skorzystać z okazji i poszukać Carricka, nie mam zamiaru władować pana Murraya w kłopoty. Pracował tu jako woźny, odkąd zaczęłam szkołę, a nawet wcześniej.

– Pomaganie mi jest niezgodne z prawem – podpowiadam i w ten sposób daję mu jeszcze jedną szansę, żeby zamknął mi drzwi przed nosem.

– Nie dla wszystkich – odpowiada, wciąż na mnie nie patrząc i wycierając brudne od błota buty o wycieraczkę. – Na spodzie stopy mam Skazę, a nie ma przepisu, który zabrania Naznaczonym pomagać sobie nawzajem.

- Co? – Gapię się na jego buty, które nadal wyciera z błota.
 - Musisz mi uwierzyć na słowo.
 - Ale... ale nie ma pan opaski.
 - Zgadza się, dlatego nikt o tym nie wie. Jestem poza systemem.
- W końcu na mnie spogląda.
- Nigdy wcześniej o czymś takim nie słyszałam.
 - Są szczeliny, przez które można się prześlizgnąć. Tobie będzie

trudniej, bo wprost wyskakujesz ludziom z lodówki, ale jeśli tylko dobrze poszukasz, na pewno coś odkryjesz. Oni nie zawsze wygrywają. Uważaj na siebie.

Kiwam głową, zupełnie zaskoczona.

– Dzięki.

Biegiem oddalam się od szkoły. Znikam między drzewami i tak udaje mi się umknąć dziennikarzom. Nie chcę jechać autobusem, to by skupiło na mnie zbyt wiele uwagi, więc wypożyczam rower miejski. Na terenie miasta znajduje się trzydzieści stanowisk. Pożyczasz rower na jednym, jedziesz, gdzie chcesz, a potem odstawiasz go na kolejnym. Zamek Highlandzki to jedno z najliczniej odwiedzanych przez turystów miejsc w mieście, poza tym pracuje tu wielu ludzi, więc i stacja rowerowa jest tu największa.

Przejeżdżam przez most Humming, omijam turystów. Ciężko mi wjechać pod górę, więc schodzę z roweru i pcham go po ulicy, o ironio, nazywającej się Stroma. Nie sądzę, żeby ktokolwiek jeździł nią rowerem do Zamku. Zwracam rower na stacji i słyszę znajome wyzwiska i krzyki na dziedzińcu. Wracają wspomnienia, jestem tak przerażona, że staję jak wryta. Dopiero po chwili dociera do mnie, że to nie ja jestem ich adresatką. Ktoś inny idzie na swoją rozprawę.

Ponieważ przejście oskarżonych zajmuje całą uwagę zebranych, nikt nie zwraca na mnie uwagi. Na stoisku z pamiątkami kupuję czapkę z daszkiem, upewniam się, że nie zasłaniam nią blizny, gdyby ktoś mnie złapał, po czym wchodzę w tłum. W samą porę, żeby zobaczyć, jak ku Wieży Zegarowej idą kobieta i mężczyzna, którzy trzymają się za ręce. Kobieta zanosi się łzami i oboje mocno się w siebie wtulają. Prowadzi ich czterech strażników, po dwóch z każdej strony, ale kompletnie ich nie poznaję. Bardzo dobrze, mogę wślizgnąć się do Wieży Zegarowej w czasie rozprawy i porozmawiać z Tiną. Mam nadzieję, że po tym wszystkim, co przeszłam, da mi adres Carricka.

Tłum nie jest tak liczny jak podczas mojego procesu. Patrzę na stanowisko Pii, która na żywo się dzieli swoimi uprzedzeniami i refleksjami na temat kolejnych Naznaczonych.

– Jesteście ohydni! – krzyczy kobieta stojąca obok mnie i pluje na przerażoną parę. Jej flegma leci w powietrze i ląduje na bucie kobiety.

Aż się wzdrygam.

Oskarżona zaczyna jeszcze bardziej płakać i mocniej wtula się w ramię swojego partnera.

– Widzieliście jej minę?! – śmieje się kobieta obok mnie, a z nią inni gapie.

– Trzeba było celować w twarz – mówi gniewnie jakiś mężczyzna.

– Co takiego zrobili? – pytam.

– Nie czytasz gazet? – odpowiada zaskoczona kobieta. – Wszędzie o tym piszą.

Kręcę głową i widzę, że ona się cieszy z tego, że jako pierwsza może mi opowiedzieć tę historię, jak gdyby demaskowanie ludzkich obrzydliwości było jedyną rzeczą dającą jej siłę do życia.

– Ona i jej mąż zabrali ze szpitala swojego umierającego syna bez zgody lekarzy, bo nie akceptowali zaproponowanej metody leczenia. Przelecieli z małym pół świata, ukrywali się całymi tygodniami.

Biedaczek mógł umrzeć. Zabrali go do Hiszpanii, żeby leczyć go tam innym sposobem. – Przewraca oczami. – A co jest złego w naszych szpitalach? Nie mogą się tak zabawiać w Boga.

– A... czy ta inna metoda leczenia zadziałała?

– Wrócili dziś rano. Demaskatorzy zgarnęli ich, zanim jeszcze wysiedli z samolotu. Chłopiec wrócił do szpitala. Czuje się świetnie. Będą kontynuować tę nową metodę. Przesłuchiwała ich hiszpańska policja, ale puścili ich wolno. Najwyraźniej w innych krajach to zgodne z prawem, u nas jest to nie w porządku. Ten chłopiec mógł umrzeć w samolocie!

Kręcę głową. Ona jest zadowolona, bo myśli, że się z nią zgadzam, lecz to nieprawda. Wiem już, że jestem całkowicie przeciwna decyzjom Trybunału. Kobieta spuszcza wzrok i widzi © na moim rękawie.

Otwiera szeroko oczy, a jej twarz wykrzywia obrzydzenie. Zanim zdąży kogokolwiek zawołać, przepycham się przez tłum ku Wieży Zegarowej.

Wita mnie recepcjonistka.

– Chciałabym się widzieć ze strażniczką Tiną.

– Obawiam się, że to niemożliwe – mówi.

Ściągam czapkę i ujawniam swoją tożsamość.

– Znam ją. Byłam tu przetrzymywana dwa tygodnie temu. Chcę ją

tylko o coś zapytać.

– Wiem, kim jesteś – odpowiada grzecznie, niewzruszona swoją osobą ani opaską, bo widuje takie codziennie. – Tina już tu nie pracuje.

– Aha. – Jestem rozczarowana i próbuję wymyślić coś innego.

– A Bark?

– Niestety, jego też już tu nie ma.

Mam złe przeczucia.

– A June?

Recepcjonistka kręci głową.

– Funar? – pytam niechętnie. Z niego akurat pewnie niczego nie wyciągnę, jednak przynajmniej muszę spróbować.

– On także nie jest już tutaj zatrudniony.

– Co? Dziwne... – Wyteżam głowę. – Był jeszcze jeden strażnik. Nie pamiętam jego imienia. Rude włosy...

– Tony. On także już tu nie pracuje – brzmi cicha odpowiedź.

Patrzę na nią, oniemiała z wrażenia.

Widzę, że kobieta czuje się niezręcznie. Spogląda w kąt pomieszczenia, gdzie zauważam kamerę monitoringu.

– Czy mogę w czymś jeszcze pomóc? – pyta łagodnym tonem.

– Muszę się zobaczyć z panem Berrym – mówię nagłym tonem.

Nie ma już żadnych strażników, którzy na własne oczy widzieli, co zaszło w Izbie Naznaczeń. Nie pomogą mi też się skontaktować z Carrickiem. Muszę się spotkać z panem Berrym. Muszę natychmiast dostać ten film.

Kobieta ma minę, jakby jej ulżyło, że może pomóc w innej sprawie.

– Od jakiegoś czasu nie widziałam pana Berry'ego. Wydaje mi się, że jest na wakacjach, ale sprawdzę, czy nie wrócił. – Wybiera jego numer, a potem rozłącza się z rozczarowaną miną.

– Niestety nie ma go w kancelarii. Mam przekazać wiadomość?

– Proszę mu przekazać, żeby do mnie zadzwonił. To pilne.

– Oczywiście.

– Czy mogę dostać jakieś dane kontaktowe Tiny? Numer telefonu? Adres e-mailowy? Cokolwiek. Chcę ją tylko o coś zapytać. Nie będę się jej w żaden sposób naprzykrzać, jeśli o to chodzi.

Kobieta zagryza wargę.

– Właściwie nie powinnam... – Wyczuwam wahanie.

– Chwileczkę. – Wstaje i wychodzi przez drzwi za swoimi plecami, a ja czekam, zdziwiona, że żaden ze strażników już tu nie pracuje.

Bębnię palcami w kontuar, patrząc na zegar. Niedługo mama przyjedzie po Juniper. Dostanie szafu, gdy się dowie, że nie wracam z nimi. Muszę coś zdziałać, żeby podjęte ryzyko mi się opłaciło.

Kiedy drzwi znów się otwierają, spodziewam się recepcjonistki, lecz wyłania się zza nich Crevan. Serce bije mi jak oszalałe. Ostatnio widziałam go w Izbie Naznaczeń. Wszystko do mnie wraca: jego spojrzenie szaleńca, gdy krzyczał do mnie, żebym okazała skruchę, podczas gdy on zadawał mi niewyobrażalny ból. Ma na sobie czerwoną pelerynę i jest gotowy do rozprawy. Zaczynam ciężko dyszeć. Boję się go. Nie widzę już ojca Art. To inny człowiek, zły człowiek. Rozumiem, dlaczego Art nie może dłużej znieść widoku swojego ojca. Ja też nie mogę, każdy skrawek mojego ciała drży w sposób nie do opanowania.

Twą stojącą za nim recepcjonistki stała się purpurowa. Ma w dłoni karteczkę i wiem, że to dane Tiny, które tak bardzo chcę mieć. Jeśli teraz ich nie dostanę, nigdy mi ich nie da. Jednak Crevan patrzy to na nią, to na mnie. Jeśli wyrwie jej karteczkę z ręki, to już po mnie.

– Celestine – mówi, rozdymając szeroko nozdrza, jakby po całym pokoju rozniósł się smród. Jeszcze nikt nie patrzył na mnie z taką nienawiścią. – Co tu robisz?

– Co tu robię? – pytam i słyszę drżenie w swoim głosie.

Mój oczywisty lęk tylko dodaje mu siły i wywołuje u niego rozbawione, protekcyjne spojrzenie.

– Ja... ja... – Nie jestem w stanie jasno myśleć. Nie mogę skłamać, a nie potrafię wpaść na żadną odpowiedź, która nie mijałaby się z prawdą. Jaka jestem głupia, że wpakowałam się w taką sytuację.

Robi mi się słabo.

A gdybym po prostu uciekła? Goniłby mnie?

– Tu jesteś. – Zza moich pleców profesjonalnym tonem odzywa się nagle Pia Wang. – Szukałam cię. Już jestem wolna.

Tego mi było trzeba: Pia i Crevan razem.

Pia staje koło mnie i spogląda na niego.

– O, dzień dobry, panie sędzio. Jak mija dzień? Celestine i ja umówiliśmy się na kolejną rozmowę. Szukałaś mnie? – pyta.

Patrzę na nią w osłupieniu. Pomaga mi?

Kiwam głową.

Recepcjonistka mnie karteczkę w dłoni, na co czuję w sercu ukłucie rozczarowania.

– Chodźmy, za rogiem jest kawiarnia – mówi. – Miło było pana widzieć, panie sędzio – dodaje pewnym siebie tonem i wyprowadza mnie z Wieży.

Idę za nią na trzęsących się nogach, nie oglądam się na Crevana w obawie, że mnie zawoła. W Zamku są liczne wąskie pasáže i brukowane uliczki. Pia prowadzi mnie do małej kawiarenki, w której mieści się pięć ciasno rozlokowanych stolików. Musiała wiedzieć, że będzie pusta. Piegowaty nastolatek za barem robi nam kawę, po czym siada na krześle barowym i zajmuje się swoim telefonem. Nawet jeśli słyszy każde nasze słowo, wątpię, żeby cokolwiek go to obchodziło.

Do tego czasu udało mi się już uspokoić.

– Co ty tu robisz? – pyta Pia.

– Szukam cię, to chyba wiadomo – mówię sarkastycznie. – I bingo!

Patrzy na mnie podejrzliwie. Jeślibym jej nie przytaknęła, chciałyby wiedzieć, po co naprawdę tu jestem. Nie mogę jej powiedzieć, że szukam Carricka.

– Myślałam o twoim dowodzie – mówi, patrząc na nastolatka, a potem na mnie.

– Tak?

– To się nie trzyma kupy. Równie dobrze sama mogłaś to sobie zrobić.

Krztuszę się kawą i Pii przynajmniej robi się głupio.

– Albo ktoś inny mógł. Nie ma dowodu na to, że... że on to zrobił.

– Zdecydowanie coś jest z tobą nie tak, jeśli sądzisz, że wypaliłabym sobie skórę na plecach rozgrzanym do czerwoności żelazem bez środków znieczulających – mówię nieco głośniejszym głosem niż zamierzałam, ale Pia strasznie mnie wkurza.

Obie zerkamy na nastolatka, jednak chłopak nie spuszcza oka z telefonu.

– Po prostu nikt nie jest w stanie potwierdzić twojej historii – mówi dziennikarka. – Twoją rodzinę i pana Berry’ego wyprowadzono z Izby Naznaczeń jeszcze przed piątym piętnem. Galeria była pusta. Raport kończy się wraz z wykonaniem wyroku.

Pia naprawdę nic nie wie o Carricku i filmie Berry’ego, a Funar pewnie nikomu się nie przyznał, że ich nie powstrzymał i w ostatniej chwili wpadli do galerii.

– Rozmawiałaś ze strażnikami? – pytam.

– Nie. Wystarczy, że przeczytałam raporty. Strażnicy je piszą.

– Tak, ale czy z nimi rozmawiałaś?

– Nie.

– Ciekawe. – Dopijam kawę i wstaję. Odzyskałam pewność siebie, chociaż mam ogromną nadzieję, że nie wpadnę znowu na Crevana. To jasne, że w jego obecności staję się bezsilna. – Muszę wracać do domu, bo inaczej mama będzie się martwić. Powinnaś porozmawiać ze strażnikami. Byli bezpośrednimi świadkami napiętnowania. Może powiedzą ci coś nowego. Tina, June, Bark, Funar i Tony. Zapytaj o nich na recepcji.

Pia wyciąga długopis i zapisuje imiona. Prędkość, z jaką reaguje, ujawnia, jak rozpaczliwie pragnie poznać prawdę. Skoro ja nie mogę ich znaleźć, niech ona wykona za mnie robotę. I to wcale nie znaczy, że mogę jej zaufać i że opublikuje całą prawdę.

– Dziękuję za kawę – mówię. Wkładam czapkę z daszkiem, poprawiam opaskę z © i wracam do świata. Zostawiam panu Berry’emu trzy wiadomości na poczcie głosowej, proszę, żeby jak najszybciej oddzwonił.

Jest jeszcze jedno miejsce, które chcę odwiedzić, zanim wrócę do domu.

Jedna z zasad dotyczących Naznaczonych głosi, że nie wolno ich chować w grobach rodzinnych, wyznaczono dla nich specjalny cmentarz. Idea jest taka, że nie można zmusić zwykłych, przestrzegających zasad członków społeczeństwa, żeby leżeli po wieczność w ziemi obok Naznaczonych. Idę na jedyny cmentarz dla Naznaczonych w mieście. Otacza go jaskrawoczerwone ogrodzenie.

Na cmentarzu znajduje się lista spoczywających na nim ludzi, wraz

z wymienionymi przewinieniami, filozofią Naznaczeń. Nawet po śmierci nie można od nich uciec. Nie muszę pytać w informacji, gdzie jest grób Claytona Byrne'a – nietrudno go znaleźć. Wygląda jak mogiła męczennika. Jedną jej stronę pokrywają sterty świeżych kwiatów i znicze, wyraz szacunku dla człowieka, który zginął w wyniku tragicznych wydarzeń. Jego grób stał się miejscem, które odwiedzają Naznaczeni z nadzieją, że Clayton jest symbolem zmiany, że jego przykład rozjaśni ich los. Świadczą o tym liczne karteczki, które tu pozostawiono.

Jest też druga grupa odwiedzających. To ci, którzy uważają, że śmierć staruszka jest symbolem klęski i braku nadziei. Ich poglądy oddają czarne róże oraz świece stojące po drugiej stronie grobu. Patrzą na kolory i na ciemność, na nadzieję i rozpacz, i nie wiem, ku której stronie się skłaniam.

Siadam przy grobie i zapalam dwie świece: czarną i białą. Oplakuję jego stratę i moją.



Otwieram drzwi wejściowe i wychodzę przed dom. Paparazzi gapią się na mnie zaszokowani. Jeden z nich zastyga z kanapką uniesioną w połowie drogi do ust. Po raz pierwszy od zajścia w autobusie użyłam tych drzwi, dotąd zawsze korzystałam z garażu. Nawet po samotnej wizycie na grobie Clayтона zadzwoniłam do mamy, żeby mnie stamtąd odebrała. Natychmiast po mnie przyjechała i choć odchodziła od zmysłów ze zmartwienia, okazała mi zrozumienie. Ona wiedziała, że to dla mnie dobry krok.

Wciąż nienawidzę tłumu przed domem. Nawet wjazd do garażu nie powstrzymuje naporu kamer i aparatów na szyby auta. Ale tu przynajmniej reporterzy nie mogą mierzyć obiektywem pod spódnice mamy albo Juniper podczas wysiadania. Prasowe hieny wciąż liczą na sensacyjne ujęcie odsłoniętej nogi lub rozsuniętych ud, pewnie to ta wizja nie pozwala im spasować.

Mama właściwie zawsze pojawiała się na internetowych portalach. Z przyjemnością ogląda się kogoś, kto dzień w dzień wygląda świetnie. Nic dziwnego, że reporterzy z brukowców wciąż wracają po więcej, co dzień analizują jej stroje i podpisują jej zdjęcia nagłówkami typu: „Summer North znów się chwali długimi nogami” albo „Summer North eksponuje swoje smukłe ciało”. Rozumiem, że dla mediów „chwali się” i „eksponuje” zwyczajnie oznacza, że „ma”. Opisują ubrania mamy jako „dopasowane” lub „odważne”, a jeśli włoży kostium ze spodniami, piszą, że „się zakrywa”, jakby kobiety, które nie pokazują całego ciała, coś ukrywały.

Tymczasem reporterzy patrzą na mnie w pełnej osłupienia ciszy, więc wykorzystuję tę chwilową przewagę i idę na nasz podjazd. W końcu przypominają sobie, z jakiego powodu koczują przed naszym domem. Chwytają za aparaty, kamery, mikrofony i biegną za mną.

Przechodzę przez ulicę, gdy mnie doganiają. Jestem ciasno otoczona, wprost nie widzę, gdzie idę, bo oślepiają mnie flesze, a dziennikarze blokują drogę. Potrącają mnie aparatami i przepychają się, żeby złapać najlepsze ujęcie. Muszę się między nimi precyzyjnie przemieszczać, jakby ich tu nie było. Niektórzy krzyczą: „Zróbcie jej miejsce!”, podczas gdy ktoś inny woła do mnie, żebym posłała mu całusa. Staram się nie reagować. Wiem, że właśnie na to czekają. Spuszczam wzrok i koncentruję się na gruncie pod stopami, który jeszcze widzę. Jeśli ktokolwiek przede mną się potknie, to ja też. Mijam znak „NA SPRZEDAŻ” postawiony w ogródku Tinderów. Mediom nie wolno wejść za ogrodzenie. Wchodzę przez furtkę i dzwonię do drzwi.

Otwiera mi Bob Tinder. Wygląda na dużo starszego, niż kilka tygodni temu. Posiwiął, jest wycieńczony. Spogląda za mnie, a na widok reporterów przy bramie od razu wpuszcza mnie do środka. Niemal słyszę pełne rozczarowanie westchnienia, gdy zamykam za sobą drzwi.

– Witaj, Celestine – mówi Bob. Nie wygląda na zachwyconego tym, co przywlekło się za mną pod jego drzwi. – Colleen nie ma w domu.

– Nie przyszłam do Colleen. – To, że już się z jego córką nie odwiedzamy, najwyraźniej uszło jego uwagi. – Przyszłam na lekcję gry.

Marszczy brew.

– Jest czwartek – wyjaśniam. – Moje lekcje są we czwartki.

– Ona nie... – Przełyka ślinę, głos mu się łamie. – Ona nie grała, odkąd...

– A powinna.

– Uważa, że Skaza zniszczyła jej rękę i nie może już grać.

– Proszę jej powiedzieć, że przyszłam.

Przez chwilę się nad tym zastanawia.

– Poczekaj w pokoju muzycznym.

Idę korytarzem i wchodzę do pomieszczenia po lewej stronie. Nie byłam tu, odkąd moje życie zupełnie się zmieniło. Pokój jest ten sam, lecz reszta jest całkiem inna.

Siadam przy pianinie. Czekam. Podnoszę pokrywę i muskam palcami klawisze. Długo czekam.

Słyszę wznoszące się i opadające głosy Boba i Angeliny, którzy

rozmawiają w korytarzu. Ona nie chce do mnie przyjść.

Zmuszę ją.

Zaczynam od zagrania ostatniego utworu, jakiego mnie nauczyła, który jednocześnie jest moim ulubionym. *Nocturne Carceris*, zapadająca w pamięć melodia. Gram go lepiej niż kiedykolwiek wcześniej. I gram go z pamięci.

Nigdy nie lubiłam lekcji pianina. Wolałam się w tym czasie spotkać ze znajomymi. Także przez późniejsze ćwiczenia nie miałam czasu na oglądanie telewizji czy imprezy. To zawsze była przeszkoda. Podczas wspólnych spotkań rodzinnych proszono mnie, żebym zagrała coś dla wszystkich. Tego też nie lubiłam, bo jestem perfekcjonistką, a przynajmniej byłam, i nie mogłam się odprężyć na żadnym z przyjęć, dopóki nie nadeszła pora występu. A jeśli się pomyliłam, cały tydzień nie mogłam o tym zapomnieć. Gra na pianinie zawsze wiązała się ze stresem. Grałam dla innych. Grałam dla Angeliny na lekcjach, grałam dla moich rodziców i dla gości na przyjęciach. Nigdy nie grałam dla siebie. Nigdy nie miałam ku temu okazji.

W tej chwili wszystko się zmienia. Gram dla siebie. Gram lepiej niż kiedykolwiek, pogrążam się w swoich myślach, podczas gdy moje palce suną po klawiszach.

Kiedy byłam mała, zawsze uważałam, że aby uciec, trzeba wstać i zacząć biec, jak robią dzieci w filmach. Nienawistny krzyk, trzaśnięcie drzwiami, potem bieg. Dowiedziałam się jednak, że wielu ludzi ucieka, choć nigdzie się nie rusza. Widzę to w niedawno poprawionej chirurgicznie twarzy mamy. Widzę to, gdy tata odpływa myślami podczas obiadu. I gdy Ewan siada na podłodze i skupia się na swoich samochodach i helikopterach. Juniper ucieka, gdy nakłada na uszy słuchawki i włącza muzykę na maksa, po czym odwraca się plecami do świata.

Wcześniej nigdy nie wiedziałam, jak to zrobić. Dopiero teraz wiem.

Biegnę i biegnę, i biegnę w mojej głowie, przez niekończącą się nicość, i czuję się wolna. Kiedy otwieram oczy, widzę w drzwiach Angelinę Tinder. Czerń jej stroju odbija od śnieżnej bieli ścian. Stoi i słucha, więc gram dalej. Po chwili powoli zbliża się do mnie. Czuję ją

tuż za plecami, po chwili siada koło mnie. Boję się na nią spojrzeć, żeby jej nie spłoszyć.

Bob stoi w drzwiach i się uśmiecha. Jest szczęśliwy i smutny zarazem. Po chwili zamyka drzwi i zostawia nas same.

Kiedy kończę utwór, spoglądam na nią. W pokoju zalega absolutna cisza. Po twarzy Angeliny płyną łzy.

– Teraz ty zagraj – szepczę.

Kręci głową.

Spuszczam wzrok na jej dłonie, znów osłonięte czarnymi rękawiczkami bez palców. Trzyma je zaciśnięte w pięści na kolanach. Powoli sięgam po jej dłoń i zaciskam ją w mojej. Nie protestuje, jest raczej zaciekawiona, jakby nie miała kontroli nad własnymi rękami. Ostrożnie przyciągam jej dłoń do klawiatury i rozprostowuję palce. Sięgam po jej drugą dłoń i robię z nią to samo, tym razem pewniejszymi ruchami.

Siedzi tak w swojej zwyczajnej pozie, idealnie wyprostowana, co pasuje do niej lepiej niż jakakolwiek rękawiczka. Jej dłonie powoli zaczynają się przesuwać po klawiszach, bez przyciskania ich. Nie wydobywa się żaden dźwięk, Angelina na nowo poznaje klawiaturę. Uśmiecha się.

– No, dalej – szepczę zachęcająco.

Z gracją podnosi dłonie, a ja wstrzymuję oddech w oczekiwaniu na muzykę. Nagle szybko uderza palcami w klawisze. W górę i w dół, w górę i w dół, bam! bam! bam!, jak dziecko, które wyżywa się na instrumencie.

Aż podskakuję, złęknioma, po chwili nieruchomieję, przyglądam się jej i czekam, aż skończy z tym szaleństwem. Bo to szaleństwo, widzę je w jej twarzy. Kipi gniewem, nienawiścią i bólem. Próbuje się od nich wyzwolić, jednak jej oczy pozostają szalone i dzikie. Klawisze brzmią niepokojąco, brzęczą nieznośnie uderzane raz za razem.

Niepewnie rozglądam się wokoło, nie wiem, co robić.

– Angelino – mówię łagodnie, ale mój głos ledwie się przebija przez kaskadę dźwięków. Próbuję głośniej. – Angelino, przestań proszę!

Ignoruje mnie i dalej atakuje pianino, przechodzi z niższych tonów na wysokie, tworzy niespotykane, zniekształcone dźwięki na

instrumencie, który niegdyś brzmiał pod jej palcami tak wspaniale. Zastanawiam się, czy ona słyszy w tym muzykę, może dla niej to brzmi pięknie, skoro jej umysł został zniekształcony? Czy słyszy Mozarta tam, gdzie ja słyszę obłąd?

Angelina gra dalej, jakby mnie tu nie było, trąca mnie łokciami i prawie zrzuca z ławki. Wstaję i odsuwam się od niej. Może powinnam wezwać pomoc, bo ona ma chyba jakiś napad.

Nagle drzwi gwałtownie się otwierają.

– Co, do licha?! – woła Bob, wchodząc do środka.

Angelina wciąż nas ignoruje, pogrążona w swojej muzyce, z uśmiechem na ustach. Nie ma w niej złości, jedynie obłąkany obraz ukontentowania.

Bob stoi i obserwuje żonę w osłupieniu.

– Co to za hałas? – pyta Colleen, nagle pojawiwszy się w drzwiach. – Co się tu dzieje? – Zagląda do środka i na widok matki szeroko otwiera usta. – Coś ty jej zrobiła?! – krzyczy, przebijając się przez hałas.

– Ja? – odpowiadam zaszokowana. – Nic. Ja nic nie...

– Coś ty zrobiła mojej mamie?! – wrzeszczy wściekle i zbliża się do mnie.

Zaczynam się cofać.

– Nic. Ja nic...

Colleen nie słucha.

– Wynoś się z naszego domu! – rozkazuje mi.

Patrzę na Boba w poszukiwaniu obrony, liczę, że się zachowa logicznie, ale on jest zbyt wstrząśnięty. Podchodzi do żony, wyciąga do niej dłonie i unosi je nad jej głową, jakby bał się jej dotknąć.

Colleen zasłania uszy dłońmi, jakby nie mogła dłużej tego znieść, nie tylko hałasu, który tworzy matka, ale też innych rzeczy, jakie słyszy w swojej głowie. Swojego własnego głosu, własnej rozpacz, własnego cierpienia.

– Wynoś się! – powtarza. Obrzydzenie ma wypisane na twarzy.

Cofam się do drzwi. Ostatni raz spoglądam na Angelinę, która szaleńczo wali w klawisze, kompletnie inną kobietę, doprowadzoną do szaleństwa przez Skazę na ciele i łączące się z tym traktowanie. Wtedy

ona odrywa jedną dłoń od klawiszy i sięga po pokrywę. Druga, ta ze Skazą, wciąż przebiega przez klawiaturę. Mam nadzieję, że wreszcie przestanie grać, tak jak ją prosi mąż.

Wtedy dociera do mnie, co się zaraz wydarzy.

– Nie! Angelino! – krzyczę, na co Bob i Colleen odwracają się do mnie i przegapiają moment, jak moja nauczycielka przytrząskuje sobie pokrywą palce. Miażdży naznaczoną dłoń.

Raz nie wystarcza. Wyje z bólu, jednak nie przestaje. Pokrywa zatrząskuje się raz po raz.

– To nie jest moja ręka! To nie są moje palce! – wyje Angelina.

Dopiero wspólnymi siłami Bobowi i Colleen udaje się ją powstrzymać. Za późno, stało się. Połamała sobie palce.

Zaskoczona, wracam chwiejnym krokiem do drzwi wejściowych. Otwieram je i staję twarzą twarz z reporterami. Widzą moją minę, którą powinnam była opanować przed wyjściem do nich.

– Co się stało, Celestine?

– Planujesz przewrót?

– Organizujesz armię Naznaczonych?

– Czy Angelina Tinder jest częścią twojej organizacji?

– Czy to prawda, że zakładasz partię Naznaczonych?

Przepychem się przez nich i chwiejnym krokiem idę do domu.

Mary May czeka na mnie przy drzwiach. Prasie nie wolno jej fotografować, ale wiem, że są zachwyceni całym zdarzeniem. Czują, że zrobiłam coś złego, że znowu mam kłopoty. Mają wiadomość dnia. Po tym, co się stało w domu Tinderów, nie sądzę, żebym mogła znieść coś jeszcze.

Mary May przepuszcza mnie w drzwiach.

Juniper i mama stoją zdenerwowane w kuchni. Ewan jak zwykle biegnie na górę, jak najdalej ode mnie, bo się boi przebywać ze mną w jednym pomieszczeniu.

– Co się stało? – cicho pyta mama.

– Nic. – Juniper i ja odpowiadamy jednocześnie, po czym zerkamy na siebie i po raz pierwszy od bardzo dawna się uśmiechamy.

Moja siostra rzuca mi zmartwione spojrzenie i szepcze:

– Lepiej powiedz, co robiłaś wczoraj?

Przelykam ślinę. Myślę o spotkaniu z Crevanem. Zastanawiam się, czy odkryje, że szukałam strażników i pana Berry'ego, a jeśli tak, jaka czeka mnie kara.

Mary May maszeruje do kuchni w swoim czarno-czerwonym płaszczu i patrzy prosto na mnie. Tak się boję, że ma to jakiś związek z moją wyprawą do Zamku Highlandzkiego, że kiedy wyciąga gazetę i kładzie ją na blacie kuchennym, czuję ulgę.

Teraz wiem, że nie mogę ufać Pii. Napisała jakiś niedorzeczny artykuł o tym, że jestem ulgowo traktowana, bo nie muszę chodzić na lekcje pływania. Napisała go tylko po to, żeby dyrektor w końcu mnie zmusił do rezygnacji z zajęć w szkole. Jeśli będzie postrzegany jako ktoś, kto pomaga Naznaczonemu i ułatwia mu życie, rodzice pozostałych uczniów zażądadają jego głowy. Zdjęcie, którym opatrzony jest artykuł, zostało zrobione ukradkiem przez kogoś w szkole. Ma niby ukazywać, że zasłaniam skroń, co jest wbrew zasadom Naznaczonych.

– To nie moje zdjęcie – mówię natychmiast.

Wszystkie pochylamy się nad gazetą.

– To ja – potwierdza Juniper.

– Rozumiesz zasady, młoda damo? – Mary May zwraca się do Juniper. – Nie możesz kłamać dla siostry, bo czeka cię kara albo areszt, albo jedno i drugie.

– Nie kłamię – rzuca moja siostra i widzę, jak się zaciętrzewia. Dawna Juniper wróciła.

– W gazecie jest napisane, że to Celestine. – Mary May, poirytowana, odkłada gazetę. – To zdjęcie to bezsprzeczne złamanie zasad, Celestine. Zostaniesz ukarana.

– Proszę zadzwonić do gazety i uzyskać sprostowanie – mówi szybko mama. – Bez wątpienia popełniono pomyłkę. Znam moje córki i na zdjęciu na pewno nie widnieje Celestine.

Mary May jest niewzruszona.

– Przez cały tydzień, począwszy od poniedziałku, będzie cię obowiązywał areszt domowy. Nie wolno ci wychodzić z domu po szkole. – Podpisuje formularz, kładzie go na gazecie i znika.

– Nienawidzę jej – mówię szybko, patrząc, jak Mary May odjeżdża.

Mama mnie ucisza, mimo że demaskatorka jest zbyt daleko, żeby mnie usłyszeć.

– To tylko głupia baba w beznadziejnym przebraniu – warczy Juniper.

– Nie, nie, nie. – Mama łapie ją za ramiona i patrzy jej prosto w oczy.

Moja siostra jest zaskoczona agresywnością mamy, która dostrzega, jak dziwnie się zachowuje, i wzdycha. Prowadzi nas obie do stołu kuchennego.

– Dziewczynki, musimy być ostrożne. Myślicie, że to tylko złośliwa kobieta, ale Mary May to jedna z najbardziej doświadczonych demaskatorek. Znacie jej historię?

– Nie – odpowiada Juniper.

– Doniosła do Trybunału na własną siostrę, kiedy tylko ustanowiono zasady Naznaczonych. A gdy rodzina zwróciła się przeciw niej, doniosła na nich wszystkich. Na ojca, siostry i brata. Chodziło o coś związanego z rodzinną firmą. Wszyscy zostali aresztowani i Naznaczeni.

– Co? – wydaję z siebie jęk. – Swoją własną rodzinę?

– Może i wygląda jak baba w głupim przebraniu, jednak jest niebezpieczna. Nie sprawdzajmy, jak daleko jest w stanie się posunąć.

Przełykam ślinę i kiwam głową. Być może moja kara nie jest wcale taka straszna. Szlaban od poniedziałku to nie najgorsza rzecz na świecie. Jutro mogę iść na urodziny Logana, którymi bardzo się emocjonuję. Martwi mnie tylko to, że opóźnią się poszukiwania Carricka, a muszę go odnaleźć, zanim Crevan sprawi, że zaczną znikać kolejni ludzie.



Rozmawiałaś ze strażnikami? – pytam Pię Wang, po czym wgryzam się w jabłko.

Nagła prośba, żeby się ze mną spotkać, była powodem pojawienia się u mnie Pii w bardzo wczesny piątkowy poranek. Słyszę, jak wszyscy szykują się do szkoły i pracy, ale ja się nie spieszę, ponieważ właśnie zadzwonił dyrektor z informacją, że w konsekwencji artykułu Pii nie mogę przychodzić na lekcje do czasu, aż zostaną podjęte pewne decyzje. W końcu Crevan postawił na swoim, dzięki artykułowi dyrektor ma pretekst, żeby się mnie pozbyć. A skoro mnie wyrzucą, Art będzie mógł wrócić. Trzeba go tylko odnaleźć.

Dziennikarka ubrana jest bardzo niezobowiązująco – w dżinsy, szpilki i bawełnianą koszulkę, co jest dla niej nietypowe. Wygląda prawie jak człowiek.

– Zapytałam o Tinę, June, Barka, Funara i Tony’ego w recepcji, tak jak poleciłaś – opowiada.

– Świetnie – odpowiadam z entuzjazmem. – Dotarłaś do nich? Masz ich zeznania?

– Nie było ich w Wieży – mówi cicho. – Już tam nie pracują. Ale przecież to wiesz: sama ich tam szukałaś...

Wzruszam ramionami i odgryzam kolejny kawałek jabłka.

– Może tak, może nie. Pewnie sobie wyobrażasz, jaka jestem załamana. Teraz nie mam już żadnego bezpośredniego świadka tego, że Crevan wypalił mi szóstą Skazę.

Pia aż się wzdryga, słysząc te słowa wypowiedziane na głos.

– Moją rodzinę wyrzucono z galerii, strażnicy zostali zwolnieni i słuch o nich zaginął, pan Berry wyjechał na nieplanowane wakacje. Przez ostatnie tygodnie nie prowadził żadnej sprawy w Trybunale i nie odpowiada na telefony. Wszyscy zapadli się pod ziemię. Jakby ktoś nie

chciał, żeby ludzie obecni podczas wypalania mi znaków zaczęli o tym mówić. To chyba jakiś spisek, nie sądzisz? – odpowiadam z sarkazmem.

Pia wygląda na głęboko zaniepokojoną i siedzi sztywno w fotelu, pogrążona we własnych myślach. Dla mnie to też niepokojące, jednak staram się to ukryć. Wygląda na to, że Crevan naprawdę próbuje ukryć, to co mi zrobił, i dlatego pozbywa się naocznych świadków. Nie ma co, nie czuję się pewnie.

– Nie istnieją żadne raporty na temat nieprawidłowej pracy zwolnionych strażników – mówi Pia. – Nie otrzymali żadnych nagan przed wypowiedzeniem. Nie ma wzmianek o żadnych incydentach. O cięciach budżetowych. Nie wygasł żaden z kontraktów. Wszystko odbyło się raz-dwa. Wszyscy odeszli tego samego dnia. Dzień po twoim Naznaczeniu. Z tego, co ustaliłam, nie pracują nigdzie indziej. Zadzwoiłam na domowy numer Tiny. Nikt nie odebrał. Ma córkę, więc musi gdzieś być. Chyba jutro do niej pojedę.

– Czyli mi wierzysz? – mówię z podenerwowaniem.

– Nie, nie mówię, że ci wierzę – odpowiada szybko. – To znaczy nie wiem, może. Sądzę, że muszę sprawdzić wszelkie wątki, zanim... no wiesz. To bardzo poważna sprawa, a jeśli sędzia Crevan się tego dopuścił, to...

– To co?

– To... – wzdycha – to wiele spraw stanie pod znakiem zapytania.

– Cały system stanie pod znakiem zapytania – stwierdzam.

– niesprawiedliwe traktowanie w Izbie Naznaceń nie oznacza, że nie masz skażonego charakteru, Celestine.

Przewracam oczami. Nie da się z nią wygrać.

– Może i nie, ale to oznacza, że on też powinien być Naznaczony.

A czy osoba ze Skazą w ogóle może przewodniczyć sądowi Naznaczonych?

Pia milknie.

– Słyszałam, że dyrekcja szkoły zabroniła ci przychodzić na lekcje. Czuję, jak wzbiera we mnie gniew.

– To z powodu twojego artykułu ze zdjęciem mojej siostry.

Na jej twarzy maluje się takie poczucie winy, że nie muszę mówić nic więcej. To także znak, że być może ona ma jeszcze jakieś resztki

sumienia, o których istnieniu dotąd nie wiedziałam.

– Nie lepiej być w domu? – pyta. – W ten sposób nie będziesz jedyną uczennicą ze znakami. To na pewno nie jest łatwe.

– Próbujesz przekonać samą siebie, że wyświadczyłaś mi przysługę? Nie wyświadczyłaś. Chciałam chodzić do szkoły. Mam do tego prawo.

Robi zmieszana minę i zastanawia się.

– Jak to jest być Naznaczoną w szkole? Jediną Naznaczoną?

Nie sędzę, żeby za tym pytaniem krył się jakiś fortel. Pia nigdy nikogo nie pyta o uczucia, ponieważ czytelników nie obchodzą uczucia Naznaczonych. No, chyba że mają się bać.

Wzdycham.

– Nie wiem, jak to jest później, kiedy się jest starszym, ale każdy nastolatek pragnie być ideałem. Nikt nie chce odstawać od normalności, a przynajmniej ja nigdy tego nie chciałam. Ludzie, którzy odstają, są po prostu inni. Przecież wszyscy chcą wyglądać tak, jakby wiedzieli, co robią, a bardzo łatwo jest się pogubić. Może to się zmienia, kiedy się dorasta?

Pia się uśmiecha.

– Z dorosłymi jest identycznie. Nie jest łatwo być dziennikarką – mówi, na co ja rzucam jej znużone spojrzenie. – Mówię poważnie. Nie wszystko, co piszemy, jest wiernie publikowane. Nie zawsze mam kontrolę nad swoim głosem.

Nigdy nie przeprosi mnie za artykuł, przez który zostałam wyrzucona ze szkoły, ale być może to najbliższe przeprosinom, co od niej usłyszę. Główne pytanie dzisiejszego artykułu to, czy Angelina Tinder trenowała mnie, żebym stała się Naznaczoną, oraz wątpliwości co do moralności innych jej uczniów. Pia kilka razy cytuje moje wypowiedzi z poprzednich wywiadów, przeinaczając je tak, żeby lepiej pasowały do kontekstu. W gazecie zamieszczono zdjęcie Angeliny sprzed wykluczenia oraz zdjęcie mojej złkniętej twarzy, gdy wychodzę z jej domu. Nagłówek głosi: NAZNACZONA NAUCZYCIELKA GRY NA PIANINIE REKRUTUJE.

Przyglądam się Pii i wiem, z czym się zмага: napisać o sześciu Skazach czy nie, obalić Crevana czy nie.

- Powiedz im, że chcesz pisać po swojemu.
- To nie takie proste.
- Akurat!
- Oni nie słuchają.
- To odejdz. Zatrudnij się gdzie indziej.
- Świat tak nie działa, Celestine.

Wzruszam ramionami.

– Mam rzucić świetnie płatną pracę, która ma wady, bo nie o każdej sprawie mogę pisać, co chcę, ale z drugiej strony przynajmniej mogę ją poruszyć, tak? Mam oddać własny program telewizyjny i własną kolumnę w gazecie, tak? A wtedy jak wykarmię dwójkę moich dzieci?

– Na pewno nie wykarmisz ich kłamstwami.

Ta odpowiedź ją szokuje i przez chwilę nic nie mówi.

– Zmieniłam zdanie. Pojadę do Tiny już dziś i zadam jej kilka pytań. Możemy się spotkać wieczorem?

– Nie będzie mnie. – Widzę jej pytające spojrzenie, więc dopowiadam: – Idę na imprezę. Do kogoś ze szkoły.

– No to świetnie – mówi Pia.

Gdybym jej nie znała, pomyślałabym, że niemal się cieszy moją radością. Nie mogę jej jednak ufać. A jeśli współpracuje z Crevanem i próbuje się dowiedzieć, jaki mam plan? A jeśli znajdzie strażników i zniechęci ich do wyznania prawdy? Zastraszy ich jakąś historyjką albo oskarży o pomoc Naznaczonemu? A nawet jeśli powiem jej o nagraniu pana Berry'ego z Izby Naznaceń, co będzie, jeśli je zniszczy? Nie, nie mogę wyznać jej wszystkiego. Jest za mocno powiązana z Crevanem, a do tej pory uczyniła za mało, żeby sobie zaskarbić moje zaufanie. Nie mogę jej powiedzieć ani o Carricku, ani o nagraniu.

Po prostu muszę do nich dotrzeć przed nią.



Do kogo idziesz na tę imprezę? – pyta mnie Juniper przy śniadaniu, po wyjściu Pii.

– Do Logana Trilby’ego.

Moja siostra przestaje przeżuwać płatki – swoje słodkie płatki, podczas gdy ja muszę jeść owsiankę.

– Logan to największy dupek w całej szkole.

– Dla mnie jest miły.

Juniper marszczy czoło.

– A co to za okazja?

– Jego osiemnastka.

– Jestem całkiem pewna, że Logan ma dziewiętnaście lat. Powtarza ostatnią klasę, taki z niego tępak.

– Nieprawda. – Rzucam jej zaproszenie.

– Aha. – Oddaje mi kartonik, po czym przez chwilę siedzimy w ciszy. – Nic o tym nie słyszałam.

Mimo napięcia, które panuje między nami od kilku tygodni, to nadal moja siostra. Stać mnie na to, żeby okazać jej współczucie. To mnie cieszy, bo dzięki temu wciąż czuję się jak normalny człowiek.

– Pewnie po prostu był dla mnie miły. Nie powinno ci być przykro – mówię cicho.

Juniper zaczyna się śmiać.

– Uważasz, że jestem zazdrosna? Chyba żartujesz! Uwierz, nie jestem. Możesz sobie iść na imprezę. Chodziło mi o to, że nie słyszałam o żadnej osiemnastce i nie ufałabym Loganowi.

– Dlaczego? Bo mam znaki? – pytam i czuję, jak momentalnie wzbiera we mnie gniew, którego zawsze mam w sobie w nadmiarze.

– Uważasz, że ktoś chce mnie zaprosić tylko dlatego, żeby wywinąć mi jakiś numer?

– Tego nie powiedziałam – broni się Juniper.

– A ty, gdzie się dziś wybierasz? – pytam. – Wymkniesz się gdzieś jak co noc?

Juniper patrzy na mnie zaskoczona. Ma usta pełne płatków. Gryzie je powoli i widzę po jej minie, że stara się w tym czasie wpaść na jakąś odpowiedź.

Wiem, że to nie w porządku z mojej strony, że podnoszę tę kwestię na głos, przy wszystkich, lecz Juniper coś knuje, a to, co powiedziała o Loganie, naprawdę sprawiło mi przykrość. W końcu się z kimś zaprzyjaźniłam, a ona odbiera mi całą przyjemność. Moje serce przyspiesza, gdy zerkam do jej miski. Przez te głupie płatki jestem coraz bardziej zła.

– O czym ty mówisz?

– Ostatnio prawie co noc zaglądałam do twojego pokoju i nigdy nie zastałam cię w łóżku.

Juniper się śmieje, jakbym powiedziała coś absurdalnego, co mnie irytuje. Nie lubię, kiedy ludzie robią ze mnie wariatkę. Nie teraz. Nie po tym, jak widziałam, jak Angelina Tinder odchodzi od zmysłów. Nie chcę, żeby mnie przydarzyło się to samo. Mary May zerka znad swoich dokumentów. Mama i tata patrzą na nas z zainteresowaniem.

– Woj-na, woj-na, woj-na! – skanduje Ewan, na co Juniper kopie go pod stołem.

– Może byłam w toalecie.

– Nie byłaś.

– Skąd wiesz?

– Sprawdziłam.

– Okej, detektywie.

Nie podoba mi się, jak na mnie patrzy.

– Czy to prawda, Juniper? – pyta tata, podchodząc do stołu.

– Urządź mi awanturę, mimo że wiedziałeś, że Celestine prawie co noc wymykała się do Arta?

Mama zerka w panice na Mary May.

– Przed naznaczeniem, Juniper, wyrażaj się jasno – mówi ostro.

– Przed naznaczeniem – precyzuje moja siostra tonem karconego dziecka.

– To, co obie mogłyście robić wcześniej, a co możecie robić teraz, to zupełnie różne sprawy, Juniper. Jeśli ludzie cię zobaczą i wezmą cię za Celestine, będzie miała kłopoty. Tak jak ze zdjęciem w gazecie

– mówi tata, spoglądając ze złością na demaskatorkę.

– Czyli teraz nie mogę żyć, jak chcę, bo Celestine tego nie wolno?

– Celestine wolno żyć swoim życiem, więc uważaj, co mówisz, moda damo! – Tata podnosi głos, czym obie jesteśmy zaskoczone.

– Tak czy inaczej, wcale się nie wymykam. – Juniper spuszcza wzrok, więc wiem, że kłamie.

– Nazywasz mnie kłamczuchą? – pytam.

Wlepia we mnie wzrok.

– Nie muszę. Wystarczy, że wystawisz język.

– Ty mała głupia... – Łapię miskę z owsianką i rzucam nią w siostrę.

Mama i tata rozdzielają nas. Juniper zostaje wysłana na górę po czyste ubranie.

– No idź, spędź kolejną godzinę na wybieraniu ciuchów! – krzyczę za nią.

– Przestań, Celestine – strofuje mnie mama.

Mary May wyciąga notatnik.

– Co? – warczę do niej. – Kłótnie z rodzeństwem też są zabronione? Jaką karę dostanę? Dodatkowe nasionko dyni do obiadu?

Wstaję i podchodzę do zlewu. Próbuję sięgnąć za Mary May po ścierkę do naczyń, żeby posprzątać rozlaną owsiankę. Demaskatorka musi chyba myśleć, że chcę ją zaatakować, bo osłania się dłonią, po czym uderza mnie w twarz skórzaną rękawiczką. Ból uderzenia jest nie mniejszy niż moje zaskoczenie.

– Jak pani śmie! – wrzeszczy tata, jednak zatrzymuje się tuż przed nią, jakby powstrzymało go pole siłowe. Nie sędzę, żeby to była fantazja. Mary May jest nietykalna. Tak jak kiedyś ja.

Czuję w oczach piekące łzy, policzek boli, ale nie pozwolę, żeby ona zobaczyła, jak płaczę.

Mama podbiega do mnie.

– Moje maleństwo, biedne maleństwo. – Przytula mnie, podczas gdy zza jej pleców demaskatorka przewierca mnie chłodnymi oczami.

Mama odrywa się ode mnie i bierze ścierkę, po którą, jak teraz wiadomo, sięgałam, choć w oczach Mary May nie widzę ani cienia skruchy. – Ja to posprzątam – mówi gniewnym głosem. – Matka może pomóc własnej córce. Mogę pani w czymś jeszcze służyć czy na teraz to już wszystko?

Mary May zdaje się tym wszystkim zupełnie nieporuszona. Może nawet jej się to podobało.

– Rozumiem, że Celestine wychodzi dziś na przyjęcie. Naruszenie godziny policyjnej to bardzo poważne złamanie zasad. Celestine musiałaby stanąć ponownie przed Trybunałem, który wymierzyłby jej karę, jednak tym razem kara dosięgłaby też resztę rodziny. Mówiąc wprost, jeśli złamiesz zasady, konsekwencje poniosą inni. Zapytaj swoją przyjaciółkę, Angelinę Tinder, gdzie w tym tygodniu byli jej synowie.

Myślę o ciszy w ich domu, kiedy przyszedłam z wizytą. Nigdzie nie widziałam znaków obecności dzieci, nie słyszałam odgłosów zabawy. Przelykam ślinę.

Mama spogląda na mnie wyraźnie przestraszona.

– Zostali zabrani na tydzień do tymczasowej rodziny zastępczej.

– Nie spóźnię się – mówię cicho. Nie zniosłabym, gdyby odebrano nam Ewana.

Mary May zbiera swoje rzeczy i wychodzi.

– A tak przy okazji, sędzia Crevan powiedział mi, że niedługo dołączy do demaskatorów twój dobry znajomy. Art Crevan wstąpi w nasze szeregi, a mnie przypadnie zaszczyt szkolenia go. – W jej oczach pojawia się błysk satysfakcji, po czym zamyka za sobą drzwi, a ja zaczynam się trząść ze strachu.

– Art nie mógłby tego zrobić. Nie chciałby. Praca dla Trybunału to ostatnia rzecz na świecie, jakiej pragnie. Chce iść na studia. Ja pójdę na matematykę, on na fizykę. Tak zaplanowaliśmy.

Tata siada po mojej drugiej stronie, podczas gdy mama smaruje mi policzki kremem, żeby powstrzymać opuchliznę.

Tata wzdycha.

– Och, Celestine, tak mi przykro. – Całuje mnie w czoło. – Postaraj się tym nie martwić. Z tego, co wiem, oni nadal nie wiedzą, gdzie jest Art. Crevan przydzielił do poszukiwań wielu ludzi, a i tak nie wpadli na żaden ślad.

– Mam nadzieję, że im uciekł – mówię, ale po raz pierwszy dopuszczam do siebie myśl, że Art mógł mieć rację: nasz wspólny los nie jest taki pewien.

– Ja też. – Tata uśmiecha się smutno. – A teraz przestań się tym zadręczać. Wiem, że to trudne, lecz trzeba patrzeć w przyszłość. Myśl o dzisiejszym wieczorze. Nowy początek. Nowi przyjaciele.

Kiwam głową, próbując ignorować pulsujący ból w policzku.

– Co to był za hałas? – mówi Juniper, wchodząc do kuchni.
– Krzyczałeś, tato?

Przebranie się zajęło jej zdecydowanie mniej czasu, niż się spodziewałam. Na jej widok aż wciągam powietrze. Ma na sobie moje ubrania! Różowe džinsy rurki i kremowy top, które wyrzuciłam wczoraj wieczorem. Przymierzyłam go, ale odsłaniał bliznę na kręgosłupie. Nigdy więcej nie będę mogła go włożyć. Wyrzuciłam te ubrania, żeby więcej ich nie oglądać, bo przypominały mi o życiu, które mi odebrano, i o osobie, którą kiedyś byłam. Teraz Juniper ma je na sobie. Wyglądają na niej dziwnie, jak przebranie.

– Co? – Patrzy na mnie ze skrępowaniem, zła i zawstydzona ciszą, która ją powitała. Ten strój to zemsta za to, że ją zdemaskowałam przed rodzicami. Niestety, to dotknęło nie tylko mnie. Rodzice też czują się niezręcznie. – Skoro ty nosisz moje ciuchy, to co niby mam nosić?

Patrzę, jak moja siostra pewnym krokiem idzie przez kuchnię w krótkim topie, który odsłaniał moje znaki na piersi i plecach, oraz w kłapkach, które ujawniały znak na stopie. Macha mi przed nosem pamiątkami z przeszłości.

Dziś musi pojechać do szkoły autobusem. Podobało jej się podwożenie do szkoły autem, lecz skoro ja nie mogę już chodzić na lekcje, koniec z tym. Martwiłam się, czy nie ściągnie na siebie jakichś kłopotów, ale teraz zupełnie mnie to nie obchodzi.

– Duszno mi – mówię cicho, czując, jak kręci mi się głowie.

– Poczekaj. – Mama przytrzymuje mnie za ramiona, podczas gdy Juniper wychodzi przed tłum reporterów. Ma na ustach ironiczny uśmiešek. – Będą myśleć, że to ty.

Wyglądam na zewnątrz i widzę, jak moją siostrę osaczają media. Ledwie może iść, tak się do niej cisną. Przygryzam wargę i kryję

uśmiech, po czym wymykam się na zewnątrz. Może pan Murray miał rację, mówiąc, że można się prześlizgnąć przez szczeliny.

Dom Logana znajduje się po drugiej stronie miasta w zielonej okolicy, w ładnej części przedmieść. Podgłaśniam muzykę i opuszczam szybę, żeby poczuć wiatr na twarzy. Śpiewam głośno, czuję się wolna. Jeśli tylko będę miała przyjaciół, którzy mnie wspierają i akceptują, dam sobie radę. Mogę żyć tym życiem. Nie tego chciałam, nie to sobie wymyśliłam w moich szczegółowych planach w przeszłości, jednak takie karty rozdało mi życie, więc wycisnę z niego jak najwięcej. Śpiewam wraz z radiem, czuję radość, jakbym nie musiała się martwić ujawnianiem tego, co mi zrobił Crevan. Mogę tak żyć. Mogę być szczęśliwa.

Denerwuję się jednak, bo idę na imprezę, na której właściwie nikogo nie znam. To bardziej podekscytowanie niż prawdziwe nerwy. Jestem gotowa na coś nowego. Będę tam na dwudziestą. Przez dwie godziny znów będę nastolatką, potem pojadę do domu, bo nie chcę się spóźnić. Mam zamiar wrócić na długo przed przyjściem Mary May, żeby nie miała wątpliwości, że nie złamałam zasad. Dwie godziny w pełni wystarczą. Nowi przyjaciele, nowy początek.

Mimo obaw co do mojego samotnego wyjścia rodzice są zachwyceni tym, że robię coś, co powinna robić siedemnastolatka. Nie zaszywam się w sypialni, żeby sobie popłakać, jak przez ostatnie dni. Jednym z powodów, dla którego tak chętnie mnie puścili, było to, że znają rodziców Logana. Nie osobiście, ale wiedzą, kim są. Wszyscy ich znają. Oboje są duchownymi, pastorska para. Z tego powodu cieszą się dość sporym zainteresowaniem mediów i mają opinię wzorowych obywateli. Mam wrażenie, że także dlatego Logan wyciągnął do mnie rękę. Wychowuje się w domu, w którym zachęca się do okazywania zrozumienia i wybaczenia. Wie, jak to jest czuć się innym i być obserwowanym z taką uwagą, że wydaje ci się, że jesteś nagi.

Korzystamy ze wskazówek dojazdu na zaproszeniu, wkrótce docieramy do skromnego domu z ładnym ogródkiem. Otacza go nawet biały płotek. Obejmuję mamę na pożegnanie, a ona przytula mnie

mocno, zbyt mocno, jakby się bała mnie puścić. W końcu to robi ze łzami w oczach.

– Będę po ciebie o dziesiątej. Zadzwoń, jeśli chciałabyś wyjść wcześniej. Albo gdybyś czegoś potrzebowała. Nawet w błahej sprawie. Jeśli ktoś powie coś głupiego albo wrednego...

– Mamo! – śmieję się. – Nic mi nie będzie!

– No dobrze, dobrze. – Uśmiecha się szeroko i w końcu mnie puszcza.

Obserwuje mnie, jak idę do drzwi frontowych, i czuję się niemal tak jak wtedy, gdy po raz pierwszy w życiu jechałam na rowerze bez bocznych kółek. Patrzę na mamę. Siedzi w samochodzie, przerażona myślą, że już czas puścić mnie wolno, pełna obaw, że się przewrócę.

Jak na przyjęcie urodzinowe w domu jest bardzo cicho, lecz może tak właśnie imprezuje syn pastorów. Na podjeździe stoi jedno auto, poznaję, że należy do Natashy. To sprawia, że się denerwuję, i to nie z podekscytowania. Nie przypadłyśmy sobie do gustu, choć właściwie nigdy nie rozmawiałyśmy, wyrażała się źle o mojej obecności w szkole, zwłaszcza pierwszego dnia. Nie będzie zadowolona, gdy mnie tu zobaczy. Wiem, że ona i Logan są bliskimi przyjaciółmi, więc może on ją przekona, żeby zmieniła zdanie. Przychodzi mi na myśl, że być może spotkam dziś więcej ludzi, którzy nie mają dobrego zdania na mój temat. Będę się musiała postarać, żeby je zmienili. Może dzisiejszy wieczór wcale nie okaże się fajny. To będzie przełamanie lodów – bawić się będę następnym razem. Metoda małych kroków...

Niepewnie idę po podjeździe w niebotycznych szpilkach. Dzwonię do drzwi i czekam. Odwracam się do mamy i macham ręką na znak, że może jechać. Poddaje się wreszcie i rusza, pozostawiając mnie samą.

W środku jest cicho. Zaglądam do wewnątrz przez szybki w drzwiach i widzę na ścianie prosty krucyfiks. Głowa Jezusa w cierniowej koronie opada na bok, jego dłonie i stopy przybite są do krzyża gwoździami. To bardzo realistyczna rzeźba, chyba nigdy żadna inna nie zrobiła na mnie takiego wrażenia, aż mi włoski stają na rękach.

Lekko przestraszona robię krok w tył i wpadam na kogoś za moimi plecami. Wydaję zaskoczony okrzyk.

I wtedy ktoś naciąga mi worek na głowę, a ja nie mogę oddychać.



Niech ktoś jej zwiąże ręce – słyszę rozkaz Logana, gdy po raz kolejny udaje mi się uderzyć go w twarz. Wiem, że to twarz, bo poczułam pod palcem oko i język, gdy mnie lekko ugryzł.

Nie trzeba mnie krępować. Na dźwięk jego głosu całkowicie zastygam.

W pierwszych sekundach walki próbowałam odepchnąć krepujące mnie ręce, miałam w głowie szaloną myśl, że jeśli zacznę głośno krzyczeć, Logan i jego przyjaciele mnie usłyszą i uratują. Teraz uświadamiam sobie, że to ich sprawka. Krew w moich żyłach tężeje. Tracę coś i nie mogę sobie uświadomić co, do chwili, aż moje ręce zostają wykręcone i mocno związane za plecami. Potem ktoś zaczyna mnie za sobą wlec. Już wiem, co znikło, to moja wiara w absolutnie wszystko i wszystkich. Pragnienie, żeby się pozbierać i zacząć żyć tak normalnie, jak to tylko możliwe, zostaje mi wybite z głowy pięścią. Poddaję się życiu Naznaczonej. Oni wygrali, ja przegrałam.

Trudno mi oddychać z workiem na głowie, który zawiązano mi pod brodą. W panice zużywam niemal cały tlen, nie potrafię się powstrzymać od wciągania powietrza haustami i wołania o pomoc. Stawiam opór, nie daję się ciągnąć, w akcie protestu padam na ziemię, objając kolana o twardy beton. Krzyczę.

– Co, do cholery?! – znów warczy Logan. Stara się nie podnosić głosu, jesteśmy w jego okolicy. Jeśli ktokolwiek to zobaczy, będzie po nich.

Krzyczę głośniej, żałuję, że mama nie została. Cios w brzuch odbiera mi siły.

Ktoś podnosi mnie z ziemi i zaczyna nieść. Ciężko sapię i nie jestem już w stanie się miotać.

– Mówiłeś, że nie zrobisz jej krzywdy. – Na ten dziewczęcy głos

po plecach przebiega mi dreszcz.

Colleen.

Za co ten odwet? Za to, że nie powiedziałam jej „cześć”? Za szaleństwo jej mamy? To też moja wina? Koziół ofiarny społeczeństwa, a teraz koziół ofiarny znajomych. Wszystkie ich problemy to moja wina. Nie mają związku z ich własnymi decyzjami, własnymi błędami, własnymi czynami. Niewinne baranki.

– A co mam według ciebie zrobić? Drze się na całą ulicę!

– odpowiada wkurzony i wiem, że to Logan mnie niesie.

Zaczynam wierzgać. Ktoś się śmieje.

– Wydaje dźwięki jak świnia – wstrętnie chichocze Natasha.

Otwiera się kłapa bagażnika samochodu.

– Wrzuć ją do środka – odzywa się kolejny męski głos, którego nie rozpoznaję.

Ilu ich tam jest? Zaczynam się naprawdę bać. Co mi zrobią?

– Nie mówiłeś, że chcesz ją zabić! – nagle woła Colleen, ja zaczynam jęczeć, a Logan klnie. – Udusi się. W bagażniku nie będzie miała czym oddychać.

– Niech ci będzie – syczy.

Colleen dała radę namówić go do zmiany planów. Nie dlatego, że jest taka przekonująca, a dlatego, że on chce szybko wsiąść do auta i pewnie sam nie ma pewności, czy to dobry pomysł. Jestem jej wdzięczna. Zostaję postawiona na ziemi, po czym wepchnięta do auta. Uderzam głową o krawędź dachu i od razu zaczyna mi się w niej kręcić.

– Au! – rechocze Logan.

Osuwam się do środka. Ktoś pomaga mi usiąść, traktując mnie z większą delikatnością. To Colleen. Siada obok mnie. Logan siada po drugiej stronie. Natasha prowadzi. Czwarta osoba siada z przodu. Wydaje mi się, że to Gavin, z którym chodzę na chemię. Nigdy z nim nie rozmawiałam. Nic o nim nie wiem. On bawi się moim życiem dla rozrywki.

– Uważaj, stary – mówi Gavin.

– Ty też będziesz mi psuł zabawę? – odparowuje Logan.

– Nie upokorzysz jej, jeśli będzie nieprzytomna – brzmi odpowiedź. – Jaki by to miało sens?

Logan milczy. Głowa mi pęka po uderzeniu w kant dachu, na czole pojawia się coś lepkiego. Chyba krwawię. Chcą mnie upokorzyć? Serce mi łomocze.

– Nie mogę oddychać – mówię przez łyzy. Mój głos to przerażony bełkot spod płóciennego worka. Pot na moich ustach smakuje solą. Brzuch boli mnie od ciosu czy kopniaka, zależy jakiej części ciała użył Logan, żeby odebrać mi dech.

Każą mi się zamknąć, jednak ktoś lekko poluźnia worek wokół szyi i widzę swoje kolana. Do środka wpada powietrze, a ja łykam je łapczywie i próbuję się uspokoić. Nie zabiją mnie, nie mogą mnie zabić. Zrobią mi coś innego, tylko co? Dostrzegam, że sukienka mi podjechała, odsłaniając uda. Chcę ją poprawić, ale nie mogę, bo ręce mam związane. Już samo to jest dla mnie wystarczająco upokarzające. Może właśnie się na mnie gapią, robiąc do siebie miny, oceniając mnie i kto wie, co jeszcze.

Nie wiem, jak długo jedziemy. Po głowie krążą mi przypuszczenia i potencjalne scenariusze zdarzeń. Cokolwiek mi zrobią, mam jedynie nadzieję, że wrócę do domu na dwudziestą trzecią. To teraz moje główne zmartwienie. Samochód zatrzymuje się na stacji benzynowej i Colleen oraz Gavin wysiadają. Jestem przerażona tym, co zrobią mi Natasha i Logan, ale oni rozmawiają tylko o jakichś innych uczniach naszej szkoły. Nie pozostawiają na nich suchej nitki, aż przykro mi tego słuchać. Czuję dym papierosowy. Oboje palą i dym dostaje się do worka. Zaczynam kaszleć.

– Przeszkadzamy ci, Naznaczona? – mówi Logan wprost do mojego ucha.

Trzyma papieros u wlotu worka, który wypełnia się dymem. Próbuje odwrócić głowę. On się śmieje. Potem strzepuje popiół na moje kolana. Zdążył ostygnąć, zanim pada mi na nogi, więc nie boli, lecz ten widok napełnia mnie grozą.

– Coś ci to przypomina? – Przybliża rozżarzony papieros do moich ud, na co powracam myślami do Izby Naznaceń.

Wodzi papierosem blisko mojej skóry, a mnie płyną łyzy. Jestem wdzięczna, gdy drzwi się otwierają i Gavin z Colleen wracają.

– Co zrobiłeś? – pyta Colleen zdecydowanym tonem.

– Naprawdę, jak nie przestaniesz psuć zabawy, to cię wysadzę
– odpowiada Logan. – To tylko popiół. Kupiłaś mi piwo?

Są zajęci przekazywaniem sobie napojów. Słyszę, jak otwierają puszki, potem odgłosy żłopania. Logan pije najszybciej ze wszystkich.

Ktoś beka mi prosto w ucho i Gavin zaczyna się śmiać.

– Ohyda, stary.

– Jedziemy – mówi Natasha i odpala silnik.

I to właśnie robimy. Siedzę między nimi w samochodzie pełnym dymu i alkoholu, w którym muzyka dudni tak głośno, że ledwie są w stanie rozmawiać. Kręcimy się w kółko na rondach, jedziemy i jedziemy, jak mi się zdaje, przez długie godziny. Podejrzewam, że chcą, żebym straciła orientację w terenie, nie wiedzą jednak, że ta przepadła od razu, gdy mnie wepchnęli do samochodu. Nie byłam na tyle sprytna, żeby próbować ustalić kierunek.

Słucham, jak rozmawiają, jakby mnie tu nie było, myślę o tym, jak się czułam jeszcze kilka kwadransów temu, gdy mama pomagała mi się ubrać. Byłam podekscytowana imprezą i moim nowym początkiem. Widząc popiół spadający na moje uda z papierosa Logana, częściowo gorący, częściowo ostygły, wydaje mi się, że sięgnęłam dna.

Nie wiem, co dla mnie zaplanowali. Jeśli ich celem jest upokorzenie, to już im się udało. Jeśli czeka mnie więcej, jeśli to tylko wstęp, to wiem, że nie wytrzymam ani chwili dłużej. Nogi mi się trzęsą. Żałuję, że nie założyłam rozsądniejszych butów, na przykład trampek, żebym mogła biec, a nie szpilek, w których ledwie utrzymuję równowagę.

Nie jestem w stanie opanować łez.

– Czekaj – mówi Logan, wstrzymując rozmowę. – Ściszcie muzykę.

Szybko się uciszam.

– Płaczesz, Naznaczona?

Logan nasłuchuje. Czuję jego oddech na swoim ramieniu i karku.

Wszyscy zaczynają się śmiać.

– Chyba nie sądziłaś, że naprawdę zaprosiłbym cię na moje urodziny, co? – pyta chłodno. – Nie mogę po prostu uwierzyć, że dałaś się na to nabrać. Mam dziewiętnaście lat, Naznaczona. Już mi się

zdawało, że Pia wszystko zepsuje, kiedy wrzuciła do sieci artykuł o tym, jak imprezujesz. Na szczęście nie wymieniła mnie z nazwiska, a jeśli powiesz komukolwiek o dzisiejszym wieczorze, to i tak ci nie uwierzą. Mój ojciec jest pastorem, matka też. Podobno pewnego dnia zrobią z niej arcybiskupa, będzie pierwszą kobietą w kraju na tym stanowisku. Jesteśmy szanowaną rodziną.

– A przynajmniej oni są szanowani – mówi Gavin i razem z Natashą zaczynają się śmiać.

– Może od tej pory powinniśmy ci mówić „Jezus”? – parska Natasha i znów rechoczą.

Czuję, jak Logan obok mnie sztywnieje. Już się boję tego, jakie konsekwencje będzie miało dla mnie jego upokorzenie. Colleen, która siedzi z drugiej strony, całą drogę nie odezwała się słowem. Jestem wdzięczna, że tu jest, bo ma więcej rozsądku niż inni, szkoda, że opróżnia puszkę za puszką. Wiem, bo już kilka razy słyszałam, jak je otwiera. Pijacka odwaga. Tylko do czego? To mnie martwi. Namówiła Logana, żeby nie wsadzał mnie do bagażnika, ale to wcale nie oznacza, że nie uważam jej za współwinną wszystkiego, co się teraz dzieje. Myślę o mojej torebce i zastanawiam się, czy ją mają.

– Masz, napij się, Naznaczona – rzuca Logan i pod moim workiem pojawia się puszką z piwem.

– Nie wolno jej pić alkoholu – mówi ostro Colleen.

– A rodzice Gavina woleliby, żeby nie sypiał z chłopcami, mimo to sypia – popisuje się Logan, za co dostaje od Gavina kuksańca. Piwo rozlewa mi się na sukience i spływa po nogach.

– Pij, Naznaczona.

Podnosi worek na tyle, żeby móc mi przyłożyć puszkę do ust. Szarpię głową i zaciskam mocno wargi. Logan śmieje się chłodno i drugą dłonią, która cuchnie papierosami, zatyka mi nos, zmuszając do otwarcia ust. Wlewa mi piwo do gardła. Płyn dostaje się nie tam, gdzie trzeba. Zaczynam się krztusić.

Śmieje się, ale opuszcza worek i sam dopija zawartość puszką.

– Tu, w lewo – mówi nagle Gavin.

To znaczy, że wstęp się zakończył. Zaraz się przekonam, co mnie czeka.

Nie wiem, gdzie jesteśmy. Jechaliśmy prawie dwie godziny, może więcej, ale równie dobrze to mogła być jedna godzina. Straciłam poczucie czasu. Pokonujemy strome wzniesienie. Czyżbyśmy opuścili miasto i pojechali w góry? Czy mnie tu porzucą? Jak dostanę się do domu? Przegapię godzinę policyjną. Już po mnie. Już po mojej rodzinie. Wszystkich zawiodłam. Nagle zaczynam się zastanawiać, czy w ogóle się stąd wydostanę. Czy zdobędą się na to, żeby mnie zabić? Dużo pili. W ich planach coś może pójść nie tak.

Nagle myślę o Arcie. Tęsknię za przebywaniem z nim. Nie jest jak te dzieciaki; zawsze mnie chronił. Zanim wszystko się zmieniło. Chciałabym, żeby mnie teraz uratował, ale jedziemy i jedziemy, i nikt po mnie nie przybędzie. Zamiast zostać i razem ze mną zmierzyć się z przeciwnościami, uciekł.

– Obudź się. – Logan kopie mnie w łydkę, a ja jęczę i podkurczam nogi bliżej Colleen. Czuję, jak się ode mnie odsuwa.

Samochód nareszcie się zatrzymuje i drzwi się otwierają. W końcu świeże powietrze. Dym papierosowy i alkohol wietrzeją. Logan wywleka mnie z samochodu i myślę o swojej sukience, która jest tak krótka, że pewnie mam ją już na wysokości talii. Próbuję wyginać się tak, żeby się osunęła. Ziemia pod moimi stopami jest nierówna, pełna drobnych kamieni. W szpilkach nie jestem w stanie nadążyć za bandą. Dwa razy wykoślawiam boleśnie stopę.

– Ściągnij te idiotyczne buty – rozkazuje Natasha.

Ktoś ściga mi szpilki i czuję pod stopami kamienie. Moje znamię dotyka ziemi, przypominając mi, jak bardzo jestem skażona.

– Niezła laska! – kpi Natasha, a Gavin pogwizduje.

Ciągną mnie za sobą na szczyt wzgórza. Jęczę i przeklinam, bo moje stopy ciągle trafiają na ostre kamyki. Przez worek nie widzę, gdzie idę. Światło, które wcześniej przebijało się przez materiał, zniknęło. Być może już przegapiłam porę powrotu do domu.

– Mam godzinę policyjną – mówię w końcu. – Proszę, pozwólcie mi wrócić do domu.

Nic nie mówią.

– O której ma być w domu? – pyta Natasha.

– O dwudziestej trzeciej – odpowiada Colleen.

– Jest po dziesiątej – mówi Natasha.

– I co z tego? – odpowiada Logan, dysząc, bo wlecze mnie za sobą.

– To, że lepiej, żebyśmy się pospieszyli.

– Bo co?

– Bo... co się stanie, Colleen? – pyta Natasha.

– Przegapienie godziny policyjnej to poważna sprawa. Wszystko się może zdarzyć. Znowu postawią ją przed sądem. – Logan wybucha śmiechem. – Poważnie – ciągnie moja sąsiadka. – Nie tylko ona zostanie ukarana. Rodzina też. Moich braci zabrano z domu na tydzień – mówi drżącym głosem.

– Nigdy nie poznałem jej rodziny – odpowiada Logan. – Nie obchodzi mnie.

– O, tutaj – mówi Gavin i wszyscy się zatrzymujemy.

Słyszę, jak otwierają jakieś drzwi.

– Schodek – mówi Colleen cicho, więc podnoszę stopę i staję na desce.

Drzazgi momentalnie przebijają moją skórę. Czuję zapach ziemi i mchu. Jesteśmy w szopie. Pod nogami mam ziemię i kurz. Wszyscy wchodzimy do środka i drzwi zamykają się na klucz. Logan nagle mnie popycha i nieomal upadam, w ostatniej chwili udaje mi się złapać równowagę. Wpadam na ścianę i w mój bok wbija się łopata, a może grabie.

– Jaki problem miała Naznaczona na basenie? – pyta Logan.

– Wstydziała się swojego ciała – mówi Natasha.

Kulę się przed nimi.

– Nie. Proszę, nie – odzywam się przerażona.

Ktoś odpycha mnie od ściany i rozsuwa mi zamek sukienki.

Próbuję się wyrwać, Natasha mnie przytrzymuje. Czuję jej małe dłonie na swoich ramionach. Jej paznokcie wbijają mi się w ciało.

Sukienka opada na ziemię i stoję w szopie w staniku i majtkach. Jedynym innym elementem stroju jest łańcuszek od Arta. Mimo naszej niepewnej przyszłości nie chcę go zdjąć, przypomina mi o czasach, gdy wszystko było idealne, i o tym, że nie jestem tak Naznaczona, jak wszyscy myślą. Znow zaczynam płakać. Nie mam gdzie uciec.

– Okej, zrobiliście, co chcieliście – pospiesznie mówi Colleen.

– Chodźmy.

Ktoś gwizdże.

– Zamknij się Gavin, ona ma Skazy. To gnida!

– Dla mnie wygląda jak laska w majteczkach.

– Patrzcie na te blizny – mówi Natasha tuż przy mojej twarzy.

Przygląda się tej na mojej piersi.

Przełykam ślinę. Chce skrzyżować nogi i zasłonić rękami swoje ciało.

Gavin i Natasha rozmawiają o mnie, jakby mnie tam nie było. Logan nie mówi ani słowa, co jeszcze bardziej mnie przeraża. Oglądają moje blizny, podnoszą moją stopę. Nie ściągają mi worka z głowy. Zobaczenie, że ciało ma głowę i uczucia, popsułoby im zabawę.

– Nie patrzysz, Colleen? – pyta Logan. – Ach, zapomniałem, dla ciebie to nic nowego.

– To jest chore, spadam stąd! – warczy Colleen.

Zamek w drzwiach zwalnia, czuję powiew świeżego powietrza i słyszę, jak ktoś wychodzi z szopy.

Zostaję z nimi sama. Cała się trzęsę. Boję się i jest mi zimno.

Jest wiele rzeczy, które – jak zdałam sobie sprawę później – mogłam i powinnam była zrobić. Powinnam była zacząć wrzeszczeć, biec. Tymczasem znieruchomiałam i tylko beczynnym stałam. Zaatakowali to, co najbardziej mnie upokarza: moje ciało. Nie chciałam, żeby ktokolwiek kiedykolwiek je zobaczył, a mimo to jestem tu i stoję niemal całkiem naga, podczas gdy troje ludzi, którzy jak sądziłam, chcą się ze mną zaprzyjaźnić, świecą na mnie latarką i przyglądają się miejscom, których widoku sama nie potrafię znieść. Przez płócienny worek widzę flesze aparatu, kiedy robią zdjęcia moim bliznom i kto wie, czemu jeszcze. Rozmawiają między sobą o tym, jaka obrzydliwa i odpychająca jest moja skóra. Wiem, że kiedy tylko stąd wyjdą, te zdjęcia trafią do sieci, będzie je miał każdy uczeń w szkole. Kto wie, co jutro się ukaże na pierwszej stronie gazety Pii.

Ktoś chodzi wokół mnie zwinnym krokiem. To musi być Natasha.

Słyszę jęk.

– O Boże – mówi nagle za moimi plecami. – Patrzcie na jej kręgosłup. Chodźcie tu.

Przepychają się za moimi plecami, żeby dobrze się przyjrzeć.

– O rany! – rzuca Gavin. – Cholera! Musiało boleć. To znamie nie jest takie równe jak pozostałe. Czekaście, ile ich w końcu jest?

Przeliczają wszystkie moje blizny, wymieniają Skazy.

– Sześć? – mówi Logan, zdumiony. – Wszędzie mówili, że ma pięć.

– Najwięcej, ile kiedykolwiek ktoś dostał – popisuje się Gavin.

– Najwięcej to trzy – poprawia go Natasha. – Ona ma sześć – szepcze. – Nie sądzę, żebyśmy mieli się o tym dowiedzieć. – Nagle jej głos zdradza zdenerwowanie.

Ich nastroje się zmieniają. Wyczuwam, że nie bawią się już tak dobrze, jak zakładali. Sprawiałam, że ogarnia ich niepokój.

Rzeczywistość nie jest taka, jak ją sobie wyobrazili. Moje blizny to blizny wywołane bólem. Ból zmyślony i prawdziwy to dwie różne rzeczy. Chyba to ich otrzeźwiło.

O dziwo, to mi daje siłę. Przeszłam przez coś, czego oni się boją. Przyprowadzili mnie tu, bo fascynuje ich własny strach. Chcą go przeanalizować. Zrozumieć. Wzniesć się ponad lęk. Śmiać z niego. A ja go doświadczyłam. To mojej tragedii się obawiają. A to mnie wzmacnia.

– Która godzina? – pytam. Nadal jest nadzieja.

– Zdążysz do domu na czas, uspokój się – mówi Natasha, udając, że się nie boi, lecz nie daje się zwieść. – Hej, ja mam dosyć. No, nudzę się. Ktoś chce coś zjeść?

– Ja – odpowiada Gavin nieco za szybko i prawie się uśmiecham pod workiem.

– Idziesz, Logan? – pyta Natasha.

– Zaraz was dogonię.

Wyczuwam niepewność pozostałych i ich niechęć, żeby go zostawić ze mną.

– No, idźcie – rozkazuje Logan, najwyraźniej chce mnie mieć tylko dla siebie.

– Tylko nie...

– Co nie?

Gavin milknie na chwilę.

– Chyba nie masz zamiaru... No, wiesz...

– Nie obrażaj mnie, Gavin. To naznaczone ścierwo. Kijem bym jej nie dotknął.

– Nie schlebiaj sobie – odpowiada jego przyjaciel i wraz z Natashą wybuchają śmiechem. – Okej, tylko nie zostaw tu bałaganu, bo dziadek mnie zabije.

Słyszę, jak odgłosy kroków Gavina i Natashy cichną. Zostaję z Loganem sama. Nie jestem z nim bezpieczna.

– Proszę, nie dotykaj mnie. – Drżę.

– Palcem bym cię nie tknął – syczy mi do ucha. – Brzydzą się tobą. Każdy mężczyzna się tobą brzydzi. Nikt nigdy nie będzie cię chciał.

Zaczyna powoli mnie okrzykać. Czuję ulgę z powodu tego, co powiedział, a jednocześnie zastanawiam się, co chce ze mną zrobić.

– Wiesz, jaka jest symbolika worka i popiołu? – pyta.

– Nie. – Pociągam nosem.

– Pozostali nie mają pojęcia. Dzisiejszy wieczór był dla nich tylko głupią zabawą. Nie zdają sobie sprawy ze znaczenia tego, co zrobiłem.

– Mówi nietypowym głosem. Jakby wygłaszał wykład albo kazanie.

– Worek pokutny i popiół w Starym Testamencie symbolizowały poniżenie, pokutę i żal za grzechy. Ktoś, kto chciał okazać skruchę, wkładał worek pokutny, siadał w popiele i posypywał nim głowę. Popiół oznacza pustkę, samotność, spustoszenie.

Opuszczam głowę w całkowitym upokorzeniu, a on mówi dalej, nie przestaje krążyć wokół mnie.

– Kiedy Jonasz ogłosił ludowi Niniwy, że Bóg ukaże go za popełnione niegodziwości, wszyscy z królem na czele odpowiedzieli żalem za grzechy, postem i popiołem. Nałożyli worki pokutne nawet na swoje zwierzęta. Bóg zobaczył ich szczerą skruchę, pełną pokory odmianę w sercu. A to sprawiło, że ustąpił i zrezygnował ze swego planu, by ich zniszczyć. Worek i popiół stały się symbolem zmiany w sercu, odzwierciedlają szczerą żal. – Przestaje mówić, przestaje chodzić i poza moim ciężkim dyszeniem pod workiem i szalonym biciem serca słyszeć jedynie głuchą ciszę. – Bóg jest dużo bardziej łaskawy niż ja, lecz jeśli okażesz skruchę, to może ci odpuszczę. Jeśli nie wyznasz żalu, zamknę cię tu na całą noc i nikt cię nie znajdzie. Spóźnisz się do domu i jeśli o mnie chodzi, to mogą naznaczyć całą twoją rodzinę.

Przygryzam wargę i czuję na policzkach rześiste łyzy. Myślę o moim małym bracie, o tym, jaki byłby przestraszony, gdybym ściągnęła na moich bliskich ogromne niebezpieczeństwo.

– Mówię poważnie, Naznaczona.

Wiem o tym. On ani trochę nie żartuje. Czuję się, jakbym wróciła do Izby Naznaczeń, gdy sędzia Crevan krzyczał do mnie: „Okaż skruchę!”. Wtedy nie dałam się złamać, myślałam, że to mój koniec, że już nie może być gorzej. Nie mogłam przyznać, że popełniłam błąd, nie wtedy. Dziś zasady się zmieniły i sytuacja się pogorszyła. I to bardzo. Nie mam już więcej siły.

– Tak! – wołam nagle.

Zrywa mi worek z głowy. Jestem wdzięczna za powietrze, za to przerażona wyrazem jego oczu.

– Żałujesz? – pyta.

Kiwam głową na tak.

– Odpowiedz. – Podnosi głos.

– Tak, żałuję – chlipię.

– Powiedz, że przepraszasz – mówi, zapędzając się.

– Przepraszam.

– Powiedz, że byłaś w błędzie – mówi szybko i jest dla mnie jasne, że to dostarcza mu więcej adrenaliny niż alkohol czy cokolwiek, co palili.

– Popełniłam błąd.

– Padnij na kolana i błagaj mnie o przebaczenie.

Ociągam się.

– Rób, co mówię.

Klękam.

Logan staje za moimi plecami i w końcu usuwa sznurek z moim nadgarstków. Natychmiast zaczynam je rozmasowywać. Są poranione, krwawią. Nie mogę spojrzeć mu w oczy.

– Powiedz to! – wrzeszczy.

– Nie wiem, co mam...

– Błagaj o wybaczenie. Złóż ręce jak do modlitwy, jakbyś była w kościele. Zrób to.

– Proszę – mówię przez łyzy. – Proszę... Przepraszam. Myliłam się.

Żałuję. Chcę tylko wrócić do domu. Muszę wrócić do domu.

Uśmiecha się z zadowoleniem i rzuca mi sukienkę.

Zakładam ją szybko, w końcu czuję ulgę, że jest po wszystkim, chcę jak najprędzej osłonić moje ciało przed jego wzrokiem. Patrzy na mnie, stojąc w drzwiach. Jak na kogoś, kto uważa mnie za ścierwo, dość długo mi się przygląda.

– A tak przy okazji, Naznaczona, do godziny policyjnej zostało dwadzieścia minut.

Zatrząskuje drzwi szopy. Słyszę szcęk zasuwki i brzęczenie kluczy, gdy zamyka mnie w środku.



Słyszę, jak samochód Natashy odjeżdża. Rozglądam się po ciemnym pomieszczeniu, w jednym miejscu oświetlonym przez księżyc. Szukam drogi ucieczki.

– Nie – płaczę. Na moment się poddaję. Zupełnie. Kulę się w kącie i zaczynam łkać.

Utknęłam w szopie na jakiejś górze, kto wie, jak daleko od domu. Nawet gdybym zaczęła krzyczeć, nikt by mnie nie usłyszał.

Po chwili zaczynam myśleć racjonalnie. Natasha zdawała się uważać, że jestem w stanie zdążyć do domu, co oznacza, że muszę być całkiem blisko, i coś mi świta. Nie odjechaliśmy daleko. Przez jakiś czas jechaliśmy w górę. A ja jestem w szopie, otoczona narzędziami ogrodniczymi. Wiem, gdzie jestem – na terenie ogródków działkowych, zaledwie kilka minut od domu. Choć wiem, że ogródki są o tej porze zamknięte i nie ma tu nikogo, kto mógłby mnie usłyszeć, i tak zaczynam wołać. Drę się, aż zdieram sobie gardło i tracę głos. Próbuję wszystkiego, na próżno. Nikt mnie nie usłyszy. Nikt nie wie, że tu jestem...

Załamuję się i wpadam w panikę. Szarpię klamkę, bez skutku, drzwi są zamknięte od zewnątrz. Uderzam w ściany łopata, to też na niewiele się zdaje. Jestem wyczerpana i nie mam siły, aby rozwalić deski.

Wysoko pod dachem jest mały świetlik. Mogłabym się przez niego przecisnąć, ale trudno wspiąć się tak wysoko. Poza tym co będzie, jeśli spadnę z dachu? Nie mam innej możliwości. Muszę spróbować.

Biorę łopatę i rozbijam szybę. Na ile to możliwe, strącam kawałki szkła z ramy. Ustawiam w stos skrzynki z narzędziami, skrzynki na kwiaty, torby z nawozem i próbuję się wspiąć do okna. Zastanawiam się, jak podejść do problemu, panikuję, gdy zdaję sobie sprawę, że czas

ucieka.

Wreszcie podciągam się do okna, kładę na ramie worek, żeby nie poraniło mnie szkło, i wystawiam głowę na zewnątrz, ciesząc się, że mam czym oddychać. Świeże powietrze pobudza do działania. Dam radę. Przeciskam się na zewnątrz, ocierając brzuchem o worek i sycząc z bólu. Chwytam się ogrodzenia, którego dotyka szopa, przeciskam przez świetlik resztę ciała. Z całych sił trzymam się ogrodzenia, dłonie mam otarte od sztachet. Przez chwilę wiszę na płocie, po czym opadam ciężko. Drobne kamyki znów ranią mi stopy.

Siedzę przez chwilę na ziemi, czekam, aż ból przeminie. Rozglądam się, żeby ustalić, gdzie jestem. Rozpoznaję to wzgórze. To tu spotykałam się z Artem, nie na terenie ogródków, a z drugiej strony. Choć czas jest cenny, czuję, że coś mnie ciągnie do miejsca, w którym się spotykaliśmy. Nigdy więcej nie będę w stanie być tutaj o tej porze, a jestem tak blisko. I coś, chyba instynkt, każe mi się tam udać.

To tylko minuta biegu stąd. Kiedy docieram na miejsce, wiem, że postąpiłam słusznie. Siedzą tam dwie postaci. Tak szybko zostaliśmy zastąpieni. Miejsce, które wydawało się tylko nasze, teraz należy do innej pary. Wyglądają jak ja i Art.

Bo to jest Art. A dziewczyna, która z nim siedzi, wygląda dokładnie jak ja.

Ja z dawnych czasów: uśmiechnięta, promienna, beztraska, jakby w jej świecie wszystko było idealne. Ale wiem, że to nie ja, bo ja jestem tu. Bosa, zakrwawiona, posiniaczona i zapłakana. Uciekam przed niebezpieczeństwem. Walczę o życie, a nie wiem nawet, po co w ogóle się staram, bo ostatnia kropla nadziei, jaką miałam w sercu, właśnie wyschła. Nic mnie już nie obchodzi. Moje serce jest puste. Mogą mi teraz zrobić, co chcą.

Tą dziewczyna jest moja siostra.

Art pierwszy podnosi wzrok.

Zdaję sobie sprawę, że płaczę.

Jego oczy, oczy, które kocham, mierzą mnie w zupełnym osłupieniu. Po raz pierwszy, odkąd to wszystko się wydarzyło, naprawdę pęka mi serce. Nadchodzi fala porażającego bólu. Nie płakałam głośno przy pięciu znakach, a teraz płaczę. Ten ból jest najsilniejszy ze

wszystkich. Gorszy niż ból napiętnowania, gorszy niż upokorzenie w szopie. To wygrywa ze wszystkim.

Juniper obraca się, żeby zobaczyć, na co patrzy Art. Jej twarz od razu wszystko zdradza. Przyłapałam ją.

Moje łzy ustają i zastępuje je gniew.

– Celestine! – Art się zrywa. – Co się stało?! Nic ci nie jest?

– Podchodzi bliżej, zmartwiony, spanikowany. On się nie martwi, że odkryłam prawdę, chodzi mu o to, jak wyglądam.

– Stój! – krzyczę, a on zatrzymuje się w pół kroku.

– O Boże, Celestine – szepcze Juniper, patrzy na mnie i zakrywa sobie usta dłonią. – Co się stało?

– Celestine. – Art robi w moją stronę kilka kolejnych kroków. Odsuwam się, na co on znów się zatrzymuje. – Krwawisz. Gdzie są twoje buty? Co się stało? Kto ci to zrobił? – Słyszę emocje w jego głosie, słyszę, jak się załamuje ze złości i cierpienia.

Juniper przyłącza się do niego. Stoją ramię przy ramieniu, a to tylko wzmacnia mój gniew.

– Niech żadne z was już nigdy więcej się do mnie nie zbliża. Oboje mnie zdradziliście. Powinnam się była spodziewać, że znowu to robicie. – Zwracam się do siostry. – Wiedziałaś, gdzie się ukrywa przez cały ten czas?

– Tak, ale...

– Tutaj? – pytam zaszokowana. Mieszkał pewnie w jednej z szop w ogródkach, gdzie zostałam uwięziona i upokorzona. Skąd uciekłam. – Wiedziałam, że wymykasz się co noc. – I wtedy coś do mnie dociera. – Wiedziałam, że to się dzieje, ale nie chciałam w to uwierzyć... Przez ciebie wyszłam na kłamczuchę! – Teraz wiem, dlaczego byłam wobec niej taka okrutna. Przeczuwałam to, ale nie chciałam sama przed sobą tego przyznać.

– Nie, Celestine, proszę, pozwól mi wytłumaczyć. Ja mu tylko pomagałam!

– Zamknij się! Oboje jesteście kłamcami! – drę się, na co Art się cofa i odwraca wzrok, nie potrafi się bronić.

– To nie tak, jak myślisz. Ona tylko pomagała mi się ukrywać, my nie... no wiesz... – Przejeżdża dłonią przez włosy, cały się gotuje.

– Jak na mój gust bardzo wam było przytulnie – stwierdzam, zerkając to na jedno, to na drugie.

– To nie tak – broni się Art. – Mówiłem ci, że nie mogę wrócić do ojca. Nie po tym, co ci zrobił.

– Co on mi zrobił? Nie sądzicie, że oboje mieliście w tym swój udział?

To sprawia, że oczy Juniper zachodzą łzami, a Art zaciska zęby. Wiem, że to był tani chwyt, lecz jestem taka zła, że chcę zranić ich oboje. Niech cierpią jak nigdy wcześniej. Niech poczują choćby odrobinę bólu, który rozdziera mi serce.

Każdego dnia marzyłam o spotkaniu z nim, a moja rodzona siostra wiedziała, gdzie jest mój ukochany. Robiła z nim nie wiadomo co. Powinna była mi powiedzieć, mogła mi przynieść od niego wiadomość, mogła mi pomóc. Wołała pomóc jemu.

– No to ładnie sobie znalazłeś miejsce. – Rozglądam się. – Bardzo miłe. Wiesz co, Art? Ja nie mam gdzie się schować. Dla mnie nie ma takiego miejsca na całym świecie. Dzień w dzień muszę się z tym wszystkim mierzyć. Sama! Nie mam tego luksusu co ty, nie mogę nikogo wykorzystać, żeby ułatwił mi życie, tak jak masz w zwyczaju. Niestety, wszystko, co dobre, szybko się kończy! Pewnego dnia staniesz się mężczyzną i ze wszystkim się zmierzysz. – Cios był celny, co bardzo mnie cieszy. – Zawsze mówiłeś, że mogę na ciebie liczyć, a jesteś zwykłym tchórzem. Oboje jesteście.

– Celestine – odpowiada Art łamiącym się głosem, na granicy płaczu. – Tak za tobą tęsknię.

Jego emocje są prawdziwe. Może jestem głupia, ale mu wierzę.

– To dlaczego siedzisz tu z moją siostrą?

– Daj mi wytłumaczyć – mówi gniewnie, sfrustrowany tym, że wchodzi mu w słowo. Robi krok w moją stronę, a ja się cofam.

– Nie mogę. – Myślę o kolejnym spotkaniu twarzą w twarz z sędzią Crevanem na sali rozpraw i wraca we mnie wola walki. Jeszcze nie skończyłam.

– Nie pozwolę ci raz jeszcze zrujnować mi życia.

Mam cztery minuty. Odwracam się i biegnę.

Kolejne kilka minut to rozmazane obrazy liści, gałęzi, które biją mnie w twarz, kamieni pod stopami i gałązek smagających mnie po łydkach. Głośno dyszę, biegnąc ile sił w nogach w dół wzgórza. Nie zerkam na zegarek, nie mam na to czasu. Docieram do muru otaczającego nasz ogród od tyłu. Wspinam się po nim szybciej niż kiedykolwiek i zeskakuję na trawę, która w porównaniu z tym, po czym dziś biegłam, wydaje się miękka jak futro. Widzę mamę, tatę i Mary May w salonie. Patrzą na zegar na ścianie. Tata chodzi w tę i z powrotem. Mama trzyma dłonie zaciśnięte na wysokości piersi, błagając – modląc się tak jak ja wcześniej – o to, żeby się zdarzył cud.

Otwieram drzwi od strony ogrodu i padam na podłogę, na kolana, dysząc i płacząc, nie mogę oddychać, nie mogę mówić i nic nie widzę, tak mi się kręci w głowie.

Spoglądam w górę. Długa wskazówka wskazuje minutę po dwudziestej trzeciej.

Z rozpaczą spoglądam na Mary May, nie mogę wydusić słowa. Wciąż dyszę.

– Minuta po dwudziestej trzeciej – ogłasza demaskatorka.

Mama i tata napadają na nią, nie godząc się na tę niesprawiedliwość.

Wtedy nagle miernik na nadgarstku Mary May zaczyna pikać. Zmieszana, podnosi go i przygląda mu się, zdając sobie sprawę, że nasze zegary się spieszą. Bez wątplenia obowiązuje nas czas na mierniku demaskatorki. Rodzice też to sobie uświadamiają. Nieruchomieją, wpatrując się w Mary May i wyczekując potwierdzenia.

Patrząc na nią z podłogi i nagle zaczynam chichotać. Śmieję się, aż mnie bolą brzuch i żebra, tam, gdzie mnie kopnął Logan i walnęła łopata. Ból sprawia, że śmieję się głośniejsze. Cała trójka patrzy, jak leżę na podłodze, trzymając się za boki, z zakrwawioną głową, podrapanymi i poranionymi nogami, i śmieję się do rozpuku.

Udało mi się. Pokonałam ich wszystkich.



Moja komórka dzwoni o czwartej nad ranem i wybudza mnie z przerażającego snu. Jestem w Wieży, w galerii, dłońmi dotykam szyby, a w Izbie Naznaczeń znajduje się Carrick, przypięty do fotela. Zapomnieli dać mu środek znieczulający i chłopak krzyczy w niebogłosość, jego twarz wykrzywia przeraźliwy ból, żyły mu wyszły na umięśnionym karku. Zamiast Tiny, June, Barka i Funara w Izbie Naznaczeń są Logan, Natasha, Gavin i Colleen.

– Czegoś mi nie powiedziałaś, prawda? – Po drugiej stronie odzywa się Pia. Jej głos jest niski i nagły, niepodobny do jej telewizyjnego świergotu. Mija chwila, zanim dociera do mnie, co się dzieje, i zanim odróżniam sen od jawy.

– Co...? O czym?

– W Izbie Naznaczeń. Twoją rodzinę wyprowadzono przed wypaleniem piątego piętna, ale był tam ktoś jeszcze, kto widział, co się stało. Zgadza się?

Nagle jestem w pełni przytomna. Siadam na łóżku i czuję ból po ciosie Logana. Stękam do słuchawki.

– Nic ci nie jest?

Zamykam oczy i biorę głęboki oddech, czekając, aż zawroty głowy ustaną.

– Celestine?

– Jestem.

– Wiem, że szukałaś w zamku pana Berry'ego.

Ona coś wie.

– Jest moim prawnikiem. Miałam z nim coś do omówienia.

– Dlaczego w ostatnich dniach zostawiłaś na jego poczcie siedem pilnych wiadomości?

Jestem zaszokowana. Skąd ona o tym wie?

– Pan Berry był w Izbie Naznaczeń podczas wypalania szóstej Skazy, prawda? – wyrzuca z siebie pospiesznie. – Wszystko widział.

Nieruchomieję. Nie wiem, czy potwierdzić, czy zaprzeczyć. Czy mogę jej ufać?

– Kto tam z tobą jest? – pytam.

– Nikt. – Mam wrażenie, że w tle coś się porusza. Po jej stronie słuchawki rozlega się jakieś klikanie. Jej uwaga jest podzielona. – Jestem sama, naprawdę Celestine. Zaufaj mi.

Aż dostaję gęziej skórki. To ten moment. Wóz albo przewóz. Jeśli jej zaufam, a ona kłamie, narażę Berry'ego na ogromne niebezpieczeństwo. A po dzisiejszej nocy wiem, że nie mogę już nikomu ufać. Choć z drugiej strony, tkwię w tym całkiem sama, kto inny może mi pomóc?

– Pio, nie możemy prowadzić rozmów wyłącznie na twoich warunkach – mówię. – Muszę wiedzieć, dlaczego pytasz.

Mówi coś, czego nie słyszę wyraźnie.

– Co? Pio, gdzie jesteś? Mamy kiepskie połączenie.

– To nie ma znaczenia. Myśl, Celestine. Jest coś, czego mi nie mówisz, a ja muszę wiedzieć.

Mam już tego dość – dość tego, że wszyscy tylko ode mnie biorą.

– A czemu, do cholery, miałabym ci cokolwiek mówić?! – syczę do słuchawki, żeby nikogo nie obudzić. – Żebyś mogła to wykorzystać na korzyść Crevana? On i tak ci nie pozwoli opublikować prawdy. Skoro nikt jeszcze się nie dowiedział o szóstym znaku, to musi być ku temu jakiś powód. Pozbył się wszystkich świadków. I pewnie właśnie podsłuchuje naszą rozmowę. Skąd mam wiedzieć, że nie próbujesz mnie wrobić? Skąd mam wiedzieć, że nie działasz na jego zlecenie? Że twoim zadaniem nie jest się upewnić, że załatwił wszystkich?

– Crevan nie podsłuchuje tej rozmowy – odpowiada Pia, jej głos ledwo się przebija przez trzaski w słuchawce i co chwilę znika.

– I możesz mi ufać. Musisz mi zaufać – mówi, tym razem wyraźniej.

– Masz innego sprzymierzeńca, Celestine? Kogo jeszcze znasz, z kim możesz się podzielić swoją wiedzą?

Szybko się nad tym zastanawiam.

– Co dostanę w zamian?

- Celestine – prawie piszczy – próbuję ci pomóc!
- Próbujesz pomóc sobie.
- Pia wzdycha.
- Czego chcesz?
- Chcę informacji o pewnej osobie.
- O kim?
- Na imię ma Carrick. – Nie wiem nawet, jak ma na nazwisko.
- Przebywał w celi obok mnie w Zamku Highlandzkim.
- Ten Naznaczony? Po co ci on?
- Żadnych pytań. To moja sprawa.
- Czy on coś wie?
- Nie! – kłamię. – Po prostu muszę go znaleźć. Powiedzmy, że ostatnio nie narzekam na nadmiar przyjaciół. Potrzebuję kogoś, kto rozumie, przez co teraz przechodzę.
- W porządku. Spróbuję się czegoś dowiedzieć. Swoją drogą nie przeprowadzałam z nim wywiadu. Jego historia nie była interesująca.
- Pia potrafi mnie doprowadzić do szału. – Dam ci znać, jak coś ustalę. A teraz moja kolej, Celestine. Potrzebuję czegoś. Konkretu. Czy pan Berry był w Izbie Naznaczeń? Czy widział, jak ci wypalają szóstą Skazę? W raportach jest napisane, że wyprowadzono go wraz z twoją rodziną. To prawda?

Wracam myślami do tamtych wydarzeń. Tak bardzo się staram wyprzeć wszystko z moich wspomnień, lecz nie potrafię. Te chwile wracają do mnie w koszmarach i w biały dzień, kiedy najmniej się tego spodziewam. Znowu czuję ból, zapach, przeżywam cały ten horror i nie mogę od tego uciec. Najczęściej to nadchodzi, gdy tata kładzie mi dłoń na ramieniu w geście pocieszenia. Nie wie o tym, ale wtedy cała się spinam, momentalnie powracam na fotel, przypominam sobie dotyk Tiny przed każdym wypaleniem.

Teraz też powracam do Izby Naznaczeń, chociaż leżę we własnym łóżku. Czy to chciałam osiągnąć? Po wydarzeniach dzisiejszego wieczoru jestem przestraszona, obolała i chcę o wszystkim zapomnieć. Tymczasem męczę się jeszcze bardziej, przenoszę się w czasie. Zapachy, odgłosy, strach, łomot serca, ból wracają. Crevan w czerwonej pelerynie, który na mnie wrzeszczy, aż chlapie na mnie jego ślina.

– Tak, Berry widział wypalanie szóstego znaku – wyznaję w końcu. Pia ma rację, potrzebuję pomocy. – Jakoś mu się udało wślizgnąć do środka. Miał w dłoni telefon. Nagrywał.

Nie ma potrzeby, żebym wspominała o Carricku. Muszę zachować coś dla siebie.

– Nagrywał? Czyli istnieje film? O Boże! Dziękuję, Celestine. Dziękuję. – Rozłącza się.

Serce znów mi się tłucze z emocji. Od wspomnień, ujawnienia roli Berry’ego i nadziei, że ona pomoże mi odnaleźć Carricka. Nie chcę, żeby Pia pomyślała sobie, że on ma z tym coś wspólnego. Nie chcę ściągnąć na niego kłopotów, ale to jedyny sposób.

Przez to wszystko nie mogę ponownie zasnąć. Głowa mi pulsuje od uderzenia o krawędź auta, pod palcami wyczuwam spory guz. Mam sucho w ustach i strasznie chce mi się pić. Wstaję z łóżka, choć nie czuję się pewnie na nogach, i narzucam na koszulkę duży rozpinany sweter.

Schodzę do kuchni i sięgam do lodówki. Kiedy ją otwieram, wyczuwam czyjaś obecność. Odwracam się i widzę Mary May, która siedzi w rogu w ciemności. Obserwuje mnie. Jedynym źródłem światła o tej porze jest lampka w okapie. Demaskatorka ma książkę, zasłania ją dłońmi.

Po raz pierwszy widzę ją bez rękawiczek. Uśmiecha się, zadowolona, że mnie przestraszyła, choć wydaje się zmęczona.

– Co pani tu... to znaczy, dlaczego pani... Została pani na noc?
– pytam.

Mary May powoli mierzy mnie wzrokiem, na co ja zasłaniam się swetrem. Aż przechodzą mnie dreszcze.

– Biorąc pod uwagę wydarzenia dzisiejszego wieczoru, postanowiłam, że będzie najlepiej, jeśli zostanę. Masz na głowie niezłego guza – zauważa.

Dotykam go ręką i natychmiast się krzywię. Potrzebuję wody i tabletki przeciwbólowej. Biorę je kolejno, podczas gdy demaskatorka mnie obserwuje.

– Martwi się pani, że mam wstrząśnienie mózgu?

– Nie! – prycha, lecz nie wydaje się rozbawiona. Jej śmiech jest okrutny, jakby ze mnie drwiła, jakbym była najgłupszą osobą, jaką

w życiu spotkała. – Chciałam się upewnić, że zostaniesz tam, gdzie powinnaś. Bez łamania zasad. Takie zdarzenia jak dzisiejsze nie są mi obce, wiem, co może potem wpaść człowiekowi do głowy.

– Co pani ma na myśli? – Połykam tabletkę i piję wodę.

– Zemstę – odpowiada. Widzę chłód i mrok w jej oczach, co sprawia, że myślę o tym, jak doniosła do Trybunału na siostrę, a potem na całą rodzinę, gdy się od niej odwrócili.

– Czy dlatego doniosła pani na swoją rodzinę? – pytam.

– Z zemsty?

– Nie – odpowiada bez mrugnięcia okiem, wydaje się niewzruszona tym, że zadałam jej osobiste pytanie. – Nakryłam siostrę z moim chłopakiem. Mściłam się tylko na niej.

Ta historia wydaje mi się tak znajoma, że zastanawiam się, czy przypadkiem Mary May mnie nie podpuszcza. Czy wie o Arcie i Juniper? To niemożliwe. Gdyby tak było, armia Crevana już by go dopadła.

– Moja rodzina... – Odrobinę odwraca głowę i wyczuwam w jej głosie nutę smutku, którą szybko maskuje. – To było po prostu konieczne.

Dreszcze przeszywają całe moje ciało.

Mary May jeszcze raz mierzy mnie wzrokiem.

– Doktor Smith mówi, że niczego sobie nie złamałaś.

– Nie, jeśli nie liczy pani serca, dumy i wiary w ludzi.

Wytrzymuję spojrzenie jej czarnych w ciemności oczu. Przez moment myślę, że może rozumie, o co mi chodzi.

– Nie – odpowiada krótko i wraca do książki. Widzę okładkę powieści Jane Austen. – Nie liczę.

Tego popołudnia Pia składa mi wizytę. Poza okropną wycieczką na komisariat z tatą spędziłam dzień w łóżku zwinięta w kłębek. Nadal obolała po poprzedniej nocy wstaję, wkładam czarne luźne ubranie i schodzę do niej do biblioteki. Spodziewam się zastać ją w fotelu, ubraną w jedną z tych swoich brzoskwiniowych spódniczek i zwiewnych bluzek. Ona jednak chodzi po pokoju w tę i z powrotem. Jej błyszczące czarne włosy są spięte, ma na sobie dzinsy, trampki i bluzę z kapturem.

Patrzę na nią z zaskoczoną miną.

Ona też spogląda na mnie ze zdziwieniem.

– Co ci się stało? – pytam.

– Mniejsza o mnie, co stało się tobie?!

Guz na moim czole urósł, wygląda teraz jak z kreskówki, w dodatku pojawił się też żółtawy siniak. Twarz mam podrapaną od gałęzi, przez które się przedzierałam na oślep.

Siadam w fotelu i krzywię się, czując ból w brzuchu. Nie mam złamanych żeber, choć tak właśnie boli.

– Celestine – mówi poruszonym tonem, a na jej twarzy maluje się szczerą troską. Muszę jej nieco odpuścić. – Co się stało?

Wzdycham.

– Okazuje się, że nie było żadnej imprezy. A przynajmniej nie dla mnie.

– To była pułapka?

– Pułapka, zasadzka, co chcesz. – Oczy zachodzą mi łzami na wspomnienie wczorajszej nocy, to wszystko jest zbyt świeże. Ból wraca za każdym razem, gdy się ruszę.

– To sprawka chłopaka, który cię zaprosił?

– Nazywa się Logan Trilby. L-O-G-A-N – literuję sarkastycznie.

– T-R-I-L-B-Y. Nie zapiszesz sobie? Ach, oczywiście, że nie. Przecież taka informacja wzbudziłaby wobec mnie litość.

W jej oczach jest gniew, jednak nie na mnie.

– Nie chcesz ludzkiej litości, Celestine.

– Właściwie to chcę – stwierdzam, podśmiewując się. – Chcę od wszystkich współczucia, bo ono świadczy o tym, że ludzie są nadal ludźmi, a nie tym, czym mi się teraz zdają.

Pia przysiada na fotelu naprzeciwko mnie, lecz nie tak profesjonalnie i z gracją jak wcześniej. Siedzi na skraju siedziska z rozstawionymi nogami, łokcie oparła na kolanach. Dziś odstawiła maniery na bok.

– Co zrobił?

– Nie tylko on. Był z przyjaciółmi. Postanowili mnie upokorzyć.

– I udało się im?

– Tak.

– Opowiedz. – Rozmawia ze mną delikatnie i cierpliwie, ale

wyczuwam też w niej ukryty pośpiech. Spokój i wyrachowanie, które znam z poprzednich rozmów, zniknęły.

Gdy spotkałyśmy się po raz pierwszy, Pia Wang zgrywała osobowość telewizyjną. Potem zobaczyłam „Pię po pracy”. Dzisiejsza jej wersja jest zupełnie nowa, takiej Pii dotąd nie widziałam. W przeszłości bywałam naiwna, jednak dziś tej osobie wierzę.

– Wciągnęli mi płócienny worek na głowę, związali, bili, kopali, strzepywali na mnie żar z papierosów, rozebrali i zamknęli w szopie. To mniej więcej wszystko.

Nie wspomniałam o tym, że siłą włali mi do ust alkohol, bo to oznaczałoby kłopoty tylko dla mnie, choć nie mogłam nic na to poradzić. Wolę nie ryzykować, nawet przy obecnym nastroju Pii.

Jej oczy robią się zimne.

– Logan Trilby. Kim byli pozostali?

Podaję jej więcej szczegółów, a ona okazuje zniesmaczenie, zmieszanie i empatię. Wierzę, że naprawdę mi współczuje.

– Jak sprawa potoczy się dalej?

– Nie potoczy. Tata ściągnął dziś wszystkich na komisariat. Dyrektora Hamiltona, Natashę, Logana, Gavina, Colleen i ich rodziców, z pominięciem Angeliny Tinder. Rodzice Logana ręczyli za niego, powiedzieli, że nie miał z tym nic wspólnego, bo był w szkółce biblijnej.

– Nie podejrzewają, że ich syn kłamie?

– Sami kłamią. Powiedzieli, że był tam z nimi.

Pii opada szczęka.

– A inni?

– Natasha i Gavin zrzucili wszystko na Colleen i powiedzieli, że wymyśliła całą zasadzkę w odwecie za coś, co zaszło między mną a jej mamą.

– A co się stało? – W Pii naturalnie włącza się dziennikarska dociekliwość.

– Nie mogę powiedzieć. Ojciec Natashy to jakiś wyszczekany prawnik, zaczął nawijać o prawach człowieka i o tym, jak to jego córka broniła się przed Naznaczoną. Policja nie ma zamiaru wszczynać żadnych działań. Pozwolili, żeby szkoła wymierzyła im karę. Mój tata wpadł w szal. Gavin i Natasha zostali zawieszani na dwa dni. Colleen

została wydalona ze szkoły. Jej nie miał kto bronić, bo Boba Tindera zwolniono z gazety.

– O tym akurat wiem – przerywa mi Pia. Jej oczy poruszają się niespokojnie i widzę, że intensywnie myśli.

– Przepraszam, zapomniałam, że był twoim szefem. Tak czy inaczej, jak pewnie słyszałaś, Tinderowie się przeprowadzają, więc to żadna kara. Colleen i tak musiałyby zmienić szkołę.

Dziennikarka kręci głową, najwyraźniej oburzona.

– Jest jeszcze jedna rzecz, którą się martwię. Wczoraj ściągnęli ze mnie ubranie, żeby... – przełykam ślinę, na nowo czuję upokorzenie – robić zdjęcia moim piętnom. Odkryli szóste na plecach. Mają jego zdjęcia...

Pia wlepia we mnie wzrok, zastanawiając się.

– Chodzi mi o to, że oni się tego przestraszyli. Kiedy zobaczyli szóstą Skazę, zwiali. Więc wydaje mi się, że wiedzą, że nie powinni nic mówić, ale prędzej czy później to się wyda. Natasha na pewno się komuś wygada. Ma strasznie długi język.

– Najważniejsze, że nie mają nagrania Berry’ego. – Pia myśli głośno. – Musimy je dostać. I to szybko – dodaje, po czym znów zaczyna krążyć po bibliotece. – Trzeba ujawnić tę historię przed nimi. Zanim do Crevana dotrą plotki i będzie miał szansę wymyślić jakąś bajkę, jeśli już nad nią nie pracuje. – Rozgląda się po pokoju, by sprawdzić, czy ktoś nas nie podsłuchuje. – Dziś rano dowiedziałam się, że wobec Crevana prowadzone jest dochodzenie – szepcze. – Prywatne dochodzenie. Wynik twojej sprawy i wyroki Angeliny Tinder, Jimmy’ego Childa i doktor Blake’a sprawiły, że ludzie zaczęli gadać.

– Kim jest doktor Blake? – To nazwisko brzmi znajomo. Dziadek wspomniał mi o niej podczas procesu. Mówił, że muszę znaleźć ją i jeszcze kogoś. Wtedy nie wydawało mi się to istotne, uważałam, że to te jego bzdurne teorie spiskowe, ale powinnam była o tym pamiętać.

– Doktor Blake mylnie zdiagnozowała żonę Crevana, Anne – wyjaśnia mi Pia. – Podczas twojego procesu twój dziadek prosił mnie, żebym przyjrzała się jej sprawie, a ja... cóż, uznałam go za wariata. Dopiero gdy cię poznałam, zaczęłam się tym interesować. Ta lekarka nie wykryła w porę nowotworu u Anne. Tuż przed procesem Jimmy’ego

Childa Crevan uznał, że Blake ma skazę charakteru. Za powód uznano jakąś prywatną sprawę, tak jak w przypadku Angeliny Tinder. Teoretycznie wyrok nie miał nic wspólnego ze śmiercią żony Crevana. Gdyby nie twój dziadek, nigdy bym na to nie wpadła.

Kochany dziadek, myślę o nim z dumą. Zawsze stał po mojej stronie, nawet gdy zgadzałam się z innymi, że jego pomysły są zbyt radykalne. Jeśli miał rację co do doktor Blake, może i w innych kwestiach się nie myli...?

– Crevan traktuje Trybunał jak swój prywatny sąd – podsumowuję.

– Sądzę, że załatwienie doktor Blake planował od dawna. Wyrok w jej sprawie dał mu wystarczająco dużo pewności siebie, żeby dobrać się także do Tinderów czy Jimmy’ego Childa. Tu Crevanowi jeszcze się upiekło, lecz teraz ludzie zaczynają kwestionować jego decyzje.

– Trybunał w Trybunale? – Przewracam oczami.

Pia uśmiecha się lekko.

– Tak jakby. Prywatne śledztwo na temat spraw publicznych.

– No to niech zgadnę, jaki będzie jego wynik. Trybunał uzna, że Trybunał pracował bez zarzutu. Koniec dochodzenia.

– Dochodzenie dotyczy tylko sędziego Crevana. Członkowie rządu uważają, że nadużywa swoich kompetencji. Pamiętaj, że Trybunał miał być tylko tymczasowym rozwiązaniem, żeby poradzić sobie z wykroczeniami. Tymczasem stał się czymś więcej i rozwinął tak szybko, że rząd nie zdążył w porę zareagować, żeby nad nim zapanować. Granice pomiędzy prawem a zasadami Trybunału zaczynają się zacierać. Rząd chce odebrać władzę tej instytucji.

– Rząd, czyli Enya Sleepwell.

– Tak właśnie. Z powodu wywieranych przez nią nacisków utworzono tajną komisję, która ma dyskretnie przyjrzeć się procesom.

– Dyskretnie – wzdycham. Ta grupa racjonalnych i szczerze zatroskanych sprawami kraju ludzi nieźle się maskuje.

– Nie wszyscy są tacy odważni jak ty. – Próbuję doszukać się sarkazmu w jej głosie, lecz bez rezultatu. – Wiesz – siada przede mną – w ostatnich dniach w sieci pojawiła się całkiem nowa dziennikarka. Szybko zdobywa popularność, nawet bardzo szybko.

– Zazdrosna?

– Trochę – odpowiada Pia z uśmiechem. – Jest twoją fanką.

Tego się nie spodziewałam.

– Jak się nazywa?

Pia wyciąga swój tablet.

– Nazywa się Lisa Life.

Prycham.

– Jest po twojej stronie. Udziela się na nowym portalu informacyjnym, który się nazywa Wyjście. Jej teksty codziennie czytają miliony.

Pia przerzuca strony w tablecie i pokazuje mi artykuł. Nagłówek brzmi: GDYBYM BYŁA TAKĄ BOHATERKĄ, TO TEN STARUSZEK BY ŻYŁ. PONIOSŁAM KŁĘSKĘ. Pod spodem jest ładne zdjęcie, na którym jestem przy grobie Clayтона Byrne'a i zapalam świeczkę, opatrzone podpisem „Pomogłam starszemu człowiekowi usiąść”. Nie wiedziałam, że ktoś mnie wtedy śledził. Powinnam była bardziej uważać.

Czytam dalej.

Artykuł dotyczy tego, jak moje zachowanie w autobusie uczyniło z kwestii Naznaczonych kwestię praw człowieka. Śmierć Clayтона Byrne'a to pierwsza śmierć Naznaczonego zauważona przez społeczeństwo – społeczeństwo, które przestrzega zasad. Zasady doprowadziły do śmierci człowieka. Cytowane są też słowa Enyi Sleepwell: „Nie wybaczam Celestine North tego, co zrobiła, jednak jej czyny i ostatnie komentarze wywołały ważne pytania, do których musi się odnieść nasz rząd”.

Przyglądam się jej zdjęciu. Rozpoznaję w niej kobietę o krótkich włosach, która pozdrawiała mnie gestem z tłumu, gdy szydzono ze mnie i popychano w drodze przez dziedziniec.

– Lisa Life opublikowała to dzisiaj – mówi Pia, podając mi artykuł, który wyciągnęła z teczki.

WSPÓŁCZUCIE I LOGIKA: IDEALNE POŁĄCZENIE. NASZ IDEALNY PRZYWÓDCA?

Jest tam też moje zdjęcie zrobione w sądzie, na którym sprawiam wrażenie silnej i zdeterminowanej. Nie pamiętam, żebym czuła się tak, jak wyglądam na fotografiach. Patrzę na dziewczynę, nie – na kobietę

– której bym zaufała. Kobieta, która sprawia wrażenie, że doskonale wie, co robi. Jaki złudny może być czyjś wygląd...

Pia kładzie mi na kolanach artykuł za artykułem. Nawet nie mam czasu przeczytać treści, czytam jedynie nagłówki i zerkam na swoje zdjęcia. Rozkłada je wszystkie na stoliku kawowym. Więcej i więcej. Moje zdjęcia, całe strony artykułów i cytatów, aż nie rozpoznaję osoby, którą widzę.

– To wszystko napisała Lisa Life? – pytam zawstydzona, czuję, jak rumienią mi się policzki. Jestem oszołomiona tak wielkim wsparciem.

– Nie, nie wszystko. Tyle zdążyłam zebrać. Jest ich więcej, Celestine.

Nie mogę uwierzyć, że ludzie, którzy nigdy mnie nie poznali, tak dobrze o mnie myślą. Gdyby widzieli mnie wczoraj w szopie, na kolanach korzącą się przed Loganem, przepraszającą za wszystko...

Pia przerywa moje ciemne myśli.

– Widzisz, co się dzieje? Jaką masz moc? Musisz to sobie uświadomić.

Śmieję się gorzko, czując ból w żebrach i pulsowanie na czole. Na początku tygodnia uważałam, że mogę wygrać z Crevanem, dziś od rana płaczę, zwinięta w kłębek, godzę się ze swoją klęską.

– Moc? Zostałam zamknięta w szopie przez dzieciaki z klasy, a policja, ich rodzice i nauczyciele mają to w nosie. Nie mogą mi pomóc. Zdradziło mnie dwoje ludzi, których kocham najbardziej na świecie. Nie wolno mi nawet wyjść przed dom po dwudziestą trzecią. Nie mam żadnej mocy.

– Właśnie, że masz. Wiesz o tym. Moc nie tkwi w szóstym znaku, lecz w sile, z jaką go odebrałaś. Jest w tym, co zrobiłaś w autobusie, w tym, co powiedziałaś przed Trybunałem, w tym, jak zmierzyłaś się z Crevanem. Pracuję na zamku od dziesięciu lat i nigdy nie widziałam, żeby ktoś odzywał się do niego w taki sposób. Wykorzystaj tę moc i pielęgnuj ją, bo już niedługo będziesz jej bardzo potrzebować. – Serce wali mi jak młot. – Próbowałam się spotkać z Berrym. Dzwoniłam do jego kancelarii, na komórkę, do domu, na każdy jego numer. Nikt nie odbiera. Pojechałam też do niego do domu i nawet jego mąż nie wie, gdzie on jest. Od tygodni nie mieli kontaktu. Pan Berry nie kontaktował

się także z żadnym ze swoich klientów ani pracowników, choć ci ostatni uważają, że pojechał na niespodziewane wakacje, bo był już bardzo przemęczony. Jestem przekonana, że to żaden urlop, nie w tej sytuacji.

– Może mąż pana Berry’ego wie, gdzie on się ukrywa, ale nie chce ci powiedzieć. Wszyscy znają dziennikarkę na posyłki Crevana. Czemu miałby ci ufać?

– Powiedziałam, że chcę się dowiedzieć, jaka jest prawda. On uparcie twierdzi, że nic nie wie, i ja mu wierzę – mówi Pia zdecydowanym tonem.

– Dlaczego nie zadzwonił na policję?

– Nie sądzi, żeby policja mogła mu pomóc – wyjaśnia cicho. – Boi się.

Z trudem przełykam ślinę.

– Niech zgadnę. Berry zniknął po moim napiętowaniu. Tak jak Tina, June, Bark, Funar i Tony.

Pia w odpowiedzi kiwa głową.

– Myślisz, że się ukrywa czy że został pojmany?

– Nie wiem, naprawdę nie wiem. Wczoraj pojechałam do Tiny. Jej dom jest zabity deskami, wszystkie meble zostały w środku. Jakby pewnego dnia wstali rano i wyjechali bez pakowania. Jej nastoletniej córki też nie ma. Szkoła nic nie wie o jej wyjeździe. Tina jest rozwiedziona i nie utrzymuje bliskiego kontaktu z rodziną, nikogo nie zdziwiło, że od jakiegoś czasu nie daje znaku życia. Dzwoniłam do Barka, Funara, June i Tony’ego, lecz ich rodziny nie chcą ze mną rozmawiać. Wybiorę się do nich. Może chętniej będą rozmawiać w cztery oczy. Obawiam się jednak, że spotkało ich to samo co pana Berry’ego i Tinę. Wszyscy się boją, Celestine.

– Czyli nie mamy nagrania? – mówię, czując, jak do oczu napływają mi łzy. – Wszyscy, którzy na własne oczy widzieli, co zaszło, przepadli jak kamień w wodę, więc jest tylko moje słowo przeciw słowu Crevana.

To nieprawda i tylko ja o tym wiem. Jeszcze Carrick tam był. Jeszcze on widział, co się stało. Czy ktoś uwierzy Naznaczonemu świadkowi? A może Crevan jego też już dorwał? Czy on w ogóle wie o Carricku? Czy go widział? I czy ja jestem następną? Powinnam się

martwić?

– Nie mogę napisać tego artykułu bez dowodów – mówi Pia.

– Będę potrzebować więcej czasu.

– Nadal mi nie wierzysz, prawda? – pytam ze złością.

– Oczywiście, że ci wierzę. – Podnosi wzrok i wstaje. – Zdajesz sobie sprawę, ile już dla ciebie zaryzykowałam?

– Przepraszam – mówię cicho.

Pociera dłonią twarz i nagle wygląda na zmęczoną.

– Nie, nie przepraszaj. Nie wyświadczam ci przysługi, to ci się należy. Prowadziłam relacje z Trybunału i pisałam o Naznaczonych, bo wierzyłam w system. Słowa nie zawsze były moje, ale wierzyłam w te historie, wierzyłam w wykluczanie tych, którzy psuli naszą społeczność, stwarzali zagrożenie. Lecz gdy jedno po drugim pojawili się Angelina Tinder i Jimmy Child, potem ty, a także doktor Blake... – Kręci głową.

– Nawet jeśli potrafiłam samą siebie przekonać o słuszności kary w poprzednich przypadkach, w twoim nie mogę tego zrobić. Twoja sprawa od początku miała skazę – stwierdza ku mojemu kompletnemu zaskoczeniu. – Najpierw miałam cię przedstawić jako bohaterkę. Potem jako wroga. To nie miało sensu. Uważam, że Crevan jest u granic wytrzymałości. Sądzę, że kiedy udało mu się skazać lekarkę, bo przegapiła wczesne symptomy choroby Anne, zasmakował zemsty. Nabrał pewności siebie i zrobił to samo z Tinder i Childem. Te przypadki pokazują, że Crevan traci kontakt z rzeczywistością, a moim zdaniem będzie tylko gorzej. Znajduje się teraz pod ogromną presją. Arta nadal nie znaleziono, więc odchodzi od zmysłów ze strachu i złości na ciebie, że odebrałaś mu syna i ściągnęłaś uwagę na Trybunał. Miał udowodnić reszcie świata, że każdy kraj powinien ustanowić swój Trybunał. To by mu dało międzynarodowe stanowisko. Musi powstrzymać wszystkich, którzy staną mu na drodze. Podobno jutro ma ogłosić, że każdy dziennikarz, który napisze pochlebnie o Naznaczonych, zostanie oskarżony o niedozwoloną pomoc.

– No to koniec z Lisą Life. – Czuję, jak moja nadzieja słabnie.

– Dziennikarka ze znakiem pisząca o Naznaczonych nie będzie miała wielkiego posłuchu.

– Nie znajdzie jej – mówi Pia i zaciska zęby. – Ale moi przyjaciele

będą mieć kłopoty. W kwestii wolności słowa lepiej nie zadzierać z dziennikarzami. Jeśli ktoś spróbuje ich uciszyć, będą krzyczeć jeszcze głośniej. Crevan kopie sobie grób, Celestine. Niedługo twoje poparcie wzrośnie. Nie potrzebujesz Lisy Life. Jesteś najodważniejszą osobą, jaką znam. Zainspirowałaś mnie do szukania własnego głosu. – Bierze mnie za rękę i mocno ściska.

Przypominam sobie nasze pierwsze spotkanie w tym pokoju, kiedy ledwie uścisnęłyśmy sobie lewe ręce, żeby moja naznaczona skóra jej nie dotknęła. Teraz moja rana przylega do jej gładkiej dłoni. Niby mały gest, lecz jestem głęboko poruszona.

– Ruch cię potrzebuje, lecz pamiętaj: ty ich nie. Nie daj się wykorzystać.

W jej słowach jest nagły pośpiech. Zaskakuje mnie nagła zmiana jej osobowości. Jej ton jest tak inny, że ledwie mogę to wszystko przyswoić, choć wiem, że to, co mówi, jest ważne. Wyciąga teczkę z plecaka i kładzie ją na artykułach na stoliku.

– Bardzo doceniam, że powiedziałaś mi prawdę o nagraniu pana Berry’ego. Doceniam twoje zaufanie. Wiem, że po wszystkim, przez co przeszłaś, nie jest to proste. Może wciąż mi nie ufasz w stu procentach.

Spuszczam wzrok w poczuciu winy.

– Nie szkodzi, rozumiem. Muszę ci udowodnić moją lojalność. Oto informacje, o które prosiłaś. – Z plecakiem na plecach wygląda, jakby ruszała na jakąś wyprawę. – Odezwę się, jak będę mogła.

– Dzieci jadą z tobą? – pytam.

Oczy zachodzą jej mgłą, zewnętrzna skorupa pęka.

– Są bezpieczniejsze ze swoim tatą. Powodzenia, Celestine.

Spoglądam na wszystkie artykuły Lisy Life, które zostawiła mi Pia, i przebiegam wzrokiem cytaty. To dokładnie moje słowa, nic nie zostało przeinaczone ani wyrwane z kontekstu.

Nagle zdaję sobie sprawę, że wszystkie pochodzą z rozmów z jedną osobą – Pią.

Pia Wang to Lisa Life.

– Sądziłam, że mnie nienawidzisz – mówię.

Uśmiecha się, choć w jej oczach jest smutek.

– Bo tak było.

Doceniam jej szczerosc. Chce jej powiedziec, ze wiem, ile dla mnie robi. Podczas pozegnania mam gulę w gardle. Mam nadzieje, ze następnym razem, kiedy się zobaczymy, wszystko będzie już za nami, a Crevan zniknie.

– Jeśli po drodze spotkasz Lisę Life, podziękuj jej ode mnie z głębi serca.

Pia uśmiecha się ze łzami w oczach. Wie, że się domyśliłam. A potem wychodzi.



Pia jest chora? – pyta mama, gdy mijam ją w drodze do swojego pokoju. – Była jakaś nieswoja. Miała na sobie džinsy i ani jednej brzoskwińowej rzeczy.

– Tak – odpowiadam, rozkojarzona, tuląc do siebie teczkę Carricka. Serce mi łomocze. Już samo posiadanie tych informacji sprawia, że czuję się mu bliższa.

Opieram się o drzwi, podczas gdy mama ściąga sweter przez głowę i rzuca na łóżko. Mebel wprost tonie pod stertą ubrań, jakby mama wyciągnęła z szafy wszystko, co ma. Zupełnie nie poznaję tych ciuchów, które nawet nie mają oderwanych metek.

– Co robisz?

– Przymierzam ubrania.

– Byłaś na zakupach?

– Dostarczono je, kiedy byłaś na komisariacie.

Wchodzę do pokoju i zaczynam przebierać stertę nowych łaszków mamy. Jestem zaciekawiona, bo coś mi się tu nie zgadza, tylko nie wiem co. Dopiero po chwili zdaję sobie sprawę, co tu nie pasuje. Mają nie te kolory i nie te kształty, wydają się zupełnie nie w stylu mamy.

– Co ty robisz? – pytam znowu. – Tak naprawdę?

Mama wzdycha i naciąga czerwony T-shirt na wyrzeźbiony brzuch.

– Zmieniam image.

Szczęka mi opada. Pewnie, mama jest modelką, więc w pracy często zmienia wygląd. Za to w domu, prywatnie, ma bardzo konkretny styl. Styl, który był analizowany i doprecyzowywany przez całe jej życie, styl, który dokładnie mówi światu, jaką jest osobą. Jest prawdziwą mistrzynią takiego ubierania się. Jej wygląd jest nienaganny, jednolity, pasuje do jej osobowości i sylwetki. Dopasowała go do wyglądu rodziny. W zależności od okazji jest stonowany lub odważny. Stosowny na każdą

okazję.

Teraz mama wkłada poszarpane džinsy i botki z powycieranej skóry, które właśnie kupiła. Ubrania są fajne, ale nie pasują do siebie. Każde z nich jest w innym stylu i mama wygląda jak klaun. Zerka do lustra, przygląda się sobie z zadowoleniem, które mnie niepokoi.

Nie tylko Pia jest dziś inna. W mamie też zaszło coś dziwnego. Nadal wygląda idealnie: nienaganny makijaż, każdy włos na swoim miejscu, ale...

Przyglądam się jej. W jej oczach jest zapalczywość, na twarzy determinacja, na skroni delikatne zmarszczki. Czy widzę szczelinę w jej masce?

– Czy ostatnio kontaktował się z tobą pan Berry? – pytam.

Podnosi wzrok i próbuje wyczytać coś z mojej twarzy. Nic z tego, pokazuję jej moją najlepszą imitację jej własnej nieprzeniknionej miny.

– Nie odzywał się od Dnia Ogłoszeń – mówi. – Ostatecznie nie skontaktowaliśmy się z nim w sprawie szóstej Skazy, jeśli o to ci chodzi.

Nie o to, ale dobrze wiedzieć.

– Może ci coś dał? Coś przysłał?

– Rachunek – prycha. – Ale jestem pewna, że nie o to pytasz.

– Rachunek?

– Okazuje się, że jeśli Trybunał uzna cię za Naznaczoną, musisz zapłacić za swoją reprezentację prawną. Pieniądze idą do kasy Trybunału. A sędzia Crevan zupełnie przypadkiem wynajął nam najdroższego prawnika z możliwych.

– Ojej, nie miałam pojęcia. Przykro mi.

– Wybacz. Nie miałam zamiaru... Coś na to poradzimy.

– Wzdycha i narzuca na czerwoną koszulkę obszerny fioletowy kardigan.

– Może zapłaci Pudełko Piękna na poczet twojego nowego kontraktu? Bo ja... oddam wam pieniądze, kiedyś, ale nie od razu.

– Celestine. – Mama podchodzi do mnie i delikatnie odgarnia mi warkocz za ucho. – To miło z twojej strony, jednak to my pokrywamy koszty. A Pudełko Piękna zatrudniło nową ambasadorkę.

Czuję ucisk w sercu. Pudełko Piękna, firma kosmetyczna, której słynny slogan brzmi „Bez skazy wewnątrz, bez Skazy na zewnątrz”, było

dla mamy maszynką do robienia pieniędzy. Mama powtarzała te słowa od niemal dekady. Jest ich uosobieniem. Gdy ludzie myślą o Pudełku Piękna, myślą o mamie: jest twarzą i głosem marki.

– Nie mogę uwierzyć, że cię zwolnili – mówię, wstrząśnięta.

– Nie zwolnili mnie – odpowiada, wyciągając luźną sukienkę z kolejnej torby. Zawsze powtarzała, że bezkształtnym ubraniom należy mówić „nie”, żeby ludzie mogli docenić figurę. – Po prostu nie mogłam się zmusić, żeby dłużej powtarzać te słowa. „Bez skazy wewnątrz...”

– Jej głos milknie, nie potrafi skończyć. – Co to w ogóle oznacza?

Dlaczego ktoś miałby w ogóle chcieć czegoś takiego? Kto powiedział, że tacy mamy być?! – Wygląda na zagubioną. Pełną sprzeczności, wręcz udręczoną.

Po chwili ta mina znika.

Rozglądam się po sypialni rodziców, pełnej ubrań w najróżniejszych kolorach. Stare, spokojne stroje w pastelowych barwach mama zrzuciła na podłogę.

Przez chwilę ją obserwuję. Od dawna nie wychodziła do pracy, nawet kiedy byłam w szkole, zostawała w domu. Zdaję sobie sprawę, jak duże są nasze problemy – z mojego powodu. Garderoba mamy, zwykle posegregowana kolorami i nienagannie uporządkowana, jest tego dowodem.

Mama wyciąga szpilki z koka i jej długie włosy rozsypują się na ramiona, tworzą piękne loki. Roztrzepuje je palcami.

– I jak wyglądam?

Nigdy w życiu nie widziałam tak niedopasowanego stroju. Nie chcę jej obrazić, boję się, że się załamie, jeśli to się już nie dzieje.

– Luzacko – mówię, a ona marszczy czoło i robi zagubioną minę.

– Nie chciałaś wyglądać luzacko?

– Nie – mówi rozkojarzona, biorąc do rąk parę spodni w biało-czarne paski. – Nie chciałam. – Uśmiecha się do mnie słodko.

– Zostaliśmy zaproszeni na drugą stronę ulicy na parapetówkę Candy Crevan.

– Candy Crevan wprowadza się do domu Tinderów?

– Tuż obok brata, żeby mieć na niego oko w tym trudnym dla niego czasie. – W jej głosie nie ma nuty sarkazmu, choć wiem, co sobie

myśli. – Pójdę na przyjęcie ze względu na twojego ojca, bo Candy lubi się pochwalić sławnymi znajomymi. Międzynarodowa modelka bardzo jej pasuje – oznajmia przez zaciśnięte zęby. – Przeparaduję przez jej salon, żeby wszyscy goście mogli mnie zobaczyć w pięknym stroju. Będą mieli na co popatrzeć – ciągnie. – Powiem im, że to najmodniejszy trend sezonu. Miejmy nadzieję, że zaraz po imprezie pobiegną do sklepów, a w przyszłym tygodniu wszyscy będą wyglądać jak pajace. Pokażę im, na czym polega wygląd bez skazy.

Gwałtownie zdiera z siebie kardigan, rzuca koszulkę w drugi koniec sypialni i zaczyna od nowa przeszukiwać pudła. Jej napięte ramiona i zaciśnięte pięści wyrażają zdenerwowanie, choć na jej twarzy wciąż gości anielski spokój.

Stoję w sypialni i patrzę na mamę, zszokowana tym, co usłyszałam. Candy Crevan to siostra sędziego, właścicielka stacji Info24, w której pracuje tata, oraz „Wieści”, z których niedawno z hukiem zwolniono Boba Tindera i dla których pracuje Pia. Nie będzie łatwo mieszkać z nią drzwi w drzwi. Osaczają nas. Oni kontra my.

Wychodzę z sypialni i zostawiam mamę samą z jej problemem: jak najlepiej prowadzić cichy protest przeciw traktowaniu jej córki. Martwię się, jednak przede wszystkim czuję dumę, że ona szuka własnego sposobu, żeby się buntować.

Zawsze musi być pierwszy raz.

W gabinecie na parterze domu szukam rachunku z kancelarii pana Berry'ego. Powinien być w szafce z dokumentami. Nie wiem, czego się spodziewam, lecz muszę sprawdzić, czy nie ma tam żadnej wskazówki, żadnego kodu, który odpowiedziałby mi, gdzie jest nagranie. Znajduję kopertę. Serce wyrywa mi się z piersi.

Faktura jest wciąż w środku. Wysuwam plik kartek i przebiegam je wzrokiem. List wyjaśniający zarzuty, na jego drugiej stronie faktura oraz wizytówka. Na jej odwrocie ktoś zapisał numer telefonu. Chowam kartonik do kieszeni. Żadnych wskazówek, żadnych poufnych wiadomości, żadnych sugestii co do miejsca ukrycia nagrania. List jest niepodpisany, nawet przez sekretarkę. Sprawdzam kopertę: nie ma

w niej nic więcej. Podnoszę kartki pod światło, zastanawiając, się, czy cokolwiek się ukaże, pewnie oglądałam zbyt wiele filmów kryminalnych. Niczego nie znajduję. To zwykły rachunek.

Siadam przy biurku i otwieram teczkę Carricka.

W środku znajduje się zdjęcie z dnia osadzenia w areszcie Trybunału i czuję ucisk w żołądku na widok jego twarzy. Fotografia świetnie oddaje jego cechy: czarne oczy, wydatna szczęka, szerokie ramiona, umięśnione ręce. Wygląda jak żołnierz. Przejeżdżam palcem po jego twarzy. Jestem zaskoczona tym, jakie emocje wywołuje we mnie sama fotografia. Znałam go jedynie przez dwa dni, nigdy właściwie nie rozmawialiśmy, a mimo to... czuję się z nim bardzo zawiązana.

Ten duch zaraz będzie miał nazwisko, wiek i adres.

Niestety, zawartość teczki Carricka okazuje się tak enigmatyczna jak on sam. Dowiaduję się jedynie, że mój duch to dziewiętnastoletni Carrick Vane i że jest N.O.U., choć kompletnie nie mam pojęcia, co to oznacza. Uznaję, że to pewnie skrót, coś jak szkolny N.N.

– nieusprawiedliwiona nieobecność. Mimo uznania, że jego charakter jest skażony i wypalenia mu piętna na piersi za brak lojalności wobec społeczeństwa, Carrick nie pojawił się na żadnym ze swoich testów kontrolnych.

Mam nadzieję, że Carrick nie wpadł w ręce Crevana, tylko znalazł jakąś szczelinę i się wymknął.



O dziewiątej rano w poniedziałek moja nauczycielka, pani Dockery, przychodzi do mnie na pierwsze lekcje domowe. Nie mogę powiedzieć, żebyśmy wcześniej miały bliskie relacje. Uczyła mnie matematyki, a ponieważ byłam dobra z tego przedmiotu, zawarłyśmy ciche porozumienie, na mocy którego mogłam elastycznie podochodzić do zadań. W tym czasie ona skupiała się na tych, którym nie szło tak łatwo. Opowiadała się za nauczaniem mnie w domu, sądzę więc, że była w grupie tych nauczycieli, którzy nie akceptowali mojej obecności w szkole. Co prawda nie wyrzuciła mnie z klasy ani nie ignorowała jak inni, ale też nie poprosiła na stronę, żeby mnie uściskać. Z drugiej strony nikt tego nie zrobił...

Nauczyłam się już, że co do zasady zwykli ludzie nie są okrutni. A przynajmniej pomijając Loganów, Gavinów, Colleen i Natashe tego świata – większość z nich nie jest okrutna, za to mają silne instynkty samozachowawcze. Jeśli coś nie dotyczy ich bezpośrednio, nie mieszają się.

Powinnam wcześniej zdać sobie z tego sprawę, przecież jeszcze w zeszłym miesiącu byłam taka sama. Ci, którzy mieszają się w nie swoje sprawy, zwykle mają jakiś cel. Jak Pia, jak pan Berry. Zaczynam analizować, dlaczego pani Dockery zgłosiła się na ochotnika. Czyżby chciała się codziennie mierzyć z mediami przed drzwiami Naznaczonej?

Moja mama pracuje w przemyśle modowym i to dla niej żadna nowość. Zawsze uważała, że każdy realizuje jakieś swoje cele. Pewnie dlatego, zanim pozwoli nam rozpocząć naukę w bibliotece, siadamy we trzy przy stole w kuchni.

– Celestine to bez dwóch zdań najlepsza uczennica w mojej klasie, pani North – mówi pani Dockery w odpowiedzi na dość bezpośrednie pytanie mamy o to, dlaczego tu jest.

– Mówmy sobie po imieniu. Jak wiadomo, moja córka ostatnio dużo przeszła. Zbyt wiele. Muszę mieć pewność, że jej dobro leży ci na sercu, że jej nie wykorzystasz ani nie będziesz traktować nieżyczliwie. Że dasz jej wszystko, na co zasługuje.

Obrzucam mamę spojrzeniem pełnym zaskoczenia.

– Summer – mówi pani Dockery z uśmiechem – doceniam twoją szczerość, lecz pamiętaj, że ja jestem tu jedynie po to, żeby uczyć. Przeszłość nie ma wpływu na naukę. Matematyczny talent Celestine, łatwość, z jaką sobie radzi ze skomplikowanymi twierdzeniami, jest nadzwyczajna. Rozumie je, więcej, potrafi je rozwinąć. Ma wspaniałą umysł. Chcę mieć zwyczajnie pewność, że moja piątkowa uczennica będzie mnie dobrze reprezentować. Możesz to uznać za egoizm – rumieni się – jednak uważam, że uczniowie są świadectwem moich nauczycielskich ideałów. Pozwolić, żeby Celestine nie dotarła na szczyt, byłoby moją osobistą porażką.

Nigdy nie potrafiłam dobrze ocenić czyjegoś charakteru. Wiedziałam, że Juniper jest w tym lepsza, lecz nie zdawałam sobie sprawy, że ja jestem aż tak zła. Myliłam się niemal za każdym razem. Żeby przetrwać, potrzebuję jej zdolności w rozumieniu i rozszyfrowywaniu ludzi. Ja, cóż... źle oceniłam nawet własną siostrę!

Myślę o Carricku i o tym, jak odczytywał każdą sytuację. Przewracanie oczami. Sztywność i dystans. Zaciśnięte zęby. Czarne oczy, które bez mrugnięcia powieką potrafiły się we mnie wpatrywać. Oczy, które potrafiły przeniknąć każdą barierę ochronną. Jakby Carrick od razu sięgał do sedna prawdy.

Nie mam dziś ochoty na naukę. Jestem wyczerpana. Straciłam wszelką nadzieję. Jestem załamana tym, co zrobili mi Art i Juniper, wciąż obolała po piątkowym pobiciu, sfrustrowana, że pan Berry i strażnicy przepadli. Carrick też przepadł jak kamień w wodę, udaje się mu zgubić nawet demaskatorów. Nic dziwnego, że mnie nie szukał. To zbyt niebezpieczne.

Mama wydaje się usatysfakcjonowana odpowiedziami nauczycielki. Jednak ja nie jestem do końca przekonana. Idę z panią Dockery do biblioteki.

– No to po kolei – mówi nauczycielka rzeczowym tonem, dość

różniącym się od tego, który słyszałam w kuchni. – Mów mi Alpha, okej? Skoro przebywam w twoim domu, to jesteśmy sobie równe.

Potakuję.

Wyciąga kartki z wielkiej torby i siada obok mnie.

– Po drugie, oto twój plan nauki zaakceptowany przez szkołę i Trybunał – mówi pogardliwym tonem. – Musiałam go z nimi omówić w takich szczegółach i tak powoli, że powinnam była zażądać zapłaty za korepetycje. – Śmieję się, zaskoczona nagłą zmianą jej osobowości.

– Gdyby ktoś pytał, a pewnie zapytają, to tym się właśnie zajmujemy. Bez ich wiedzy będziemy robić znacznie więcej. – Podwija rękawy.

– I po trzecie, powinnam cię poinformować o tym. – Wstaje i wyciąga bluzkę ze spodni.

Odwracam wzrok, zawstydzona tą nagłą bezpośredniością. Tuż przed moim nosem znajduje się brzuch mojej nauczycielki. Kątem oka zauważam, że czeka. Najwyraźniej się nie zasłoni, dopóki nie spojrzę. Powoli podnoszę wzrok. Na podbrzuszu Alphy, po lewej stronie, znajduje się czerwone © otoczone kółkiem w tym samym kolorze. To nie blizna, tylko tatuaż.

– Kto ci to zrobił? – aż jęknęłam.

– Sama to sobie zrobiłam.

– Dałabym wszystko, żeby ktoś wymazał moje znaki, a ty się wytatuowałaś?!

– Kiedy ktoś decyduje za ciebie, to zupełnie co innego – tłumaczy cierpliwie. – Ludzi z takimi tatuażami jest dużo więcej. W Naznaczeniu widzimy siłę, Celestine. Na błędach można się uczyć. Jeśli nigdy nie popełnisz błędu, to nigdy nie zmądrzejesz. Ci tak zwani idealni przywódcy, nigdy nie zrobili fałszywego kroku. Skąd więc mogą wiedzieć, co jest dobre, a co złe? Jak mogli poznać siebie samych? Skąd mają wiedzieć, które decyzje podejmują w zgodzie ze sobą, a co jest im nie w smak? Im więcej błędów się popełni, tym więcej się o sobie dowie.

Nie mieści mi się to w głowie.

– No to ja muszę być chyba bardzo mądra – żartuję.

– Najmądrzejsza – odpowiada Alpha poważnym tonem. – O tym właśnie mówię. Sąd Naznaczonych sam ma skazę na charakterze, Celestine. Ten tatuaż nie oznacza jedynie, że wszyscy mamy wady, to

symbol mojego wsparcia dla ciebie.

Teraz mam pewność, że wszystko się zaczęło. Sekretne ruch, przed którym ostrzegła mnie Pia i o którym pisze Lisa Life. Siedzę oko w oko z kimś, kto jest jego częścią.

– Gdy coś mówisz, Celestine North, trafiasz w samo sedno. Twój czyn w autobusie... – lekceważąco macha ręką, jakby to nie było nic wielkiego – wszyscy mamy na koncie przynajmniej jeden dobry uczynek, nawet źli ludzie. Twoje słowa to prawda w najczystszej postaci. Trafiały w samo serce. – Uderza pięścią w stół, na co ja aż podskakuję złężniona.

– Artykuły Pii Wang je zniekształcały.

– Nie mówię o Pii Wang. Mówię o jej alter ego, Lisie Life.

– Wiesz o niej?

– Umiem rozpoznać czyjś styl. Ona nie jest wytrawną dziennikarką, jeśli mam być szczerą, ale potrafi znaleźć dobre tematy, sprawić, żeby ludzie się przed nią otworzyli. Jako Lisa Life pisze lepiej. Zabawny pseudonim – mówi bez uśmiechu. – A ty bez wątpienia coś w niej poruszyłaś. Powiedz, zachowuje się inaczej czy wciąż jest wyszczekany psem na smyczy Crevana? Krótkiej smyczy. Wielka mi wolność słowa! – prychna. – Od dzisiejszego poranka sytuacja jeszcze się pogorszy. Ledwie kilka minut temu Trybunał ogłosił...

– Że pochlebne wyrażanie się w prasie o Naznaczonych będzie uznawane za pomoc im i wspieranie. – Wstaję i zaczynam chodzić po pokoju, czuję przyływ adrenaliny.

To się naprawdę dzieje. Crevan przestaje jasno myśleć, tak jak mówiła Pia. Kto wie, co mi teraz robi. Muszę szybko wymyślić plan działania.

– Zgadza się – mówi Alpha. – Czyli jednak czytasz gazety. Zwykle żaden nastolatek nie da się do tego zmusić, cieszę się, że ty jesteś rozsądniejsza. Szczerze mówiąc, bardzo liczyłam, że zaczniemy naukę już w miniony poniedziałek, ale uparłaś się, żeby zostać w szkole. Może powinnam cię była wziąć na stronę i wszystko ci wytłumaczyć, wydawało mi się jednak, że nie jesteś na to gotowa. W pewien sposób Logan Trilby wyświadczył mi przysługę. Nie zrozum mnie źle, mam nadzieję, że cała czwórka tych sadystów pójdzie do piekła. Dzięki

artykułowi Lisy Life o ich wybryku dowie się cały świat. Oczywiście nie podaje nazwisk, jednak podsuwa wskazówki, więc wszyscy powinni się domyślić. Ludzie już krytykują to, jak zostałaś potraktowana. Policja musi się tłumaczyć, dlaczego nie ukarano sprawców. No i Crevan zażąda głowy Lisy Life.

I mojej.

Nie jestem zadowolona z tego, że ludzie wiedzą, co mi się przydarzyło w piątek. Choć cieszy mnie, że Loganowi i jego bandzie tak do końca się nie upiecze.

– Zanim zaczniemy, czy masz jakieś pytania? Wszystko jedno jakie.

Po tym, jak na mnie patrzy, wiem, że mam siedzieć i słuchać. Wiem, że to się zaczęło. Nadszedł czas, żeby przejąć nad sobą kontrolę.

– Opowiedz mi o Enyi Sleepwell.

Alpha po raz pierwszy się uśmiecha.

– Doskonałe pytanie. Widzę, że będzie z ciebie świetna uczennica. Co już o niej wiesz?

– Jest politykiem. Ma krótkie włosy. Codziennie przychodziła na moje rozprawy. Pamiętam ją. Zawsze stała z tyłu, blisko Naznaczonych. Jest członkinią Partii Niezbędnych. I jest po mojej stronie.

– Dwie poprawki. – Alpha wystawia palce. – Enya jest teraz przewodniczącą Partii Niezbędnych. Udało jej się obalić dotychczasowego przywódcę. Był miły, ale głupi. Enya trochę mu pomogła się ośmieszyć, chociaż można też uznać, że to była jego własna wina. Powinien był na nią uważać, odkąd tylko znalazła się w parlamencie. Została wybrana przewodniczącą w zeszłym tygodniu i to tobie powinna za to podziękować. Druga poprawka, niekoniecznie jest po twojej stronie. To polityk i to taki, który szybko pnie się na szczyt. Twoja sprawa z pewnością nie jest jej obojętna, jednak ona obraca się tam, gdzie zawieje wiatr. Owszem, dostrzega, że kwestia Naznaczonych to coraz poważniejszy problem, przynajmniej dla niektórych. Kalkuluje, że skoro ta sprawa robi się coraz głośniejsza, warto ją wesprzeć, a potem jechać na fali zwycięstwa. – Nauczycielka mówi to wszystko, a jednocześnie przerzuca zdjęcia Enyi, z których wiele zrobiono podczas mojego procesu. – Jeśli popełnisz jeden błąd, to

ona cię odrzuci jak szmacianą lalkę. Na razie jesteś twarzą jej kampanii, jej przepustką do władzy. Władza. Pamiętaj, to o nią tu chodzi. Ludzie chcą pieniędzy albo władzy. A czego ty chcesz?

Marszczę brwi.

– Ani jednego, ani drugiego.

Alpha też chmurzy czoło i mierzy mnie wzrokiem.

– Czekał. – Próbuję myśleć logicznie. – Ale Enya już jest przewodniczącą partii. Czego chce więcej?

– Kochana, ona chce przywozić całemu krajowi.

– I uważa, że mogę jej w tym pomóc?

Nauczycielka znów się ironicznie uśmiecha, śmieszy ją moja naiwność. Na szczęście szybko się uczę.

– Nie, wykorzysta cię, żeby zdobyć władzę, a jeśli zawiedziesz, znajdzie inny nośny temat. Choćby wczasy na Marsie dla wszystkich.

– Więc nie powinnam jej ufać.

– Tego nie powiedziałam. Możesz jej ufać tak długo, jak długo gracie w otwarte karty. Ona wykorzystuje cię, ty wykorzystujesz ją. Jestem zaskoczona, że jeszcze nie spróbowała się z tobą skontaktować.

– To stwierdzenie, ale wiem, że teraz Alpha próbuje wyciągnąć ze mnie informacje.

W odpowiedzi kręcę głową.

– No to pewnie wkrótce to nastąpi.

Ta wizja już mnie przeraża.

– Nie martw się, pomogę ci się do tego przygotować. Jeśli będziesz miała jakieś pytania, nie krępuj się, dobrze?

Kiwam głową, lecz straciłam pewność siebie. Mam wrażenie, że nie mogę ufać nikomu. Alpha wcale nie jest wyjątkiem, co natychmiast wyczuwa.

– Tak, ja też cię wykorzystuję – przyznaje. – Też mam swój cel. Mam swoje poglądy i przekonania i chcę zobaczyć, jak się urzeczywistniają. Jesteś teraz na topie. Kilka wskazówek i możesz się stać osobą, która zmieni świat.

– Dlaczego tak mocno tego pragniesz?

– Mój mąż jest Naznaczony. Skroń i język.

Zła decyzja i kłamstwo.

– Popęłnił etyczną pomyłkę w pracy. Został przyłapany. Piał się po szczeblach kariery i miał przed sobą świetlaną przyszłość, więc zrobili z niego przykład.

– Czemu Trybunał tak się go bał?

– Ciekawe, Celestine. Zapytałaś, dlaczego Trybunał się go bał...

Zauważasz, że coś takiego ma miejsce. To dobrze. Kontynuujmy.

– Opisuje sytuację, która jej zdaniem wynikała z mojego zachowania w autobusie i odpowiedzi w sądzie. – Współczucie i logika. Bardzo mi się to podoba – mówi, znów uderzając dłonią w stół i śmiejąc się.

– Długo się nad tym zastanawiałaś, a może ktoś to za ciebie wymyślił? To dzieło Berry’ego? Niektórzy tak sądzą, nie ja. To nie jego styl.

– Przysuwa się bliżej, jakby czekała na każde moje słowo. – Kto napisał to zdanie?

Chmurzę czoło.

– Nikt tego nie napisał, po prostu przyszło mi ono do głowy.

Z niedowierzaniem kręci głową.

– Wspaniale. Potrzeba nam więcej takich haseł. Wiesz, że Enya ma zamiar wykorzystać te słowa jako slogan Partii Niezbędnych?

„Współczucie i logika: idealne połączenie. Głosuj na Partię Niezbędnych”.

Teraz ja kręcę głową z niedowierzaniem.

– Wiem, masz wiele do przyswojenia. Zapamiętaj tylko, że potrzebujemy więcej takich haseł. Jeśli wpadną ci do głowy, koniecznie je zapisz. Znajdę sposób, żeby je wykorzystać. Co jeszcze... Wyglądasz na nieco oszołomioną, więc może przejdziemy do matematyki? Do czegoś, co jest ci bliższe. Przynajmniej na razie. – Szuka na stole sylabusa. – Lepiej zrobmy dziś coś z tej listy, żeby dobrze ci poszedł test wykrywaczem kłamstw na urzędzeniu kochanej Mary May.

– Znasz ją?

– Przez nią moja bratowa i jej mąż poszli do więzienia za pomoc Naznaczonemu. Pomogli mu złamać kilka zasad, więc odsiedzą cztery lata. Lepiej z nią nie zadzierać. Wygląda jak ptaszek, ale gryzie jak lew. Skoro ci ją przydzielili, to znaczy, że nie żartują. Ma najdłuższy staż na stanowisku. Bycie demaskatorem to całe jej życie. Wie więcej niż wszyscy pozostali strażnicy razem wzięci, czyli dużo, i sprawuje nad

nimi kontrolę.

Po raz pierwszy słyszę, żeby ludzie naprawdę trafili do więzienia za pomoc Naznaczonemu. Wcześniej uważałam, że to tylko groźba, choć całkiem realna. Dwa lata za pomoc Claytonowi Byrne'owi albo Naznaczenie.

– Przykro mi z powodu twojej rodziny.

Raz jeszcze lekceważąco macha ręką i nawet nie podnosi wzroku znad kartek.

– Jest jakiś inny powód, dlaczego wytatuowałaś sobie brzuch?

To pytanie nieco ją rozstraja, jednak postanawia odpowiedzieć.

– W ciągu czterech lat sześć razy poroniłam. Moje łono nie utrzyma dziecka, nie do końca ciąży. Możesz mi wierzyć, starałam się. I nie mów, że ci przykro, nie masz na to wpływu. – Raz jeszcze zerka na sylabus, po czym go odkłada. Wiem, że się przede mną otworzy.

– Zrobiłam ten tatuaż nie dlatego, że uważam, że nie jestem idealna. Ma mi przypominać, że nasze wady są naszą siłą. Przez to zaczęłam prowadzić fundację. Skoro nie mogłam sama urodzić, zainteresowałam się adopcją. Zależało mi na dziecku N.O.U., lecz to też nie wyszło. Ale nie będę cię zanudzać czymś, co już wiesz – mówi. – Pewnie dowiedziałaś się wszystkiego od swojego Naznaczonego Od Urodzenia przyjaciela. Na imię ma Carrick, prawda?

Teraz zdobyła moją całkowitą uwagę.



Skąd wiesz o Carricku? – pytam ją, nagle robiąc się podejrzliwa.

Znowu powątpiewam w swój instynkt. Czy to podstęp, żeby dopaść Carricka? Crevanowi udało się jakoś sprawić, żeby zniknęli pan Berry i strażnicy, a teraz szuka jego? Czy wykorzystuje Alphę, żeby wyciągnęła ode mnie informacje? Nie mogę jej ufać. To wszystko może być podstęp – podstęp, by złapać mojego ostatniego świadka i mnie. Nie jestem taka naiwna jak kiedyś. Tak naprawdę to ta cecha zawsze była moją wadą. Dziś mam oczy szeroko otwarte i obserwuję nimi wszystkich wokół mnie. Lecz wiem też, że muszę być sprytna i próbować się dowiedzieć o Carricku, ile tylko możliwe.

– Masz wszelkie powody, żeby mi nie ufać – mówi. – Jasne. Zastanawiasz się, skąd o nim wiem. Po tobie, Angelinie Tinder i Jimmym Childzie Carrickowi nie poświęcono zbyt wiele czasu antenowego, jeśli w ogóle. Można spokojnie założyć, że Trybunał nie przepada za historiami Naznaczonych Od Urodzenia dzieci, które szukają swoich Naznaczonych rodziców.

Dzieci Naznaczone od Urodzenia? Próbuję nie reagować zbyt żywiołowo na tę wiadomość, choć w głowie mam gonitwę myśli i aż przewraca mi się w żołądku.

– Pewnie wiesz, że takim dzieciom nie wolno szukać ich biologicznych rodziców. Odbiera się je Naznaczonym rodzicom i zamyka w ośrodkach wychowawczych aż do uzyskania pełnoletności, żeby wyplenić z nich skazy charakteru. Wypuszcza się je, gdy skończą osiemnaście lat. Jeśli zaczną szukać rodziców, jeśli choćby o tym pomyślą, otrzymują znak. Lojalność wobec własnej rodziny widziana jest jako nielojalność wobec społeczeństwa. – Kręci głową, żyły na jej szyi zaczynają pulsować ze złości. Nawet jeśli to pułapka, gniew Alphy zdecydowanie nie jest udawany.

Myślę o teczce Carricka i skrócie, którym opatrzone było jego nazwisko, N.O.U. Naznaczony Od Urodzenia. W dokumentach napisane było też, że otrzymał znak na piersi za nielojalność. Wszystko zdaje się zgadzać ze słowami Alphy. Postanawiam jej uwierzyć, choć nadal nie jestem pewna, czy mogę jej ufać.

– Carrick powinien był odczekać kilka miesięcy, zanim zacznie poszukiwania – mówi gniewnym tonem, jakby miała do mnie pretensje. – Przez pierwsze miesiące system bacznie obserwuje swoich wychowanków, żeby się upewnić, że nie zrobią niczego zabronionego. On za wcześnie się do tego zabrał, jakby chciał zostać złapany... – Jej głos cichnie, a oczy szukają na mojej twarzy jakiejś reakcji.

Nie odpowiadam. Jestem zbyt zaskoczona tym, co słyszę, zbyt poruszona, za bardzo współczuję Carrickowi. Chcę go odnaleźć i od razu przytulić. Żałuję, że o tym nie wiedziałam wtedy, w areszcie, gdy spaliśmy obok siebie w szklanych klatkach. Myślałam, że jest żołnierzem, kimś, kto dopuścił się czegoś najgorszego. Tymczasem to, co zrobił, było takie naturalne... Był jak zamknięte w klatce zwierzę, które chodzi w kółko i szamocze się, jakby chciało walczyć z całym światem. Próbował odnaleźć swoich rodziców, którym został odebrany siłą. Czy świadomość, że jest synem Naznaczonych, zmienia moje zdanie na jego temat?

Tak, zmienia.

Przeżył kilkanaście lat niekończącego się prania mózgu. Wmawiano mu, że jego rodzice są bezwartościowi, że jest od nich lepszy, a on i tak natychmiast po opuszczeniu ośrodka zaczął ich szukać. Jego miłości nie dało się złamać, wygrała. Jest jeszcze odważniejszy, niż myślałam. Naprawdę jest żołnierzem, za którego go miałam.

Komentarze Tiny w areszcie, że Carrick to zgniłe jajo, nabierają sensu, tak jak impertynencka uwaga Crevana, że ma on charakter skażony do szpiku kości.

Carrick nie miał szans. Jego proces musiał być jakimś żartem. Był Naznaczony Od Urodzenia. Tego nie można się pozbyć. Może podejrzania Alphy są właściwe, może rzeczywiście celowo chciał dostać własny znak. Oficjalnie stać się tym, kim naprawdę się czuje, a nie kimś, na kogo chciał go wychować Trybunał. Im więcej o nim

myślę, tym większy mam do niego szacunek.

Alpha powoli wciąga powietrze, żeby się uspokoić.

– Przypadek Carricka był bardzo niefortunny.

Z jego powodu pęka mi serce.

– Tak – odpowiadam ze smutkiem. – To prawda.

Alpha jeszcze raz przygląda mi się z właściwą sobie bacznością, jakby docierało do niej to samo, co ja powoli odkrywam.

– Byliście sobie bliscy?

Czerwienieją mi policzki i odwracam wzrok. Czułam jakąś więź z Carrickiem, odkąd wszedł do celi i odwrócił się do mnie plecami. Czułam ją przez cały czas, który spędziliśmy razem w areszcie, przed Trybunałem i w Izbie Naznaceń. To niedorzeczne czuć coś takiego do obcej osoby, jednak doświadczyliśmy bardzo silnych emocji i bez względu na czas i miejsce zawsze wiedzieliśmy, co czuje to drugie.

– Opowiedz mi o tych ośrodkach. Nie mówił o nich zbyt wiele.

– Nie dziwię się. Choć nie są to znów takie straszne miejsca.

Właściwie jest wręcz odwrotnie, to nowoczesne i luksusowe ośrodki, większość ludzi nigdy takich nie widziała. Państwo finansuje te instytucje, ponieważ pochodzą z nich jedni z naszych najlepszych sportowców oraz naukowców. Nie należy jednak zapominać, że wszystkie te dzieci zostały odebrane rodzicom i że nie wolno im utrzymywać kontaktu z najbliższymi. To okrutne, złe. Sytuacja Carricka różniła się nieco od innych, jak zapewne wiesz.

– Czyli? – pytam zmieszana.

– Z powodu wieku, w jakim został odebrany rodzicom. To pewnie tłumaczy, dlaczego pranie mózgu w jego wypadku nie odniosło rezultatów. Miał wspomnienia, których nie można mu było odebrać. Carricka zabrano rodzicom, kiedy miał pięć lat. Matka i ojciec ukrywali go od urodzenia, niestety, w końcu ktoś się dowiedział. – W głosie Alphy jest bezgraniczny smutek.

– Nie wiem już, co jest gorsze – odpowiadam, wyobrażając go sobie jako małego chłopca, który ma świadomość tego, co się dzieje. Który rozpacza, bo odebrano go rodzicom, rozdzielono z ludźmi, których kocha.

– Dlatego właśnie tak bardzo się staram wywalczyć prawo do

adopcji dzieci N.O.U. – mówi Alpha, prostując się.

– Dzieci N.O.U. nie można adoptować?

– Oczywiście, że nie. Zaburza to proces prania mózgu. W sytuacji takiej jak moja w ogóle nie może być mowy o adopcji, bo Naznaczonym ona nie przysługuje – odpowiada. – Mój mąż sugerował nawet rozwód, żebym mogła adoptować, bo wie, jak bardzo pragnę dziecka. Oczywiście rozwód byłby tylko na papierze, tak naprawdę by mnie nie zostawił.

Powiedz mi, Celestine, gdzie w tym logika? Zgodnie z przepisami mogę adoptować dziecko samotnie, ale nie z mężem, który ma Skazę.

– Wzdycha. – Przepraszam, ten temat wzbudza moją złość.

– Widzę – odpowiadam cicho, ale czuję ulgę, że w końcu ktoś krytykuje Trybunał. – Skąd tyle wiesz o Carricku? – pytam, bo nadal nie w pełni ufam jej buntowi wobec Trybunału. – Jego teczka nie zawierała zbyt wielu informacji o nim.

– Czyli widziałas jego teczkę – zauważa nauczycielka z rozbawieniem. – Proszę, proszę, Celestine, jesteś bardziej operatywna, niż mi się zdawało.

– Nie odpowiadam. Trzymanie języka za zębami nie przychodzi mi łatwo.

– Teczki wszystkich Naznaczonych znajdują się w archiwach miejskich – mówi Alpha. – Każdy obywatel ma prawo wiedzieć, czy mieszka w pobliżu Naznaczonego. Chyba że samemu ma się znak: wtedy dostęp do danych jest zabroniony.

Przełykam ślinę, przyłapaną.

– Żeby otrzymać dane, należy złożyć formularz w Trybunale z prośbą o dostęp, co alarmuje pracowników. Poza tym dokumenty Carricka są mocniej chronione niż twoje. Trybunał nie lubi przyznawać, że ich system zawiódł, a przynajmniej że pranie mózgu w kilku przypadkach okazało się nieskuteczne. Więc w odpowiedzi na twoje pytanie, skąd tyle wiem o Carricku: prowadzę ogromną organizację. Kiedy sprawa kogoś takiego jak Carrick trafia do sądu, moi ludzie mnie o tym informują. Byłam na jego procesie.

Od razu jej zazdroszczę. Chciałam być tam razem z nim. Chciałam stać z tyłu i być dla niego takim wsparciem, jakim on był dla mnie. Zastanawiam się, czy miał tam kogoś, czy przeszedł przez wszystko

całkiem sam. Odnalezienie go staje się dla mnie jeszcze istotniejszą sprawą.

– Jak... jak to zniósł? – pytam, a cała drzę.

– Z godną podziwu siłą – mówi Alpha z czułym uśmiechem.

– Poszłaś z nim do Izby Naznaczeń?

Kiwa głową.

– Zezwolono mi na to ze względu na fundację. Trybunał uważa, że powinnam zobaczyć wypalanie znaków na własne oczy, żebym mogła lepiej pomóc w terapiach rodzin i społeczności Naznaczonych.

Wyobrażam go sobie w Izbie Naznaczeń. Przypomina mi się, jak było gorąco na fotelu pod lampami sufitowymi. Wyobrażam go sobie w czerwonej koszuli, jak czuje to co ja. Moje oczy wypełniają się łzami.

– Jak to zniósł?

Bierze mnie za rękę. Po policzkach płyną mi łzy.

– Byłabyś z niego dumna, Celestine, nawet nie pisała. Pierwszy raz w życiu widziałam, jak wypalają komuś bliznę w takiej ciszy.

W głębi serca czuję się złamana, lecz, o dziwo, mam też ochotę tańczyć. Zrobił to co ja. Poszedł w moje ślady. Nie pozwolił im doprowadzić się do rozpacz.

– Widziałaś go ostatnio? – pyta Alpha, podczas gdy ja ocieram łzy.

Uśmiecham się znacząco, jakbym wiedziała, gdzie jest, ale nie chciała powiedzieć.

– A ty wiesz, gdzie on jest?

Alpha się śmieje.

– Szczerze mówiąc, nie. Świetnie się ukrywa. Wymknięcie się demaskatorom nie zdarza się często i jest bardzo trudne.

Potakuję.

– Ktoś mu musi pomagać.

Wiem, że chce mi wyjawić więcej, jednak się powstrzymuje. Zmienia taktykę i teraz wiem, dlaczego naprawdę tu jest.

– Kiedy następnym razem się z nim zobaczysz, powiedz mu, proszę, że bylibyśmy ogromnie wdzięczni, gdyby nas poparł. Fundacja potrzebuje jak największej liczby Naznaczonych, którzy byliby skłonni podzielić się swoją historią. Sami nie mamy takiego posłuchu, żebyśmy mogli dokonać jakiejś istotnej zmiany. Posiadanie w swoich szeregach

dziecka dwojga Naznaczonych, które zostało wychowane w ośrodku N.O.U., a potem chciało odnaleźć swoich rodziców, bardzo by się liczyło w mojej kampanii na rzecz adopcji dzieci N.O.U. Powiedz mu to, dobrze?

Kiwam głową. Kiedy znowu go spotkam. Jeśli w ogóle go spotkam.

– Dziś wieczorem organizuję pewne wydarzenie. Małe spotkanie dla ludzi potrzebujących wsparcia. O siedemnastej. Będiesz miała wystarczająco dużo czasu, żeby wrócić do domu przed godziną policyjną – mówi prędko, wciskając mi w dłoń złożoną karteczkę. – Przyjdź, żeby powiedzieć nam kilka słów. Wiem, że na pewno zainspirujesz wielu ludzi. Skłonisz ich do działania.

– Działania?

– Jesteśmy grupą wsparcia – unosi brew – lecz tak naprawdę próbuję spowodować działanie. Doprowadzić do upadku Trybunału. Trybunał sądzi, że pracuję z Naznaczonymi i ich rodzinami. Że zapewniam im wsparcie psychologów i organizuję zbiórki pieniędzy dla rodzin. Kampania adopcyjna N.O.U. wspierana jest przez wielu członków rządu i Trybunału. Luksusowe ośrodki są kosztowne, adopcja byłaby korzystna dla budżetu. Pieniądze zawsze liczą się najbardziej. Więc mam wielu po mojej stronie. Dlatego w ogóle mogę działać. Tak naprawdę to nie tylko kampania adopcyjna. Moja działalność terapeutyczna jest kluczowa w kwestii utrzymania spokoju w społeczeństwie.

Słyszając, że Alpha jest wspierana przez Trybunał, znów staję się czujna.

– Alfo – ledwie zerkam na zgniecioną karteczkę w swojej dłoni – doceniam twoją wiarę we mnie, niestety żaden ze mnie mówca. Nie wiedziałabym nawet, co powiedzieć.

Wbija we mnie wzrok, jakby przez chwilę próbowała mnie rozgryźć.

– Często myślę sobie, że jesteś sprytniejsza, niż dajesz po sobie poznać, a innymi razy wydajesz się tylko dzieckiem postawionym w sytuacji, która tak je przerasta, że nie ma pojęcia, co robić.

Nie odpowiadam. Nie jest moim zadaniem pomaganie jej

w rozgryzieniu mnie. Nawet mnie zrozumienie samej siebie nie spędza snu z powiek. I wciąż nie przyzwyczaiłam się do tego, że ludzie tak nieskrępowanie wygłaszają opinie na mój temat.

Wszelkie przemyślenia na temat Alphy też wolę zachować dla siebie. Niektórzy ludzie, tacy jak ona i Pia, przyznają sobie prawo do swobodnego wyrażania opinii o wszystkim i wszystkich. Jakby to nikogo nie mogło zranić ani zmienić. To wina znamion, wiem o tym.

Naznaczenie odbiera mi człowieczeństwo w oczach innych. Można się na mnie gapić i mówić o mnie, jakby mnie tu nie było.

– Wszystko się zaczęło od organizacji charytatywnej zajmującej się udzielaniem pomocy psychologicznej i gromadzeniem funduszy – dodaje Alpha. – Jednak od zakończenia twojej sprawy liczba naszych członków znacznie wzrosła. Mamy też więcej darowizn. Większość jest anonimowa, ale pojawiło się też kilka ważnych nazwisk. Czuję nadciągającą zmianę i to ty ją rozpoczęłaś. Oczywiście w dużej części to polityka. Natomiast moja organizacja może zrobić o wiele więcej. Już pora. Spróbuj przyprowadzić ze sobą Carricka. Czas, żeby ludzie zaczęli działać.

Tego popołudnia rozpoczyna się mój tydzień aresztu domowego. Chodzę po swoim pokoju jak lew po klatce, niczym swego czasu Carrick. Nawet gdybym się zdecydowała przemówić na zebraniu Alphy, czego nie umiałabym zrobić, nie mogę opuścić domu. To raczej nie jest dla nikogo inspirujące.

Po powrocie ze szkoły Juniper przechodzi przed otwartymi drzwiami mojej sypialni. Wygląda na zagubioną i chyba płakała. Bardzo dobrze. Zatrzymuje się i spogląda na mnie. Wróciła do swoich czarnych ubrań. Poza moimi znakami teraz niewiele nas różni.

– Między mną a Artem do niczego nie doszło, jeśli tym się martwisz. – Pociąga nosem. – Cały czas rozmawialiśmy o tobie.

Jestem taka wściekła, że chcę ją uderzyć w twarz. Zamiast tego zatrzaskuję jej drzwi przed nosem. Satysfakcja, którą czuję, nie wypełnia panującej we mnie pustki. Wiem, że nie wymknęła się z domu, odkąd nakryłam ich na szczycie. Wiem, bo nocami leżę w łóżku, nie mogę

zasnąć i nasłuchuję jej kroków. Myślę o wszystkich tych nocach, kiedy się do niego wymykała, podczas gdy ja zwijałam się z bólu. Byłam uwięziona w domu, wciąż jestem. W moim sercu pulsuje gniew.

Nie wiem, czy wierzyć w to, że nic między nimi nie zaszło. Gdy ich przyłapałam, siedzieli blisko siebie, rozbawieni. Ich śmiech najbardziej mnie prześladowuje, zwłaszcza że uciekałam przed niebezpieczeństwem, a oni tak świetnie się bawili. Nigdy im nie wybaczę.

Jednak czy to oznacza, że przestało mi zależeć na Arcie? Zastanawiam się, kto teraz mu pomaga, skoro nie robi tego Juniper. Zastanawiam się, czy uciekł na dobre. Czy zdobył się na odwagę, żeby opuścić Humming, a może nawet Highlandię, i zamieszkać gdzieś poza zasięgiem ojca. Zastanawiam się, czy jeszcze go kiedyś zobaczę. Nie powinien mnie obchodzić i nie powinnam się o niego martwić, ale tak jest.

Zostaję wezwana do kuchni, bo Mary May postanowiła złożyć mi niezapowiedzianą wizytę i najwyraźniej ma mi coś do powiedzenia. Momentalnie zaczynam panikować. Pewnie ma to coś wspólnego z testem alkomatem z piątkowego wieczoru, który wyszedł pozytywnie. Choć Colleen, Gavin i Natasha nie wymigali się tak jak Logan, cała trójka kategorycznie zaprzeczyła, że piła alkohol. Wyszło na to, że to była moja inicjatywa, wbrew zasadom Naznaczonych. Jednak w to, że pod wpływem alkoholu sama się związałam i zamknęłam w szopie na zewnętrzne zamki, nie uwierzyłyby nawet sam Trybunał. Chociaż pewnie sędziowie próbowali cały weekend.

Mary May wyciąga ze swojej torby jakieś dokumenty. Patrę na nią i czuję ból, który jej skórzana rękawiczka pozostawiła na mojej twarzy. Widzę kobietę, która doniosła do Trybunału na całą swoją rodzinę, po czym patrzyła, jak jeden po drugim jej bliscy zostają Naznaczeni. Kto wie, do czego jeszcze jest zdolna, a moje życie jest w jej rękach.

– Twój areszt domowy w tym tygodniu został wstrzymany – mówi zwięźle.

Widzę, że przekazanie mi tej wiadomości jest jej zupełnie nie w smak. Nie znosi nawet tego, że musi otworzyć usta w tym domu

i oddychać Naznaczonym powietrzem. Brzydzi się tym, a mimo to ulega przycięganiu. – Anonimowy informator przesłał Trybunałowi zdjęcie przed wykadrowaniem. Trybunał przebadał je pod względem autentyczności i ingerencji Photoshopem, po czym uznał, że jest prawdziwe i przedstawia Juniper North podczas lekcji plastyki. W kwestii innych przewinień Trybunał postanowił zrezygnować z zarzutów dotyczących spożywania alkoholu. Zeznanie Colleen Tinder potwierdza śladową ilość alkoholu w twojej krwi.

Ku mojemu zaskoczeniu mama, ubrana w ogrodniczki i koszulę w kratkę, podnosi w górę ręce, niemal trącając Mary May w twarz, i syczy:

– Sukces!

Obejmuje mnie tak mocno, że nie widzę reakcji Mary May. Ledwie kilka dni temu ostrzegała mnie, żebym z nią nie zadzierała, a teraz sama prowadzi niebezpieczną grę. Słyszę jedynie, jak demaskatorka trzaska drzwiami, wychodząc.

Uskrzydłona podwójnym zwycięstwem, czuję, że mogłabym przejąć władzę nad światem i że jestem w stanie naprawić jeszcze więcej zła. Mogę zająć się poszukiwaniami, jak planowałam. Zostawiam świętującą rodzinę, w tym Juniper, która wygląda na szczerze zadowoloną z mojego powodu, lecz wie, że lepiej się do mnie nie zbliżać. Idę do swojego pokoju. Wyciągam z kieszeni wizytówkę Berry'ego i wybieram numer zapisany na odwrocie.

– Halo? – odzywa się cichy głos.

– Dzień dobry, czy rozmawiam... z mężem pana Berry'ego?

– Kto mówi? – Mężczyzna odpowiada jeszcze ciszej, aż muszę wyteńczyć słuch.

– Nazywam się Celestine North. Reprezentował mnie...

– Wiem, kim jesteś – przerywa szybko, lecz nie niegrzecznie. – Nie powinnaś tu dzwonić.

Odnoszę wrażenie, że mój rozmówca chodzi w kółko. Jest rozkojarzony. Coś ociera się o słuchawkę.

– Przepraszam, ale pan Berry podał mi ten numer razem z fakturą. Pomyślałam, że może chce, żebym do niego zadzwoniła. Czy mogę z nim porozmawiać?

Cisza. Już mi się wydaje, że coś nas rozłączyło, a wtedy słyszę ciężki oddech.

– Halo?

– Nie – znów mówi szybko, tak cicho, jakby połączenie było kiepskie, a on znajdował się tysiące kilometrów stąd. – Nie ma go – dodaje, a ja czuję ukłucie rozczarowania. – Ona już tu dzwoniła.

Na początku nie wiem, o kim mówi, wreszcie przypominam sobie o Pii i zauważam, że nie chce wspomnieć jej imienia. Uważa, że ktoś go podsłuchuje.

– Proszę się nią nie przejmować – mówię. – Ona próbuje mi pomóc.

Pewnie mąż pana Berry’ego się boi, co Pia napisze w artykule. On by ją okłamał. Wszyscy się boją Pii, kto chciałby z nią rozmawiać? Mogłabym go zapewnić o jej uczciwości, jednak sama nie jestem tego całkowicie pewna.

– On może mi zaufać – zapewniam go.

– Mówiłem, że go nie ma – odpowiada zniecierpliwiony głos nieco bardziej stanowczo. Po chwili cicho dodaje: – Wyjechał w pośpiechu, nie powiedział dokąd. Spieszył się. Wiedział o innych.

Jestem zaskoczona. Więc to nie Crevan odpowiada za jego zniknięcie. Pan Berry ukrywa się przez to, co się stało ze strażnikami.

– Okej. – Próbuję szybko coś wymyślić. Nie chcę zdradzać żadnych informacji ani podawać nazwisk. Jak mogę powiedzieć to, co chcę powiedzieć? – Szukam czegoś, wie pan czego?

– Tak – szepcze.

Wie o szóstej Skazie.

– Oglądał pan to? – pytam, nie chcąc wymieniać słowa „nagranie”. Jeśli ludzie Crevana rzeczywiście podsłuchują, nie będę im niczego ułatwiać.

Zapada długa cisza i wiem, że to test mojej cierpliwości. Ta rozmowa jest jak wyrywanie zębów, lecz muszę wytrzymać. On już nigdy więcej nie odbierze ode mnie telefonu. Teraz albo nigdy.

– Tak – mówi w końcu ledwie słyszalnym głosem. – Obejrzałem. Bardzo mi przykro z powodu tego, co ci się przydarzyło.

Staram się nie rozplakać.

– Ma pan to? Wie pan, gdzie to jest?

– Nie – mówi. – Jej też mówiłem. Nie mam tego.

Opadam na łóżko. Jestem rozczarowana i zła, oczy zachodzą mi łzami.

– Ale nie powiedziałem jej jednego – dodaje szybko. – Ty to masz.

On mi powiedział, że ty to masz.

Rozłącza się.



Siedzę na łóżku, wyprostowana, i gapię się na telefon. Po tej niespodziewanej wiadomości na ciele wyskakuje mi gęsia skórka.

Mam nagranie pana Berry'ego?

Ponownie wybieram numer telefonu z wizytówki. Raz po raz słyszę sygnał, lecz nikt nie odpowiada.

Ja je mam? Berry twierdzi, że ja mam nagranie? Jak? Skąd? Gdzie?

Rozglądam się po pokoju. Kombinuję, gdzie ono może być i jak prawnik mógł mi je przekazać. Próbuję sobie przypomnieć ostatnie chwile z Izby Naznaczeń, zanim trafiłam do szpitala. Czy wtedy je widziałam? Czy on mi dał swój telefon? Miałam na sobie tylko czerwoną koszulę. Może później mnie odwiedził? Byłam pod tak silnym wpływem środków znieczulających i w takim szoku, że niewiele pamiętam. Tylko Tinę. Tina najwięcej się mną zajmowała, gdy opatrywały mnie pielęgniarki. Nie pamiętam nikogo innego.

Mary May przeszukała już skrupulatnie cały mój pokój. Szukała nagrania? Znalazła je? Wątpię. Ona wierzy, że mam tylko pięć Znaków, wystarczająco często o tym gadała. Nie wydaje mi się, żeby miała jakiegokolwiek pojęcie o tym, co zaszło w Izbie Naznaczeń, a w jej wypadku nie popełnię tego samego błędu co z Pią, i nie wypalę wszystkiego, ot tak, żeby pokazać, czyje jest na wierzchu. Wiem, że ta informacja jest bardzo cenna.

I wtedy dociera do mnie, że Carrick to jedyna osoba, która też była w galerii. Carrick musi mieć nagranie.

Potrzebuję pomocy. Pia ma swoją misję i nie wiadomo, kiedy się do mnie odezwie. Jediną osobą, która mi powiedziała coś o Carricku, jest Alpha. Postanawiam pójść na jej spotkanie, jednak nie mam zamiaru robić tego sama. Wybieram kolejny numer.

– Halo?

– Dziadku, potrzebuję twojej pomocy. – Wcześniej nie byłam gotowa. Wcześniej mu nie wierzyłam. Uważałam, że tworzy kolejne teorie spiskowe i zachowuje się irracjonalnie. Dziś wiem, że we wszystkim miał rację. Jestem gotowa.

– No, w końcu zadzwoniłaś – mówi radośnie. – No to zaczynamy działać.

Pozytywnym efektem ukarania mnie aresztem domowym w tym tygodniu jest to, że dziennikarze zniknęli z naszego trawnika. Najwyraźniej nie dotarło do nich, że kara została wstrzymana. Bez przeszkód udaje mi się dostać pod pobliską lodziarnię, gdzie umówiłam się z dziadkiem. Kiedy urodził się Ewan, często zabierał mnie tu z Juniper, żeby mama miała chwilę oddechu.

Dziadek czeka na mnie w swoim nieco brudnym pikapie z dwiema porcjami lodów.

– Ale akcja! – woła, gdy wsiadam do środka.

Od tygodni nie czułam się tak dobrze.

Podczas niemal godzinnej jazdy opowiedziałam mu o tym, co się ze mną działo, odkąd się ostatnio widzieliśmy. O Alpie i jej organizacji, o zniknięciu strażników, pomocy Pii w szukaniu ich i mojej misji, żeby odnaleźć Carricka, nawet o tym, że mąż Berry’ego powiedział, że ja sama mam nagranie. Dziadek słucha z uwagą, czasem zatrzymuje się na poboczu, żeby coś powtórzyła. Co najważniejsze: wierzy mi.

– Dlaczego myślisz, że ten chłopak, Carrick, ma nagranie? – pyta.

– No... to po prostu ma sens – odpowiadam.

– Ale mąż Berry’ego powiedział, że ty je masz. Nie ktoś inny. Ty.

Kiwam głową, choć myślę, że to nie może być prawda.

Pamiętałabym, gdyby mi coś dał.

– Czy ten prawnik przesłał ci coś po twoim powrocie do domu? Zastanów się, Celestine.

– Dziadku – mówię, kładąc dłonie na swojej pulsującej głowie – nie robię nic innego, tylko się nad tym zastanawiam. Niczego nie dostałam. Tylko tę kopertę z rachunkiem. Zostawił w niej swój numer domowy, dlatego zadzwoniłam do jego męża. Poza tym nic.

Dziadek milknie.

– Nie martw się, rozgryziemy to.

– Dzięki, dziadku. Nie chcę cię władować w kłopoty.

– Kłopoty? – burczy. – Kłopoty to moje drugie imię. Nie pozbawisz mnie tego dreszczyku emocji.

Uśmiecham się z wdzięcznością.

Zjeżdżamy z wiejskiej drogi na jeszcze mniejszą dróżkę i dziadek przystaje.

– Coś się tu nie zgadza – mówi zagubiony. Wyteża wzrok i rozgląda się po otaczających nas polach. Wokół ciągną się tysiące akrów farmy wiatrowej, na horyzoncie dostrzegam magazyny ciekłego powietrza, ogromne, choć dzieli nas od nich wiele kilometrów. – Jeszcze raz zerknę na wskazówki.

Podaję mu zmiętą karteczkę zapisaną ręką Alphy. Chyba celowo użyła odręcznego pisma, żeby nikt niepożądany nie był w stanie odczytać jej bazgrołów.

– Hm... – mruczy ze wzrokiem w kartce. Podnosi oczy i rozgląda się wokoło. – Wygląda na to, że jedziemy w dobrą stronę – mówi, choć jego głos brzmi niepewnie. – Ufasz tej kobiecie?

Spoglądam na niego.

– Nie ufam już nikomu.

– Zuch dziewczyna – chichocze. – Wkrótce się dowiemy.

Jedziemy dalej wąską drogą i wypatrujemy Chaty Wartowników. Spodziewałam się hotelu z salą konferencyjną, w której zastaniemy kilkanaście osób rozmawiających o swoich doświadczeniach. Tymczasem nie wydaje mi się, żeby ktoś się chciał zatrzymać w tej okolicy. Jest zbyt opustoszała.

Skreca mnie w żołądku. Boję się, że się zgubimy, albo że skończy nam się benzyna. Boję się też, że stanie się coś nieoczekiwanego, przez co nie zdążę do domu na godzinę policyjną. Gorzej, boję się, że Mary May podłoży mi świnię, i chcąc nie chcąc, wpadnę w tarapaty. Na pewno nie jest zadowolona z tego, że udało mi się uniknąć wszelkich oskarżeń i kary.

Muszę pokonać strach. Wydawało mi się, że Trybunał nie jest w stanie mnie zranić, jednak się myliłam. Uderzenie w moją rodzinę

sprawiłoby mi ogromny ból i wywołało poczucie winy, z którym nie mogłabym żyć. Strach, który w nas zaszczepiają, jest nieustającą karą za to, co zrobiliśmy.

Na szczęście jest dziadek. On dopilnuje, żebym wróciła do domu na czas. Żeby tylko nie zemdleł albo nie dostał zawału. Przecież nie jest młodzieniaszkiem...

Droga robi się coraz węższa. Gałęzie drzew ocierają się o samochód. Już mi się zdaje, że ugrzęźniemy wśród tych chaszczy, gdy zza kolejnego zakrętu wyłania się brama. Jest ogromna. Zamontowano na niej kilkanaście kamer bezpieczeństwa, ustawionych pod różnymi kątami. Tabliczka informuje nas, że dotarliśmy do Chaty Wartowników, lecz cel naszej podróży przysłania wysoki na sześć metrów mur.

– I co o tym myślisz? – pytam.

Wychylamy głowy przez okna samochodu i wyciągamy szyje, żeby coś dostrzec.

Zanim dziadek zdoła przycisnąć dzwonek, brama się otwiera. Czyżby ktoś przysłuchiwał się naszej rozmowie? Wjeżdżamy za ogrodzenie. Po kolejnym kilometrze drogi, otoczonej idealnie przystrzyżonymi trawnikami i delikatnymi pagórkami przypominającymi pole golfowe, ukazuje się nam ogromna rezydencja. „Chata” to niezbyt adekwatne określenie. Na podjeździe zaparkowanych jest kilkadziesiąt samochodów i kilka busów, które pewnie z trudem jechały po szutrowych drogach. Parkujemy, a drzwi rezydencji się otwierają.

– To nie ona – mówię, kiedy idziemy w stronę osoby, która wyszła nam na powitanie.

Dziadek momentalnie przyspiesza kroku i pierwszy dociera do kobiety.

– Przyjechałaś! – radosnym głosem oświadcza złężniona, choć miło wyglądająca osóbka. Emanuje z niej podekscytowanie, jej uśmiech jest tak szeroki, że aż zaraźliwy. – Jestem Lulu – mówi piskliwym tonem postaci z kreskówki. – Asystentka Alphy. Przytrzymałam dla ciebie miejsce. A właściwie, na wszelki wypadek, dwa – dodaje i jeszcze raz spogląda na dziadka.

Ludzie zawsze przyglądają mu się w ten sposób. Jak na kogoś o tak dobrym sercu, potrafi nieźle nastraszyć swoją pomarszczoną twarzą,

wykrzywioną ponurym grymasem.

– To mój dziadek.

– Och! – Głos Lulu szybuje o kolejną oktawę w górę. – To zaszczyt poznać twoją rodzinę. – Energicznie ściska dłoń dziadka, po czym odwraca się do mnie. Instynkt podpowiada mi, żeby nie podawać jej mojej naznaczonej dłoni. Ale i tak sama po nią sięga. Ściska ją mocno, patrząc na mnie wyczekująco.

Nie jestem pewna, na co czeka. Spoglądam na dziadka, moja mina wyraża zakłopotanie.

– No, wystarczy tego! – burczy, na co ona lekko się płoszy.

W końcu uwalniam dłoń z jej uścisku, co wydaje się ściągać z Lulu urok, pod jakim się znajduje.

– Przepraszam. – Rumieni się. – Tak miło widzieć cię na żywo. Jestem twoją wielką fanką.

– Wszyscy jesteście – stwierdza dziadek z dumą.

– Proszę za mną. – Ruszamy w drogę po niekończących się korytarzach rezydencji. – Wszyscy są zachwyceni twoim przybyciem. To ma dla nas ogromne znaczenie, jak zastrzyk energii. Nastąpiły takie ciężkie czasy, a ty jesteś dla nich taka ważna. – Lulu się zatrzymuje, składa dłonie na wysokości piersi i wlepia we mnie wzrok.

– Nie jest aż tak wyjątkowa – rzuca dziadek, na co ja chichoczę. – Lepiej idźmy, jesteście spóźnieni.

– Racja. – Asystentka znów się otrząsa. – Choć wszyscy, którzy przyjeżdżają tu po raz pierwszy, się spóźniają. To nie jest oczywista lokalizacja. Wielu się poddaje i zawraca na główną drogę. Dokładnie tak, jak założyła Alpha.

Dziadek rozgląda się dookoła.

– Czy jej mąż też tu mieszka?

Już mam się wtrącić i powiedzieć, że to nie jest dom mojej nauczycielki, gdy Lulu odpowiada:

– Tak.

Idziemy do windy i zjeżdżamy do podziemi. Wsiadamy w dużym lobby. Przed nami są podwójne drzwi, a pod stopami pluszowe dywany w skomplikowane wzory. Czujemy się jak w pięciogwiazdkowym hotelu, a nie w czyimś domu.

Lulu zatrzymuje się przed drzwiami i odwraca do mnie z oczami pełnymi łez.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo czekamy na twoje przemówienie. Mówisz głośno to, co myślimy. Reprezentujesz tych, którzy od dziesięcioleci byli uciszani. Oto jesteś, osoba, której tak potrzebujemy!

– Lulu, nie będę dziś przemawiać. – Strach przed wystąpieniami nie paraliżuje mnie tak jak Juniper, lecz nie jestem gotowa, żeby cokolwiek komukolwiek mówić. Niczego nie przygotowałam, nie wiem też, czy spodoba mi się to, co zobaczę za chwilę. Chcę być jedynie widzem, przyjrzeć się na spokojnie, zapytać dziadka, co sądzi o Alpie, bo sama nie jestem pewna, i tym podobnie.

– Aha. – Jej twarz smutnieje, po czym pojawia się na niej wyraz zakłopotana. – Ale wszyscy przyjechali cię wysłuchać.

Krew się we mnie gotuje. Minus dla Alpy. Zanim mam okazję zaoponować albo uciec, dziadek otwiera podwójne drzwi.

Ludzie w tylnych rzędach spoglądają na nas, kiedy wchodzimy do środka. Sala jest ogromna, a zwisający z sufitu kryształowy żyrandol sprawia, że wygląda jak sala balowa. Na scenie z mównicy przemawia jakaś kobieta i większość zebranych patrzy na nią. Ci, którzy mnie rozpoznają, dają kuksańca osobom siedzącym obok, powoli widzę coraz więcej twarzy. Lulu idzie prosto do pierwszego rzędu, spodziewa się, że dziadek i ja podążymy za nią. Tymczasem on łapie mnie za rękę i ciągnie do tylnego rzędu. Siadamy i obserwujemy Lulu, która się odwraca i najpierw na twarzy ma wyraz dumy, a po chwili zmieszania, bo za jej plecami nikogo nie ma. Robi się czerwona, po czym wybiega przez podwójne drzwi, żeby nas szukać.

Mężczyzna, obok którego siedzę, kręci głową i gestem wskazuje, że powinniśmy zamienić się z dziadkiem miejscami. Na początku myślę, że on nie chce towarzystwa Naznaczonej. Dopiero po chwili dociera do mnie, że jesteśmy na zebraniu Naznaczonych, a on sam ma Skazę na skroni i opaskę na ramieniu. Przecież nie więcej niż dwoje takich jak my może siedzieć obok siebie. Dziadek przesiada się między nas. Tak samo jest w każdym rzędzie, dokładnie jak w sądzie. Mimo że na sali jest przynajmniej sto osób, każda para Naznaczonych oddzielona jest kimś bez Skazy. To nie jest mała grupa wsparcia, jaką sobie wyobrażałam. Na

transparencie nad sceną widnieje napis: „Oddajcie nam nasze dzieci”.

Dziadek też to zauważa i szepcze mi do ucha:

– Ta kobieta stąpa po grząskim gruncie.

– Mówi, że rząd i Trybunał są po jej stronie. Chcą zlikwidować ośrodki wychowawcze, bo za dużo kosztują, a w zamian pozwolić specjalnie wyszkolonym rodzinom adoptować dzieci N.O.U.

i kontynuować nauki Trybunału w warunkach domowych. – Wyobrażam sobie, że ktoś taki jak Mary May z radością pomagałby wyprać mózg jakiemuś dziecku, i aż się wzdrygam na tę myśl.

Dziadek mnie szturcha i pokazuje palcem odległy koniec sali. Podążam za jego wzrokiem i zauważam, na co patrzy. Pod ścianą stoi demaskator, ubrany w czarny mundur i czerwoną kamizelkę, który na wszystko ma oko.

Czuję, jak rodzą się we mnie stare wątpliwości. A jeśli uknuł to Trybunał? Może w ten sposób sędzia Crevan chce złapać Carricka, żeby go uciszyć jak strażników? Może to pułapka? Nerwowo rozglądam się po sali za innymi demaskatorami, spodziewam się, że zaraz mnie osaczą. A może są tu incognito?

Przy mównicy stoi kobieta i przemawia do zebranych. Alpha wraz z trzema innymi osobami siedzi przy stole eksperckim na scenie. Zauważa mnie i natychmiast się prostuje. Wita mnie skinieniem głowy, jej oczy błyszczą z zadowolenia. Wychyla się, żeby zobaczyć, kto siedzi przy mnie. Zauważa, że to nie Carrick, i posyła mi słaby uśmiech, nie kryjąc się wcale ze swoim rozczarowaniem. Jej zainteresowanie mną wywołuje więcej spojrzeń, kuksańców i szeptów. Słyszę swoje imię wymawiane szeptem przez obcych ludzi. Próbuję to ignorować i skupić się na przemawiającej kobiecie.

Opowiada o swoim dziecku, które zostało jej odebrane w szpitalu, tylko dlatego że ona i jej mąż są Naznaczeni. Nie chciała usunąć ciąży. Jej córka, która teraz ma dwa lata, przebywa w jednym z pięciu ośrodków w kraju. Nie wie, w którym, nie wie, jak dziecko się czuje, nie mają żadnego kontaktu. Straciła wszelkie prawa do własnego dziecka. Na tym etapie opowieści mówczyni zaczyna płakać i nie może kontynuować. Podczas gdy samotnie płacze na scenie, w sali panuje niezręczna cisza. Jej ocean bólu sprawia, że pęka mi serce. Mam

wrażenie, że Alpha nieco zbyt długo się ociąga, zanim idzie jej z pomocą, jakby chciała, żebyśmy wszyscy dobrze się temu przyjrzel.

– Ta to dopiero lubi dramaturgię – szepcze dziadek, a ja kiwam głową, przyznając mu rację.

Matematyczka podchodzi do mównicy, obejmuje kobietę i spogląda na sam koniec sali, po czym odzywa się. Do mnie.

– Wszyscy rozumiemy, jak trudno było Elizabeth tu dziś przyjechać i podzielić się z nami swoją historią. Ale te druzgocące wspomnienia jej i jej męża nie pójdą na marne. Możemy się czegoś z tego nauczyć. Ta opowieść zasmuca nas i porusza, może też pobudzić do działania, do zmiany. Zmiana nie dzieje się ot tak. Wszyscy o tym wiemy. Wymaga wysiłku. Wykorzystajmy historię Elizabeth, by wymusić zmianę!

Wszyscy potakują i na sali rozlegają się oklaski.

Elizabeth, nadal płacząc, okazuje swą wdzięczność najlepiej, jak potrafi. Alpha wciąż ją obejmuje, jednak w taki sposób, żeby publiczność widziała, jak mocno zaciska powieki, jakby to był najbardziej znaczący uścisk w jej życiu.

Na mój gust to wszystko jest nieco za bardzo wyreżyserowane.

Alpha wraca do mikrofonu.

– Oczywiście Elizabeth nie jest odosobniona w swoim bólu.

Naszym następnym mówcą jest Tom Hancock. Powitajcie go gorąco.

Przez kolejne dwadzieścia minut słuchamy historii Naznaczonego Toma. Po śmierci swej Naznaczonej żony przez dziesięć lat próbował odnaleźć ich syna, żeby ostatecznie się przekonać, że ani on, ani wnuki, o których istnieniu nie miał pojęcia, nie chcą go znać. Syn Toma został tak zmanipulowany w ośrodku wychowawczym, że ten musiał go błagać, żeby nie doniósł na niego do demaskatorów.

Po Tomie przemawia kobieta, która kiedyś pracowała w ośrodku dla dzieci N.O.U. i nie wierzy w słuszność tej idei. Przedstawia nam plany dnia, mówi, jakie życie prowadzą dzieci. Słucham jej słów i myślę o Carricku, o tym, jak wyglądało jego życie przez całe lata. Kobieta potwierdza, że ośrodki to placówki luksusowe, w które rząd pakuje ogromne sumy, nie ma w kraju takich, które mogłyby się z nimi równać. Rząd i Trybunał szczytą się swoim sukcesem, bo Naznaczone dzieci

mogą zostać oczyszczone z niedoskonałości rodziców tuż po urodzeniu. Dla dzieci Tinderów jest już za późno, nie da się ich uleczyć.

– Zasugerowałam koledze z pracy – mówi kobieta – że być może te dzieci są tak ułożone i świetnie sobie radzą właśnie dlatego, że mają w sobie geny Naznaczonych, że to siła, z której wyrasta perfekcyjność.

Wszyscy patrzą na siebie w szoku, że ta kobieta, zatrudniona przez Trybunał, powiedziała coś takiego. Spoglądam na demaskatora w rogu sali, zaskoczona, że takie słowa padły w jego obecności, lecz ten nie reaguje. Wygląda na znudzonego, jakby słyszał to już wiele razy.

– Oczywiście w ten sposób straciłam pracę – mówi. – Ale miałam przyjemność zobaczyć miny członków rady ośrodka, gdy wezwali mnie do złożenia wyjaśnień.

Po sali przebiega lekki śmiech.

Myślę o Carricku, jego sylwetce, wymagających treningach, jakie muszą znosić dzieci N.O.U. Musi być szybki i silny, i mądry, skoro wytrzymał codzienne dawki niekończącej się manipulacji. Na pewno jest też wytrzymały psychicznie. Może jest idealny, tak jak twierdzi mówczyni. Mimo to wszyscy w Trybunale tak nim pogardzali. Pragnę go, potrzebuję. Nie spocznę, dopóki go nie odnajdę. Art i ja rozmawialiśmy codziennie przez długie godziny. Nawet gdy każde z nas wróciło do domu po spotkaniu na szczytach, rozmawialiśmy przez telefon o wszystkim i o niczym aż do białego rana. Z Carrickiem nie rozmawiałam ani razu, a i tak mam wrażenie, że łączy mnie z nim więcej niż z kimkolwiek innym, kogo znam.

Serce wali mi jak młotem i czuję, że powinnam się natychmiast zerwać z miejsca i zacząć go szukać. Wtedy dziadek szturcha mnie łokciem w i tak obolałe już żebra. Moja świadomość powraca na salę.

Alpha stoi na mównicy, przemawia, ale ja nie słuchałam.

Rozumiem już, dlaczego dziadek mnie szturchał. Ludzie się na mnie gapią. Alpha się rozgląda, udając, że mnie nie widzi.

– Gdzie ona jest? – pyta. – Celestine, jesteś nadal z nami?

Serce mi łomocze.

– Bądź ostrożna – szepcze dziadek. – Nie jestem pewien, Celestine, nie jestem pewien... – Rozgląda się, jak gdyby szukał wyjścia awaryjnego.

Kiwam głową i wstaję. Słyszę westchnięcia zaskoczenia, a sama jestem zdziwiona, że wszyscy ci ludzie mnie rozpoznają. Nie ekscytuję się tym. Skupiam się na świadomości, że oni wiedzą, że nie jestem idealna. Że wiedzą, co zrobiłam. Wiedzą, kim jestem. Nie mam się gdzie ukryć. Nie mogę nawet wmieszać się w tłum jak inni.

Mimo to kręcę głową i uśmiecham się nerwowo na rozlegający się aplauz. Tak ciężko pracowałam na to, żeby trafić w punkt, żeby zyskać uznanie – nie uwielbienie, żeby być normalną i się nie wyróżniać. Miałam perfekcyjne stopnie i wystarczająco dużo przyjaciół, żeby nie wyjść na dziwadło, jednak nie za dużo, żebym nie była najpopularniejszą dziewczyną w szkole. Byłam przeciętna. Ciężko na tę przeciętność pracowałam. Ale popełniłam błąd, najgorszą rzecz, jaką mogłam zrobić, przez co na sali pełnej Naznaczonych jestem oklaskiwana. Czuję zażenowanie. Chyba się pomylili. Nie jestem osobą, za którą mnie uważają.

Rzęsiste oklaski są coraz głośniejsze. Alpha ruchem ręki przyzywa mnie do siebie na scenę. Kręcę głową na nie, jednak ludzie wokół mnie zachęcają. Nawet dziadek ma dumną minę i też zaczyna klaskać. Nie mam wyboru, muszę wejść na scenę. Wychodzę z tylnego rzędu, a ludzie wstają. Idę głównym przejściem, coraz więcej zebranych podnosi się z miejsc i bije mi brawo. Demaskator odsuwa się od ściany z zainteresowaniem i nie wygląda już na tak znudzonego. Jego spojrzenie sprawia, że się denerwuję. Wchodzę po schodach i dołączam do Alphy, która zachęca tłum do oklasków. Wyciąga do mnie rękę i unosi ją w geście zwycięstwa. Wiwaty i oklaski milkną, wszyscy siadają. Cichną szmery i wkrótce na całej sali panuje cisza jak makiem zasiał. Serce wyrywa mi się z piersi przez adrenalinę wywołaną owacjami, a teraz i ze strachu. Ludzie wpatrują się we mnie i czekają, żebym powiedziała coś, co doda im otuchy, coś znaczącego, coś, co zabiorą ze sobą do domów.

Alpha zostawia mnie samą.

Nie mogę. Kręcę głową, jednak wszyscy mnie zachęcają.

– Powiedz, co czujesz – nakłania mnie ktoś z przednich rzędów.

Próbuję to ustalić, lecz jedyne, co przychodzi mi na myśl, to że to nie w porządku. Nie powinnam stać przed pełną salą. Nie jestem osobą,

za którą mnie uważają. Pomogłam starszemu mężczyźnie i chcę obalić Crevana, ale nie jestem przywódczynią. Nawet tego nie mogę powiedzieć ze względu na demaskatora. Nie potrafię zainspirować siedzących przede mną kobiet i mężczyzn.

Cisza trwa. Słyszę z głośników własny oddech. Robię krok w tył i spuszczam wzrok. Nie mam nic do powiedzenia. Oglądam się na Alphę, muszę zejść z tej sceny. Wygląda na nieco złą i nie jest to mina, którą chcę zobaczyć. Miałam nadzieję na wsparcie, na pomoc w wybrnięciu z sytuacji. Nie dostaję tego od niej. Szukam twarzy dziadka, liczę na jakąś wskazówkę, niestety zniknął. Rozglądam się zaskoczona, próbuję go odnaleźć, odszukać w tłumie, ale nigdzie go nie ma.

Zdezorientowana rozglądam się po sali. Coś tu jest nie tak. W głowie uruchamia mi się alarm. To nie jestem ja. Pia Wang, Lisa Life, Alpha Dockery i Enya Sleepwell niech sobie mają swoje mandaty i inicjatywy, a o mnie niech zapomną. Nie jestem tym, za kogo mnie mają. Chcę zerknąć na demaskatora, niestety, on też przepadł.

I wtedy... uświadamiam sobie, że to nastąpi, zanim cokolwiek zaczyna się dziać.

Nagle otwierają się podwójne drzwi. Staje w nich Lulu.

– Demaskatorzy! – krzyczy w panice.

Rozlega się wycie syren i cisza się kończy.



Alpha chwyta mnie za ramię. Jej paznokcie wbijają mi się w ciało.

– Chodź ze mną – mówi stanowczo.

– Mój dziadek – odpowiadam, czując, że już brakuje mi tchu.

– Muszę znaleźć dziadka.

– Nic mu nie będzie – rzuca lekceważąco i próbuje mnie sprowadzić ze sceny.

– Bez niego się nie ruszę. – Zatrzymuję się.

Alpha próbuje mnie za sobą ciągnąć, lecz nie mam zamiaru się ruszyć.

– Dobrze, powiem Lulu, żeby go znalazła – szybko wykrzykuje polecenia do swojej asystentki, która wydaje się na skraju załamania, a mimo to przepycha się przez tłum po mojego dziadka, którego nadal nie widzę.

Na tym etapie nie bardzo wierzę w Lulu. Pewnie bardziej się zatroszczy o uratowanie własnej skóry niż jego. Zauważam czapkę dziadka w falującym tłumie. Wszyscy próbują dopchać się do drzwi.

– Dziadku! – wołam.

Nie słyszy mnie.

Zaczynam panikować. Biorę do ręki mikrofon, do którego jeszcze przed chwilą nie potrafiłam wydusić słowa, i krzyczę do niego, ale został już wyłączony.

– Muszę go znaleźć.

– Lulu go znajdzie. – Alpha znów mnie ciągnie.

– Przykro mi, ale jej nie ufam – odpalam. – Mówiłaś demaskatorom, że tu będę?! – krzyczę. – To była pułapka, żeby złapać Carricka?

– Co?! Dlaczego?! – Jest tak zaskoczona i zdeglustowana pomysłem, że jej wierzę.

– Lulu myślała, że będę dziś przemawiać. Zapowiadałaś to?
Nauczycielka robi skruszoną minę.

– Może powiedziałam o tym kilku osobom, ale na pewno nie zapowiadałam.

– Cholera! – drę się i wyrywam rękę z jej uścisku. – Wykorzystałaś mnie!

– Daj mi wytłumaczyć – mówi. Nagle wydaje się spanikowana.

– Chodź ze mną, a wszystko ci wytłumaczę.

– Dokąd mnie prowadzisz?

Nie odpowiada, tylko prze naprzód. W sali panuje całkowity chaos. Niektórzy próbują uciec, inni siedzą niewzruszeni na swoich miejscach, z rękami skrzyżowanymi na piersi na znak biernego oporu.

Mówczyni z ośrodka wychowawczego próbuje zwrócić na siebie uwagę Alphy. Goni nas wzdłuż sceny.

– Powiedziałaś, że będę bezpieczna! – woła w panice, jednak Alpha ją ignoruje i odciąga mnie od niej.

Docieramy za kulisy. Ze sceny dobiegają nas gwizdki. Serce mi wali na wspomnienie Angeliny Tinder i tego, co sama przeszłam. Staję jak wryta, i to nie tylko ja. Zostaliśmy przyłapani. Po gwizdkach w sali zapada cisza. Bezruch. Panika. Alpha wyrywa mnie z osłupienia, ciągnąc w przeciwnym kierunku.

– Dziadku! – wołam, choć płacz zaciska mi gardło. Salę zalewa fala czerwonych kamizelek, pałki idą w ruch, słyszę krzyki ludzi. Alpha przeprowadza mnie przez kolejne drzwi i cały zamęt zostawiamy za nami.

– Jezu – dyszy, gdy biegniemy. – Jezu, Jezu, Jezu!

Przyspieszamy. Prowadzi mnie korytarzem, na którego końcu wsiadamy do windy. Tak docieramy do ciasnego, niskiego korytarza. Ta część domu nie jest luksusowa, bardziej przypomina bunkier.

– Tędy. – Nie możemy iść ramię w ramię, więc podążam za nią, a ona co chwilę upewnia się, że się nie zgubiłam.

– Trybunał lubi nas obserwować, a co więcej, dawać nam znać, że lubi nas obserwować. Przysyła jednego lub dwóch demaskatorów. Siedzą z tyłu, słuchają i mają na nas oko. To nie jest nielegalne zgromadzenie. Wiedzą, jaką prowadzę kampanię. Zwykle nie ma się

czym martwić – tłumaczy.

– Zwykle – odpowiadam z przekąsem. – Jednak powiedziałaś ludziom, że przyjdę. Że będę przemawiać. Założę się, że Crevan wprowadził w tej kwestii jakiś nowy zakaz. Powie, że organizowałaś wiec. Że przemawiałam na wiecu.

Alpha patrzy na mnie i przetyka ślinę. Jej przerażona mina nie pomaga mi się uspokoić.

– Przecież nie robimy nic złego. Opowiadamy sobie nawzajem nasze historie. Mamy do tego prawo!

Nie takie odniosłam wrażenie, gdy zostałam zmuszona, żeby wejść na scenę. Na sali nie było energii, która zwykle towarzyszy zwierzeniom.

– Zasady się zmieniły – mówię. – Crevan zmienia je wszystkie.

Crevan się boi. Czuje, że władza wyślizguje mu się z rąk. Może dowiedział się o tajnej komisji, która prowadzi dochodzenie w jego sprawie, a może nie. Tak czy siak, opozycja wśród społeczeństwa, a nawet wśród rządu wzmocniły się na tyle, żeby zacząć panikować. A jeśli mam rację, nie będzie przebierał w środkach, żeby raz na zawsze uciszyć strażników i Berry'ego – niech go tylko dopadnie. Crevan wpada w panikę.

Alpha zatrzymuje się w połowie korytarza, podnosi deskę boazerii i wstukuje pin.

– Zapewniam cię, Celestine, że nie zawiadomiłam Trybunału o twojej obecności. Powiedziałam kilku osobom, że tu będziesz, ale jeszcze za wcześnie, żeby określać cię jako przyjaciółkę fundacji.

– I dobrze – odburkuję – bo w tym momencie zdecydowanie nie jestem jej przyjaciółką. A jeśli myślisz, że będziesz mogła mnie jutro uczyć, to lepiej się zastanów. Jestem przekonana, że to ostatni raz, kiedy przebywamy razem w jednym pomieszczeniu. Jestem zaskoczona, że w ogóle cię do mnie dopuścili.

– Tak jak mówiłam, Trybunał popiera pomoc terapeutyczną dla Naznaczonych. Uznali, że mogą pozytywnie na ciebie wpłynąć. Że będę w stanie cię powstrzymać od wypowiadania się przeciwko nim.

Prycham ze śmiechu.

– Powiem im, że chciałaś się podzielić swoją łzawą historią

i skłonić wszystkich, żeby sami nie popełniali błędów, bo życie Naznaczonego jest nędzne, i że nie miałaś zamiaru go gloryfikować.

– Bo nie miałam zamiaru go gloryfikować.

Patrzy na mnie zaskoczona. Rozlega się sygnał i drzwi, których nie zauważyłam, nagle się otwierają.

– Sekretne przejście?

– Nie sekretne, tylko nie tak dobrze oznakowane – tłumaczy z przebiegłym uśmiechem.

Za drzwiami znajduje się gabinet. Biurko z orzechowego drewna, półki gęsto wypełnione książkami, skórzane fotele ze złotymi ćwiekami. Zdjęcia w złotych ramach pokrywają każdy centymetr ścian.

– Tu będziesz bezpieczna. Nikt nie wie o tym pokoju – wyjaśnia szybko. – Muszę wracać i porozmawiać z demaskatorami, ogarnąć ten cały bałagan. Wrócę z twoim dziadkiem. Nie wychodź stąd do mojego powrotu.

Zamyka za sobą drzwi, a ja zostaję sama.

Zaczynam się przyglądać zdjęciom. Na wszystkich jest ten sam mężczyzna z różnymi ludźmi. Wymieniają biznesowe uściski dłoni. Na niektórych z nich jest też Alpha. Nie mam pojęcia, kim są pozostałe osoby. Oprawione zdjęcie mojej nauczycielki i tego mężczyzny stoi na biurku i domyślałam się, że to jej mąż. Uważniej przyglądam się pozostałym i zaczynam rozpoznawać światowych przywódców. Ważne osobistości, które widziałam w wiadomościach, choć nie oglądałam ich często. Na sto procent rozpoznaję tylko jednego człowieka: sędziego Crevana.

Alpha i jej mąż, sędzia Crevan i jego żona. Przyjęcie w ogrodzie, panie w letnich sukienkach w kwiaty, wszyscy z kieliszkami szampana w dłoni, rozbawieni, jakby ktoś właśnie opowiedział świetny dowcip. Najlepsi przyjaciele. Raz jeszcze motywy Alphy stają pod znakiem zapytania. Pozwoliłam jej, żeby mnie tu ukryła, bo uważałam, że mi pomaga. Tymczasem w ten sposób stałam się łatwym celem.

Na następnej ścianie znajduje się kolekcja dyplomów i wyróżnień profesora Lamberta. Słyszę za sobą dyskretny kaszel i odwracam się. Spodziewam się zobaczyć demaskatora, tymczasem stoi za mną mężczyzna w pomiętej koszuli i dżinsach. Za sobą ma kolejne drzwi,

które pojawiły się nie wiadomo skąd.

– Tak, tak, kolejne sekretne drzwi. Niezły tu mamy labirynt – chichocze. – Bill – przedstawia się i wyciąga rękę, nieco się przy tym chwiejąc.

Kiedy podchodzę bliżej, czuję od niego alkohol. Bill ma siwy zarost i wygląda, jakby kilka dni spał w tych samych ciuchach.

– Jesteś mężem Alphy – mówię, bo rozpoznaję go ze zdjęć. Znowu chichocze.

– Wiesz, że kiedyś to ona była przedstawiana jako moja żona...? Zresztą, nieważne. Dawno temu wiele rzeczy było zupełnie innych. Czyli ty jesteś tą jedną jedyną. Wyjątkową dziewczyną. – Robi wielkie oczy, udając uwielbienie. – Bardzo dużo o tobie mówi. – Przygląda mi się i podchodzi do biurka, żeby przeszukać szuflady.

Trochę mu to zajmuje – wystarczająco, żebym ja mogła przyjrzeć się jemu i pomieszczeniu, z którego przyszedł. To jakby kuchnia, z której bez wątpienia kolejne drzwi prowadzą do następnego pokoju.

Po co im drugi dom schowany pod ziemią?

Bill otwiera ostatnią szufladę i dobiega mnie brzęk butelek. Spogląda na mnie z udawanym zaskoczeniem.

– Może kieliszeczek?

– Nie wolno nam pić – mówię pewnym siebie głosem, obserwując znak na jego skroni.

– No tak. – Znów chichocze, po czym szepcze: – Nie martw się. Jeśli ty nikomu nie powiesz, to ja też nie.

– Na górze są demaskatorzy – zauważam, zdumiona jego zachowaniem.

– Ach tak, potwory demaskatory. – Pogwizduje, udając odgłos gwizdków, i śmieje się. – Nie boję się ich. A ty? – Nalewa sobie whisky do szklanki na srebrnej tacy przy biurku i siada w skórzanym fotelu. Głęboko się w nim zapada.

– Martwię się o to, co mogą zrobić mojemu dziadkowi.

– Nie bój się o niego. To profesjonalista. Zniknął, zanim demaskatorzy w ogóle dostali się do środka. Czeka na ciebie w naszym saloniku. – Przyciska guzik pod biurkiem i zdjęcia w złotych ramkach zostają zastąpione ekranami, na których widać zapis z kamer

monitoringu.

– Czwarty rząd w dół, trzeci ekran z kolei.

Podchodzę bliżej i odnajduję pokój, o którym mówi.

– Niczego nie widzę.

– Przecież mówiłem, że to profesjonalista. Regał na książki się otwiera, jest za nim mały schowek. Mam nadzieję, że twój dziadek nie ma klaustrofobii. Tam jest bezpieczny. Nikt go nie znajdzie.

Zerkam na inne ekrany i widzę obrazy jak z wojny. Ludzie stoją w szeregu, a ci, którzy postawili się demaskatorom, leżą na ziemi. Wielu jest rannych. Część z nich zostaje wyprowadzona na zewnątrz i wsadzona do furgonetek przed rezydencją. Na jednym z ekranów widać, jak Alpha przemawia dowodzącemu demaskatorowi do słuchu.

– Większości nie zostaną postawione zarzuty – mówi spokojnie Bill. – Chcą was tylko przestraszyć, rozdzielić. Dobrze im idzie.

Kiwam głową i czuję ulgę, że dziadkowi nic nie jest. Mam nadzieję, że wytrzyma w schowku, aż będzie bezpiecznie.

– A twoje testy? – pytam, ciekawa, jak udaje mu się ukryć swój stan, mimo że jest Naznaczony. – Demaskator nie wykryje alkoholu?

– My, geniusze, zawsze idealnie zdajemy każdy test, prawda?

– Uśmiecha się. – Twoją dziedziną jest matematyka, zgadza się?

– Mam nadzieję. – Nie wiem, jakie mam teraz możliwości zatrudnienia, skoro jestem Naznaczona. Nigdy nie dostanę żadnego znaczącego stanowiska, na pewno nie jako kierowniczką, o wyższych nie wspominając.

– Masz nadzieję. – Krzywi się. – Nie polegaj na nadziei. Skorzystaj z matematyki, żeby cię wybawiła od tego niby-problemu.

Chmurzę czoło. Bill zdecydowanie za dużo wypił.

– Nie sądzę, żeby matematyka była teraz w stanie rozwiązać którykolwiek z moich problemów.

– Jeden z moich ulubionych cytatów Alberta Einsteina brzmi: „Nie możemy rozwiązać naszych problemów tym samym sposobem myślenia, którym je stworzyliśmy”. – Spogląda na mnie z iskrą w oku. Cytat więcej mówi jemu niż mnie.

– Może – odpowiadam, wzruszając ramionami.

– Może? Matematycy nie przypuszczają! – mówi z dramatyzmem,

prostując się. – Sporządzają listę, eliminują możliwości, stosują logikę. Nigdy nie przypuszczają, moja droga. Znasz George’a Pólyę?

– Oczywiście.

– Kiedyś kupiłem jego książkę. Lubiłem jego teorie. Mawiał, że istnieją cztery elementy w rozwiązywaniu problemu. Po pierwsze trzeba go zrozumieć. Potem trzeba zrobić plan, zrealizować go, po czym jeszcze raz spojrzeć na swoją pracę. Gdy ta strategia zawiedzie, co oczywiście zdarza się często, Pólya radzi: „Jeśli nie jesteś w stanie rozwiązać danego problemu, na pewno istnieje łatwiejszy, któremu dasz radę: znajdź go”.

W odpowiedzi się uśmiecham.

– Pomyślałem, że ci się to spodoba.

– Jesteś przyjacielem sędziego Crevana – mówię.

– Jestem? – odpowiada zaskoczony. – Skąd ta wredna plotka?

– Ze zdjęć.

– Ach, no tak. – Lekceważąco macha ręką. – Zapewniam cię, że nie widuję się już z żadnymi z tych ludzi. Z wyjątkiem jej. – Spogląda na swoje zdjęcie z Alphą zrobione na plaży: oboje są opaleni, on gładko ogolony, wygląda lata młodziej. – Ona chyba chciałaby być jedną z nich. Czy sędzia Crevan w ogóle ma przyjaciół, jeśli mogę zapytać?

Lubię go.

– Pracowałeś dla Trybunału?

– Dla Trybunału? Nie. Dla rządu? Tak. Dla którego, dodam przy okazji, pracuje też Trybunał, choć jedni i drudzy chyba o tym zapomnieli. – Uśmiecha się do mnie. – Ona mówi, że nie zadajesz wystarczająco wielu pytań. Widzę, że już ci to przechodzi. Ale uważaj, czasem lepiej jest nie wiedzieć, bo nawet jeśli wiesz, niczego ci to nie daje. Nieświadomość jest słodka. Wiedza to często odpowiedzialność, której nikt nie chce. – Zamyka oczy i leniwie rozpiera się w fotelu, który przechyla się pod jego ciężarem i wydaje się, że zaraz runie w tył. – Ona i ja oczywiście nie zgadzamy się w tej kwestii. To było do przewidzenia. Ona zawsze chce wszystko wiedzieć. Prowadzi tę krucjatę. Nie wiem. Ma przynajmniej zajęcie.

– Nie wierzysz w jej fundację?

– Ma mało stabilne fundamenty, nie sądzisz? – Otwiera jedno oko

i unosi brew. – Skoro ja i ty jesteśmy tu, a reszta z nich daje się szarpać na górze. – Wychyla kolejny łyk i płyn w karmelowym kolorze znika. Właściwie to chciałabym do niego dołączyć, bo po opróżnieniu szklanki na jego twarzy pojawia się wyraz spokoju. Po chwili przypominam sobie, jak Logan wlał mi piwo do ust, i ochota natychmiast mi przechodzi.

– Próbował mi odebrać dom i pieniądze – kontynuuje. – Mówię o Crevanie. Drań próbuje znaleźć sposób, żeby zamrozić majątki Naznaczonych i sprawić, żeby finansowały Trybunał. Tak jak się robi z przestępcami. Tylko my nie jesteśmy przestępcami, prawda, Celestine?

Kręcę głową.

– Dobrze. Pamiętaj o tym. Czasem łatwo zapomnieć. Niebezpieczni przestępcy są lepiej traktowani niż my. Kiedy tylko odsiedzą wyrok, odzyskują wolność. A my jesteśmy Naznaczeni na zawsze. – Mówi to bez krztyny rozbawienia. – Wiedziałaś, że Crevan zarobił ponad milion od ustanowienia Trybunału? Wszystko z pieniędzy podatników. Gdyby wiedziała o tym opina publiczna, to jego by wygwizdywano i przeklinano na dziedzińcu, nie nas. To dopiero przestępstwo.

Kręcę głową, zaszokowana wysokością zarobków Crevana.

Milkniemy. Myślę o domu letnim, w którym się zatrzymaliśmy, jachcie, na którym imprezowaliśmy, wykwintnych przyjęciach, niekończącym się jedzeniu i picciu. Obrzydza mnie, że wszystko to opłacono z prowadzonej przez niego krucjaty. Czy robił to w imię sprawiedliwości czy, jak powiedział Bill, dla pieniędzy?

– Więc co ona każe ci robić?

Zauważam, że nigdy nie używa imienia Alphy.

– Nie wiem. Chciała, żebym przyszła. Chciała, żebym wygłosiła przemówienie, ale wtedy pojawili się demaskatorzy. Dzięki Bogu. Nie sądziłam, że kiedyś to powiem.

– Nie przepadasz za przemówieniami?

– Nie, gdy nie wiem, o czym mówię.

– Ci, którzy nie wiedzą, o czym mówią, zwykle uwielbiają przemawiać – zauważa i znów się śmiejemy. – Liczą się czyny, nie słowa, pamiętaj o tym. Nie wszyscy nadają się na mównicę i do

mikrofonu. Znajdź sobie partnera, ze znakiem, tak będzie najlepiej, łatwiej, o tak. Możecie żyć wedle tych samych zasad, miło i w harmonii, dwoje Naznaczonych stworzy ideał. Zakochaj się. Ustatkuj. Miej dzieci. Kochaj je. Żyj swoim życiem.

– Nie mogę założyć rodziny z Naznaczonym.

– Oczywiście, że możesz, tylko oni ci nie pozwalają.

– Nie brzmi to jak łatwe życie. Myślałam, że mówiłeś, że nie należy generować problemów.

– Tak powiedziałem? – Znów na mnie spogląda.

Zastanawiam się nad tym i kręcę głową.

– Nie, powiedziałem, że liczą się czyny, nie słowa. Nie mów. Rób, co trzeba. Ci wszyscy na górze, razem z nią, choć ją kocham, nie robią nic innego, tylko gadają. Ty też. Dlatego cię znaleźli. Uczepią się ciebie. Będą chcieli, żebyś coś dla nich zrobiła. Rób coś, ale dla siebie. – Wstaje i podchodzi do mnie. Bierze mnie za rękę i kłania się w teatralnym geście. – Panno North, to była przyjemność. Jesteś jeszcze piękniejsza, niż cię opisują w szmatławcach.

Uśmiecham się.

– Proszę o siebie dbać – mówię ciepło. – Sprawdzą cię dziś wieczorem.

– To prawda, zawsze sprawdzają, ale da się ich obejść. Sama się przekonasz. Kto jest twoim demaskatorem?

– Mary May.

– Ajaj! – Krzywi się. – Nie powiem, żebym zazdrościł. Jej nie da się obejść. Moje życie wróciło na odpowiednie tory, kiedy ją stąd oddelegowano. Wprawdzie trzęsło się jak stara dreźyna, ale przynajmniej ruszyło. Powtarzam, polegaj na tym, w czym jesteś dobra, i słuchaj dobrych rad mądrych ludzi. Jestem naukowcem. Mnie to pomaga. – Salutuje i wychodzi przez sekretne drzwi. – Nie mów jej, że mnie widziałaś.

– Dlaczego?

– Po prostu nie mów. Ona nigdy nie wie, co powiem. Powodzenia. – Otwiera drzwi i nagle odwraca się do mnie, jakby sobie coś przypomniał. Próbuję zobaczyć, co znajduje się za jego plecami w następnym pokoju. Gdy mi się to udaje, nieruchomieję z przerażenia.

To demaskator.

Bill zauważył moją minę i odwraca się.

– Co tam się dzieje, Marcusie?

Demaskator kręci głową i przeczesuje dłonią włosy.

– Crevan doprowadził wszystkich na skraj paniki. Jedni obracają się przeciw drugim. Naznaczeni przeciw nienaznaczonym.

Demaskatorzy przeciw sobie. Straszny burdel.

Nagle mnie zauważył i milknie. Znika z mojego pola widzenia.

– Marcus jest nieśmiały – teatralnie szepcze Bill.

Zamurowała mnie ich wymiana zdań. Ten demaskator jest po naszej stronie?

– Też chciałbym go jeszcze zobaczyć. Lubiłem go – mówi Bill.

Nie nadążam. Kogo lubił?

– Prawie tak bardzo jak ona. Nigdy nie mieliśmy dzieci. Pewnie już ci o tym powiedziała. Był pierwszym dzieckiem, któremu pozwolili tu zamieszkać po latach jej błagań. Oczywiście z mojego powodu było jej trudniej, ale przez ten cały czas wykazała się charakterem. Rok przed jego przybyciem potwierdzili, że tu przyjedzie. Lubią lustrować rodziny, przygotowywać je, upewniać się, czy znają ich nauki. Kilka razy odwiedziła go w ośrodku, zaprzyjaźniła się, liczyła dni, aż on ukończy szkołę, była nawet na rozdaniu dyplomów. Sądziliśmy, że mu się tu spodoba, takie sprawiał wrażenie. Ale pewnego dnia po prostu wstał i wyszedł, nawet się nie żegnając. To ją chyba najbardziej zabolowało. Mogła mu pomóc, ale on nie dał jej szansy. Nigdy się nie dowiedział, co mogła mu ofiarować, nawet co planowała. Gdyby wiedział, może by został. Bardzo szybko się do niego przywiązała. Ja też, ale głównie dlatego, że miło było patrzeć, jaka jest szczęśliwa. – Jego oczy wypełniają się łzami. – Jeśli spotkasz Carricka, powiedz mu, żeby jeszcze nas odwiedził. Powiedz mu, że mi przykro, że tak to się między nami skończyło.



Dziadek i ja w milczeniu jedziemy pikapem do domu. Ukrywaliśmy się przez dwie godziny, zanim demaskatorzy odjechali, a my uznaliśmy, że jest na tyle bezpiecznie, żeby wracać. Profesor Lambert mylił się co do tego, ile osób zostanie pojmany. Mieli tylko rozpędzić tłum, jednak na tym się nie skończyło. Demaskatorzy nie spodziewali się, że mały odsetek zebranych będzie się bronił i zwyczajnie nie pokaja się przed władzą, za co pewnie zostaną obwiniona, mimo że ani razu nie otworzyłam ust. Jestem przekonana, że po raz pierwszy ludzie i Naznaczeni się postavili. Zamach na demaskatora to zamach na zasady Trybunału, co znów widziane jest jako pomaganie Naznaczonym. Naciągane, lecz pokazuje przynajmniej, jak uzasadnia się działania demaskatorów.

Do furgonetek wsadzono sześć osób. Czterej Naznaczeni zostaną ukarani zgodnie z regułami Trybunału. Pozostali mogą się spodziewać kary więzienia za pomoc Naznaczonym.

Czterech zostało zabranych do szpitala z obrażeniami od pałek demaskatorów.

Wielu z najwspanialszych, idealnych zwolenników Alphy od razu zwróciło się przeciwko niej. Powiedzą Trybunałowi absolutnie wszystko, żeby tylko ocalić własną skórę.

Pokojowe spotkanie grupy wsparcia w sumie okazało się katastrofą. Alpha sama jest bezpieczna, fuksem, a i tak pewnie trafi na listę obserwowanych. Była wstrząśnięta tym, co zobaczyła. Długo dyskutowała z demaskatorami, żeby zrozumieć, co poszło nie tak.

Marcus, demaskator Billa, znalazł dziadka i przyprowadził go do mnie. Ku mojemu zdziwieniu dowiedziałam się, że to on pokazał mu kryjówkę. Dziadek i ja usłyszeliśmy, że Marcus ma żonę imieniem Cathy, która też jest demaskatorką, i oboje są po stronie Naznaczonych.

Powiedział mi też, że takich jak oni demaskatorów jest dużo więcej, ich liczba stale rośnie. Z drugiej strony zwiększa się też liczba przeciwników Naznaczonych. Marcus i Cathy uważają, że sytuacja jest niepewna. Jedni demaskatorzy donoszą na drugich, tych uznanych za zdrajców każe się dla przykładu. Oczywiście Marcus się martwi.

Jestem zła na Alphę i z wielu powodów nadal jej nie ufam, jednak faktem jest, że ochroniła dziadka i starała się pomóc Carrickowi. Szala przechyliła się na jej korzyść. Jej rozpaczliwe próby odnalezienia Carricka świadczą o tym, że naprawdę nie wie, gdzie on się znajduje.

Chciałam poprosić Marcusa, żeby mi pomógł, lecz nie mogłam się na to zdobyć. Jeśli to zasadzka, to nie chcę dać się w nią złapać. Crevan nie może się dowiedzieć, że szukam Carricka. Nigdy nie może się dowiedzieć, że był on świadkiem wypalenia szóstej Skazy. Ta władza należy tylko do mnie i do Carricka.

Zostajemy pouczeni w kwestiach bezpieczeństwa i wreszcie dziadek i ja możemy opuścić dom Alphy. Wyruszamy w drogę. Niepokoję się, czy zdążymy wrócić przed godziną policyjną.

– To był profesor Bill Lambert – mówi dziadek, bez przerwy zerkając w lusterka. – Pamiętam go z wiadomości. Pracował dla rządu. Był przyjacielem Crevana. Moja hipoteza jest taka, że Crevan go zrobił, żeby się go pozbyć. Stanowisko przejął jego kuzyn. Wszędzie sami Crevanowie. Wydaje mi się, że Alpha jest w stanie prowadzić swoją kampanię po części dlatego, że pan sędzia czuje się winny, jeśli w ogóle wie, jakie to uczucie.

– Nie rozumiem, Alpha powiedziała, że mnie nie wykorzystuje, ale jeśli nawet nie próbowała mnie oddać w ręce Trybunału, to liczyła, że przeze mnie ściągnie Carricka. Pewnie dlatego rozpowiedziała, że będę przemawiać. Gdyby się o tym dowiedział, może by przyszedł.

– Myślisz, że pojawiłby się, gdyby wiedział, że tam będziesz?

– Nie wiem.

– On przecież wie, gdzie jesteś, Celestine. Wszyscy wiedzą.

Wystarczy otworzyć gazetę albo włączyć telewizor, żeby zobaczyć dziennikarzy przed waszym domem. Gdyby chciał cię znaleźć, toby cię znalazł.

Robi mi się gorąco i czuję, jak do oczu napływają mi łzy. Dziadek

ma rację, tylko że to boli.

– Okej, niech będzie – odburkuję. – On nie chce mnie znaleźć.

– Nie. Chodziło mi o to, że mam nadzieję, że Crevan jeszcze go nie dopadł, Celestine.

Też się tego obawiam. Dalej jedziemy w ciszy. Nie sędzę, żeby Bosco dopadł Carricka, wtedy by nie panikował. Jestem ostatnią znaną mu osobą, która wie, co zrobił, dlatego kontroluje każdy mój ruch. Myślę o tym, co wiem o Carricku. Jest sprytny i mądry. Pewnie czeka na odpowiedni moment.

– Myślę, że nie powinnaś wracać do domu – stwierdza dziadek.

– Czemu nie?

– Szukali cię demaskatorzy. Nie mam co do tego wątpliwości.

Chcieli cię przyłapać, jak wygłaszasz przemówienie i wzniecasz nastroje przeciw Trybunałowi. Nie udało się im, jednak wiedzą, że tam byłaś. Niektórzy zdrajcy opowiadali najróżniejsze brednie, żeby tylko się uratować. To prawda, że sprawa Naznaczonych ma coraz większe poparcie społeczeństwa, niestety, jak widzieliśmy dzisiaj, potrafi z taką samą łatwością odstraszyć ludzi. Każdy mógłby wspierać pokrzywdzonego, ale nie wtedy, gdy jest to niebezpieczne. Żyjemy w niebezpiecznych czasach, Celestine.

– Więc gdzie mogę się podziać?

– Zostań dziś u mnie. Mówiłem ci, że zaopiekuję się tobą na farmie, z dala od Crevana. Słyszałaś, Marcus i jego żona to niejedyni demaskatorzy po waszej stronie. Jest ich dużo więcej.

– Dziadku, jeśli nie wrócę do domu przed godziną policyjną, wszyscy zostaną ukarani. Mama, tata, Juniper, Ewan. Nie mogę im tego zrobić, muszę jechać do domu i zmierzyć się z tym, co mnie czeka.

Dziadek z powagą kiwa głową.

– Zresztą nie zrobiłam nic złego – zauważam i znów wzbiera we mnie gniew. – Zostałam zaproszona przez nauczycielkę, żeby pójść na sesję terapeutyczną. To, co się stało, to jej вина. Nie moja. Posłuchają Marcusa. Wszystko widział.

– Zuch dziewczyna. – Dziadek uśmiecha się ze smutkiem, bo oboje wiemy, że nikt nie będzie słuchał mojej wersji zdarzeń.

– Widzieli tam twojego pikapa – mówię w końcu. Nie ma co tego

ukrywać. Demaskatorzy na pewno przyjrzeni się wszystkim autom na parkingu.

– Samochód nie jest zarejestrowany na mnie – odpowiada dziadek. Spoglądam na niego zaskoczona.

– A na kogo?

Dziadek śmieje się pod nosem.

– Nieważne, zresztą i tak będę musiał go gdzieś porzucić.

Kręcę głową z niedowierzaniem. Mój dziadek jest niemożliwy.

– Cała ta zabawa w chowanego obudziła pewne wspomnienia.

Odwracam się do niego całym ciałem.

– Wspomnienia? Jakie wspomnienia?

– Wspomnienia o zabawie w chowanego. – Puszczam mi oko.

– Dziadku! – wołam nagle głosem pełnym strachu, widząc, jak na linii jego czaszki pojawia się kropla krwi i powoli spływa mu na policzek. – Zjedź na pobocze. Krwawisz!

– Nic mi nie jest. – Szybko wyciera krew i skupia się na drodze.

– Uderzyłem się, kiedy robiłem unik przed jednym z demaskatorów, zanim znalazł mnie Marcus i pomógł mi się ukryć. Moja wina.

Unoszę jego czapkę i widzę, że mocno dostał w głowę. Wzdryga się na mój dotyk.

– Chyba będziesz potrzebował szwów.

– Nie chcę żadnych szwów.

– Dziadku!

– Ktoś się tym zajmie, gdy dojadę do domu. Ktoś, kto nie będzie zadawał pytań. Tylko tego mi trzeba.

– Miną godziny, zanim dojedziesz do siebie – martwię się.

– Musimy to opatrzyć.

Nie zaprzecza.

– Zatrzymaj się przy sklepie. To dwie minuty drogi stąd. Pozwól mi przynajmniej oczyścić ranę, żeby się nie wdało zakażenie.

– Zrobię to, jak już bezpiecznie cię odstawię do rodziców. – Oboje wiemy, że jeszcze wiele może nas dziś czekać. A on bezzwłocznie potrzebuje pomocy. – Okej. – Parkuje, niezadowolony, na tyłach supermarketu niedaleko strefy rozładunkowej, żeby auta nie było widać z głównej drogi. – Zaraz wrócę.

- Nie ma mowy. Ty zostajesz, ja idę. I tak straciłeś dużo krwi.
- Spoglądam na jego nasączoną krwią czapkę.
 - Mogą cię szukać – przypomina.
 - Gdzie? Tu? W sklepie przy drodze? Nie wyciągajmy pochopnych wniosków. To, co się stało u Alphy, może kompletnie nie mieć związku ze mną. Ona macza palce w czymś bardzo niebezpiecznym, buntuje ludzi przeciw Trybunałowi, może już o tym wiedzą. Może tylko udają, że przyglądają się temu ze spokojem, a tak naprawdę chcą ją przyłapać. Dziadek kiwa głową.
 - Kiedy zrobiłaś się taka rozsądna?
 - Śmieję się i całuję go w czoło.
 - Idź, ale zaraz wracaj. I nie wpakuj się w żadne kłopoty.
 - Kłopoty to moje drugie imię – powtarzam jego wcześniejsze słowa, na co on odpowiada śmiechem.

Jest dwudziesta pierwsza. Mam dwie godziny, żeby dotrzeć do domu, a zostało nam dziesięć minut drogi. Mam mnóstwo czasu. Uda mi się. Na myśl o ranie dziadka przyspieszam kroku. Serce bije mi szybko, kiedy idę sama przez sklep i wszyscy się na mnie gapią. Matki zabierają mi z drogi dzieci, nastolatki gapią się na mnie i wykrzykują obelgi. Ci, którzy mnie rozpoznają, robią zdjęcia. Jeden mężczyzna idzie za mną trochę za długo, wyciąga telefon i zaczyna nagrywać. Inni cmokają mi do ucha. Spuszczam głowę, patrzę w podłogę i trzymam się blisko ścian. No, to chyba koniec z chodzeniem gdziekolwiek niezauważoną. Chcę być niewidzialna, lecz jaskrawoczerwona opaska na moim ramieniu mnie wyróżnia, tak jak blizna na mojej skroni. Widzę inną Naznaczoną, która idzie przez sklep, trzymając za rękę małą dziewczynkę. Ktoś wrywa jej torbę i grupa chłystków zaczyna się śmiać. Kobieta zatrzymuje się i przyciąga do siebie dziewczynkę, jednocześnie próbując powkładać do torby porozrzucane zakupy. Nastolatki z niej szydzą. Dziecko wpatruje się w nich wielkimi smutnymi oczami, podczas gdy matka na kolanach podnosi toczący się owoc.

Idę wzdłuż ściany i nie podnoszę głowy. Muszę się stąd wydostać, nie powodując problemów. Nie mogę ściągać na siebie dodatkowej uwagi. Czuję się jak szczur przemykający rynsztokiem, który wszystkim wchodzi pod nogi, wszystkim przeszkadza. Oczy zachodzą mi mgłą

i czuję, jak łzy zaczynają mi spływać po policzkach, ale nikt nie pyta, czy nic mi nie jest, bo nikogo to nie obchodzi, co jeszcze bardziej mnie dotyka.

Podchodzę do kasy ze spuszczoną głową. Słyszę swoje imię na ustach przechodzących obok osób. Nie podnoszę głowy. Nie chcę żadnych kłopotów.

– Hej! – woła jakiś mężczyzna gniewnym głosem.

Nie podnoszę głowy. Pewnie nie o mnie chodzi, nie zrobiłam niczego złego.

Przyglądam się etykietom wacików, środka dezynfekującego i bandaży: literom z zawijasami, wesołym postaciom z waty na opakowaniu. W reklamie wszystko ma duszę. Ale ludziom tę duszę odebrano. Personifikacja przedmiotów, dehumanizacja ludzi.

– Powiedziałem hej! – Mężczyzna krzyczy raz jeszcze.

Moje serce przyspiesza. Nie brzmi to najlepiej. Powoli podnoszę wzrok. Mężczyzna patrzy na mnie. Tak jak inni. Zastanawiam się, dlaczego kobieta przy kasie pracuje wolniej. Dlaczego się nie pośpieszy, żebym mogła wyjść? Spoglądam w jej stronę i zauważam, że zniknęła, odsunęła się od nas jak pozostali. Wszyscy się od nas odsuwają. Tylko mężczyźni po mojej lewej i prawej stronie nie ruszają się z miejsca. Są ode mnie wyżsi, ledwie sięgam im do ramion. Kiedy na nich spoglądam, od razu rozumiem, w czym tkwi problem. Przebłysk czerwieni na ich opaskach jest jak światło alarmowej syreny, które świeci mi prosto w twarz. Są Naznaczeni. Obaj. Tak jak ja. Nasza trójka stoi razem. To nie jest dozwolone.

W pierwszym odruchu chcę się wycofać. Rozpoznałam problem i wiem, jak go rozwiązać. Jeśli się cofnę, będzie ich tylko dwóch. Lecz to zły ruch.

– Stop! Nie ruszaj się! – Mężczyzna, który na mnie krzyczy, to policjant.

Wracam do szeregu.

– Nie ruszaj się, Celestine – powtarza spokojnie mężczyzna po mojej prawej. – Wszystko będzie dobrze.

– Znasz mnie?

– Wszyscy cię znamy. – Uśmiecha się.

- Milczeć! – znów krzyczy policjant.
- Trafił nam się narwaniec – mówi pod nosem drugi mężczyzna.
- Odsunąć się od kasy, wszyscy troje. – Policjant panikuje.
- Muszę was widzieć. – Nakręca się zupełnie bez powodu. Jest młody. Sam. Popełnia głupi błąd.

Wszyscy troje mamy Skazy, ja stoję pośrodku, a mimo to czuję się całkiem bezpieczna między dwoma mężczyznami. Czuję, że ktoś mnie chroni. Są młodzi, po trzydziestce, dobrze zbudowani. Silni. Jeden ma ⑤ na skroni, u drugiego nie widzę znamienia – musi być na piersi, języku lub stopie. Może to właśnie ich wiek i siła doprowadzają policjanta na skraj hysterii. Sprawiają wrażenie, że mogliby mu spuścić łomot. Mocne szczęki, szerokie ramiona, duże dłonie. Przypominają mi Carricka. Żołnierze. Nigdy w życiu nie stałam między dwoma Naznaczonymi i teraz zdaję sobie sprawę, dlaczego to jest zabronione. Dzięki temu czuję siłę. Siłę grupy. Nie chcą, żebyśmy się czuli bezpieczni. Nie chcą, żebyśmy mieli władzę.

– My tylko stoimy w kolejce – odzywam się w końcu, poirytowana tym, że otoczył nas tłum gapiów. Czuję się jak zwierzę w zoo. Muszę wracać do dziadka, który czeka na mnie w samochodzie. – Kupuję środki opatrunkowe. – Podnoszę koszyk, żeby pokazać zawartość policjantowi. – Nie dzieje się tu nic niebezpiecznego.

Kilka osób podśmiewuje się z mojego żartu.

Twarcz policjanta robi się czerwona.

- Stoicie we trójkę. To wbrew prawu.
- To nie jest prawo – mówię i dwaj Naznaczeni patrzą na mnie ze zdziwieniem.

Bardziej dziwi mnie to, że policjant o tym nie wie.

– To tylko zasada, do której przestrzegania zmusza nas pewna organizacja. To nie jest prawo. Nie może mnie pan wsadzić do więzienia za to, że stoję koło tych dwóch mężczyzn. Jest pan policjantem, nie demaskatorem. Pana zadaniem jest pracować na rzecz społeczności: chronić ją i służyć jej.

- Tak, chronić przed takimi jak wy! – krzyczy ktoś z tłumu.
- Nie – odpowiadam. – Pana zadaniem jest chronić i służyć mnie
- zwracam się bezpośrednio do policjanta. – Jestem częścią

społeczeństwa.

– Nie będę ci służył, Naznaczona – warczy, jakbym była trędowata.

Jest policjantem, któremu kiedyś ufałam, którego podziwiałam, przez którego się czułam chroniona. Myślę o ludziach, którzy syczeli na mnie, gdy przechodziłam, o dzieciach, które usuwano mi z drogi. Myślę o unikaniu kontaktu wzrokowego. Wzbiera we mnie gniew. Nic już nie ma sensu.

Jestem logicznie myślącą dziewczyną, polegam na definicjach, podziale na czern i biel.

– S.O.S.P.! – Krzyczę do policjanta, czując, jak wypełnia mnie gniew. Nauczyłam się tego skrótu w szkole. Dlaczego nie zna zasad, których mnie uczono, a pewnie i jego? Dlaczego w prawdziwym życiu nikt nie robi tego, czego się nauczył? – © oznacza szczerłość – mówię, słysząc drżenie w swoim głosie, nie ze strachu, ale ze złości. Próbuję nad nim zapanować. – Szczerłość jest etyczna i odnosi się do zasad słusznego traktowania i sprawiedliwości. Powinna być cechą każdego policjanta. „O” oznacza odpowiedzialność. Za jednostkę i społeczeństwo. – Przez tłum przechodzi szmer. Mówię dalej, nie odrywając od niego oczu.

– Kolejne © jak szacunek! Szacunek dla ludzi i ich praw oraz potrzeb.

Ludzie w tłumie wydają z siebie zgodne pomruki. Policjant podchodzi do mnie bliżej. Podnosi do ust krótkofalówkę i wzywa posiłki.

– Uważaj teraz – ostrzega mężczyzna po mojej lewej.

Policjant staje ze mną twarzą w twarz i śmieje się kpiąco.

– Puścić ich! – krzyczy ktoś z tłumu.

– Tak, nie robią nic złego. Przyszli tylko po zakupy.

Ludzie zaczynają protestować, co popycha policjanta na skraj paniki. Na jego czoło występują kropelki potu. Zaczyna tracić panowanie nad sobą. Znajduje się w miażdżącej mniejszości.

– To dziewczyna z telewizji, ta znana! – woła ktoś. – Nie można jej aresztować.

– Dziewczyna z pięcioma Skazami.

Policjant mruży oczy i omiata mnie wzrokiem, a wtedy dociera do niego, kim jestem. Wygląda, jakby się mnie bał.

– Jest najbardziej Naznaczona ze wszystkich! – woła jakiś głos, ale

inni każą mu się zamknąć. Ludzie w tłumie zaczynają się między sobą kłócić.

Policjant odpina pałkę od pasa.

– Hola, hola – mówi mężczyzna po mojej prawej. – Co ma pan zamiar z tym zrobić?

– Cicho bądź! – warczy policjant. Na jego górnej wardze gromadzi się pot.

– Przecież to tylko dziecko! – broni mnie kobieta. – Na miłość boską, dajcie jej wszyscy święty spokój! – Jej rozpaczliwy krzyk wywołuje zupełnie nową falę emocji.

– A ty – policjant patrzy na mnie prowokująco – masz stulić dziób! Zrozumiano?

Biorę głęboki wdech. Nie skończyłam. Logiczne byłoby przynajmniej dokończyć, zanim stanie się to, co nieuniknione. Dziadek będzie wiedział, że coś się dzieje, jeśli nie wrócę w ciągu trzech minut. Będzie wiedział, że musi odpalić silnik i uciekać. Wspomnienie z przeszłości. Cokolwiek robił, podpowie mu, że czas brać nogi za pas.

– „P”, profesjonalizm – mówię łagodnie, tylko do policjanta.

– Profesjonalna służba policyjna ku dobru społeczności.

Policjant zerka mi przez ramię, a ja się odwracam, żeby zobaczyć, na co patrzy, ale nie ma za mną nikogo. Zanim się zorientuję, że to fortel, uderza mnie pałką po nogach. Kolana same mi się zginają i padam. Butelka ze środkiem dezynfekującym rozbija się na podłodze.

Wydaje się, że w jednej chwili ludzie podejmują decyzję, po której stronie się opowiedzieć, kim naprawdę są. I wtedy wybuchają zamieszki.


Stopy, które widzę wokół siebie, wcześniej należące do obserwatorów, teraz są w ruchu. Zaczynają biec i są wszędzie. Przydeptują mnie, kopią, inne próbują mnie osłonić, jednak za każdym razem, gdy próbuję stanąć na nogi, znów zostaję powalona na ziemię. Uderzeniem, ciosem, aż tracę dech.

Leżę na podłodze, osłaniając rękami głowę i czekam, aż sprzed oczu znikną mi czarne plamy. Czuję dłonie, które próbują mnie podnieść, dłonie, które próbują mnie powalić. Ledwie jestem w stanie oddychać. Wtedy słyszę gwizdki. Przybyli demaskatorzy. Obok mojej głowy pojawiają się ich czarne buciory. Niektórzy ludzie uciekają, inni


słyszają, co się dzieje, i dołączają się. Widzę pięści wymierzające ciosy, bryzgającą krew i już nie wiem, kto jest po czyjej stronie.

W pewnym momencie odzyskuję pole widzenia i wydaje mi się, że rozpoznaję Enyę Sleepwell, która stoi w drzwiach supermarketu i wszystko obserwuje. Ale zostałam kopnięta w głowę już wiele razy i wiem, że tylko to sobie wyobrażam. Poddaję się i nie próbuję już nawet wstać. Leżę, czując kolejny kopniak w głowę od kogoś, kto nie wiedział, że w ogóle się tam znajduję, i czubek buta na policzku. Potem wszystko się rozmazuje.

Słyszę harmider, a potem nic. Dzwonienie w uszach wydaje się zagłuszać wszystkie inne dźwięki. Leżę na ziemi, a potem unoszę się w powietrze. Zastanawiam się, czy umarłam i czy tak to właśnie jest, unosić się ku światłu. Wtedy okazuje się, że światło to tylko świetlówki w sklepie. Dociera do mnie, że żyję, chociaż lecę.

Potem rejestruję, że obejmują mnie czyjeś dłonie: duże, opiekuńcze, bezpieczne. Te dłonie zakładają sobie moje ręce na szyję. Czuję ciało. Moja głowa opiera się o czyjąś pierś. Czuję gołą skórę przy swoim policzku. Skupiam się i widzę  na silnej piersi, takie samo jak moje, pod rozerwaną w szamotaninie koszulką. Niesie mnie Naznaczony. Ładnie pachnie świeżym potem i czymś jeszcze, czego nie umiem nazwać.

Jestem bezpieczna. On mnie niesie, jakbym była dzieckiem, a ja się go trzymam, odwracam swoją twarz do jego piersi, głowę trzymam tuż pod jego podbródkiem, żeby osłonić oczy od rażącego światła.

Gdy tak idziemy, śledzę palcem  na jego piersi, na co on się zatrzymuje. Nigdy nie dotykałam blizny innego człowieka. Wydaje się taka jak moja. Jak pięć moich, oprócz tej ostatniej na kręgosłupie. Oprócz tej niekształtnej, bo wypalanej bez znieczulenia. Widzę, jak duże jabłko Adama się porusza podczas przełykania śliny pod moim dotykiem. Pozostawiam swój palec na jego piersi. Choć jest obcy, jego blizna sprawia, że oddycham z ulgą, jakby to była moja skóra.

Od razu wiem, kto to jest. Odsuwam głowę od jego piersi, spoglądam w górę i widzę, że na mnie patrzy.

Carrick.

Patrzy swoim intensywnym spojrzeniem, zmartwionymi,

zatrokanymi oczami, a ja się do niego uśmiecham. Carrick, którego widziałam głównie przez szybę. Teraz nic nas nie dzieli. Mimo otaczającego nas szaleństwa odwzajemnia mój uśmiech.

– Mówiłem, że cię znajdę.

Odpływamy daleko, daleko od światła, z dala od hałasu.



Budzę się z jękiem, obolała od stóp do głów. Leżę w swoim łóżku, w swoim domu. Jest ciemno, z wyjątkiem światła na korytarzu, które wpada do mojej sypialni przez uchylone drzwi. Oczy nie od razu przyzwyczajają się do ciemności, ale wkrótce wszystko widzę. Krzesło obok mnie jest puste. Nadal jestem ubrana w dzisiejsze ciuchy. Na zewnątrz jest ciemno, co znaczy, że od ostatniej chwili, kiedy jeszcze byłam przytomna, minęło tylko kilka godzin. Nagle wracają do mnie wydarzenia ze sklepu i myślę o dziadku, o tym, jak czekał na mnie w aucie, i o jego krwawiącej ranie. Muszę do niego zadzwonić, upewnić się, że uciekł bez przeszkód, jednak głosy na dole mnie powstrzymują.

Głosy są niskie i niespokojne. Słyszę mamę: mówi szybko, błagalnym tonem, wyższym niż zwykle, lecz zaraz przegaduje ją ktoś inny. Ten głos też rozpoznaję, ale wydaje mi się to niemożliwe. Crevan jest na dole! Chyba śnię. Przecież nie przyszedłby do naszego domu. Próbuję usiąść, ale znowu stękam z bólu. Kręci mi się w głowie. Mój brzuch jest obolały, przynajmniej jedno żebro mam połamane. Chwytam się dłonią za brzuch i wyczuwam bandaż. Opuszczam stopy na podłogę. Czekam z zamkniętymi oczami, aż przestanie falować, a mdłości przeminą.

Koło mojego łóżka stoi szklanka wody, opróżniam ją kilkoma haustami. Udaje mi się wstać, choć w całym ciele, w każdym mięśniu, czuję ból. Nie pamiętam, jak się dostałam do domu, choć wspominam wrażenie unoszenia się w powietrzu, kiedy Carrick mnie niósł. Było mi błogo i bezpiecznie w jego ramionach. Wspominam też jego uśmiech, to jak opierałam głowę na jego piersi i jak zamknęłam oczy. Potem pamięć mnie opuściła i zastanawiam się, czy sobie go wyobraziłam. Czy był prawdziwy?

Drzwi mojego pokoju się otwierają i do środka wchodzi Juniper.

Na jej twarzy maluje się przerażenie i wiem, że coś jest nie tak.

– Dobrze, że nie śpisz, Celestine.

– Co się dzieje? – Myślę o dziadku i szykuję się na najgorsze.

Moja siostra ma niespokojny oddech.

– Crevan tu jest. Na dole. Grozi mamie i tacie. Mówi, że tata straci pracę i oboje pójdą do więzienia, jeśli cię mu nie wydadzą.

Otwieram usta ze zdziwienia.

– Jeśli sami nie sprowadzą cię na dół, wezwie demaskatorów, ale ja mu nie wierzę. Gdyby mówił prawdę, już by ich wezwał. On coś knuje. Chyba sam chce cię gdzieś zabrać. Czego on od ciebie chce, Celestine, wiesz? Czy chodzi o Arta? Pytał ich o jakieś nagranie... Wiesz, o co mu chodzi? Mówi, że je masz, a on go potrzebuje.

Patrzę na nią i znów mi się kręci w głowie. Wie o nagraniu Berry’ego? Skąd? Myśli, że je mam. Muszę porozmawiać z Pią. Oprócz Berry’ego i Carricka tylko ona o nim wiedziała. Szukała go. Nagle martwię się o nią. Nie odzywała się od kilku dni. A potem przypominam sobie rozmowę z mężem pana Berry’ego. Crevan musiał nas podsłuchiwać. Założył mi podsłuch w telefonie.

– Mama i tata próbują go od tego odwieść. Mówi, że byłaś na wiecu Naznaczonych. A potem wznieciłaś rozruchy w sklepie. Dwie osoby nie żyją. Policja rozpuściła gaz łzawiący. Cały czas mówią o tym w wiadomościach. Na ulicach wybuchły zamieszki. Media cię obwiniają. Ktoś to nakręcił, ale Celestine, mój Boże, Celestine! – Jej oczy wypełniają się łzami, których nie może powstrzymać. – Patrzyłam na to wszystko i byłam z ciebie taka dumna. Nigdy nie zdobyłabym się na to, żeby powiedzieć to, co ty, nigdy nie potrafiłabym zrobić tego, co ty. Sąd, Izba Naznacheń, sklep... Nie wiem, jak to wszystko zrobiłaś, ale jesteś wspaniała, a ja jestem z ciebie bardzo dumna. Crevan mówi, że wycofa zarzuty, jeśli oddasz mu to nagranie.

Jestem zdezorientowana. W głowie nadal mi wiruje i czuję, jak pulsuje.

Juniper próbuje się opanować, zdaje sobie sprawę, że to nie pora na emocje. Spieszy się.

– Spakowałam cię. Crevan jest w bibliotece z mamą i tatą. Możesz się wymknąć tylnym wyjściem. Chłopak, który cię przyniósł, zostawił ci

to. – Wciska mi do ręki karteczkę. – Nie zgub jej, Celestine. Chciał pomóc. Zna ludzi, którzy ci pomogą. Znajdź go, dobrze? Obiecuj mi, że go znajdziesz. Wtedy będę pewna, że nic ci się nie stanie. – Gładzi mnie dłonią po twarzy i znów zaczyna płakać. – Tęskniłam za tobą, moja odważna siostrzyczko. I dalej będę za tobą tęsknić.

Mam w głowie goniwą myśl po tym, co powiedziała. Muszę uciekać? Muszę opuścić rodzinę, żeby ich chronić. Crevan wie o nagraniu z szóstego Naznaczenia. Uważa, że je mam, wie, że je mam, tylko ja nie mam pojęcia, gdzie ono jest. On nigdy w to nie uwierzy. Nie spocznie, dopóki go nie znajdzie, a ja muszę znaleźć jakieś bezpieczne miejsce, gdzie będę mogła wymyślić, co robić dalej.

– Godzina policyjna – mówię.

– Jest po jedenastej. Mary May już tu była. Jeśli mama i tata zdołają jeszcze przez jakiś czas zwodzić Crevana, to masz parę godzin, zanim ktokolwiek się zorientuje. Kocham cię, Celestine. – Juniper płacze. – Przepraszam za to, jak wszystko się między nami potoczyło.

Zaczynam się szykować do wyjścia. Nie mogę teraz tego słuchać.

Ona wyciąga rękę i mocno chwyta mnie za ramię.

– Wysłuchaj mnie, proszę. Muszę ci wyjaśnić. Musisz wiedzieć, co się działo.

Powoli się odwracam, przygotowuję na najgorsze i spodziewam, że usłyszę, że ona i Art są razem. Spełnienie moich koszmarów.

– Między mną i Artem nic nie zaszło – mówi, a po policzkach spływają jej łzy. – Poprosił mnie o pomoc. Potrzebował kogoś, kto pomoże mu się ukryć na działkach i przyniesie jedzenie. Nie chciał, żebyś wiedziała, bo się bał, że ściągnie na ciebie kłopoty. Wiedział, że jego tata zrobi wszystko, żeby się dowiedzieć, gdzie jest. Byłaś obserwowana. Kazał mi obiecać, że nic ci nie powiem, ale przysięgam, Celestine, przychodziły takie dni, że byłam o krok od wyznania prawdy. Powinnam była to zrobić. W ciągu dnia Art ukrywał się w szopie Tinderów, a wieczorami się spotykaliśmy, żeby o tobie porozmawiać. O tym, jak oboje cię zawiedliśmy. Żadne z nas nie może z tym żyć. On był jedynym człowiekiem, który rozumiał, co czuję. To wszystko, naprawdę. Chciałam mu pomóc, zatroszczyć się o niego, dla ciebie. – Pociąga nosem. – Tak mi przykro.

Oddycham z ulgą, że nic więcej się między nimi nie wydarzyło, że naprawdę starali się mnie chronić, nawet jeśli wyglądało to jak zdrada. Przytulamy się mocno, jakby to był nasz ostatni raz.

– Zawsze byłam o ciebie zazdrosna – ciągnie Juniper. – Bo ty byłaś idealna, zawsze robiłaś wszystko, jak trzeba, mówiłaś, co trzeba. Wszyscy cię lubili. Byłam zazdrosna o twoją doskonałość. A teraz zazdroszczę ci Skaz. To ja powinnam była zrobić w autobusie to, co ty. Chciałam to zrobić. Cały czas o tym myślałam. Ale nawet gdy wszystko zaczęło się dziać, nie znalazłam w sobie tyle odwagi... Kolejna rzecz, której nie potrafiłam sprostać. Tak mi przykro.

– Nie możesz się obwiniać za to, co się zdarzyło w autobusie – mówię, i to szczerze. – To była moja decyzja. Nic z tego nie jest twoją winą. Nigdy nie prosiłam, żeby któreś z was mnie ratowało. Co niby mielibyście poradzić? Cała nasza trójka skończyłaby tak jak ja. Nie zrobiliście nic złego. – Nie chcę zbyt długo rozmawiać o Arcie. Potrzebuję czasu, żeby znaleźć odpowiednie słowa.

– Nie – przerywa mi zdecydowanym tonem. – Stchórzyłam. Myślę o tym cały czas, sekunda po sekundzie. Powinnam była się odezwać, wtedy w autobusie. – Ociera łzy z policzków, jest w tym geście cień odwagi małej żołnierki. – Teraz zrobię, to, co trzeba. Coś odważnego. Musisz uciekać, Celestine, bo inaczej Crevan wywiezie cię nie wiadomo gdzie.

– Dziękuję – szepczę, ściskając jej dłoń w mojej. – Wiesz, jak się nazywa chłopak, który mnie tu przyniósł?

– Carrick Vane.

Uśmiecham się. Nie wyobraziłam go sobie, nie wyśniłam.

– Czy on coś dla ciebie znaczy?

Kiwam głową i przypominam sobie jego Naznaczoną pierś pod moim palcem, gdy ratował mnie od niebezpieczeństwa, i jego jabłko Adama przy czubku mojego nosa.

– Znajdziesz go?

– Tak – odpowiadam z całkowitą pewnością, starając się nie myśleć o tym, że porzucam rodzinę i udaję się sama w nieznaną. Myślę o słowach Pólyi, które zacytował profesor Lambert. „Jeśli nie jesteś w stanie rozwiązać danego problemu, na pewno istnieje łatwiejszy,

któremu dasz radę: znajdź go”. Nie mogę pokonać Crevana całkiem sama, nie teraz, ale mogę znaleźć Carricka Vane’a. W tej chwili to wszystko, co mam.

Schodzimy po schodach na palcach, wiemy, że wystarczy jeden fałszywy ruch i będzie po mnie. Kiedy jestem na dole, słyszę podniesione głosy taty i Crevana. Tata krzyczy na całe gardło. Chcę wpaść do środka i powstrzymać go, boję się, że będzie następną osobą, która oberwie za to, że mnie chroni, jednak wiem, że nie mogę. Ostatecznie nic to nie zmieni. Jedyną szansą na to, żeby w końcu wszystko zakończyć, jest zdemaskowanie Crevana przed światem.

– Idź – szepcze Juniper ponagłająco.

Wpatruję się w drzwi biblioteki, nie potrafię zostawić mamy i taty, jestem sparaliżowana. Jeśli zniknę, oni zostaną ukarani, oskarżeni o to, że mi pomogli. Jeśli się poddam i zostanę, będą bezpieczni. Drzwi nagle się otwierają i Juniper chwyta mnie za rękę. Obie nieruchomiejemy. To już koniec.

Zamiast Crevana z biblioteki wychodzi mama. Jej twarz jest blada, rysuje się na niej złość. Ma nową fryzurę: jedna strona jej głowy jest podgolona, z drugiej na ramiona opadają piękne fale. Wygląda jak wojowniczką. Widzi mnie z plecakiem, gotową do ucieczki, i szybko zamyka za sobą drzwi biblioteki. Wiem, że pozwoli mi odejść, że nie będę musiała jej przekonywać. Podbiega do mnie, obejmuje i całuje. Do ucha szepcze mi jedno słowo, które nie pozostawia wątpliwości i powoduje, że wyskakuje mi gęsia skórka.

– Biegnij.

Ledwie widzę przez łzy, ale zostawiam mamę, czuję się do niej oderwana, rozdzielona siłą. Przesadzam mur otaczający ogród. Biegnę skulona, aż do ścieżki, która poprowadzi mnie na szczyt, a tam nikt mnie nie zauważy.

Zza rogu wyłania się samochód. Oślepiające reflektory zmierzają w moją stronę. Staję jak wryta. Nie wiem, gdzie auto się zatrzyma, nie widzę, kto prowadzi. Boję się, że będzie chciał mnie rozjechać. Nie rozpoznaję samochodu, choć jest nowiutki i bardzo drogi. Zatrzymuje się tylko kilka centymetrów ode mnie. Reflektory nadal świecą tak jasno, że nic nie widzę. Zastanawiam się, czy nie zawrócić, ale wiem, że

w przeciwnym kierunku znajduje się Crevan. Jestem tak blisko ścieżki, która powinna mnie powieść do wolności, ścieżki, którą biegałam do Arta, kiedy życie było takie proste.

Drzwi po stronie kierowcy się otwierają i wysiada z nich sędzia Sanchez. Serce kołacze mi w piersi.

– Ładny wieczór na ucieczkę, panno North – mówi chłodno.

– Czego chcesz?

– Tego samego, co ty – odpowiada. – Jest coś, co nas łączy.

– Wątpię – odpowiadam z goryczą.

– Obie chcemy obalić Crevana.

Jestem zaskoczona tą deklaracją, choć oczywiście nie powinnam. Przez cały mój proces Sanchez próbowała podważyć jego autorytet. Wykorzystywała mnie, żeby to zrobić.

– Słyszałam, że wiesz o nim coś, co obu nam może pomóc. Coś, co sprawia, że robi się strasznie nerwowy i wszędzie wysyła demaskatorów. Nie wiem, co to jest, ale mam nadzieję, że mi powiesz.

– Czemu myślisz, że ci zaufam? – Panikuję. Muszę się z tego wyplątać. Muszę uciec. Moja rodzina nie będzie w stanie w nieskończoność powstrzymać Crevana przed przeszukaniem domu, a jeśli to prawda, że zostałam obarczona odpowiedzialnością za wiec i zamieszki, to niedługo przyjadą po mnie demaskatorzy i policja. Mam nadzieję, że policja znajdzie mnie pierwsza, bo Crevan tak łatwo mnie nie puści.

– Możesz mi zaufać. Pozwolę ci uciec – oświadcza sędzia, czego kompletnie nie rozumiem. – Nie przydasz mi się, jeśli wpadniesz w ręce Crevana. Widzę, jak potrafisz mu zaszkodzić, kiedy jesteś wolna. Naprawdę nieźle nim wstrząsnęłaś, popełnia więcej błędów niż zwykle. Jak to się stało, że masz na niego taki wpływ? – pyta z zaciekawieniem.

Widzę, że ta niewiedza jest dla niej torturą.

Z trudem przełykam ślinę, zastanawiam się intensywnie. Wreszcie potakuję.

Posyła mi nikły, przebiegły uśmiech.

– Kto by pomyślał, że to będziesz ty. – Mierzy mnie wzrokiem.

– Wiesz, wierzę w Trybunał, w publiczne dochodzenie prawdy, ingerowanie w sprawy, które mają znaczenie dla opinii publicznej, ale

nie wierzę w to, jak się teraz z Trybunału korzysta – mówi, wpatrując się w moje oczy. – Próbowałam ci pomóc w czasie procesu, Celestine. Powinnaś była wybrać więzienie. Podobało ci się to małe przedstawienie, którego dzięki mnie mogłaś wysłuchać w zamku? Sądziłam, że wystraszysz się napiętnowań, i przyznasz do pomocy Naznaczonemu.

To ona wysłała Tinę na zebranie, żeby Funar podprowadził mnie i Carricka pod Izbę Naznaceń.

– Jeśli mi pomożesz, mogę coś poradzić na opaskę na twoim ramieniu. – Wkłada odzianą w rękawiczkę dłoń do swojej kieszeni i wyciąga z niej wizytówkę. – Pozwolę ci uciec, Celestine, ale skontaktuj się ze mną, kiedy będziesz gotowa i będziemy mogły sobie pomóc.

To prawie zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. Ostrożnie sięgam po wizytówkę i odsuwam się od sędzi Sanchez. Spodziewam się, że ktoś rzuci się na mnie z ukrycia, lecz nic takiego się nie dzieje. Idę dalej, przyspieszam kroku. Sędzia Sanchez mnie obserwuje, po czym wsiada do swojego samochodu. Odpala silnik i zawraca.

Robię, jak radziła mi mama.

Biegnę.

Podziękowania

Przez ostatnie piętnaście lat pisałam jedną powieść rocznie, ale latem 2014 roku, gdy skończyłam *Kiedy cię poznałam* i powinnam była regenerować umysł przed kolejną książką, *Miłość i kłamstwa*, w mojej głowie zrodził się pomysł na *Skazę* i nie chciał dać mi spokoju. Celestine North pojawiła się w moim życiu z historią do opowiedzenia. Nigdy nie doświadczyłam takiego napływu adrenaliny, nigdy nie pisałam z sercem tak mocno podchodzącym mi do gardła, z aż tak drżącą dłonią i tak szybko. Musiałam wyrzucić z siebie tę historię, czy ktoś zechce ją przeczytać, czy nie. Sześć tygodni później skończyłam *Skazę*. Dziękuję za to moim kibicom, Davidowi, Robyn i Sonny'emu – za miłość, cierpliwość i wsparcie, kiedy pisałam, a mamie, tacie, Georginie i Nicky'emu za dodawanie mi otuchy. Dziękuję Marianne Gunn O'Connor i Vicky Satlow za wskazówki, słowa zachęty oraz wiarę, że nie jest to jedynie powieść dla mnie i mogę się nią podzielić. Dziękuję Dave'owi O'Callaghanowi za to, że mnie słuchał i nadal wspierał mimo przeczytania niepewnego szkicu książki.

Pierwszą wersję *Skazy* napisałam w sześć tygodni, ale co nieuniknione, wymagała ona dużo więcej pracy. Ta powieść nie wyglądałaby tak jak teraz, gdyby nie błyskotliwe uwagi oraz wsparcie Nicka Lake'a. Twój wkład wyniósł tę historię na wyższy poziom. Ogromne podziękowania ślę też do ekipy z HarperCollins za ich wsparcie.

Napisałam tę powieść ze złością, miłością, pasją. Każde słowo i uczucie pochodziło z serca. Jeśli ta powieść niesie jakiś przekaz, to taki: nikt z nas nie jest idealny. Nie udawajmy, że jest inaczej. Nie bójmy się tego, że nie jesteśmy perfekcyjni. Nie przyprawiajmy innym etykietek, udając, że nie jesteśmy wszyscy tacy sami. Wiedzmy, że każdy człowiek ma swoją skazę, i uczmy się na swoich błędach, by nie popełnić ich po raz drugi.

Wydawnictwo Akurat

imprint MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: +4822 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: MAGRAF s.c., Bydgoszcz

